

Clive Cussler
Paul Kemprecos

ZAGINIONE MIASTO

Przekład Maciej Pintara

AMBER

Tytuł oryginału LOST CITY

Redaktorzy serii
MAŁGORZATA CEBO-FONIOK ZBIGNIEW FONIOK

Redakcja stylistyczna KRZYSZTOF BEREZA

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
KAMILA GONTARZ JOLANTA KUCHARSKA

Ilustracja na okładce CRAIGWHITE

Copyright © 2004 by Sandecker, RLLLP.
By arrangement with Peter Lampack Agency, Inc.
For the Polish edition Copyright © 2004 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2083-1

Powieści CLIVE'A CUSSLERA w Wydawnictwie Amber:

AFERA ŚRÓDZIEMNOMORSKA

ATLANTYDA ODNALEZIONA

BŁĘKITNE ZŁOTO

CERBER

CYKLOP

LODOWA PUŁAPKA

NA DNO NOCY

ODYSEJA TROJAŃSKA

OGNISTY LÓD

OPERACJA „HF”

PODWODNI ŁOWCY

PODWODNI ŁOWCY 2

PODWODNY ZABÓJCA

POTOP

SAHARA

SKARB

SMOK

VIXEN03

WAŻ

WIR PACYFIKU

WYDOBYĆ „TITANICA”

ZABÓJCZE WIBRACJE

ZAGINIONE MIASTO

ZŁOTO INKÓW

ZŁOTY BUDDA

Prolog

Alpy Francuskie, sierpień 1914

Wysoko nad majestatycznymi ośnieżonymi górami Jules Fauchard walczył o życie. Kilka minut wcześniej jego samolot uderzył w niewidzialną ścianą powietrza z taką siłą, że pilotowi zadzwoniły zęby. Teraz wznoszące się i opadające prądy miały lekką maszyną jak latawcem na sznurku. Fauchard zmagał się - i to skutecznie - z przyprawiającymi o mdłości turbulencjami. Nauczyli go tego francuscy instruktorzy latania. W końcu wydostał się z niebezpiecznego rejonu i zaczął rozkoszować spokojnym powietrzem. Nie zdawał sobie sprawy, że mogło go to zgubić.

Kiedy już ustabilizował lot samolotu, uległ najbardziej naturalnemu odruchowi - zamknął zmęczone oczy. Powieki zatrzepotały i opadły, jakby były z ołowiu. Umysł podryfował w mroczną sferę zupełnej obojętności. Broda osunęła mu się na pierś. Palce rozluźniły chwyt na drążku sterowym. Mała czerwona maszyna zachwiała się pijacko wperte de vitesse - utracie kierunku, jak to nazywali francuscy piloci - i przechyliła się na skrzydło w preludium korkociągu.

Na szczęście ucho wewnętrzne Faucharda wyczuło zmianę równowagi i w jego drzemającym mózgu odezwał się alarm. Poderwał głowę, ocknął się i jeszcze otępiąły usiłował oprzytomnieć. Spał zaledwie kilka sekund, ale przez ten czas samolot znacznie stracił wysokość i omal nie wpadł w strome nurkowanie. Krew pulsowała Fauchardowi w skroniach, serce waliło, jakby miało wyskoczyć z piersi.

We francuskich szkołach latania uczono przyszłych pilotów, żeby dotykali sterów tak lekko jak pianista klawiatury fortepianu. Godziny ćwiczeń przydały się teraz Fauchardowi. Przystawił stery delikatnie, żeby nie przesadzić z kontrą, i ostrożnie wypoziomował. Zadawalony z udanego manewru wypuścił ustami wstrzymywane powietrze i wziął głęboki oddech. Arktyczne zimno zakłuło go w płuca jak odłamki szkła.

Ostry ból wyrwał go z letargu. Rozbudził się zupełnie i przywołał w myślach magiczną formułę, która wzmacniała jego determinację podczas tej desperackiej misji. Zmarznięte wargi odmówiły posłuszeństwa, gdzieś w głębi siebie usłyszał wyraźnie słowa. Jeśli zawiedziesz, zginą miliony.

Zacisnął zęby utwierdzony w swym postanowieniu. Stał szron z gogli i wyjrzał z kokpitu. Alpejskie powietrze było przejrzyste jak czysty kryształ i nawet najbardziej odległe szczegóły krajobrazu rysowały się bardzo wyraźnie. Rzędy ostrych szczytów górskich ciągnęły się aż po horyzont. Na zielonych zboczach dolin przycupnęły maleńkie wioski. Białe pierzaste obłoki przypominały stosy świeżo zebranej bawełny. Niebo miało intensywną błękitną barwę. Zachodzące letnie słońce różowiło śnieg na wierzchołkach gór.

Fauchard chłonał zaczerwienionymi oczami piękno krajobrazu i nasłuchiwał warkotu osiemdziesięciokonnego czterosuwowego silnika Gnome, który napędzał samolot Morane-Saulnier N. Wszystko grało. Silnik pracował jak przed jego drzemką, która o mały włos nie pociągnęła za sobą fatalnych skutków. Fauchard uspokoił się, ale zdarzenie zachwiało jego pewnością siebie. Ku własnemu zdumieniu zdał sobie sprawę, że doznał nieznanego mu dotąd uczucia. Tak, to był strach. Nie przed śmiercią, lecz przed porażką. Wbrew jego żelaznej woli, bolące mięśnie przypominały mu, że jest człowiekiem z krwi i kości jak wszyscy inni.

Odkryty kokpit ograniczał ruchy, a w dodatku Fauchard miał na sobie skórzany płaszcz na futrze, pod nim gruby golf z szetlandzkiej wełny i długie kalesony. Szyję osłaniał mu wełniany szalik, głowę i uszy skórzana pilotka. Dłonie były chronione przez ocieplane skórzane rękawice, a nogi przez futrzane buty wysokogórskie z dobrej skóry. Mimo stroju

polarnika Faucharda przenikało lodowate zimno, które osłabiało jego czujność. Sytuacja była niebezpieczna. Lot trudnym w pilotowaniu morane-saulnierem wymagał pełnej koncentracji.

Czując narastające zmęczenie, Fauchard za wszelką cenę starał się zachować przytomność umysłu z charakterystycznym dla niego, nieugiętym uporem, dzięki któremu stał się jednym z najbogatszych przemysłowców świata. O tym, że jego determinacja nie osłabła, świadczyło spojrzenie twardych szarych oczu i wysunięty do przodu podbródek. Fauchard miał orli nos i z profilu przypominał te drapieżne ptaki, których głowy widniały w jego herbie rodowym wymalowanym na ogonie samolotu. Zmusił zdrętwiałe wargi do ruchu. Jeśli zawiedziesz, zginą miliony.

Zamiast donośnego głosu, który wzbudzał lęk w europejskich ośrodkach władzy, z jego ust wydobył się skrzek. Ryk silnika i szum powietrza przepływającego wzdłuż kadłuba zagłuszył ten żalony dźwięk. Ale Fauchard uznał, że należy mu się nagroda. Sięgnął do cholewy buta i wyciągnął srebrną piersiówkę. Otworzył ją z trudem, bo przeszkadzały mu grube rękawice, i wypił łyk. Wysokoprocentowy sznaps z winogron uprawianych w jego posiadłości był prawie czystym alkoholem. Miłe ciepło rozeszło mu się po gardle.

Pokrzepiony poprawił się na siedzeniu, poruszył palcami rąk i nóg i pochylił do przodu. Gdy krew znów dopłynęła do kończyn, pomyślał o gorącej szwajcarskiej czekoladzie i topionym serze czekających na niego po drugiej stronie gór. Grube wargi pod gęstymi wąsami wykrzywiły się w ironicznym uśmiechu. Był jednym z najbogatszych ludzi na świecie, a cieszył się na myśl o posiłku wieśniaka. A co tam.

Pogratulował sobie w duchu. Był skrupulatnym człowiekiem, starannie zaplanował ucieczkę i wszystko działało jak w zegarku. Od dnia, w którym przedstawił swoje poglądy przed radą rodzinną, rodzina miała go na oku. Kiedy zastanawiali się, co z nim zrobić, zniknął. Odwrócił ich uwagę i dopisało mu szczęście.

Udawał, że za dużo wypił, i powiedział swojemu lokajowi, opłacanemu przez rodzinę, że idzie spać. Gdy wszędzie wokoło zapadła cisza, wymknął się z sypialni, a potem z zamku i dotarł do miejsca w lesie, gdzie zawczasu ukrył rower. Z drogocennym ładunkiem w plecaku dojechał przez las na lotnisko. Tam czekał już jego samolot zatankowany i gotowy do lotu. Fauchard wystartował o świcie i dwa razy lądował w odludnych miejscach, żeby wziąć paliwo dostarczone przez jego najbardziej lojalnych służących.

Opróżnił piersiówkę, po czym zerknął na kompas i zegar w kokpicie. Leciał właściwym kursem i miał tylko kilka minut spóźnienia. Niższe szczyty wyłaniające się przed nim wskazywały, że zbliża się do celu długiej podróży. Wkrótce powinien być w Zurychu.

Zastanawiał się, co powie papieskiemu emisariuszowi. Nagle wydało mu się, że z prawej strony poderwało się do lotu stado spłoszonych ptaków. Spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył ze zgrozą, że to strzepy poszycia samolotu. W skrzydle widniała kilkunastocentymetrowa dziura. Mogło być tylko jedno wyjaśnienie - ktoś do niego strzelał, a ryk silnika zagłuszył huk broni.

Instynktownie przechylił maszynę w lewo, potem w prawo. Skręcał jak jaskółka. Rozejrzał się po niebie i zauważył sześć dwupłatowców. Leciąły pod nim w szyku delta. Z niezwykłym spokojem Fauchard zgasił silnik, jakby zamierzał podejść do lądowania bez napędu jak szybowiec.

Morane-saulnier runął w dół niby kamień.

W normalnych okolicznościach byłby to manewr samobójczy, wystawiłby go na ogień przeciwników. Ale Fauchard rozpoznał atakujące go dwupłatowce, awiatiki. Francuskiej konstrukcji budowane w Niemczech, napędzane rządowymi silnikami mercedesa. Wykorzystywano je głównie jako samoloty rozpoznawcze. Co ważniejsze, karabin maszynowy zamontowany przed strzelcem pokładowym pozwalał na prowadzenie ognia tylko do góry. Po kilkuset metrach opadania Fauchard znalazł się za szykiem awiatików. Wziął na cel najbliższą maszynę i nacisnął spust. Zaterkotał karabin maszynowy Hotchkiss i

pociski smugowe trafiły w ogon przeciwnika. Z ostrzelanego samolotu buchnął dym i kadłub stanął w płomieniach.

Aviatik zaczął opadać długą spiralą ku ziemi. Kilkoma następnymi seriami Fauchard stracił drugą maszynę z taką łatwością, jakby był myśliwym polującym na bezbronne bażanty.

Zestrzelił dwa samoloty tak szybko, że pozostali piloci zorientowali się w sytuacji dopiero wtedy, gdy zobaczyli smugi czarnego dymu za spadającymi maszynami. Wzorowy, równy szyk się rozsypał.

Fauchard przerwał atak. Przeciwnicy się rozproszyli i element zaskoczenia, działający na jego korzyść, zniknął. Poderwał maszynę stromo do góry. Przeleciała trzysta metrów, po czym zniknęła w rozległej chmurze.

Kiedy szara mgła ukryła jego samolot przed wrogami, Fauchard wyrównał lot i sprawdził uszkodzenie. Tak wiele tkaniny poszycia zostało zerwane, że odstąpił się drewniany szkielet skrzydła. Fauchard zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że gdy wyskoczy z chmury, ucieknie awiatikom, wykorzystując większą szybkość swojej maszyny. Ale uszkodzenie skrzydła odebrało mu ten atut.

Skoro nie mógł uciec, musiał walczyć.

Przeciwnicy mieli przewagę liczebną i ogniową, ale Fauchard leciał jednym z najbardziej niezwykłych samolotów swoich czasów. Morane-saulnier, pierwotnie maszyna wyścigowa, był trudny w pilotowaniu, ale nieprawdopodobnie zwrotny. Reagował na najłżejsze dotknięcie sterów. W epoce, gdy większość samolotów miała co najmniej podwójne skrzydła, morane-saulnier był jednopłatowcem. Jego długość od stożkowego kołpaka śmigła do trójkątnego statecznika pionowego wynosiła tylko sześć metrów i siedemdziesiąt centymetrów, ale dzięki urządzeniu, które miało dokonać przełomu w walce powietrznej, był niezwykle groźny.

Saulnier opracował mechanizm synchronizujący, który umożliwiał prowadzenie ognia z karabinu maszynowego przez śmigło. System wyprzedzał nową broń, strzelającą czasami nieregularnie, a ponieważ amunicja mogła spowodować przerwanie ognia, łopaty śmigła były chronione przed zabłąkanymi pociskami przez metalowe deflektory.

Fauchard przygotował się do walki. Sięgnął pod siedzenie i dotknął palcami zimnego metalu kasetki pancernej. Obok niej leżał worek z purpurowego aksamitu. Fauchard wyciągnął go i położył na udach. Sterując kolanami, wyjął z worka stalowy hełm rycerski i przesunął palcami po rzeźbionej powierzchni. Metal był lodowato zimny, ale zdawał się promieniować ciepłem, które rozchodziło się po całym ciele Faucharda.

Włożył hełm na głowę. Pasował doskonale na skórzaną pilotkę i był idealnie wyważony. Wyglądał niezwykle. Zasłona hełmu miała kształt ludzkiej twarzy, wąsy i orli nos przypominały wąsy i nos Faucharda. Ale ograniczała widoczność, podniósł ją więc na czoło.

Snopy promieni słonecznych zaczęły przenikać przez osłaniającą go chmurę. Przeleciał przez jasne pasma rozświetlające jej brzegi i znalazł się w pełnym blasku dnia.

Aviatiki krążyły poniżej jak stado głodnych rekinów wokół tonącego statku. Ich piloci zauważyli morane'a i dwupłatowce zaczęły się wznosić.

Prowadzący awiatik przemknął pod samolot Faucharda i zbliżył się tak, że miał go już w zasięgu ognia. Fauchard szarpnął mocno pas bezpieczeństwa, żeby się upewnić, czy jest ciasno zapięty. Potem poderwał maszynę i wykonał szeroką pętlę.

Zwisiał z kokpitu głową w dół i dziękował w duchu francuskiemu instruktorowi za to, że nauczył go tego uniku. Dokończył manewr, wyrównał lot i znalazł się za awiatikami. Otworzył ogień do najbliższego samolotu, ale przeciwnik znurkował pod stromym kątem.

Fauchard siedział mu na ogonie i czuł przyjemny dreszcz podniecenia, że jest myśliwym, a nie zwierzyną. Aviatik wyrównał lot i skrzył ostro, by podejść do Faucharda od tyłu. Mniejszy samolot z łatwością dotrzymał mu kroku.

Aviatik znalazł się u wylotu szerokiej doliny. Fauchard zostawił mu mało miejsca na manewr i przeciwnik wleciał prosto w kotlinę.

Fauchard nacisnął spust hotchkissa. Oszczędzał amunicję i strzelał krótkimi seriami. Aviatik robił uniki w lewo i w prawo i pociski smugowe przelatywały po obu stronach samolotu. Zmniejszył pułap, żeby się znaleźć poniżej Faucharda i jego zabójczej broni maszynowej. Fauchard znów spróbował uścisnąć mu na ogonie i aviatik zszedł jeszcze niżej.

Maszyny mknęły nad polami z szybkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Leciały zaledwie piętnaście metrów nad ziemią. Stada przerażonych krów rozpraszały się jak liście w podmuchach wiatru. Wężykujący aviatik wciąż wymykał się Fauchardowi. Pagórkowaty teren utrudniał celowanie.

W dole przesuwały się pofałdowane łąki i porządnie utrzymane wiejskie domy. Pojawiało się coraz więcej gospodarstw. Fauchard zobaczył dachy miasta na wprost przed sobą w zwężeniu doliny.

Aviatik leciał wzdłuż rzeki płynącej zakolami przez środek doliny w kierunku miasta. Pilot trzymał się tak nisko, że koła niemal dotykały wody. Na granicy miasta pojawił się osobliwy most z kamieni polnych spinający brzegi rzeki.

Fauchard już zaciskał palec na spuście, gdy dostrzegł cień, który pojawił się wyżej. Zerknął w górę i zobaczył podwozie i kadłub drugiego aviatika. Przeciwnik był niecałe piętnaście metrów nad nim. Opadł niżej, żeby zepchnąć go w dół. Fauchard zerknął na aviatika przed sobą. Dwupłatowiec zaczynał się wznosić, żeby nie uderzyć w most.

Przechodnie przechodzący na drugą stronę rzeki zobaczyli trzy nadlatujące samoloty i rzucili się do ucieczki. Stary zaspany koń pociągowy zaprzężony do wozu stanął dęba po raz pierwszy od wielu lat, gdy aviatik przemknął kilka metrów nad głową woźnicy.

Dwupłatowiec lecący najwyżej zniżył się, żeby zepchnąć mniejszy samolot na most. Ale Fauchard w ostatniej chwili ściągnął drążek sterowy i całkowicie otworzył przepustnicę. Morane-saulnier poderwał się i zmieścił między mostem a aviatikiem. Stos siana na wozie rozprysnął się od uderzenia kół samolotu, ale Fauchard nie stracił kontroli nad maszyną i wbił się ponad dachy domów.

Dwupłatowiec na jego ogonie wznosił się sekundę po nim.

Za późno.

Mniej zwrotny od jednopłatowca aviatik uderzył w most i eksplodował w kuli ognia. Lecący na przodzie samolot też wzbijał się zbyt wolno i zawadził o wieżę kościelną. Ostra iglica rozpruła dół kadłuba i aviatik rozpadł się w powietrzu na kawałki.

- Z Bogiem! - krzyknął ochryple Fauchard i zawrócił w kierunku doliny.

W oddali pojawiły się dwa punkty. Zbliżały się szybko. Rozpoznał ostatnie aviatiki.

Skierował swój samolot pomiędzy nadlatujące maszyny i uśmiechnął się szeroko. Chciał, żeby jego krewni wiedzieli, co myśli o ich próbie zatrzymania go.

Był już tak blisko, że widział obserwatorów w przednich kokpitach. Ten z lewej uniósł coś, co wyglądało jak laska i Fauchard zobaczył błysk.

Usłyszał cichy trzask i doznał wrażenia, że ktoś wbił mu między żebra gorący pogrzbacz. Zmroziło go, gdy zdał sobie sprawę, że obserwator w aviatiku posłużył się prostszą, ale bardziej pewną techniką - strzelił do niego z karabinu.

Mimo woli szarpnął drążek sterowy i zeszywniały mu nogi. Samoloty minęły go z obu stron. Stracił władzę w dłoni trzymającej drążek i jednopłatowiec zaczął się chwiać. Siedzenie załaza ciepła krew płynąca z rany. W ustach czuł smak miedzi i miał trudności z koncentracją.

Zdjął rękawice, odpiął pas bezpieczeństwa i sięgnął pod siedzenie. Słabnącymi palcami wymacał uchwyt kasetki, wyciągnął ją i położył na kolanach, potem umocował do nadgarstka taśmę przewleczoną przez uchwyt.

Zebrał resztkę sił, podniósł się i wychylił z kokpitu. Przetoczył się przez krawędź i porwał go pęd powietrza.

Automatycznie pociągnął linkę wyzwalającą. Poduszka, na której siedział, otworzyła się i w górze wykwitła czasza spadochronu.

Ciemniało mu w oczach. Dostrzegł jeszcze błękitne jezioro i lodowiec.

Zawiodłem.

Był w szoku i prawie nie czuł bólu, tylko złość i głęboki smutek.

Zginą miliony.

Wykaszłał krwawą pianę i stracił przytomność. Wisiał w uprzęży spadochronu i był łatwym celem dla jednego z awiatyków, który zawrócił.

Nie poczuł następnego trafienia. Pocisk karabinowy przebił hełm i utkwił w jego czaszce.

Słońce odbijało się w hełmie, gdy opadał w dół, dopóki góry nie wzięły go w swoje objęcia.

Orkady, czasy współczesne

1

Jodie Michaelson była wściekła.

Wcześniej tego wieczoru ona i troje pozostałych uczestników programu telewizyjnego Wygnańcy musieli przejść w ciężkich butach po grubej linii rozciągniętej wzdłuż wysokiego na metr wału usypanego z kamieni. Zadanie nazywało się „Próba ogniową wikingów”. Po obu stronach linii płonęły rzędy pochodni, co dodawało dramatyzmu ryzykownemu pokazowi, choć odległość od linii ognia wynosiła dwa metry. Ujęcia z kamer robione z dołu stwarzały wrażenie, że spacer po linii jest dużo bardziej niebezpieczny niż był w rzeczywistości.

Ale całkowicie autentyczne były starania producentów o to, żeby doprowadzić uczestników programu niemal do stosowania przemocy wobec rywali.

Po sukcesie Rozbitków i Nieustraszonych programy typu reality-show mnożyły się jak grzyby po deszczu. Wygnańcy byli najnowszym widowiskiem tej kategorii. Połączono w nich elementy obu słynnych programów i dodano niektóre z Jeny 'ego Springera.

Zasada była prosta. Uczestnicy przez trzy tygodnie przechodzili różne próby. Ci, którym się nie powiodło lub zostali wykluczeni w głosowaniu przez pozostałych, musieli opuścić wyspę jako „wygnańcy”.

Zwycięzca miał dostać milion dolarów i różne premie. Ich wartość najwyraźniej zależała od tego, jak bardzo uprzykrzał życie innym.

Program uważano za bardziej brutalny od poprzednich. Producenci stosowali różne sztuczki, żeby wzmóc napięcie. W innych reality-show trwała zacięta rywalizacja, w Wygnańcach toczyła się jawna walka.

Formuła programu opierała się częściowo na zasadach szkoły przetrwania. Uczestnicy musieli poradzić sobie z trudnościami życia „w plenerze”.

Podczas gdy akcje innych reality-show tego rodzaju rozgrywały się zwykle na tropikalnych wyspach z turkusową wodą i kołysanym wiatrem palmami, Wygnańców realizowano na Orkadach u wybrzeży Szkocji. Zawodnicy przybili do brzegu w replice okrętu wikingów. Powitały ich morskie ptaki.

Wyspa miała trzy kilometry długości, półtora szerokości i skalistą w większości powierzchnię ze wzniesieniami i rozpadlinami powstałymi przed wiekami na skutek jakiegoś kataklizmu. Tu i ówdzie rosły sękate drzewa. Większość scen kręcono na plaży z szorstkim piaskiem. Dni były tutaj dość ciepłe, noce zimne, ale pokryte skórą szałasy zapewniały dostateczne schronienie.

Skalista wysepka była tak pozbawiona znaczenia, że okoliczni mieszkańcy nazywali ją Drobina. Doprowadziło to do zabawnej wymiany zdań między producentem, Syem Parisem, a jego asystentem, Randym Andlemanem.

Paris zareagował w typowy dla siebie sposób.

- Na litość boską! Nie możemy robić programu przygodowego w miejscu nazywanym Drobina - wybuchnął. - Musimy wymyślić inną nazwę. Już wiem. - Rozpromienił się po chwili. - Czaszka!

- Ale ta wysepka nie wygląda jak czaszka - odparł Andleman. - Raczej jak przypalone jajko sadzone.

- Jest wystarczające podobieństwo - powiedział Paris i odszedł. Jodie była świadkiem rozmowy.

- Bardziej przypomina czaszkę głupiego producenta seriali telewizyjnych - zauważyła. Andleman uśmiechnął się.

Jedną z prób było rozrywanie na kawałki i zjadanie żywych krabów, inną nurkowanie w zbiorniku pełnym węgorzy. Takie wyczyny gwarantowały, że widzowie wstrzymają oddech i będą oglądali następne odcinki, żeby zobaczyć, co się jeszcze wydarzy. Niektórych uczestników wybrano najwyraźniej ze względu na ich agresywność i generalnie paskudny charakter.

Ostateczne rozstrzygnięcie miało nastąpić w nocy, gdy dwoje ostatnich zawodników będzie polowało na siebie z noktowizorami i markerami paintballowymi. Pomysł zaczerpnięto z noweli Niebezpieczna zabawa. Zwycięzca wygrał następny milion dolarów.

Jodie pracowała jako instruktorka w klubie fitness w kalifornijskim hrabstwie Orange. Luźne ubranie maskowało jej kształty, ale w bikini wyglądała zabójczo. Miała długie, jasne włosy i była inteligentna, z czym musiała się kryć, żeby trafić do programu. Ale nie zgodziła się grać roli słodkiej idiotki, którą wyznaczyli jej producenci.

W ostatnim teście zawodnikom zadano pytanie, co to jest koncha: ryba, skorupa mięczaka czy samochód? Jako stereotypowa głupia blondynka, Jodie powinna odpowiedzieć, że samochód.

Jezu, pomyślała. Nie mogłabym z tym żyć po powrocie do cywilizacji.

Nie zaliczyła testu i producenci wyraźnie dali jej do zrozumienia, że powinna zrezygnować. Nadarzyła się okazja pozbycia się Jodie, gdy wpadł jej do oka popiół i nie przeszła próby wikingów. Pozostali członkowie plemienia zbrali się przy ognisku z poważnymi minami i Sy Paris obwieścił dramatycznym tonem jej odejście z klanu do Walhalli. Jezu!

Oddalała się teraz od grupy i wściekała na siebie za to, że odpadła. Ale szła sprężystym krokiem i była zadowolona, że po kilku tygodniach spędzonych z tymi psycholami opuści wyspę. Podobało jej się surowe piękno krajobrazu, ale miała już dosyć oszczerstw, manipulacji i podstępów, które musiał cierpliwie znosić każdy uczestnik programu dla wątpliwej przyjemności bycia tropioną zwierzyną.

Za „Wrotami do Walhalli”, łukowym przejściem z plastikowych fiszbinów, stała wielka przyczepa mieszkalna, w której kwaterowała ekipa telewizyjna. Podczas gdy uczestnicy programu sypiali w skórzanych szałasach i żywili się robakami, realizatorzy korzystali z wszelkich wygod i jadali smakowite posiłki. Kiedy ktoś z zawodników odpadał z rywalizacji, spędzał noc w przyczepie i następnego ranka zabierał go helikopter.

Jodie spotkała w drzwiach Andlemana.

- Niefart - powiedział. Był równym facetem, zupełnym przeciwieństwem swojego bezwzględego szefa.

- Właśnie, prawdziwy niefart. Gorące prysznice. Ciepłe żarcie. Komórki.

- Cholera, mamy tutaj to wszystko. Rozejrzała się po komfortowej kwaterze.

- Zauważyłam - mruknęła.

- Twoje łóżko jest tam. - Wskazał. - Zrób sobie drinka przy barku i poczęstuj się pasztetem z lodówki. Jest super. Wyluzujesz się. Wychodzę. Muszę pomóc Syowi. Rozgość się.

- Skorzystam z zaproszenia, dzięki.

Jodie podeszła do barku i zrobiła sobie duże martini Beefeater. Paszтет okazał się rzeczywiście pyszny. Nie mogła się doczekać powrotu do domu. Byli uczestnicy programu zawsze występowali w telewizyjnych talk-show i obgadywali tych, którzy zostali na wyspie. Łatwa forsa. Wyciągnęła się w wygodnym fotelu. Po kilku minutach wypity alkohol uśpił ją.

Obudziła się przerażona. We śnie słyszała piskliwe wrzaski podobne do ptasich lub dziecięcych, a w tle wołania i krzyki.

Dziwne.

Wstała, podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Zastanawiała się, czy Sy nie wymyślił nowego sposobu na upokarzanie uczestników programu. Może kazał im wykonywać taniec dzikich wokół ogniska?

Poszła szybko ścieżką prowadzącą na plażę. Hałas narastał. Działo się coś bardzo niedobrego. Teraz słyszała wyraźnie okrzyki strachu i bólu, a nie podniecenia. Przyspieszyła kroku i wypadła przez „Wrota do Walhalli”. To, co zobaczyła, przypominało scenę z tryptyku Boscha Ogród rozkoszy.

Ekipe telewizyjną i uczestników programu atakowały odrażające stworzenia, pół ludzie, pół zwierzęta. Przewracały swoje ofiary i rozszarpały je pazurami i zębami.

Jodie zauważyła upadającego Sya, potem Randy'ego. Rozpoznała kilka zakrwawionych, zmasakrowanych ciał leżących na piasku.

W migotliwym świetle ognia dostrzegła, że napastnicy mają brudne, białe włosy sięgające do ramion. Ich twarze... Czegóż takiego nigdy dotąd nie widziała, wyglądały jak wykrzywione upiorne maski.

Jedno ze stworzeń uniosło do ust oderwaną ludzką rękę. Jodie nie wytrzymała i wrzasnęła. Drugi stwór przerwał ucztę i spojrzał na nią żarzącymi się czerwono oczami.

Miała ochotę zwymiotować, ale stworzenia ruszyły w jej kierunku susami w półprzysiadzie.

Rzuciła się do ucieczki.

Jej pierwszą myślą była przyczepa mieszkalna, ale zachowała przytomności umysłu na tyle, by zdać sobie sprawę, że znajdzie się w pułapce.

Pobiegła w stronę wysokiego skalistego wzniesienia. Stwory ścigały ją jak psy myśliwskie. Potknęła się w ciemności i wpadła do szczeliny w ziemi. Nie wiedziała, że to uratowało jej życie. Stworzenia zgubiły trop.

Upadając, rozbiła sobie głowę i straciła przytomność. Ocknęła się na moment i wydało jej się, że słyszy jakieś ostre głosy i strzały. Potem znów zemdlała.

Kiedy rano przyleciał helikopter, wciąż leżała nieprzytomna w rozpadlinie. Załoga przeszukała wyspę i w końcu znalazła Jodie, ale dokonała wstrząsającego odkrycia.

Wszyscy inni zniknęli.

Monemvassia, Peloponez

2

W powtarzającym się koszmarnym śnie Angus MacLean był kozłem tropionym przez głodnego tygrysa z mrocznej dżungli, który wpatrywał się w niego żółtymi ślepiami. Niski pomruk stawał się coraz głośniejszy, aż wreszcie wypełnił mu uszy. Potem drapieżnik skoczył. MacLean poczuł cuchnący oddech tygrysa i ostre pazury na szyi. Szarpnął kołnierzyk w daremnej próbie ucieczki. Jego żałosne, przerażone beczenie zamieniło się w rozpaczliwy jęk i... obudził się zlany zimnym potem. Dyszał ciężko, zmięta pościel była wilgotna.

Wstał chwiejnie z wąskiego łóżka i otworzył okiennice. Greckie słońce zalało białe ściany pomieszczenia, które kiedyś było całą klasztorną. Włożył szorty i T-shirt, wsunął stopy w sandały i wyszedł na dwór. Zamrugał oczami w blasku bijącymi od szafirowego morza. Walenie serca ustało.

Wziął głęboki oddech i wciągnął w nozdrza podobny do woni perfum zapach dzikich kwiatów rosnących wokół piętrowego klasztoru. Zaczekał, aż przestaną mu się trząść ręce, i ruszył na poranny spacer, który, jak się o tym przekonał, był remedium na jego zszarpane nerwy.

Klasztor zbudowano w cieniu masywnej, wysokiej skały, nazywanej często w przewodnikach turystycznych Greckim Gibraltarem. MacLean wspiał się na szczyt ścieżką biegnącą wzdłuż krawędzi starożytnego muru. Przed wiekami mieszkańcy miasta leżącego w dole wycofywali się za fortyfikacje, by bronić się przed najeźdźcami. Z twierdzy, w której podczas oblężenia mogła się pomieścić cała miejscowa ludność, pozostały tylko ruiny.

Z pokruszonych fundamentów starego kościoła bizantyjskiego na górze MacLean widział na odległość wielu kilometrów. Na morzu pracowało kilka kolorowych kutrów rybackich. Wokół panował pozorny spokój. MacLean wiedział, że jego poranny rytuał daje mu fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Poszukujący go ludzie nie ujawnią się, dopóki go nie zabiją.

Przez jakiś czas krążył wśród ruin jak bezdomny duch, potem zszedł na dół i wrócił do jadalni znajdującej się na piętrze klasztoru. Piętnastowieczna budowla była jednym z domów gościnnych prowadzonych przez władze greckie na terenie kraju. MacLean celowo przyszedł na śniadanie dopiero wtedy, gdy inni turyści wyruszyli już na zwiedzanie.

Młody mężczyzna sprzątający w kuchni uśmiechnął się do niego.

- Kali mera, doktorze MacLean.

- Kali mera, Angelo - odpowiedział MacLean i postukał palcem w głowę. - Zapomniałeś? Nagły blask rozjaśnił oczy Angela.

- Tak, bardzo przepraszam, panie MacLean.

- Nic się nie stało. Wybacz, że cię obciążam dziwnymi prośbami - odrzekł MacLean z miękkim szkockim akcentem. - Ale, jak już mówiłem, nie chcę, żeby ludzie myśleli, że potrafię wyleczyć ich schorowane żołądki.

- Tak, oczywiście, panie MacLean. Rozumiem.

Angelo przyniósł miskę świeżych truskawek, melona, grecki jogurt z miejscowym miodem i orzechami włoskimi oraz filiżankę mocnej czarnej kawy. Był młodym, trzydziestoparoletnim mnichem. Mieszkał w klasztorze, obsługiwał gości i pełnił funkcję recepcjonisty, dozorca, szefa kuchni oraz gospodarza. Nosił cywilne ubranie robocze, jedyną oznakę jego przynależności do stanu duchownego stanowił sznur od habitu zawiązany luźno w pasie. Miał ciemne, kręcone włosy, był przystojny, a jego twarz zazwyczaj rozjaśniał błogi uśmiech.

Obaj mężczyźni bardzo się zaprzyjaźnili podczas tygodni spędzonych przez MacLeana w klasztorze. Codziennie, kiedy Angelo skończył wydawać śniadania, rozmawiali o wspólnym hobby, cywilizacji bizantyjskiej.

MacLean był naukowcem, doktorem chemii. Zajął się studiami historycznymi, żeby się oderwać od intensywnej pracy zawodowej. Wiele lat temu jego zainteresowania przywiodły go do Mistry, niegdyś centrum bizantyjskiego świata. Ruszył na południe Peloponezu i trafił do Monemvassii. Do miasteczka prowadziła tylko jedna wąska droga na grobli biegnącej przez morze. Nazwa Monemvassia oznaczała „jedną bramę” w murze, za którym ciągnął się labirynt uliczek i zaułków. MacLeana oczarowało to piękne miejsce. Przysiągł sobie, że kiedyś tutaj wróci. Nie spodziewał się wtedy, że schroni się tu, by ratować swoje życie.

Projekt wyglądał początkowo bardzo niewinnie. MacLean wykładał chemię na Uniwersytecie Edynburskim. Pewnego dnia zaproponowano mu pracę jego marzeń, badania podstawowe, które uwielbiał. Skorzystał z oferty i wziął urlop na uczelni. Rzucił się w wir ciężkiej pracy, prowadzonej w całkowitej tajemnicy. Kierował jednym z kilku zespołów badających enzymy, złożone białka wywołujące reakcje biochemiczne.

Naukowcy zatrudnieni przy Projekcie mieszkali w komfortowych kwaterach na głuchej prowincji we Francji i mieli bardzo ograniczone kontakty ze światem zewnętrznym. Jeden z kolegów MacLeana porównywał żartobliwie ich badania do „Projektu Manhattan”. MacLeanowi izolacja nie przeszkadzała. Był kawalerem i nie miał bliskich krewnych. Zresztą niewielu jego kolegów na nią narzekało. Życie w odosobnieniu rekompensowały wspaniałe warunki pracy i astronomiczne wynagrodzenie.

Potem pojawiły się problemy z Projektem. Kiedy MacLean i inni zaczęli zadawać pytania, odpowiedziano im, żeby się nie martwili. Odesłano ich do domu i kazano czekać na ocenę wyników ich badań.

MacLean pojechał do Turcji, żeby badać ruiny. Kiedy po kilku tygodniach wrócił do Szkocji, odsłuchał automatyczną sekretarkę. Było parę głuchych telefonów i dziwna wiadomość od dawnego kolegi. Naukowiec pytał, czy MacLean czytał informacje w gazetach, i prosił o pilny kontakt. MacLean spróbował się z nim połączyć, ale dowiedział się, że kolega zginął kilka dni wcześniej w wypadku samochodowym spowodowanym przez pirata drogowego.

Później, gdy MacLean sprawdzał swoją pocztę, znalazł grubą kopertę wysłaną przez owego naukowca krótko przed śmiercią. Koperta zawierała wycinki prasowe z opisami serii śmiertelnych wypadków. MacLean przeczytał je i ciarki przeszły mu po plecach. Ofiarami byli wyłącznie naukowcy. Wszyscy pracowali z nim przy Projekcie.

Kolega dołączył do wycinków kartkę z nagryzmołonym ostrzeżeniem: Uciekaj, bo zginiesz!

MacLean pragnął wierzyć, że to naprawdę były wypadki, choć instynkt naukowca podpowiadał mu co innego. Kilka dni później ciężarówka próbowała zepchnąć jego minicoopera z drogi. Jakimś cudem skończyło się na paru zadrapaniach. Ale MacLean rozpoznał w kierowcy ciężarówki jednego z milczących ochroniarzy, którzy pilnowali badaczy w laboratorium.

Co za idiota ze mnie, pomyślał.

Wiedział, że musi uciekać. Ale dokąd? Przyszła mu na myśl Monemvassia, popularne miejsce wakacyjne Greków z głębi kraju. Większość zagranicznych turystów przyjeżdżała tam tylko na jeden dzień. I teraz był właśnie tutaj.

Kiedy zastanawiał się nad wydarzeniami, które go tu sprowadziły, podszedł do niego Angelo. Przyniósł „International Herald Tribune”. Mnich musiał załatwić kilka spraw, ale miał wrócić za godzinę. MacLean skinął głową i wypił łyk aromatycznej kawy. Przejrzał w gazecie wiadomości gospodarcze i polityczne, potem jego uwagę przyciągnął nagłówek:

OCALONA KOBIETA ŚWIADKIEM ZAMORDOWANIA EKIPY TELEWIZYJNEJ I UCZESTNIKÓW PROGRAMU PRZEZ POTWORY.

Zdarzenie miało miejsce na wyspie z grupy Orkadów u wybrzeży Szkocji. Zaintrygowany MacLean przeczytał relację o nim. Była krótka, ale kiedy skończył, trzęsły mu się ręce.

Mój Boże, pomyślał. Stało się coś strasznego.

Złożył gazetę i wyszedł na zewnątrz. Stanął w prażącym słońcu i podjął decyzję. Wróci do domu i sprawdzi, czy uda mu się przekonać kogoś, że jego historia jest prawdziwa.

Poszedł do bramy miasta i złapał taksówkę do przystani promowej na grobli, gdzie kupił bilet na wodolot do Aten na następny dzień. Potem wrócił do pokoju i spakował swoje rzeczy. Co dalej? Postanowił trzymać się stałego programu dnia. Poszedł do kawiarnianego ogródka i zamówił zimną lemoniadę w wysokiej szklance. Zatopił się w lekturze gazety i nagle zdał sobie sprawę, że ktoś do niego mówi.

Podniósł wzrok i zobaczył siwą kobietę w szerokich poliestrowych spodniach w kwiaty i takiej samej bluzce. Stała przy jego stoliku z aparatem fotograficznym.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Uśmiechnęła się słodko. - Mógłby pan? Mój mąż i ja...

Turyści często prosili MacLeana o zrobienie im zdjęć. Wysoki i chudy, ze swymi niebieskimi oczami i szpakowatą czupryną wyróżniał się wyraźnie w gronie spotykanych tu osób, z reguły Greków niższych od niego i mających ciemniejszą cerę.

Przy pobliskim stoliku siedział mężczyzna i szczyrzył do niego w uśmiechu wystające zęby. Był piegowaty i mocno zaczerwieniony od nadmiaru słońca. MacLean skinął głową i wziął od kobiety aparat. Pstryknął kilka zdjęć i zwrócił go właścicielce.

- Bardzo dziękuję! - powiedziała wylewnym tonem. - Nawet pan nie wie, ile to dla nas znaczy, mieć taką pamiątkę w albumie z podróży.

- Amerykanie? - zapytał MacLean.

Pragnienie porozmawiania z kimś po angielsku okazało się silniejsze niż niechęć do wdawania się w jakiegokolwiek konwersacje. Angelo słabo znał angielski.

- To aż tak się rzuca w oczy? - Kobieta rozpromieniła się. - A przecież bardzo się staramy wtopić w tło...

Żółto-różowy poliester zdecydowanie nie jest w greckim stylu, pomyślał MacLean. Mąż kobiety miał na sobie białą bawełnianą koszulkę bez kołnierzyka i nosił czarną czapkę kapitańską, jakie kupują głównie turyści.

- Przyłączyliśmy wodolotem - powiedział mężczyzna, przeciągając samogłoski, wstał z krzesła i podał MacLeanowi wilgotną rękę. - To dopiero była jazda, cholera. Anglik?

MacLean zrobił przerażoną minę.

- Broń Boże! Jestem Szkotem.

- To coś jak ja. Pół szkockiej, pół wody sodowej - odrzekł Amerykanin, uśmiechając się szeroko. - Przepraszam, że mieszam. Jestem z Teksasu. Pan pewnie myślał, że jesteśmy z Oklahomy.

MacLean nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy Teksaszczyki, których spotkał mówili tak, jakby ich rozmówcy mieli problemy ze słuchem.

- Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy - odparł. - Mam nadzieję, że dobrze się bawicie.

Już odchodził, ale zatrzymał się, bo kobieta zapytała, czy mogliby się z nim sfotografować, ponieważ był dla nich taki uprzejmy. MacLean pozował najpierw z nią, potem z jej mężem.

- Dziękuję - powiedziała. Miała więcej ogłady niż jej mąż. MacLean dowiedział się po chwili, że Gus i Emma Harris są z Houston. Gus pracował kiedyś w branży naftowej, a ona uczyła historii w szkole, a teraz spełniło się marzenie jej życia; odwiedziła kolebkę cywilizacji.

MacLean uścisnął im dłonie, przyjął gorące podziękowania i oddalił się wąską uliczką. Szedł szybko, mając nadzieję, że nie pójda za nim. Wrócił do klasztoru określną drogą.

Zamknął okiennice i w pokoju zrobiło się ciemno i chłodno. Przespał najgorętszą porę dnia, potem wstał i ochlapał twarz zimną wodą. Wyszedł na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza i ku zaskoczeniu zobaczył Harrisów - stali przy starej białej kaplicy na dziedzińcu klasztoru.

Fotografowali klasztorny budynek. Na widok MacLeana uśmiechnęli się i pomachali do niego. Podeszedł bliżej i zaproponował, że pokaże im swój pokój. Jakość wykonania ciemnej boazerii zrobiła na nich wrażenie. Kiedy znów wyszli na dziedziniec, zapatrzili się na strone klify za klasztorem.

- Musi być stamtąd piękny widok - powiedziała Emma.

- Trzeba się trochę powspinać, żeby dotrzeć na szczyt - ostrzegł ją MacLean.

- W domu często obserwuję ptaki, więc jestem w dobrej formie. Gus też ma lepszą kondycję, niż na to wygląda. - Uśmiechnęła się. - Kiedyś grał w futbol amerykański, choć dziś może trudno w to uwierzyć.

- W Wyższej Szkole Rolniczej i Mechanicznej w Teksasie - dodał Harris. - Od tamtej pory przybyło mi trochę ciała. Ale powiem panu, że chętnie spróbowałbym tam wejść.

- Mógłby pan pokazać nam drogę? - spytała Emma.

- Niestety jutro rano wyjeżdżam - odrzekł MacLean. - Mam już bilet na wodolot. - Powiedział im, że mogą sami wejść na górę, jeśli wyruszą wcześniej, zanim zrobi się za gorąco.

- Jest pan kochany. - Poklepała MacLeana po policzku jak matka. Podziwiał ich odwagę, gdy patrzył, uśmiechając się szeroko, jak odchodzą ścieżką biegnącą wzdłuż tamy od frontu klasztoru. Minęli Angela, który właśnie wracał z miasta. Mnich pozdrowił MacLeana, potem obejrzał się na parę turystów.

- Spotkał pan Amerykanów z Teksasu? MacLean przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi.

- Skąd wiesz, kim są?

- Przyszli tu wczoraj rano, kiedy był pan na spacerze - odrzekł Angelo i wskazał stare miasto.

- To ciekawe, bo zachowywali się tak, jakby dzisiaj byli tu po raz pierwszy.

Angelo wzruszył ramionami.

- Może my też będziemy zapominali o różnych rzeczach, kiedy się zestarzejemy.

MacLean poczuł się nagle jak nieszczęsny kozioł ze swojego koszmarnego snu. Żołądek podeszedł mu do gardła. Przeprosił, poszedł do swojego pokoju i nalał sobie solidną porcję ouzo.

Jakie to byłoby łatwe. Wspięliby się na szczyt skały i poprosili go, żeby pozował do zdjęcia przy krawędzi urwiska. Jedno pchnięcie i spadłby na dół.

Jeszcze jeden śmiertelny wypadek.

Żaden wysiłek. Nawet dla starej słodkiej nauczycielki historii.

Pogrzebał w plastikowym worku, gdzie wkładał brudne rzeczy do prania. Na dnie leżała koperta z pożółkłymi wycinkami prasowymi. Rozłożył je na stole.

Nagłówki różniły się trochę od siebie, ale treść była zawsze taka sama.

NAUKOWIEC GINIE WWYPADKU SAMOCHODOWYM. NAUKOWIEC PRZEJECHANY PRZEZ PIRATA DROGOWEGO. NAUKOWIEC ZABIJA ŻONĘ, POTEM SIEBIE. NAUKOWIEC GINIE NA NARTACH.

Wszystkie ofiary pracowały przy Projekcie. MacLean przeczytał kartkę od kolegi: Uciekaj, bo zginiesz! Potem dołączył wycinek z „Herald Tribune” do innych i poszedł do recepcji klasztoru. Angelo przeglądał stos rezerwacji.

- Muszę wyjechać - powiedział MacLean. Angelo zmartwił się wyraźnie.

- Szkoda. Kiedy?

- Jeszcze dziś.

- To niemożliwe. Do rana nie ma wodolotu ani autobusu.
 - Muszę wyjechać i chcę cię prosić o pomoc. Opłaci ci się to. Oczy mnicha nagle posmutniały.

- Zrobiłbym to z przyjaźni, nie dla pieniędzy.

- Przepraszam - powiedział MacLean. - Jestem trochę zdenerwowany. Angelo był inteligentnym człowiekiem.

- Chodzi o tych Amerykanów?

- Szukają mnie źli ludzie. Mogli wysłać tych Amerykanów, żeby mnie znaleźli. Byłem głupi i zdradziłem im, że mam bilet na wodolot. Nie wiem, czy przyjechali tu sami. Ktoś może obserwować bramę.

Angelo skinął głową.

- Mogę przewieźć pana łodzią. Potem będzie panu potrzebny samochód.

- Mam nadzieję, że coś zorganizujesz - odrzekł MacLean i wręczył Angelowi swoją kartę kredytową, której starał się dotychczas nie używać, żeby nie zostawiać śladów po sobie.

Angelo zadzwonił do wypożyczalni samochodów. Rozmawiał kilka minut, potem się rozłączył.

- Wszystko załatwione. Zostawią kluczyki w środku.

- Nie wiem, jak ci się odwdzięczę.

- Nie trzeba. Następnym razem niech pan złoży dużą ofiarę na kościół. MacLean zjadł lekką kolację w ustronnej kawiarni. Przyłapał się na tym, że zerka z obawą na inne stoliki. Ale wieczór minął bez przygód. W drodze powrotnej do klasztoru co chwila oglądał się za siebie.

Czekanie było koszmarem. Czuł się w swoim pokoju jak w pułapce. Ale pocieszał się, że ściany mają co najmniej trzydzieści centymetrów grubości, a drzwi wytrzymałyby uderzenia taranem. Kilka minut po północy usłyszał ciche pukanie.

Angelo wziął jego bagaż i poprowadził go wzdłuż tamy do schodów, które wiodły na kamienną platformę w dole, używaną przez pływaków do nurkowania. W świetle latarki MacLean zobaczył małą motorówkę przycumowaną do platformy. Wsiedli do łodzi. Angelo sięgał już do cumy, gdy na schodach rozległy się ciche kroki.

- Nocny rejs? - zapytała słodkim głosem Emma Harris.

- Chyba nie myślisz, że doktor MacLean wyjechałby bez pożegnania? - odezwał się jej mąż.

Zaskoczony MacLean odzyskał po chwili mowę.

- Co się stało z pańskim teksaskim akcentem, panie Harris?

- Ach ten akcent... Muszę przyznać, że nie brzmiał zbyt autentycznie.

- Nie przejmuj się, kochanie. Był wystarczająco dobry, żeby oszukać doktora MacLeana. Choć muszę powiedzieć, że mieliśmy trochę szczęścia. Siedzieliśmy sobie właśnie w tamtej uroczej, małej kawiarni, kiedy się pan tam pojawił. To było miłe z pańskiej strony, że pozwolił się pan sfotografować. Dzięki temu mogliśmy sprawdzić, czy pański wygląd zgadza się ze zdjęciem w kartotece. Nie lubimy popełniać omyłek.

Jej mąż zachichotał dobrodusznie.

- Przypomniało mi się powiedzenie: „Wpadnij do mnie... - ... powiedział pajak do muchy”.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Przysłała was firma - domyślił się MacLean.

- To bardzo inteligentni ludzie - odrzekł Gus. - Wiedzieli, że będzie pan wypatrywał kogoś o wyglądzie gangstera.

- To błąd, który popełnia mnóstwo ludzi - dodała Emma z nutą smutku w głosie. - Ale dzięki temu utrzymujemy się w branży, prawda, Gus? No, cóż. Wycieczka po Grecji była wspaniała. Wszystko, co dobre, musi się jednak kiedyś skończyć.

Angelo słuchał tej rozmowy z wyrazem zdziwienia na twarzy. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Zanim MacLean zdążył go powstrzymać, wyciągnął rękę, żeby odcumować motorówkę.

- Państwo wybaczą - powiedział - ale musimy ruszać. To były jego ostatnie słowa.

Pistolet z tłumikiem wypalił cicho i czerwony języczek ognia błysnął w ciemności. Angelo chwycił się za pierś i zacharczał. Potem wypadł za burtę.

- Zabicie mnicha przynosi pecha, moja droga - powiedział Gus do żony.

- Nie nosił habitu - odrzekła obojętnym tonem. - Skąd miałam wiedzieć, że jest mnichem?

W ich głosach pobrzmiwały nieprzyjemne drwiące nuty.

- Chodźmy, doktorze - powiedział Gus do MacLeana. - Samochód czeka. Zawieziemy pana do samolotu firmy.

- Nie zamierzacie mnie zabić?

- O, nie - odparła Emma znów tonem niewinnej turystki. - Są wobec pana inne plany.

- Nie rozumiem...

- Zrozumie pan, mój drogi. Zrozumie pan.

Alpy Francuskie

3

Lekki helikopter Aerospatiale Alouette, lecąc nad głębokimi dolinami, na tle wysokich Alp wydawał się maleńki jak komar. Kiedy zbliżył się do góry z trzema nierównymi szczytami, Hank Thurston który siedział na przednim fotelu pasażera, poklepał w ramię mężczyznę zajmującego miejsce obok i wskazał widok za szybą kabiny.

- To Le Dormeur - powiedział głośno, żeby jego sąsiad usłyszał go przez hałas łopat rotora. - „Śpioch”. Przypomina twarz człowieka śpiącego na plecach.

Thurston był profesorem zwyczajnym glaciologii na Uniwersytecie Stanu Iowa. Choć przekroczył czterdziestkę, z jego twarzy promieniował chłopięcy entuzjazm. W Iowa był zawsze gładko ogolony i starannie ostrzyżony, ale po paru dniach w terenie zaczynał wyglądać jak pilot latający w buszu. Nosił lotnicze okulary przeciwsłoneczne, pozwalał rosnąć swym ciemnym włosom z siwymi pasmami i rzadko się golił, toteż brodę pokrywał mu zwykle kilkudniowy zarost.

- Licentia poetica - odrzekł Derek Rawlins. - Widzę czoło, nos i podbródek. Mnie przypomina to górę „Starzec” w New Hampshire, zanim się rozpadła. Tylko tutaj profil jest bardziej poziomy niż pionowy.

Rawlins pisał reportaże dla magazynu „Outside”. Zbliżał się do trzydziestki, był pełen optymizmu, miał starannie ostrzyżone blond włosy, krótko przyciętą brodę i wyglądał na profesora college'u bardziej niż Thurston.

Krystalicznie czyste powietrze stwarzało złudzenie bliskości, wydawało się, że góra jest w odległości wyciągniętego ramienia. Helikopter zatoczył wokół niej kilka kręgów, potem przeleciał nad poszarpanym szczytem i opadł w kotlinę o średnicy kilku kilometrów. Na dnie niecki spoczywało niemal idealnie okrągłe jezioro. Choć było lato, na podobnej do zwierciadła powierzchni unosiły się bryły lodu wielkości volkswagena garbusa.

- Lac du Dormeur - powiedział profesor. - Jezioro powstałe podczas cofania się lodowca w epoce lodowcowej i zasilane teraz wodami z lodowca.

- To największe martini z lodem, jakie kiedykolwiek widziałem - odrzekł Rawlins.

Thurston roześmiał się.

- Jest przezroczyste jak dżin, ale nie znajdzie pan na dnie oliwek. Tamten wielki prostokątny budynek wpuszczony w zbocze góry obok lodowca to elektrownia wodna. Najbliższe miasto leży po drugiej stronie łańcucha górskiego.

Helikopter przeleciał nad szerokim statkiem o solidnym wyglądzie, zakotwiczonym blisko brzegu jeziora. Z pokładu sterczały dźwigi i borny przeładunkowe.

- Co się tam dzieje? - pytał Rawlins.

- Jakieś badania archeologiczne - odparł Thurston. - Musieli się tu dostać rzeką wypływającą z jeziora.

- Sprawdzę to później - powiedział Rawlins. - Może dostanę od szefa podwyżkę, jeśli wrócę z dwoma reportażami, a koszty pozostaną takie jak jednego. - Zerknął przed siebie na szerokie pole lodowe, które wypełniało przestrzeń między dwiema górami. - O rany! To musi być nasz lodowiec.

- Zgadza się. La Langue du Dormeur. „Język Śpiocha”.

Helikopter przeleciał nad rzeką pełną kry, płynącą przez szeroką dolinę do jeziora. Z obu stron do lodowca o zaokrąglonym szczycie przylegały podnóża czarnych urwistych skalnych wzgórz przyprószonych śniegiem. Krawędzie pola lodowego były nierówne w miejscach, gdzie opadały do szczelin i wąwozów. Lód miał niebieskawy kolor i pęknięcia na powierzchni niczym spalona słońcem ziemia.

Rawlins pochylił się do przodu, żeby lepiej wszystko widzieć.

- „Śpioch” powinien pójść do lekarza. Ma wrzodziejące zapalenie jamy ustnej.

- Jak pan powiedział, licentia poetica - odrzekł Thurston. - Niech pan się trzyma. Zaraz będziemy lądować.

Helikopter przemknął nad krawędzią czołową lodowca i przechylił się w skraj. Chwilę później płozy maszyny dotknęły brunatnej trawy niedaleko brzegu jeziora.

Thurston pomógł pilotowi wylądować kilka pudeł i doradził Rawlinsowi, żeby rozprostował kości. Reporter poszedł nad jezioro. Woda była niewiarygodnie spokojna. Powierzchni nie marszczył żaden podmuch wiatru. Wydawało się, że można po niej przejść na drugi brzeg. Rawlins rzucił do wody kamień, by się upewnić, że jezioro nie jest zamrożone.

Oderwał wzrok od kolistych fal i spojrzał na statek zakotwiczony jakieś pół kilometra od brzegu. Natychmiast rozpoznał charakterystyczny turkusowy kolor kadłuba. Podczas podróży reporterskich spotykał już nieraz jednostki pływające tej barwy. Nawet bez czarnych liter NUMA na burcie wiedziałyby, że statek należy do Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych. Zastanawiał się, co ekipa NUMA robi na tym odludziu tak daleko od najbliższego oceanu.

Z całą pewnością był tu materiał do reportażu, jakiego się zupełnie nie spodziewał, ale musiał z tym poczekać. Thurston go wołał. Do helikoptera zbliżał się szybko w tumanie kurzu zdezelowany citroen 2CV. Mały samochód zatrzymał się z poślizgiem obok śmigłowca. Mężczyzna podobny do górskiego trolla wysiadł z niego, a raczej wyłonił się jak stworzenie wyklute ze zdeformowanego jaja. Był niski, miał ciemną cerę, czarną brodę i długie włosy.

- Wspaniale, że pan wrócił, monsieur le professeur. - Potrząsnął dłonią Thurstona. - A pan musi być tym dziennikarzem, monsieur Rawlinsem. Nazywam się Bernard LeBlanc. Witam.

- Dzięki, doktorze LeBlanc - odrzekł Rawlins. - Nie mogłem się doczekać, kiedy tutaj przyjadę. Chciałbym jak najprędzej zobaczyć waszą zdumiewającą pracę.

- Więc chodźmy - powiedział LeBlanc i chwycił bagaż reportera. - Fifi czeka.

Rawlins rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się zobaczyć tancerkę z Follies Bergere.

- Fifi? - zapytał.

Thurston z lekceważącą miną wskazał kciukiem citroena.

- Bernie tak nazywa swój samochód. LeBlanc uśmiechnął się.

- A czemu nie miałbym go nazywać kobiecym imieniem? Fifi jest wierna i ciężko pracuje. I na swój sposób jest piękna.

- To mi wystarczy - odrzekł Rawlins. Poszedł za LeBlankiem do samochodu i zajął miejsce z tyłu. Pudełka z prowiantem były już przymocowane do bagażnika dachowego. Thurston usiadł obok kierowcy i Fifi ruszyła w kierunku góry wznoszącej się z prawej strony lodowca. Kiedy citroen zaczął się wspinać szutrową drogą, helikopter uniósł się w powietrze, nad jeziorem nabrawł wysokości i zniknął za szczytami.

- Jest pan zorientowany w tym, co robimy w naszym obserwatorium podlodowcowym, monsieur Rawlins? - zapytał LeBlanc.

- Proszę mi mówić Dekę. Czytałem o tym. Wiem, że jest tu podobnie, jak pod lodowcem Svartisen w Norwegii.

- Zgadza się - włączył się Thurston. - Tamtejsze laboratorium urządzono dwieście trzysta metrów pod lodem, nasze - dwieście czterdzieści. W obu miejscach woda z topniejącego lodowca jest kierowana do turbiny hydroelektrowni. Kiedy drażono dopływy, utworzono jeden dodatkowy tunel pod lodowcem, by zmieścić tam nasze obserwatorium.

Samochód wjechał w las karłowatych sosen. LeBlanc prowadził citroena wąskim szlakiem z pozornie beztroską brawurą. Koła toczyły się tuż przy krawędzi przepaści. Gdy droga stała się bardziej stroma, słaby silnik zaczął rzezić.

- Wygląda na to, że wiek Fifi daje o sobie znać - zauważył Thurston.
- Liczy się jej duch - odparł LeBlanc.

Do końca drogi dotarli jednak w żółtym tempie. Wysiedli i LeBlanc wręczył obu mężczyznom uprząże na ramiona. Sam też włożył taką samą uprząż. Każdy wziął na plecy pudło z prowiantem.

- Przepraszam, że robimy z pana tragarza - zwrócił się Thurston do Rawlinsa. - Zabraliśmy ze sobą zapasy na cały trzytygodniowy pobyt tutaj. Ale fromage i vin skończyły nam się szybciej, niż przewidywaliśmy. Więc wiedząc, że nas pan odwiedzi, skorzystałem z okazji i wziąłem więcej towaru.

- Nie ma problemu - odrzekł Rawlins z dobrodusznym uśmiechem i zręcznym ruchem poprawił ciężki ładunek, żeby łatwiej mu było go nieść. - Zanim zostałem pismakiem, dźwigałem prowiant do leśnych domków w Górach Białych w New Hampshire.

LeBlanc pierwszy ruszył ścieżką, która prowadziła w górę przez około czterysta metrów między sękatymi sosnami. Powyżej granicy lasu podłoże stało się miejscami twarde i płaskie. Drogę wskazywały żółte znaki namalowane na ziemi. Nieco dalej ścieżka pięła się stromo i była gładza tam, gdzie przez tysiące lat skałę polerowały ruchy lodowca. Spływająca z góry woda czyniła powierzchnię śliską i zdradliwą. Od czasu do czasu przecinali szczeliny wypełnione mokrym śniegiem.

Reporter dyszał z wysiłku, nieprzywykły do takiej wysokości. Odetchnął z ulgą, kiedy w końcu zatrzymali się na skalnej półce przy niemal pionowej czarnej ścianie. Byli prawie sześćset metrów powyżej jeziora, błyszczącego w południowym słońcu. Wzniesienie terenu zasłaniało lodowiec, ale Rawlins czuł ciągnący od niego chłód, jakby ktoś zostawił otwartą lodówkę.

Thurston wskazał okrągły otwór z betonowym obrzeżem u podnóża pionowego urwiska.

- Witamy w Lodowym Pałacu.
- To wygląda jak dren odwadniający - zauważył Rawlins.

Thurston roześmiał się, schylił i wszedł do tunelu z blachy falistej o średnicy około półtora metra. Pozostali ruszyli za nim zgarbieni, żeby zmieścić się z bagażem na plecach. Po około trzydziestu metrach tunel skończył się w słabo oświetlonym korytarzu wydrążonym w skale metamorficznej. Na mokrych, lśniących ścianach o pomarańczowej barwie widniały czarne pasma ciemniejszych minerałów.

Rawlins rozejrzał się wokoło.

- Można by tędy przejechać ciężarówką - powiedział z podziwem.
- I jeszcze byłby luz - odrzekł Thurston. - Ten korytarz ma dziesięć metrów wysokości i taką samą szerokość.
- Szkoda, że nie wcisnęliśmy tu Fifi - powiedział Rawlins.
- Myśleliśmy o tym. Przy elektrowni jest wejście, w którym zmieściłby się samochód, ale Bernie boi się, że jazda po tych tunelach zaszkodziłaby Fifi.
- Ma bardzo delikatną konstrukcję - parsknął LeBlanc.

Otworzył plastikową szafkę pod ścianą. Wyjął i rozdał gumki oraz kaski górnicze z lampami.

Kilka minut później szli już w głąb korytarza, odgłos kroków odbijał się echem od ścian. Rawlins zmrużył oczy i wpatrzył się w mrok poza zasięgiem lampy na kasku.

- To niezupełnie Wielka Biała Droga.
- Właściciele elektrowni zainstalowali tu oświetlenie, kiedy drążyli tunel, ale potem przestali wymieniać przepalone żarówki.
- Pewnie już pana o to pytano, ale dlaczego zajął się pan glaciologią? - zagadnął Rawlins.
- Tak, nie pierwszy raz słyszę to pytanie. Ludzie uważają glaciologów trochę za dziwaków. Badamy wielkie, stare, poruszające się wolno masy lodu. Potrzeba wieków, żeby się przemieściły. To raczej nie jest robota dla dorosłego mężczyzny, prawda, Bernie?

Może nie, ale kiedyś na Jukonie poznałem fajną Eskimoskę.

- Mówi jak prawdziwy glaciolog - powiedział Thurston do Rawlinsa. - Mamy wspólne upodobania. Lubimy piękno przyrody i pracę na świeżym powietrzu. Wielu z nas odkryło swoje powołanie, kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy lodowiec. - Wskazał gestem ściany tunelu. - Jak na ironię, spędzamy całe tygodnie pod lodowcem, a nie w świetle słońca. Jak krety.

- Stale w temperaturze półtora stopnia Celsjusza przy wilgotności powietrza sto procent - dodał LeBlanc. - I proszę, co się ze mnie zrobiło. Kiedyś byłem wysokim blondynem, ale skurczyłem się i zamieniłem w kudłatą bestię.

- Jesteś niską, kudłatą bestią, odkąd cię znam - odparł Thurston. - Pełnimy tu trzytygodniowe dyżury i rzeczywiście trochę przypominamy krety. Ale nawet Bernie przyzna, że mamy szczęście. Większość glaciologów ogląda lodowiec tylko z góry. My możemy podejść do niego od dołu i połaskotać go w brzuch.

- Na czym właściwie polegają wasze badania? - zapytał Rawlins.

- Prowadzimy trzyletnie obserwacje ruchów lodowców i wpływu tego zjawiska na podłoża, po których się przesuują. Mam nadzieję, że w swoim artykule przedstawi pan to w sposób bardziej ekscytujący.

- To nie będzie zbyt trudne. Przy obecnym zainteresowaniu globalnym ociepleniem glaciologia staje się tematem gorącym.

- Tak słyszałem. Uznanie jest mocno spóźnione. Na lodowce oddziałuje klimat, więc mogą nam powiedzieć z dokładnością do kilku stopni, jaka była temperatura na Ziemi tysiące lat temu. W dodatku same powodują zmiany klimatyczne. Jesteśmy na miejscu. Oto Klub Dormeur.

W zagłębieniu wykutym w skalnej ścianie stały rzędem cztery małe domki, podobne do przyczep mieszkalnych. Thurston otworzył drzwi najbliższej kwatery.

- Wszystkie wygody - powiedział. - Jak w domu. Cztery dwuosobowe sypialnie dla ośmiu naukowców, kuchnie i łazienki z prysznicami. Zwykle mam tu geologa i innych badaczy, ale teraz jest nas tylko trzech: Bernie, młody asystent z Uniwersytetu w Uppsali i ja. Może pan tu zostawić ten prowiant. Jesteśmy około pół godziny marszu od laboratorium. Mamy łączność telefoniczną między wejściem, tunelem badawczym i pracownią naukową. Lepiej dam znać ludziom w obserwatorium, że wracamy.

Podniósł słuchawkę telefonu na ścianie i powiedział kilka słów. Nagle przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi.

- Powtórz - zażądał i przez chwilę słuchał uważnie. - Okay. Zaraz tam będziemy.

- Coś się stało, profesorze? - zapytał LeBlanc. Thurston wciąż marszczył brwi.

- Rozmawiałem właśnie z moim asystentem. Nie do wiary!

- Qu 'est-ce que c 'est? - powtórzył LeBlanc. Thurston wyglądał na oszołomionego.

- Mówi, że znalazł człowieka zamrożonego w lodzie.

Sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią Lac du Dormeur, w wodzie tak zimnej, że zabiłaby niczym niechronionego człowieka, nad zwirowym dnem jeziora polodowcowego unosiła się świecąca kula. Przypominała błędny ognik na bagnach w Georgii. Mimo nieprzyjaznego otoczenia mężczyzna i kobieta siedzący obok siebie w przezroczystej akrylowej kabinie czuli się swobodni i odprężeni niczym para obiboków na wygodnej kanapie.

Mężczyzna wzbudziłby wszędzie podziw znakomitą budową; miał ramiona jak dwa tarany. Łagodna pomarańczowa poświata tablicy przyrządów oświetlała jego twarz o wyrazistych rysach, ogorzałą od słońca i morskiego wiatru, i przedwcześnie posiwiałe, stalowoszare włosy. Kurt Austin przypominał z profilu rzeźbę rzymskiego wojownika na kolumnie zwycięstwa. Ale wygląd twardziela łagodził pogodny uśmiech, a w przenikliwych niebieskich oczach lśniły isierki dobrego humoru.

Austin kierował Zespołem Specjalnym NUMA, utworzonym przez byłego dyrektora tej agencji, admirała Jamesa Sandeckera - obecnie wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych - do realizacji podwodnych misji, które często wykonywano w tajemnicy, bez nadzoru rządu. Kurt był z wykształcenia inżynierem morskim i miał duże doświadczenie w tej dziedzinie. Przeszedł do NUMA z CIA, gdzie pracował w mało znanej sekcji wywiadu podwodnego.

W NUMA zebrał grupę ekspertów, w której skład wchodził Joe Zawała, świetny konstruktor pojazdów podwodnych, Paul Trout, geolog morski, oraz jego żona, Gamay Morgan-Trout, doświadczony nurek, archeolog i biolog morski. Pracując razem, rozwiązali już wiele dziwnych i groźnych zagadek na powierzchni i w głębinach różnych oceanów.

Nie wszystkie wykonywane przez Austina zadania były niebezpieczne. Niektóre, jak to ostatnie, okazywały się całkiem przyjemne i nie zawdzięczał im żadnych nowych siniaków, skaleczeń i blizn na ciele. Choć znał swoją towarzyszkę zaledwie kilka dni, był nią oczarowany. Skye Labelle zbliżała się do czterdziestki. Była ciemną szatynką, prawie brunetką. Miała oliwkową cerę, figlarny wyraz fiołkowiebieskich oczu, patrzących spod wełnianej czapki, trochę za szerokie, lecz pełne i zmysłowe wargi. Mimo zgrabnej figury nie trafiłaby na okładkę „Sports Illustrated”. To co mówiła niskim, spokojnym głosem świadczyło o jej wysokiej inteligencji.

Nie była piękna, raczej interesująca, ale Austin uważał ją za jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie dotąd poznał. Przypominała mu portret młodej hrabiny o kruczoczarnych włosach, który widział w Luwrze. Podziwiał zdolność malarza do uchwycenia pasji i śmiałej szczerości w spojrzeniu arystokratki. Kobieta na obrazie miała w oczach coś złośliwego i zuchwałego, jakby chciała zrzucić wspaniałą strój i pobiec boso przez łąkę. Żałował, że było niemożliwe, by mógł ją poznać osobiście. Teraz wyglądało na to, że jednak ją spotkał.

- Wierzysz w reinkarnację? - zapytał, myśląc o portrecie w muzeum. Skye zamrugła zaskoczona. Przed chwilą rozmawiali o glaciologii i geologii.

- Nie wiem. Czemu o to pytasz? - Mówiła amerykańskim angielskim z lekkim francuskim akcentem.

- Bez powodu. - Austin urwał. - Mam inne, bardziej osobiste pytanie. Spojrzała na niego wyczekująco.

- Chyba wiem, jakie. Chcesz się dowiedzieć, skąd się wzięło moje imię.

- Nigdy przedtem nie spotkałem nikogo o imieniu i nazwisku Skye Labelle.

- Niektórzy sądzą, że to na pewno po jakiejś striptizerce z Las Vegas. Austin zachichotał.

- Bardziej prawdopodobne, że ktoś w twojej rodzinie miał zacięcie poetyckie.

- Moi zwariowani rodzice - powiedziała i przewróciła oczami. - Ojciec był dyplomata. Wysłał go na placówkę do Stanów. Kiedyś pojechał do Albuquerque na pokazy balonów na ogrzane powietrze i od tamtej pory stał się zapalonym lotnikiem. Mój starszy brat dostał imię Thaddeus po jednym z pierwszych pilotów balonowych, który nazywał się Thaddeus Lowe. Moja amerykańska matka jest artystką, wolnym duchem, więc uznała moje imię za wspaniałe. Ojciec upiera się, że nazwał mnie od koloru moich oczu, ale wszyscy wiedzą, że oczy noworodków zaraz po urodzeniu nie mają określonej barwy. Nieważne. Uważam, że mam ładne imię.

- Nie może być nic ładniejszego niż Piękne Niebo.

- Merci. I dziękuję za to wszystko! - Popatrzyła przez kopułę kabiny i klasnęła w dłonie jak zachwycone dziecko. - To cudowne! Nigdy nie myślałam, że moje studia archeologiczne zaprowadzą mnie pod wodę i będę tam pływała w wielkiej bańce.

- To chyba lepsze od polerowania średniowiecznych zbroi w zakurczonym muzeum - powiedział Austin.

Skye wybuchnęła swobodnym ciepłym śmiechem.

- Niewiele czasu spędzam w muzeach, chyba że organizuję wystawy. Ostatnio dużo pracuję dla różnych firm, żeby wesprzeć finansowo moje badania naukowe.

Austin uniósł brwi.

- Ciekawe, z jakich powodów Microsoft i General Motors zatrudniają eksperta od broni i pancerzy.

- Pomyśl. Żeby przetrwać, firma musi zabić lub zranić konkurencję i obronić siebie. Mówiąc w przenośni, oczywiście.

- Prawdziwa „mordercza rywalizacja” - odrzekł Austin.

- Nieźle brzmi. Użyję tego zwrotu w mojej następnej prezentacji.

- Jak uczysz bandę dyrektorów wysysania krwi? Mówiąc w przenośni, oczywiście.

- Oni już mają w sobie żądzę krwi. Prowokuję ich do „niekonwencjonalnego myślenia”, jak lubią to nazywać. Zachęcam, żeby udawali, że są dostawcami broni dla walczących ze sobą armii. Dawni wytwórcy broni musieli być metalurgami i inżynierami. Wielu z nich było artystami, na przykład Leonardo da Vinci, który projektował maszyny wojenne. Uzbrojenie i strategia stale się zmieniały i ludzie zaopatrujący armie musieli się szybko dostosowywać do nowych warunków.

- Od tego zależało życie ich klientów.

- Zgadza się. Każę jednej grupie wynaleźć maszynę oblężniczą, a innej środki obrony przed nią. Albo dam jedną stronie strzały penetrujące, a inna ma wynaleźć pancerz nie do przebicia. Potem zamieniamy się rolami i próbujemy jeszcze raz. Uczą się korzystać ze swojej wrodzonej inteligencji, zamiast polegać tylko na komputerach i podobnych urządzeniach.

- Może powinnaś zaoferować swoje usługi NUMA. Nauka rozwalania muru trzymetrowej grubości za pomocą katapulty wydaje się dużo zabawniejsza niż gapienie się na nudne wykresy budżetowe.

Skye uśmiechnęła się chytrze.

- Jak ci wiadomo, większość dyrektorów to mężczyźni.

- Chłopcy i ich zabawki. Sprawdzony sposób na sukces.

- Przyznaję, że wykorzystuję dzieciinną stronę charakteru moich klientów, ale moje sesje są bardzo popularne i opłacalne. I pozwalają mi swobodnie pracować nad projektami, których pewnie nie mogłabym realizować za moją pensję na Sorbonie.

- Mówisz o takich projektach, jak badanie starożytnych szlaków handlowych? Przytaknęła.

- To dopiero byłaby sensacja, gdyby udało mi się dowieść, że cynę i inne towary transportowano starym szlakiem bursztynowym przez alpejskie przełęcze i doliny do Adriatyku, gdzie kreteńskie i fenickie statki zabierały ładunki do portów na wschodnich krańcach Morza Śródziemnego. I że handel odbywał się w obu kierunkach.

- Logistyka twojej teoretycznej wymiany handlowej byłaby raczej dość skomplikowana.

- Jesteś genialny! Właśnie o to mi chodzi!

- Dzięki za komplement, ale mam po prostu doświadczenie w transporcie ludzi i materiałów.

- Więc wiesz, jaki to problem. Ludzie mieszkający wzdłuż szlaku lądowego, Celtowie i Etruskowie, musieli współpracować ze sobą, zawierać umowy handlowe, żeby przewozić towary. Uważam, że wymiana handlowa była dużo bardziej rozległa niż sądzą moi koledzy. To wszystko ma fascynujące implikacje, zmienia nasz obraz antycznych cywilizacji. Starożytni nie tylko prowadzili wojny; znali wartość pokojowej kooperacji na długo przed powstaniem UE czy NAFTA. I zamierzam to udowodnić.

- Istnienie antycznej globalizacji? Ambitny cel. Życzę szczęścia.

- Będzie mi potrzebne. Ale jeśli mi się uda, to dzięki tobie i NUMA. Twoja agencja pozwala mi korzystać ze swojego statku badawczego i sprzętu. To cudowna hojność.

- Korzyści są obopólne. Twój projekt daje nam szansę przetestowania naszego nowego statku na wodach śródlądowych i sprawdzenia, jak się spisuje ten podwodny pojazd w warunkach połowych.

- Sceneria jest przepiękna. - Wykonała ręką szeroki gest. - Brakuje nam tylko butelki szampana i foie gras.

Austin sięgnął po małą plastikową chłodziarkę i podał ją Skye. - W tej sprawie nie mogę pomóc, ale co powiesz na kanapkę z jambon et fromage.

- Ser i szynkę wybrałabym w drugiej kolejności. - Otworzyła pojemnik, wyjęła kanapkę i wręczyła Austinowi. Drugą wzięła dla siebie.

Austin zatrzymał pojazd w zawieszeniu. Jadł chrupiącą bagietkę z kremowym camembertem i studiował mapę jeziora.

- Jesteśmy tutaj, przy naturalnej półce, z grubsza równoległej do brzegu - powiedział i przesunął palcem po falistej linii. - Przed wiekami to mógł być wynurzony ląd.

- To się zgadza z moimi ustaleniami. Część bursztynowego szlaku przebiegała nad brzegiem Lac du Dormeur. Kiedy woda się podniosła, kupcy znaleźli inną drogę. Wszystko, na co tu trafimy, jest bardzo stare.

- Czego właściwie szukamy?

- Będę wiedziała, jak to zobaczę.

- To mi wystarczy.

- Jesteś zbyt urny. Wyjaśnię ci to. Karawany podróżujące bursztynowym szlakiem musiały się gdzieś zatrzymać na noc. Szukam ruin zajazdów lub osad, które mogły wyrosnąć wokół miejsc postojów. Mam nadzieję znaleźć potem broń na poparcie całej mojej teorii o wymianie handlowej.

Popili lunch wodą mineralną evian i Austin pomanipulował przyrządami na konsoli sterowniczej. Zaszumiły elektryczne silniki akumulatorowe, dwa boczne wirniki pod kulistą kabiną nabrały obrotów i batyskaf ruszył dalej.

SEAmagine SEAmobile miał ponad cztery i pół metra długości - mniej więcej tyle, ile średniej wielkości łódź wielorybnicza Boston - i tylko dwieście piętnaście centymetrów szerokości, ale dwie osoby mogły w nim wygodnie przebywać godzinami w ciśnieniu jednej atmosfery na głębokości prawie czterystu sześćdziesięciu metrów. Pojazd miał zasięg dwunastu mil morskich i szybkość maksymalną dwóch i pół węzła. W przeciwieństwie do większości batyskafów, które wynurzając się, podskakują jak korek, SEAmobile pozwalał się prowadzić jak łódź. Na powierzchni miał małe zanurzenie i zapewniał pilotowi dobrą widoczność. Mógł dopłynąć do miejsca nurkowania lub do krawędzi platformy zanurzeniowej.

SEAmobile wyglądał tak, jakby złożono go z różnych części zamiennych porzucanych po pracowni głębokich zanurzeń. Przezroczysta kula kokpitu miała średnicę stu trzydziestu siedmiu centymetrów i spoczywała na dwóch cylindrycznych pływakach. Chroniły ją dwa metalowe kabłąki w kształcie litery „D”, umieszczone po bokach.

Pojazd zbudowano tak, by cały czas miał dodatnią wyporność. Tendencję do wypływania na powierzchnię kontrolował pionowy wirnik w śródkręciu.

Ponieważ SEAmobile był tak zbalansowany, że zawsze pozostawał w poziomie, na powierzchni wody i pod nią, pilot nie musiał stale używać sterów głębokości, by utrzymać go w tym położeniu.

Używając akustycznego urządzenia nawigacyjnego Dopplera, które pozwalało określić ich pozycję, Austin skierował pojazd wzdłuż podwodnej skarpy, szerokiej półki opadającej stopniowo w głąb jeziora. Pokonywał równoległe odcinki według podstawowego wzorca poszukiwawczego. Manewry przypominały koszenie trawnika. Dno ukształtowane przez ruchy lodowca oświetlały cztery reflektory halogenowe batyskafu.

Pojazd pływał tam i z powrotem przez dwie godziny i Austinowi zaczęły łzawić oczy od długiego wpatrywania się w monotony, szary krajobraz podwodny. Skye wciąż była zauroczonego niezwykłym otoczeniem. Siedziała pochylona do przodu, podparła podbródek rękami i studiowała każdy metr kwadratowy dna. W końcu jej wytrwałość została wynagrodzona.

- Tam! - Pokazała palcem.

Austin zwolnił tak, że posuwali się teraz w żółtym tempie, zmrużył oczy i popatrzył na niewyraźny kształt czerniejący tuż poza zasięgiem reflektorów. Potem podpłynął bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. Obiekt leżący na boku był masywnym kamiennym blokiem o długości ponad trzech i pół metra i szerokości niecałych dwóch metrów. Znaki wyryte wzdłuż jego krawędzi sugerowały, że nie jest naturalną formacją skalną. W polu widzenia pojawiły się następne monolity. Część z nich stała pionowo. Niektóre były połączone na szczytach poziomymi blokami i tworzyły kształt greckiej litery „pi”.

- Chyba źle skręciliśmy i dojechaliśmy do Stonehenge - powiedział Austin.

- To pomniki cmentarne - odrzekła Skye. - Te „bramy” wskazywały konduktom pogrzebowym drogę do grobowca.

Austin zwiększył obroty wirników i pojazd przepłynął nad sześcioma identycznymi przejściami ustawionymi w mniej więcej dziesięciometrowych odstępach. Dalej teren po obu stronach bram zaczynał się wznosić i tworzył płytką dolinę. Naturalne zbocza wzgórz przechodziły w wysokie mury z masywnych kamiennych bloków.

Wąski kanion kończył się nagle pionową ścianą z prostokątnym otworem wielkości drzwi do klatki słonia. Wejście wieńczyła dziesięciometrowa poprzeczna belka, nad nią był mniejszy trójkątny otwór.

- Nie do wiary - wyszeptała Skye. - To tholos.

- Już to widziałas?

- To grobowiec kopułowy. Podobny jest w Mykenach. Nazywają go Skarbem Atreusza.

- Mykeny są w Grecji.

- Tak, ale ten styl architektoniczny jest starszy niż kultura grecka. Takie grobowce istniały już dwa tysiące dwieście lat przed naszą erą. Używano ich do pogrzebów na Krecie i w innych rejonach Morza Śródziemnego. Kurt, wiesz, co to znaczy? - Głos jej drżał z podniecenia. - Wymiana handlowa między basenem Morza Egejskiego i Europą mogła się odbywać dużo wcześniej niż ktokolwiek ma odwagę sugerować. Dałabym wszystko, żeby obejrzeć z bliska ten grobowiec.

- Moja standardowa cena za zwiedzanie podwodnego grobowca to zaproszenie na kolację.

- Możemy wpłynąć do środka?

- Czemu nie? Mamy mnóstwo miejsca z obu stron i nad nami. Jeśli zrobimy to powoli...

- Do diabła, nie powoli! Depecheto! Vite, vite!

Austin roześmiał się i ruszył batyskafem naprzód w kierunku ciemnego otworu. Był podekscytowany tak samo jak Skye, ale płynął ostrożnie. Reflektory zaczynały już oświetlać wnętrze, gdy odezwało się radio w kokpicie.

- Kurt, tu wsparcie. Zgłoś się.

Słowa transmitowane pod wodę miały metaliczne brzmienie, ale Austin rozpoznał głos kapitana statku NUMA. Zatrzymał pojazd w zawieszaniu i podniósł mikrofon.

- Tu SEAmobile. Słyszysz mnie?

- Trochę słabo, bo jest szum, ale słyszę. Przekaż panie Labelle, że Francois chce z nią rozmawiać.

Francois Balduc, francuski obserwator zaproszony na pokład przez NUMA w geście kurtuazji wobec rządu francuskiego, był sympatycznym urzędnikiem w średnim wieku. Trzymał się na uboczu, z wyjątkiem pory kolacji, kiedy pomagał kucharzowi przyrządzać smaczne potrawy. Austin wręczył Skye mikrofon.

Po gorącej dyskusji po francusku oddała mu go z powrotem.

- Merde! - powiedziała marszcząc brwi. - Musimy się wynurzyć.

- Dlaczego? Mamy jeszcze mnóstwo powietrza i mocy.

- Francois dostał telefon od szczyh w rządzie francuskim. Jestem natychmiast potrzebna do zidentyfikowania jakiegoś artefaktu.

- To nie wygląda mi na bardzo pilną sprawę. Nie można z tym poczekać?

- Moim zdaniem można, dopóki Napoleon nie wróci z wygnania. - Westchnęła. - Ale rząd częściowo subsydiuje moje badania tutaj, więc muszę być że tak powiem na zawołanie. Przykro mi.

- Ten grobowiec jest ukryty przed ludzkim wzrokiem zapewne od tysięcy lat. Nie ucieknie. - Austin wpatrzył się w otwór zmrużonymi oczami.

Skye bez przekonania skinęła głową. Spojrzeli tęsknie na tajemnicze wejście i Austin zawrócił batyskaf. Kiedy wydostali się z kanionu, włączył wirnik ruchu pionowego i pojazd zaczął się wznosić.

Chwilę później kokpit wynurzył się w pobliżu katamarana NUMA. Austin podpłynął do rufy statku i wprowadził pojazd na zanurzoną platformę między dwoma kadłubami. Podniesiono zasuwę i kołowrót wciągnął platformę z batyskafem do góry na pokład.

Francois czekał na nich z zatroskanym wyrazem zwykle pogodnej twarzy.

- Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem pani w pracy, mademoiselle Skye. Ale ten cochon, który do mnie dzwonił, bardzo nalegał.

Cmoknęła go lekko w policzek.

- Niech pan się nie przejmuj, Francois. To nie pana wina. Czego chcą?

- Jest pani potrzebna tam... - Wskazał gestem góry.

- Na lodowcu? Na pewno?

- Tak, tak. - Pokiwał energicznie głową. - Zapytałem o to samo. Powiedzieli wyraźnie, że potrzebują pani ekspertyzy. Znaleźli coś w lodzie. Wiem tylko tyle. Łódź czeka.

Skye spojrzała z niepokojem na Austina. Uprzedził jej słowa.

- Bez obaw. Zaczekam na ciebie z nurkowaniem do grobowca. Uścisnęła go mocno i pocałowała w oba policzki.

- Merci, Kurt. Naprawdę to doceniam. - Posłała mu niemal uwodzicielski uśmiech. - Znam przyjemne małe bistro na lewym brzegu Sekwany. Warto tam wydać trochę franków. - Roześmiała się na widok jego skonsternowanej miny.

- Tylko mi nie mów, że zapomniałeś o swoim zaproszeniu na kolację. Przyjmuję je.

Zanim Austin zdążył odpowiedzieć, zbiegła po drabince do czekającej motorówki. Zawył silnik zaburtowy i łódź odplynęła w kierunku brzegu. Austin był atrakcyjnym, czarującym mężczyzną i poznał w życiu wiele fascynujących, pięknych kobiet. Ale szef Zespołu Specjalnego NUMA musiał być gotowy na każde wezwanie przez całą dobę. Rzadko bywał w domu i jego wędrowny tryb życia nie sprzyjał długim związkom. Większość znajomości trwała o wiele za krótko.

Skye od razu go zauroczyła i jeśli dobrze odczytywał sygnały w jej spojrzeniach, uśmiechach i głosie, zainteresowanie było wzajemne. Zachichotał na myśl o tym, że jest odwrotnie niż zwykle. Zazwyczaj to on rzucał wszystko, gdy wzywały go obowiązki, i zostawiał swoją partnerkę na lodzie. Patrzył na motorówkę płynącą w kierunku brzegu i zastanawiał się, jaki to artefakt mógł wywołać takie zamieszanie. Niemal żałował, że nie towarzyszy Skye.

Kilka godzin później miał dziękować bogom, że z nią nie pojechał.

LeBlanc czekał na Skye przy samochodzie, na plaży. Kiedy go zobaczyła, straciła do reszty humor. Ale pod nieciekawą powierzchownością Francuza kryły się galijski wdzięk i dowcip.

Po kilku minutach jazdy Skye śmiała się już serdecznie z opowieści „trolla” o temperamencie Fifi. Zauważyła naraz, że citroen mija pole lodowe.

- Myślałam, że jedziemy do lodowca.

- Nie do lodowca, mademoiselle, tylko pod lodowiec. Moi koledzy i ja studiujemy jego ruchy w obserwatorium położonym dwieście czterdzieści metrów pod Le Dormeur.

- Nie miałam o tym pojęcia. Niech mi pan powie coś więcej. LeBlanc skinął głową i zaczął wyjaśniać, na czym polega jego praca. Skye słuchała uważnie, ciekawość naukowca wzięła w niej górę nad irytacją, że ściągnięto ją ze statku.

- A czym pani się zajmuje na jeziorze? - spytał LeBlanc, kiedy skończył swój wykład. - Wynurzyliśmy się pewnego dnia z naszej jaskini i voila! Jakby za sprawą magii pojawił się batyskaf.

- Jestem archeologiem z Sorbony - odrzekła Skye. - Narodowa Agencja Badań Morskich i Podwodnych była tak uprzejma, że udostępniła mi swój statek do poszukiwań, które prowadzę. Przy płynęliśmy rzeką do Lac du Dormeur. Mam nadzieję znaleźć w jeziorze ślady osad handlowych na starym szlaku bursztynowym.

- Fascynujące! Natrafiła pani na coś interesującego?

- Tak. Dlatego chcę tam jak najszybciej wrócić. Może mi pan powiedzieć, dlaczego tak pilnie potrzebujecie moich usług?

- Znaleźliśmy ciało zamrożone w lodzie.

- Ciało?

- Sądzymy, że to zwłoki człowieka.

- Następnego Lodowego Człowieka? - zapytała, przypomniawszy sobie ciało myśliwego z epoki neolitu odnalezione kilka lat wcześniej w Alpach.

LeBlanc pokręcił głową.

- Przypuszczamy, że ten biedny facet żył w bliższych współczesności czasach. Najpierw myśleliśmy, że to alpinista, który wpadł do szczeliny.

- A potem zmieniliście zdanie? Dlaczego?

- Zobaczysz pani.

- Proszę sobie ze mnie nie żartować, monsieur LeBlanc - warknęła Skye. - Moja specjalność to stara broń i broje, a nie zwłoki. Czemu to ja zostałam do tego wezwana?

- Przepraszam, mademoiselle. Monsieur Renaud prosił nas, żebyśmy nic nie mówili.

Skye opadła szczęką.

- Renaud? Z Instytutu Archeologii?

- Ten sam, mademoiselle. Przyjechał kilka godzin po tym, jak zawiadomiliśmy władze o naszym odkryciu, i zaczął rządzić. Zna go pani?

- O, tak! - odpowiedziała z nutą sarkazmu w głosie.

Przeprosiła LeBlanca za to, że na niego naskoczyła, wcisnęła plecy w oparcie fotela i skrzyżowała ręce na piersi. Znam go aż za dobrze, pomyślała.

Auguste Renaud był profesorem antropologii na Sorbonie. Studenci go nie znosili, ale na ich szczęście niewiele czasu poświęcał pracy z nimi, wołał się bawić w polityka. Utworzył grupę złożoną z kumpli i dzięki znajomościom osiągnął wysoką pozycję w środowisku archeologów. Wykorzystywał swoje wpływy, by nagradzać i karać. Zablokował kilka projektów Skye i dał jej do zrozumienia, że mogłyby szybko ruszyć z miejsca, gdyby zaczęła z nim sypiać. Odpowiedziała, że wołałaby pójść do łóżka z karaluchem.

LeBlanc zaparkował citroena i poprowadził Skye do tunelu wejściowego. Wgramolił się do drenu odwadniającego, a Skye po chwili wahania poszła za jego przykładem. Kiedy znaleźli się w głównym korytarzu, wręczył jej kask ochronny z lampą i ruszyli dalej. Po pięciu minutach dotarli do kwater mieszkalnych. LeBlanc zawiadomił przez telefon laboratorium, że są w drodze. Potem rozpoczęły półgodzinną wędrowkę.

Odgłos ich kroków odbijał się echem od mokrych ścian. Skye rozejrzała się dokoła.

- Tu jest tak jak w przeciekającej łodzi.
 - Zgadzam się, że to niezupełnie Pola Elizejskie. Ale przynajmniej nie ma takich korków jak w Paryżu.

Skye podziwiała osiągnięcie inżynieryjne, jakim był tunel, i wypytywała o szczegóły. Dotarli do prostokątnego betonowego obramowania wokół stalowych drzwi w ścianie korytarza.

- Co tam jest? - zapytała.

- To wejście do innego tunelu, który łączy się z systemem korytarzy prowadzących do hydroelektrowni. Kiedy we wczesnych miesiącach roku przepływ wody przez tunele jest powolny, można otworzyć te drzwi, przepawić się przez niewielki strumień i dojść dalej w głąb systemu. Ale o tej porze roku woda się podnosi, więc drzwi są zamknięte.

- Można się stąd dostać do elektrowni?

- Tunele biegną pod całą górą i powłoką lodową, ale tylko suche są dostępne. Innymi płynie woda do hydroelektrowni. To prawdziwa rzeka i prąd bywa całkiem silny. Normalnie nie pracujemy o tej porze roku. Woda z topniejącego lodu wpływa do naturalnych komór między skałą i lodowcem, tworzy zbiorniki i spowalnia nasze badania. Ale tej wiosny pracujemy dłużej, niż się spodziewaliśmy.

- Jak doprowadzacie tu powietrze? - Skye wciągnęła nosem wilgoć.

- Gdybyśmy minęli obserwatorium i zapuścili się dalej pod lodowiec, po mniej więcej kilometrze doszlibyśmy do dużego otworu na końcu powłoki lodowej. Wjechały tamtędy przyczepy mieszkalne i laboratoryjne. Wejście pozostało otwarte jak w kopalni. I tamtędy właśnie napływa powietrze.

Skye wzdrygnęła się z zimna.

- Podziwiam waszą determinację. Nie jest to najprzyjemniejsze miejsce pracy.

Głośny śmiech LeBlanca odbił się echem od mokrych ścian.

- Jest najgorsze z możliwych i bardzo nudne. I stale jesteśmy przemoczeni do suchej nitki. W czasie trzytygodniowego pobytu tutaj wychodzimy niekiedy na światło dzienne, ale perspektywa powrotu do tych jaskiń działa przygnębiająco, więc wolimy pozostać w laboratorium, gdzie jest sucho i jasno. Są tam komputery, pompy próżniowe do filtracji osadów geologicznych i nawet chłodnia, gdzie możemy badać próbki lodu bez obawy, że stopnieją. Po osiemnastogodzinnym dniu pracy człowiek bierze prysznic i wchodzi do łóżka, więc czas szybko mija. O, jesteśmy prawie na miejscu.

Podobnie jak kwatery mieszkalne, przyczepy laboratoryjne stały w zagłębieniu wykutym w skalnej ścianie. Kiedy LeBlanc podszedł do najbliższej pracowni, otworzyły się drzwi i z przyczepy wyszła wysoka, szczupła postać. Widok Renauda rozbudził na nowo gniew drzemiący w Skye. Naukowiec przypominał bardziej modliszkę niż karalucha. Miał trójkątną twarz z szerokim czołem i szpiczastym podbródkiem, drugi nos, małe, osadzone blisko siebie oczy i rude, wyraźnie rzedniejące włosy.

Przywitał Skye słabym uściskiem wilgotnej dłoni, który wzbudzał w niej obrzydzenie już od pierwszego dnia, kiedy się poznali.

- Dzień dobry, moja droga mademoiselle Labelle. Dziękuję za przybycie do tej wilgotnej, ciemnej jaskini.

- Proszę bardzo, profesorze Renaud - odrzekła Skye i rozejrzała się. - To otoczenie musi panu odpowiadać.

Renaud zignorował zawołaną sugestię, że wypełził spod kamienia, i zlustrował Skye obłęsnym spojrzeniem od stóp do głów, jakby widział przez grube ubranie jej zgrabne ciało. - Odpowiada mi każde miejsce, w którym jesteśmy razem.

Powstrzymała odruch wymiotny.

- Może mi pan wyjaśni, co jest aż takie ważne, że musiał pan mnie oderwać od mojej pracy.

- Z przyjemnością. - Chciał ją ująć za ramię, ale odsunęła się i wzięła pod rękę LeBlanca.
- Niech pan prowadzi - powiedziała.

Glacjolog przyglądał się z rozbawieniem tej wymianie zdań. Wyszczerył zęby w szerokim uśmiechu i ruszył wraz ze Skye ku stromym drewnianym schodom. Wspięli się do tunelu wysokości ponad trzech i pół metra i szerokości około trzech metrów.

Mniej więcej dwadzieścia kroków od prowizorycznych schodów korytarz się rozwidłał. LeBlanc poprowadził Skye wzdłuż prawej odnogi. Płytkim kanałem wyżłobionym w podłodze tunelu spływała woda. Wzdłuż jednej ze ścian biegł czarny gumowy wąż o średnicy około dziesięciu centymetrów.

- Natrysk wodny - wyjaśnił LeBlanc. - Gromadzimy wodę, podgrzewamy i polewamy nią lód, żeby stopniał. Na dole lodowca lód jest jak wosk. Stale go roztopiamy, bo inaczej formowałby się ponownie w tempie około pół do trzech czwartych metra na dobę.

- Bardzo szybko - zauważyła Skye.

- Właśnie. Czasami zapuszczamy się w głąb lodowca na odległość piętnastu metrów i musimy czuwać, żeby się za nami nie zamknął.

Tunel kończył się lodowym wzniesieniem wysokości około trzech metrów. Wdrapali się na górę po drabince przymocowanej do śliskiej powierzchni i weszli do lodowej groty, gdzie zmieściłoby się z powodzeniem kilkanaście osób. Ściany i sklepienie miały kolor niebieskawy, z wyjątkiem miejsc pokrytych brudem nagromadzonym podczas ruchu lodowca.

- Jesteśmy pod lodowcem - powiedział LeBlanc. - Nad nami znajduje się tylko warstwa lodu grubości dwustu czterdziestu metrów. To najbrudniejsza część tej wielkiej kry. Im głębiej, tym czystziej. Muszę już iść. Mam coś załatwić dla pana Renauda.

Skye podziękowała mu i w następnym momencie jej uwagę przyciągnął mężczyzna stojący w głębi groty. Miał na sobie pelerynę przeciwdeszczową i polewał lód gorącą wodą z węża. Wokół unosiły się kłęby pary, co sprawiało, że w otaczającym ich wilgotnym powietrzu było jeszcze trudniej oddychać. Na widok gości mężczyzna zamknął zawór i ruszył w ich stronę.

- Witam w naszym małym obserwatorium, mademoiselle Labelle. Mam nadzieję, że podróż ze świata zewnętrznego nie była zbyt uciążliwa. Nazywam się Hank Thurston. Jestem kolegą Berniego. A to Craig Rossi, nasz asystent z Uniwersytetu w Uppsali. - Wskazał mężczyznę po dwudziestce. - I Derek Rawlins, który pisze reportaż o naszej pracy dla magazynu „Outside”.

Kiedy Skye wymieniała uściski dłoni, Renaud precyzyjnie się obok grupki, podszedł do ściany i zaczął oglądać niewyraźną ludzką postać uwięzioną w lodzie.

- Jak widać, ten dżentelmen jest zamrożony od jakiegoś czasu - powiedział i zerknął na Skye. - Przypomina mi trochę niektóre moje znajome.

Nikt się nie roześmiał z tego dowcipu. Skye wyminęła Renauda i przesunęła palcami po zarysie ciemnego kształtu. Kończyny zamrożonego człowieka były groteskowo wygięte.

- Znaleźliśmy go, kiedy powiększaliśmy grootę - wyjaśnił Thurston.

- Bardziej przypomina owada rozgniecionego na przedniej szybie samochodu niż istotę ludzką - zauważyła Skye.

- Mamy szczęście, że nie została z niego tylko duża, tłusta plama - odrzekł Thurston. - Zachował się w dość dobrym stanie. Na dolną część lodowca i wszystko w jego wnętrzu działa nacisk setek ton.

Skye wpatrzyła się w niewyraźną postać.

- Przypuszczacie, że w pewnym momencie znajdował się na szczycie lodowca?

- Oczywiście - odparł Thurston. - Przez takie lodowce w dolinach, jak Le Dormeur czy niektóre inne spotykane w Alpach, dość szybko przemieszczają się spore ilości śniegu.

- Jak długo musiałby się zsuwać?

- Według mnie dotarcie na sam dół Le Dormeura trwałoby około stu lat. Ale ta ocena dotyczy tylko obiektu, który znalazł się blisko szczytu lodowca wysoko w górach, gdzie lód spływa zarówno pionowo, jak i poziomo.

- Więc możliwe jest, że ten człowiek był alpinistą i wpadł do szczeliny?

- Tak sądziliśmy, dopóki nie przyjrzelśmy mu się bliżej.

Skye przysunęła twarz do lodu. Zamrożony mężczyzna był ubrany w strój z ciemnej skóry, od butów z cholewami po obcisłą czapkę. Tu i tam wystawały skrawki futrzanego podbicia. Z pasa zwisała kabura z pistoletem.

Przyjrzała się twarzy. Jej rysy przesłonięte warstwą lodu nie były dobrze widoczne, ale dostrzegła ciemną opaleniznę, jakby mężczyzna zbyt długo leżał na słońcu. Jego oczy chroniły gogle.

- Nie do wiary - szepnęła, cofnęła się i odwróciła do Renauda. - Ale co to ma wspólnego ze mną?

Renaud uśmiechnął się, podszedł do plastikowego pojemnika, sięgnął do środka, odchrząknął i wyjął stalowy hełm. - To znaleziono blisko jego głowy.

Skye wzięła hełm, obejrzała skomplikowane wzory wryte w metalu i w zamyśleniu zacisnęła wargi. Zasłona miała kształty męskiej twarzy z długim nosem i dużymi wąsami. Wierzchołek hełmu zdobiły splątane kwiaty i mityczne stworzenia krążące niczym planety wokół stylizowanego trójgłowego orła. Dzioby drapieżnego ptaka były otwarte w wyzywającym krzyku, ostre szpony ścisnęły wiązki włóczni i strzał.

- Właściwie najpierw odkryliśmy hełm - powiedział Thurston. - Natychmiast wyłączyliśmy pompę i na szczęście nie uszkodziliśmy ciała.

- Mądra decyzja - pochwalił Renaud. - Na terenie, gdzie się prowadzi prace archeologiczne, należy bardzo uważać, żeby czegoś nie zniszczyć, podobnie jak na miejscu zbrodni.

Skye wetknęła palec do okrągłego otworu z boku hełmu.

- To wygląda jak dziura po pocisku - powiedziała. Renaud prychnął.

- Po pocisku? Chyba raczej po strzale z łuku albo po włóczni.

- Na zbrojach często widać ślady prób z bronią palną - odparła Skye. - Otwór jest niezwykle regularny. Ta stal ma wyjątkowo wysoką jakość. Niech pan spojrzy. Poza kilkoma rysami, nie jest wcale uszkodzona przez nacisk lodu. Wezwaliście kryminologa?

- Ma tu być jutro - odrzekł Renaud. - Nie potrzebujemy specjalisty, żeby stwierdzić, że ten gość nie żyje. Co pani może nam powiedzieć o tym hełmie?

- Nie potrafię go umiejscowić. - Pokręciła głową. - Kształtem przypomina inne, które widziałam, ale nie znam tych oznaczeń. Będę musiała poszukać znaku płatnerza i porównać z moją bazą danych. - Popatrzyła na ciało. - Tu jest mnóstwo sprzeczności. Ubranie i broń wyglądają na dwudziestowieczne. Strój i gogle wskazują, że to lotnik. Ale w takim razie, dlaczego nosił taki stary hełm?

Renaud westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Bardzo interesujące, mademoiselle Labelle, ale miałem nadzieję, że okaże się pani bardziej pomocna. - Wziął od niej hełm i włożył z powrotem do pojemnika, ale przedtem wyjął stamtąd nitowaną kasetkę pancerną. Trzymał poobijaną metalową skrzyneczkę ostrożnie jak niemowlę. - To zostało znalezione w pobliżu zwłok. Zawartość może nam wyjaśni, kim był ten człowiek i skąd się tu wziął. Ale na razie - zwrócił się do Thurstona - chciałbym, żeby pan nadal roztopiał lód wokół ciała, bo mogą tam tkwić inne obiekty umożliwiające jego identyfikację. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Thurston spojrział na niego sceptycznie i wzruszył ramionami.

- To pański kraj - powiedział i znów puścił z węża gorącą wodę. Roztopił kilka następnych centymetrów lodu po obu stronach zwłok, ale niczego nie znalazł. Po jakimś czasie wszyscy poszli do laboratorium, żeby się ogrzać i coś zjeść, potem zamierzali wrócić

do lodowej jaskini i kontynuować poszukiwania. Kiedy Renaud oznajmił, że zostanie w pracowni, nikt nie zaprotestował.

Thurston roztopiał lód już od kilku minut, gdy zjawił się Renaud i zaklaskał w dłonie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Musimy przerwać! Mamy gości! - oznajmił.

Z korytarza dobiegły podekscytowane głosy. Po chwili do groty wpadli trzej mężczyźni z kamerami wideo, aparatami fotograficznymi i notatnikami. Jeden z nich, wysoki facet, trzymał się dyskretnie z tyłu, dwaj pozostali przepychali się hałaśliwie, chcąc sfilmować zwłoki. Skye chwyciła Renauda za rękaw i odciągnęła go na bok.

- Co tu robisz ci reporterzy? - zapytała ostro. Spojrzał na nią, mrużąc małe oczy.

- Ja ich zaprosiłem. Należą do ekipy prasowej wybranej losowo do zrelacjonowania tego wielkiego odkrycia.

- Jeszcze nawet pan nie wie, co to za odkrycie - odparła z nieskrywaną pogardą w głosie.

- I to pan pouczał nas, że w takim miejscu trzeba uważać, żeby czegoś nie zniszczyć?

Renaud skwitował jej protest lekceważącym machnięciem ręki.

- Świat musi się dowiedzieć o tym wspaniałym znalezisku. - Podniósł głos, żeby zwrócić na siebie uwagę reporterów. - Odpowiem na pytania o mumię, gdy tylko wyjdziemy z grobowca - oznajmił i ruszył pierwszy do wyjścia z jaskini.

Skye była wściekła.

- Jezu! - powiedział Rawlins. - Mumia? Grobowiec? Zachowuje się tak, jakby właśnie znalazł sarkofag króla Tutenchamona.

Fotoreporterzy zrobili ostatnią serię zdjęć i opuścili grootę, pozostał tylko wysoki mężczyzna z aparatem fotograficznym na szyi i dużą brezentową torbą na ramieniu. Miał około dwóch metrów wzrostu, bladą twarz i muskularną sylwetkę. Przez chwilę spoglądał beznamiętnym wzrokiem na zamrożone zwłoki, potem ruszył za innymi.

- Podśledzałem, co pani powiedziała Renaudowi - zwrócił się Thurston do Skye. - To miejsce niedługo znów zacznie zamarzać i może to je uratuje.

- Całe szczęście. Na razie zobaczymy, co kombinuje ten kretyn.

Wyszli szybko z jaskini, opuścili się po drabince i zbiegli po drewnianych stopniach do głównego tunelu. Renaud stał przed laboratorium i trzymał kasetkę wysoko nad głową.

- Co jest w środku? - zawołał jeden z reporterów.

- Nie wiemy. Będziemy musieli otworzyć ją w odpowiednim miejscu, żeby nie uszkodzić zawartości.

Obrócił się dookoła, żeby wszyscy mogli zrobić zdjęcia. Ale wielki mężczyzna z aparatem na szyi nie skorzystał z okazji. Przepchnął się przez grupę, ignorując pomruki protestu swoich kolegów po fachu i stanął tuż przed Renaudem.

- Dawaj kasetkę - zażądał chłodnym tonem i wyciągnął wielką rękę. Renaud wyraźnie się przestraszył. Ale po chwili uznał to za żart i postanowił podjąć grę. Wyszczrzył zęby w uśmiechu i przycisnął kasetkę do piersi.

- Nigdy w życiu jej nie dostaniesz - powiedział.

- W twoim życiu - odparł, nie podnosząc głosu mężczyzna.

Sięgnął pod płaszcz, wyciągnął pistolet i walnął Renauda lufą w dłoń. Z oczu Renauda zniknęło rozbawienie. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i bólu. Osunął się na kolana, ściskając pogruchotane palce drugą rękę.

Mężczyzna porwał kasetkę, zanim wylądowała na ziemi. Odwrócił się i wycelował broń w reporterów. Cofnęli się, wpadając jeden na drugiego. Mężczyzna oddalił się szybko tunelem.

- Zatrzymać go! - krzyknął Renaud.

- Ten telefon działa? - zapytał jeden z reporterów.

Thurston chwycił słuchawkę aparatu wiszącego na ścianie, przyłożył do ucha i zmarszczył brwi.

- Nic nie słyhać. Przewód musi być przecięty. Ale w kwaterach mieszkalnych i tak nikogo nie ma. Pójdziemy do wyjścia i wezwiemy pomoc.

Thurston i LeBlanc pomogli Renaudowi wstać. Przynieśli z laboratorium apteczkę i opatrzyli mu rękę. Reporterzy zastanawiali się, kim mógł być wielki mężczyzna. Nie znali go. Po prostu pokazał odpowiednie papiery i otrzymał miejsce w hydroplanie, który dostarczył ich do brzegu jeziora, skąd zabrał ich LeBlanc.

Skye i LeBlanc powiedzieli, że pójda z Thurstonem. Reporterzy postanowili pozostać na miejscu, gdy Thurston ostrzegł ich, że napastnik może czekać w tunelu. Przez kilka minut cała trójka szła szybko, snopy światła z lamp na ich kaskach przebijały półmrok. Potem zwolnili i posuwali się ostrożniej, jakby spodziewali się, że lada moment z ciemności wyskoczy ów wysoki mężczyzna. Nasłuchiwali kroków, ale do ich uszu docierało tylko kapanie wody z sufitu i ścian.

Nagle w głębi ciemnego tunelu przed nimi rozległ się głośny huk eksplozji. Ziemia zadrżała i niemal natychmiast dotarł do nich podmuch gorącego powietrza. Padli na podłogę i przywarli twarzami do mokrej powierzchni. Fala ciśnieniowa przeszła nad nimi.

Kiedy uznali, że niebezpieczeństwo minęło, wstali i pościerali błoto z twarzy. Dzwoniło im w uszach, więc musieli krzyczeć, żeby się słyszeć.

- Co to było? - zawołał LeBlanc.

- Trzeba zobaczyć - odpowiedział Thurston i ruszył naprzód. Obawiał się najgorszego.

- Niech pan zaczeka! - zatrzymała go Skye.

- O co chodzi? - zapytał Thurston.

- Niech pan spojrzysz na swoje stopy.

Światło lamp na ich kaskach odbijało się w czymś lśniącym co przesuwano się po podłodze tunelu.

- Woda! - krzyknął Thurston.

W ich kierunku płynęła rwąca rzeka.

Odwrócili się i pobiegli z powrotem, ścigani przez fale.

4

Austin obserwował przez lornetkę, jak Skye wsiada do samochodu, a potem odprowadzał wzrokiem pojazd wspinający się na stok z boku lodowca, dopóki nie zniknął za drzewami. Wyglądało to niemal tak, jakby wchłonęła go ziemia. Austin oparł się o reling statku i popatrzył na La Langue du Dormeur. Niejednorodna powierzchnia lodowca z ciemnymi szczytami górskimi po obu stronach przypominała pejzaż na Plutonie. Słońce odbijało się w lodzie, ale słabo ogrzewało zimne powietrze napływające nad gładką jak lustro powierzchnię jeziora.

Austin przypomniał sobie teorię Skye, że karawany przemierzające bursztynowy szlak okrążyły jezioro. Spróbował postawić się na miejscu dawnych podróżników i zaczął się zastanawiać, co mogli sądzić o takim zjawisku naturalnym, jak wielki, nieustępliwy lodowiec. Prawdopodobnie uważali go za dzieło bogów, których należało ułagodzić. Być może podwodny grobowiec miał coś wspólnego z lodowcem. Austin, tak jak Skye, nie mógł się doczekać chwili, kiedy go zobaczy. Samotna wycieczka batyskafem nie byłaby żadnym wyczynem, ale Skye nigdy by mu czegoś takiego nie wybaczyła i nie mogłby mieć do niej o to najmniejszych pretensji.

Postanowił sprawdzić, czy SEAmobile będzie gotowy do zanurzenia, gdy powróci Skye. Kontrolując dokładnie pojazd, słyszał gdzieś wewnątrz głos ojca, który przypominał mu, żeby nie zapominał o żadnym szczególe. Ojciec Austina, bogaty właściciel firmy ratownictwa morskiego z siedzibą w Seattle, nauczył Kurta podstaw żeglarstwa i udzielił mu dwóch cennych fachowych rad. „Nigdy nie wiąż węzła, którego nie da się rozwiązać szarpnięciem liny, nawet kiedy jest mokra. I zawsze miej łądź wyklarowaną”.

Austin wziął sobie do serca te słowa. Stale ćwiczył i jego węzły nigdy się nie supły. Dbał o to, żeby liny na płaskodennej żaglówce, którą zbudował mu ojciec, były starannie zwinięte, farba lśniła, metal nie miał śladów korozji. Pamiętał rady ojca również w college'u. W czasie gdy studiował zarządzanie systemami na Uniwersytecie Waszyngtońskim, uczęszczał jednocześnie do wysoko cenionej szkoły nurków w Seattle, uzyskał kwalifikacje zawodowego nurka i wyspecjalizował się w kilku dziedzinach.

Po studiach przez dwa lata pracował na platformach wiertniczych na Morzu Pomocnym, później przez sześć lat w firmie ojca. Potem zwerbowała go CIA i trafił do mało znanej sekcji wywiadu podwodnego. Gdy nastał koniec zimnej wojny, CIA zlikwidowała sekcję podmorskiego szpiegostwa i Austin przeniósł się do NUMA.

Był miłośnikiem filozofii nauki, poszukującej prawdy i ukrytych znaczeń, i wiedział, że rady jego ojca dotyczyły nie tylko żeglowania łodzią. Ojciec mówił mu prostymi słowami o życiu i potrzebie przygotowania się na to co nieprzewidziane. Austin traktował poważnie te słowa i dbałość o szczegóły nieraz uratowała życie jemu i ludziom z jego otoczenia.

Wypróbował akumulatory, upewnił się, czy wymieniono zbiorniki powietrza, i obejrzał cały pojazd fachowym okiem. Zadowolony z inspekcji, postukał delikatnie kostkami palców w przezroczystą kopułę.

- Wyklarowany - powiedział z uśmiechem.

Zszedł z batyskafu na pokład „Mummichuga”. Dwudziestoczworometrowy katamaran był najmniejszym statkiem badawczym NUMA, na jakim Austin dotąd pracował. Podobnie jak maleńka ryba, od której wzięła się jego nazwa, „Mummichug” czuł się świetnie zarówno w słodkiej, jak i w słonej wodzie, stanowił zmodyfikowaną wersję statku zaprojektowanego do służby przybrzeżnej na kapryśnych wodach wzdłuż Nowej Anglii.

Potężne silniki Diesla zapewniały mu niemałą rejsową szybkość dwudziestu węzłów. Miał osiem koi i nadawał się idealnie do krótkich misji. Mimo małych rozmiarów katamarana jego wciągarki i dźwig w kształcie litery „A” mogły podnosić ciężkie ładunki. Zresztą większy statek nie dopłynąłby krętą rzeką do lodowca.

Pod nieobecność Skye, z którą mógłby rozmawiać, Austin nie bardzo wiedział, co ze sobą począć. Wziął z kuchni okrętowej kubek kawy i zszedł pod pokład do kabiny sensorowej. W małym pomieszczeniu stało na stołach kilka monitorów komputerowych. Jak wszystko na tym statku, pracownia była skromna, choć elektroniczny układ nerwowy łączył wyświetlacze z supernowoczesnym zestawem czujników.

Austin usadowił się w fotelu przed ekranem, wypił łyk kawy i otworzył plik sonaru burtowego. Urządzenie po raz pierwszy zastosował doktor Harold Edgerton, kiedy w roku 1963 zamontował przetwornik sonarowy na burcie, a nie pod kilem swojego statku badawczego. Wynalazek, który umożliwiał jednostkom nawodnym monitorowanie większych obszarów dna morskiego, zrewolucjonizował technikę poszukiwań podwodnych.

Gdy „Mummichug” przybył na miejsce, Skye poprosiła o zbadanie jeziora wzdłuż brzegu na wprost lodowca, który mógł stanowić potężną przeszkodę na trasie karawan. Uważała, że podróżni zatrzymywali się nad rzeką, a potem przeprawiali przez nią. Sądziła, iż być może w pobliżu powstała osada, a droga wodna prowadziła do bursztynowego szlaku.

Kiedy batyskaf wykonywał swoją podwodną misję, statek prowadził poszukiwania sonarowe wzdłuż brzegu jeziora. Austin chciał zobaczyć, co zostało znalezione. Włączył powolne przeglądanie i w dół ekranu zaczął spływać obraz sonarowy o wysokiej rozdzielczości. Widok przypominał dwa bursztynowe wodospady. Z prawej strony wyświetlały się długość i szerokość geograficzna oraz pozycja statku.

Interpretacja obrazów sonarowych wymaga praktyki, ale nie jest to najbardziej pasjonujące zajęcie. Płaskie, żwirowe dno Lac du Dormeur stanowiło przy tym szczególnie monotony widok. Austin przyłapał się na tym, że myślami jest gdzie indziej. Zaczęły mu opadać powieki, ale natychmiast otworzył oczy, bo dostrzegł nagle pewną anomalię. Cofnął obraz i pochylił się do przodu, żeby zbadać wzrokiem czarny krzyżyk na nużąco jednolitym do tej pory tle. Kliknął myszą, zrobił powiększenie i przyjrzał się szczegółom.

Miał przed sobą samolot, widział nawet kokpit. Kliknął na ikonie drukarki i po kilku sekundach wyjął z niej wydruk. Obejrzał go pod silną lampą. Brakowało części skrzydła. Wstał i poszedł w kierunku drzwi, żeby zawiadomić kapitana o swoim odkryciu, gdy do laboratorium wpadł Francois. Był wyraźnie poruszony. Francuskiemu obserwatorowi zazwyczaj nigdy nie zniknął z twarzy uśmiech, ale teraz wyglądał tak, jakby właśnie usłyszał, że runęła wieża Eiffla.

- Monsieur Austin, musi pan szybko przyjść na mostek.
- Co się stało? - zapytał Austin.
- Chodzi o mademoiselle Skye. Austin poczuł nagły skurcz w żołądku.
- To znaczy?

Francois wyrzucił z siebie potok słów w niezrozumiałej francusko-angielskiej mowie. Austin wyminął bełkoczącego Francuza i wbiegł na mostek, przesadzając po dwa stopnie naraz. Kapitan był w sterowni, rozmawiał przez radio.

- Attendez - powiedział na widok Kurta i odłożył mikrofon.

Kapitan Jack Fortier był drobnym francuskojęzycznym Kanadyjczykiem. Przyjął amerykańskie obywatelstwo, żeby móc pracować w NUMA. Jego znajomość francuskiego bardzo się przydawała podczas tej wyprawy, choć niektórzy tutejsi mieszkańcy drwili za plecami kapitana z jego silnego quebeckiego akcentu. Fortier powiedział Austinowi, że wcale się tym nie przejmuje, bo w przeciwieństwie do większości rodowitych Francuzów mówi najczystszy językiem, nieskażonym żadnymi regionalnymi naleciałościami. Rzadko tracił dobry humor, toteż Austin był zaskoczony jego zaniepokojoną miną.

- Co się stało Skye? - zapytał bez wstępów.
- Mam na linii kierownika hydroelektrowni - odrzekł Fortier. - Mówi, że był wypadek. Austinowi przeszły ciarki po plecach.
- Jaki wypadek?

- Skye wraz z paru innymi osobami była w tunelu pod lodowcem.
 - Co ona tam robiła?
 - Pod lodem jest obserwatorium, w którym naukowcy śledzą ruch lodowca. To część systemu tuneli doprowadzających wodę z lodowca do elektrowni. Najwyraźniej coś poszło nie tak i woda zalała tunel.

- Czy elektrowni udało się skontaktować z obserwatorium?

- Nie. Telefon nie działa.

- Więc nie wiadomo, czy ludzie w tunelu żyją?

- Nie - odpowiedział Fortier półszepem.

Wiadomość zaszokowała Austina. Wziął głęboki oddech i pomału wypuścił powietrze z płuc. Zbierał myśli. Po chwili otrząsnął się z wrażenia.

- Niech pan powie kierownikowi elektrowni, że chcę się z nim spotkać. Niech pan mu przekaże, żeby przygotował szczegółowe plany systemu tuneli. - Urwał, bo naraz zdał sobie sprawę, że wydaje kapitanowi rozkazy. - Przepraszam. Zachowuję się jak sierżant marines. To pański statek. To były tylko sugestie.

- Słuszne sugestie - odrzekł Fortier z uśmiechem. - Niech pan się nie przejmuje. Nie miałem pojęcia, co robić. Statek i załoga są na pańskie rozkazy.

Kapitan wziął mikrofon i zaczął rozmawiać po francusku.

Austin popatrzył przez szybę sterowni na lodowiec. Szef Zespołu Specjalnego NUMA przypominał teraz nieruchomy posąg z brązu, ale ten spokój był pozorny. Jego umysł analizował gorączkowo różne strategie. Austin wiedział jednak, że na razie są to tylko teoretyczne rozważania, bo nie będzie mógł ułożyć konkretnego planu, dopóki nie pozna dokładnie istotnych szczegółów sytuacji.

Pomyślał o uwodzicielskiej minie, z jaką Skye opuszczała statek. Wiedział, że są na to słabe szanse, ale poprzysiągł sobie, że jeszcze zobaczy ten czarujący uśmiech.

Na brzegu jeziora czekał na Austina samochód terenowy. Kierowca pędził pod górę do elektrowni z szaleńczą szybkością. Kiedy zbliżyli się do szarego betonowego budynku wzniesionego na podnóżu stromej skalnej ściany, Austin zobaczył, że przed wejściem ktoś spaceruje tam i z powrotem. Kierowca zahamował z poślizgiem i mężczyzna podbiegł do samochodu. Otworzył drzwi od strony pasażera i wyciągnął rękę na powitanie.

- Parlez-vous francais, monsieur Austin?

- Trochè parle - odrzekł Austin i wysiadł.

- D'accord. Okay - powiedział mężczyzna z pobłażliwym uśmiechem. - Mówię niezłe po angielsku. Nazywam się Guy Lessard. Jestem kierownikiem elektrowni. To straszna sprawa.

- Więc na pewno pan wie, że liczy się każda minuta - odparł Austin.

Lessard był niski i zyłasty. Miał pociągłą twarz ozdobioną starannie przyciętym wąsikiem. Tryskał nerwową energią, jakby pobierał prąd z linii wysokiego napięcia biegnących z elektrowni po stalowych słupach.

- Tak, rozumiem. Chodźmy. Wyjaśnię panu, jaka jest sytuacja. - Szybkim krokiem wszedł do budynku.

Austin rozejrzał się po małym skromnym holu.

- Spodziewałem się czegoś większego - powiedział.

- Niech to pana nie zmyli - odrzekł Lessard. - Jesteśmy w części biurowo-mieszkalnej. Sama elektrownia ciągnie się daleko w głąb góry.

Weszli drugimi drzwiami na końcu holu do wielkiej, jasno oświetlonej groty.

- Wykorzystaliśmy naturalne ukształtowanie skały, żeby rozpocząć tu drążenie - wyjaśnił Lessard. Jego głos odbijał się echem od ścian i sklepienia. - Tunele pod górą i lodowcem mają około pięćdziesięciu kilometrów.

Austin gwizdnął cicho.

- Więcej niż niektóre autostrady w Stanach.

- To niebywałe osiągnięcie. Użyto maszyny do drażenia tuneli z tarczą o średnicy prawie dziesięciu metrów. Wydrążenie korytarza badawczego było prostą sprawą.

Lessard poprowadził Austina przez grotę do otworu tunelu. Austin złowił uchem niskie buczenie, które przypominało odgłos dochodzący z ogromnego ula.

- Ten hałas to pewnie generator - powiedział.

- Tak. Na razie mamy tylko jeden, ale planujemy zainstalowanie drugiego. - Lessard zatrzymał się przy drzwiach w ścianie tunelu. - Jesteśmy w nastawni.

Centrum sterownicze elektrowni było sterylnym pomieszczeniem o powierzchni około czterdziestu pięciu metrów kwadratowych. Wzdłuż trzech ścian ciągnęły się zestawy pulsujących kontrolki, wyświetlaczy, wskaźników i włączników. Lessard podszedł do półkolistej konsoli na środku sali, usiadł przed monitorem komputera i wskazał Austinowi miejsce obok siebie.

- Czy orientuje się pan, jak działa ta elektrownia? - zapytał.

- Mniej więcej. Słyszałem, że do produkcji energii elektrycznej wykorzystujecie wodę z topniejącego lodowca.

Lessard skinął głową.

- Proces jest stosunkowo prosty. Z nieba pada śnieg i gromadzi się na lodowcu. Kiedy na dworze jest ciepło, lód topnieje. Tworzą się zbiorniki wodne i strumienie. Spływające potoki są kierowane tunelami do turbiny sprzężonej z generatorem. Voila! Ma pan elektryczność. Czyste, tanie i odnawialne źródło energii. - W głosie Lessarda dawało się wyczuć skrywaną dumę.

- W teorii to proste, ale w praktyce na pewno robi wrażenie - powiedział Austin. - Musicie mieć duży personel.

- Pracują tu tylko trzy osoby - odrzekł Lessard. - Po jednej na każdej zmianie. Elektrownia jest prawie całkowicie zautomatyzowana i pewnie mogłaby działać bez nas.

- Może mi pan pokazać diagram systemu?

Lessard przebiegł palcami po klawiaturze. Na ekranie wyświetlił się obraz podobny do schematu w miejskim centrum kontroli ruchu. Przecinające się kolorowe linie przypominały Austinowi plan londyńskiego metra.

- Linie pulsujące na niebiesko to tunele, którymi płynie woda. Kolor czerwony oznacza suche korytarze. Turbina jest tutaj.

Austin wpatrywał się w linie i próbował rozgryźć skomplikowany schemat.

- Który tunel został zalany?

- Ten. - Lessard postukał palcem w ekran. - Główna droga do obserwatorium. - Linia pulsowała na niebiesko.

- Można jakoś odciąć dopływ wody?

- Próbowaliśmy, kiedy wykryliśmy, że wpływa do korytarza badawczego. Najwyraźniej puściła betonowa przegroda między tym korytarzem i tunelami wodnymi. Odwróciliśmy kierunek przepływu w innych tunelach i udało się nam zatrzymać zalew. Ale korytarz badawczy jest pełen wody.

- Domyśla się pan, dlaczego ta przegroda puściła?

- Jest w niej przejście między tunelami. O tej porze roku jest zamknięte ze względów bezpieczeństwa, bo poziom wody jest wysoki. Te drzwi wytrzymują nacisk wielu ton. Nie wiem, co się mogło stać.

- Można jakoś osuszyć ten zalany tunel?

- Tak, moglibyśmy odgrodzić kilka innych i wypompować wodę, ale to zajęłoby parę dni - zabrzmiała przygnębiająca odpowiedź.

- Mimo tak rozległej sieci tuneli? - Austin wskazał ekran przed nimi.

- Pokażę panu, w czym problem.

Wyszli z nastawni i przez kilka minut maszerowali tunelem. Wszechobecne buczenie generatora zagłuszył inny dźwięk, przypominający szum silnego wiatru wśród drzew. Wspięli się po metalowych schodach do stalowych drzwi. Po drugiej stronie znajdowała się platforma obserwacyjna osłonięta wodoszczelną, plastikowo-metalową kopułą. Lessard wyjaśnił, że są w jednej z kilku kabin kontrolnych. Szum przeszedł w huk.

Lessard przesunął włącznik na ścianie i reflektor oświetlił część tunelu, którym płynął rwący strumień. Spieniona woda sięgała niemal do kopuły obserwacyjnej. Austin patrzył na biały żywioł i czuł jego potęgę.

- O tej porze roku rozmarzają wielkie naturalne zbiorniki wodne w lodowcu - krzyknął Lessard przez hałas. - Zasilają normalny przepływ. Poziom wody podnosi się jak w wezbranej górskiej rzece podczas gwałtownych wiosennych roztopów. - Pociągła twarz Lessarda przybrała zboląły wyraz. - Przykro mi, że nie możemy pomóc panu ani tym ludziom uwięzionym wewnątrz.

- Już mi pan bardzo pomógł, ale chciałbym zobaczyć szczegółowy schemat tunelu badawczego.

- Oczywiście.

W drodze powrotnej do nastawni Lessard naraz zdał sobie sprawę, że lubi tego Amerykanina. Austin był dokładny i metodyczny, te cechy Lessard cenił najbardziej.

W nastawni Austin zerknął na zegar ścienny. Czas uciekał. Lessard podszedł do metalowej szafki, wysunął szeroką, płytką szufladę i wyjął plik planów.

- Tu jest główne wejście do tunelu badawczego, niewiele większe od drenu odwadniającego. Te prostokąty to kwatery mieszkalne naukowców. Laboratorium znajduje się około półtora kilometra od głównego wejścia. Jak pan widzi na tym rzucie bocznym, są tam schody prowadzące przez sklepienie na wyższy poziom, gdzie biegnie korytarz do podlodowcowego obserwatorium.

- Czy wiadomo, ile osób może tam być uwięzionych?

- Zespół badawczy składał się ostatnio z trzech naukowców. Czasami, kiedy mieli dosyć siedzenia pod ziemią, spotykaliśmy się, żeby wypić razem kilka kieliszków wina. Do tego dochodzi ta kobieta z pańskiego statku. Przed wypadkiem hydroplan przywiózł kilka osób, ale nie wiem, ile ich było na pokładzie, kiedy niedawno wystartował z powrotem.

Austin pochylił się nad schematem, chłonąc wzrokiem każdy szczegół.

- Przypuśćmy, że ludziom pod lodowcem udało się dotrzeć do obserwatorium. Powietrze uwięzione w tym korytarzu powinno powstrzymać wodę i zapobiec zalaniu pracowni.

- To prawda - przyznał bez przekonania Lessard.

- Jeśli mają powietrze, to mogą jeszcze żyć.

- To też prawda, ale powietrza nie jest dużo. To może być jedna z tych sytuacji, kiedy żywi zazdroszczą martwym.

Austinowi nie trzeba było przypominać, jaki los czeka Skye i innych. Nawet jeśli nie utonęli, groziła im powolna, straszna śmierć na skutek braku tlenu. Skoncentrował się na schemacie i zauważył, że główny tunel mija obserwatorium i biegnie dalej.

- Dokąd prowadzi ten korytarz? - zapytał.

- Do drugiego wejścia, które znajduje się mniej więcej półtora kilometra za obserwatorium.

- Wejścia do następnego drenu odwadniającego?

- Nie, do otworu w zboczu góry, który przypomina wejście do kopalni.

- Chciałbym to zobaczyć - powiedział Austin. W jego głowie powstawał plan. Był oparty na domysłach i przypuszczeniach i potrzeba było dużo szczęścia, żeby się powiódł, ale nic lepszego nie miał.

- To z drugiej strony lodowca. Można się tam dostać tylko drogą powietrzną, ale pokażą panu stąd, gdzie to jest.

Kilka minut później stali na płaskim dachu elektrowni. Lessard wskazał wąwóz na odległym krańcu lodowca.

- To blisko tamtej małej doliny.

Austin popatrzył we wskazanym kierunku, potem zerknął na niebo. Do elektrowni zbliżał się duży helikopter.

- Dzięki Bogu! - zawołał Lessard. - Nareszcie ktoś zareagował na moje wezwanie o pomoc.

Zbiegli po schodach na dół i wyszli na zewnątrz. Helikopter zniżał się. Przed budynkiem czekał kierowca samochodu terenowego z jakimś mężczyzną, zapewne trzecim pracownikiem elektrowni. Patrzyli, jak śmigłowiec siada na lądowisku niedaleko frontowych drzwi budynku. Kiedy rotory przestały się obracać, z maszyny wysiedli trzej mężczyźni. Austin zmarszczył brwi. Nie wyglądali na ratowników. Wszyscy byli w ciemnych garniturach i sprawiali wrażenie menedżerów średniego szczebla.

- To mój szef, monsieur Drouet. Nigdy tu nie przyjeżdża - powiedział Lessard z wyraźnym niepokojem w głosie.

Drouet był tęgi i miał wąsy jak Hercule Poirot. Podszedł szybko do Austina i kierownika i zapytał oskarżycielskim tonem:

- Co tu się dzieje, Lessard?

Kiedy Lessard wyjaśniał, jaka jest sytuacja, Austin spojrzął na zegarek. Wskazówki zdawały się pędzić dookoła tarczy.

- Jaki wpływ na produkcję ma ten wypadek? - spytał Drouet. Austin nie wytrzymał.

- Może bardziej powinno pana interesować, jakie są jego skutki dla ludzi uwięzionych pod lodowcem.

Drouet uniósł podbródek i obrzucił go zdecydowanie nieprzychylnym spojrzeniem.

- A pan to kto? - zapytał Austina jak gąsienica Alicji w Krainie Czarów.

- To jest pan Austin z amerykańskiej agencji rządowej - wtrącił się Lessard.

- Amerykanin? - Kurt mógłby przysiąc, że usłyszał nutę pogardy w głosie Droueta. - Więc to nie pańska sprawa.

- Myli się pan. To jak najbardziej moja sprawa - odparł spokojnie Austin, tłumiąc gniew. - W tunelu jest moja przyjaciółka.

Drouet był niewzruszony.

- Muszę zdać relację mojemu przełożonemu i poczekać na jego decyzję. Nie jestem pozbawiony współczucia. Potem natychmiast wydam polecenie, żeby rozpocząć akcję ratunkową.

- To będzie za późno - odparł Austin. - Trzeba coś zrobić już.

- Nic na to nie poradzę. Przepraszam, ale muszę iść.

Drouet i pozostali mężczyźni w garniturach weszli do elektrowni. Lessard zerknął na Austina, pokręcił smutno głową i ruszył za nimi.

Austin walczył z odruchem, żeby złapać biurokrata za kołnierz i wywlec z powrotem, gdy usłyszał odgłos silnika i zobaczył na niebie punkt. Kropka rosła, aż stała się helikoptrem, mniejszym niż ten, który przyleciał pierwszy. Maszyna przeleciała nad jeziorem, zatoczyła krąg nad elektrownią i wylądowała w tumanie kurzu obok większego śmigłowca.

Zanim rotory przestały się obracać, mężczyzna o ciemnej cerze wyskoczył z helikoptera i pomachał do Austina, po czym ruszył w jego stronę. Joe Zavala szedł swobodnym krokiem, kołysząc lekko ramionami. Ten sposób chodzenia zachował z czasów, kiedy walczył jako zawodowy bokser wagi średniej, żeby móc opłacić swoje studia w college'u. Brak śladów kontuzji na przystojnej twarzy świadczył o jego sukcesach na ringu.

Wygadany, towarzyski Zavala został zwerbowany przez admirała Sandeckera, gdy tylko ukończył Wyższą Szkołę Morską w Nowym Jorku. Był nieocenionym członkiem Zespołu Specjalnego i współpracował z Austinem przy wielu zadaniach. Miał nieprzeciętny talent do

mechaniki i duże doświadczenie w pilotowaniu helikopterów, małych odrzutowców oraz samolotów turbośmigłowych. Spędził za ich sterami tysiące godzin.

Kilka dni wcześniej wylądowali razem we Francji. Austin poleciał w Alpy, żeby dołączyć do załogi „Mummichuga”, Joe zatrzymał się w Paryżu. Był ekspertem w dziedzinie projektowania i konstruowania batyskafów i zaproszono go do udziału w porównaniach załogowych i bezzałogowych pojazdów podwodnych. Program był sponsorowany przez IFREMER, Francuski Instytut Badań i Poszukiwań Morskich.

Kiedy Austin dowiedział się o wypadku w tunelu, zadzwonił do Zavali na jego komórkę.

- Przepraszam, że psuję ci pobyt w Paryżu - powiedział.

- Psujesz mi coś więcej - odrzekł Zavała. - Poznałem kogoś ze Zgromadzenia Narodowego i ten ktoś pokazał mi miasto.

- Jak on się nazywa?

- To ona. Ma na imię Denise. Gdy już skończyliśmy zwiedzanie Paryża, postanowiliśmy wyjechać do jej domku w górach. Jestem teraz w Chamonix.

Austin nie był tym zaskoczony. Joe miał uwodzicielskie spojrzenie, czarne, gęste włosy zaczesane gładko do tyłu i wyglądał jak młodsze wcielenie aktora filmowego i telewizyjnego, Ricarda Montalbana. Był przystojny, dowcipny, czarujący i inteligentny, co czyniło z niego obiekt pożądania wielu samotnych kobiet w Waszyngtonie. Miał powodzenie wszędzie, gdzie się pojawił. Czasami mogło to przeszkadzać, zwłaszcza podczas misji, ale teraz okazało się błogosławieństwem. Chamonix leżało niedaleko.

- To nawet lepiej. Potrzebuję twojej pomocy.

Napięcie, które Zavała wyczuł w głosie przyjaciela, świadczyło, że sytuacja była naprawdę poważna.

- Już wylatuję - powiedział.

Kiedy spotkali się na nagim wzgórzu z widokiem na jezioro i uścisnęli sobie dłonie, Austin raz jeszcze przeprosił przyjaciela za to, że przerwał mu przygodę miłosną. Zavała uśmiechnął się lekko.

- Nie ma sprawy, stary. Denise to koleżanka po fachu, też pracuje w służbie publicznej. Kiedy jej powiedziałem, że obowiązek wzywa, zrozumiała to doskonale. - Joe zerknął na helikopter. - Wykorzystała nawet swoje znajomości, żeby załatwić mi transport.

- Twojej pani należą się ode mnie kwiaty i butelka szampana.

- Zawsze wiedziałem, że w głębi duszy jesteś prawdziwym romantykiem. - Zavała rozejrzał się dookoła. - Piękna okolica, nawet jeśli trochę niegościnna. Co jest grane?

- Opowiem ci po drodze. - Austin ruszył w stronę helikoptera.

Po chwili byli już w powietrzu. Kiedy lecieli nad lodowcem, Austin przedstawił Zawali skondensowaną wersję wydarzeń w stylu „Reader's Digest”.

- Kiepska sprawa - stwierdził Zavała po wysłuchaniu relacji. - Przykro mi z powodu twojej znajomej. Chciałbym ją poznać.

- Mam nadzieję, że spotka cię ta przyjemność - odrzekł Austin, choć wiedział, że szansę są nikle i z każdą minutą maleją.

Skierował przyjaciela w dolinę, którą pokazał mu Lessard z dachu elektrowni. Zavała wylądował na mniej więcej poziomym kawałku ziemi między skałami. Wzięli latarkę z zestawu ratowniczego w śmigłowcu i wspięli się na zbocze. Wilgotne zimno z lodowca przenikało przez ich grube kurtki. Wejście do tunelu miało betonowe obramowanie. Podłoże przed otworem było wypłukane przez wodę i w dół stoku biegły dziesiątki miniaturowych kanionów. Weszli do tunelu o podobnych rozmiarach do tych, które Austin widział za elektrownią. Pochyła podłoga była mokra. Gdy przeszli kilka metrów, woda zaczęła im chlupać pod nogami.

- To nie tunel miłości, co? - zagadnął Zavała, wpatrując się w ciemność.

- Tak wyobrażam sobie rzekę Styks. - Austin przyglądał się przez chwilę czarnej wodzie, potem wstąpiła w niego nowa energia. - Wracamy do elektrowni.

Kiedy helikopter Zavali usiadł na lądowisku, z budynku wyszedł Drouet ze swoimi towarzyszami. Zbliżył się szybko do Austina.

- Przepraszam za moje wcześniejsze zachowanie - powiedział. - Nie znałem wszystkich faktów. Rozmawiałem z moimi przełożonymi i ambasadą amerykańską, skąd otrzymałem informacje o panu i NUMA, monsieur Austin. Nie wiedziałem, że pod lodowcem uwięzieni są obywatele amerykańscy.

- Czy ich narodowość ma jakieś znaczenie?

- Nie, oczywiście, że nie. To niewybaczalne. Na pewno ucieszy pana wiadomość, że wezwałem pomoc. Ratownicy są w drodze.

- To już jest coś. Kiedy tu będą?

Drouet zawahał się. Wiedział, że odpowiedź nie usatysfakcjonuje Austina.

- Za trzy do czterech godzin.

- Zdaje pan sobie dobrze sprawę, że to będzie za późno. Drouet załamał ręce. Był wyraźnie zrozpaczony.

- Przynajmniej wydobędziemy ciała. Nie mogę zrobić nic więcej.

- Ale ja mogę, monsieur Drouet. Spróbujemy wydostać ich żywych i będziemy potrzebowali pańskiej pomocy.

- Chyba nie mówi pan poważnie! Ci biedni ludzie są uwięzieni pod dwustuczterdziestometrową warstwą lodu. - Zauważył wyraz determinacji na twarzy Austina i uniósł brwi. - W porządku. Załatwię wszystko, co będzie panu potrzebne. Co mam robić?

Austin był mile zaskoczony odkryciem, że pod miękką powłoką zewnętrzną Droueta kryje się warstwa stali.

- Dziękuję za ofertę. Po pierwsze, chciałbym wypożyczyć pański helikopter z pilotem.

- Oczywiście, proszę bardzo, ale widzę, że pański przyjaciel ma helikopter.

- Jest mi potrzebny większy.

- Nie rozumiem. Ci nieszczęśni ludzie są uwięzieni w ziemi, nie w powietrzu.

- Nie szkodzi. - Austin posłał Drouetowi twarde spojrzenie, które mówiło, że tracą czas.

Drouet przytaknął energicznie.

- Dobrze, dobrze. Może pan liczyć na moją pełną współpracę.

Kiedy Drouet poszedł porozmawiać z pilotem, Austin połączył się przez radio z kapitanem statku NUMA i przez kilka minut przedstawiał mu swój plan. Fortier słuchał bardzo uważnie.

- Zaraz się tym zajmę - obiecał.

Austin podziękował mu i wpatrzył się w lodowiec, oceniał przeciwnika, z którym miał się zmierzyć. W jego schemacie myślowym nie było miejsca na zwątpienie. Wiedział, że zawsze coś może pójść źle, przypominały mu o tym blizny na całym ciele. Ale wiedział również, że każdy problem można rozwiązać. Był przekonany, że jeśli dopisze mu szczęście, jego plan się powiedzie. Nie miał tylko pewności, czy Skye jeszcze żyje.

5

Skye była wciąż pełna życia. Renaud, który odczuł na własnej skórze siłę jej gniewu, mógłby to potwierdzić. Kiedy wygłosił jeden ze swoich zbędnych komentarzy, Skye nie wytrzymała. Naskoczyła na nieszczęsnego Francuza ze łzami wściekłości w oczach i wygarnęła mu z furją, że zniweczył największe odkrycie w jej karierze. Renaud w końcu zdobył się na odwagę i zaprotestował chrypiącym głosem. Skye, która zdążyła już wyczerpać listę oskarżeń i zapas powietrza w płucach, przerwała mu miażdżącym spojrzeniem i cełnym epitetem:

- Idiota! - wyrzuciła z siebie.

Renaud próbował wzbudzić w niej współczucie.

- Nie widzi pani, że jestem ranny? - Uniósł okaleczoną rękę.

- Z własnej winy i głupoty - odparła lodowatym tonem. - Jak pan, na Boga, mógł wpuścić tu faceta z pistoletem?

- Myślałem, że to reporter.

- Ma pan mózg ameby. One nie myślą. Po prostu pełzają.

- Mademoiselle, bardzo proszę... - powiedział błagalnie Renaud. - Mamy mało powietrza. Ledwo wystarczy do oddychania. Niech pani oszczędza siły.

- Po co? - Wskazała sklepienie. - Może uszło to pańskiej uwagi, ale jesteśmy uziemieni pod całkiem ogromnym lodowcem.

LeBlanc położył palec na ustach.

Skye popatrzyła dookoła na zmarznięte, przerażone twarze i zdała sobie sprawę, że tylko pogarsza sytuację. Uświadomiła też sobie, że jej tyrada skierowana do Renauda była skutkiem strachu i frustracji. Przeprosiła LeBlanca i zacisnęła usta, ale przedtem mruknęła:

- On jest idiotą.

Podeszła do Rawlinsa i klapnęła obok niego. Dziennikarz siedział oparty plecami o ścianę i robił notatki. Podłożył sobie pod siedzenie plastikową folię, by nie dotykać mokrej podłogi. Skye przytuliła się do niego, żeby było jej cieplej.

- Przepraszam, że jestem taka nachalna, ale dosłownie zamrzam. Rawlins zamrugął zaskoczony, odłożył notatnik i otoczył ją ramieniem.

- Przed chwilą pani prawie kipiała.

- Przykro mi, że straciłam nad sobą panowanie w obecności wszystkich - mruknęła Skye.

- Nie winie pani za to, ale niech pani spróbuje dostrzec jasną stronę naszej sytuacji. Mamy przynajmniej światło.

Woda najwyraźniej nie sięgnęła przewodów, które biegły od elektrowni pod sufitem tunelu. Lamy mignęły kilka razy, ale nadal się paliły. Mokrzy i zmęczeni ludzie stłoczyli się w korytarzu między lodową jaskinią a schodami.

Rawlins zdobył się na optymistyczną uwagę, wiedział jednak, że zostało im niewiele czasu. Wszyscy oddychali z coraz większym trudem. Starał się o tym nie myśleć.

- O jakim odkryciu naukowym pani mówiła? - zagadnął Skye. Jej oczy przybrały rozmarzony wyraz.

- Znalazłam w jeziorze zatopiony starożytny grobowiec. Uważam, że mógł mieć coś wspólnego z bursztynowym szlakiem, co by oznaczało, że kontakty handlowe między Europą i krajami śródziemnomorskimi istniały dużo wcześniej, niż ktokolwiek sobie wyobraża. Może już w czasach kultury kreteńskiej i mykeńskiej.

Rawlins jęknął.

- Coś panu jest? - zapytała Skye.

- Nie, wszystko w porządku. Cholera, wcale nie! Jestem tutaj teraz tylko dlatego, że miałem napisać reportaż o podlodowcowym obserwatorium. Potem znaleziono zamrożone ciało i mógłbym mieć na to wyłączność. Później bandzior udający reportera załatwił kolbą

pistoletu pani kumpla Renarda i zatopił tunel. Jasny gwint! Mój artykuł drukowano by na całym świecie. Byłbym następnym Johnem Krakauerem. Wydawcy waliliby do moich drzwi z umowami na książkę. I jeszcze pani mi mówi o takim wspaniałym odkryciu.

- Nie wiem, czy naprawdę jest tak wspaniale - odrzekła Skye, pragnąc go pocieszyć. - Mogę się mylić.

Rawlins pokręcił smutno głową.

- Nie dziwię się, że jest pan zadowolony, ale co ja mam powiedzieć? - wtrącił się reporter telewizyjny, który słyszał ich rozmowę. - Sfilmowałem ciało i napad na tego Francuza...

- A ja nagrałem głosy. - Jego kolega poklepał magnetofon reporterski. Rawlins popatrzył na waż strażacki biegnący obok ich stóp.

- Ciekawe, czy udałoby się nam wydrążyć gorącą wodą tunel w lodowcu. Siedzący obok niego Thurston zachichotał.

- Zrobiłem już pewne obliczenia. Musielibyśmy pracować na okrągło przez około trzy miesiące.

- W niedzielę i święta też? - zapytał Rawlins.

Roześmieli się wszyscy oprócz Renauda.

Specyficzne poczucie humoru Rawlinsa przypomniało Skye o Austinie. Ile czasu minęło, odkąd opuściła statek? Zerknęła na zegarek i zdała sobie sprawę, że upłynęło zaledwie kilka godzin. Nie mogła się doczekać zapowiedzianej randki. Zauroczyły ją jego siwe, niemal białe włosy i ostry profil. Ale Austin pociągał ją nie tylko fizycznie. Był również interesującym, pełnym kontrastów człowiekiem. Miał poczucie humoru, potrafił być serdeczny i łagodny, wyczuwała jednak pod iskrami wesołości w tych niebieskich oczach twardość diamentu. I oczywiście wywarły na niej wrażenie jego potężne bary. Nie byłaby zaskoczona, gdyby potrafił chodzić po dnie morza.

Spojrzała na Renauda, zajmował miejsce na drugim krańcu skali atrakcyjności. Siedział po przeciwnej stronie korytarza, zakrywając ręką spuchniętą dłoń. Skye zmarszczyła brwi. Pomyślała, że najgorszą rzeczą w całej przygodzie jest towarzystwo tej gnidy. Wstała i podeszła do schodów prowadzących w dół do głównego tunelu. Czarne strugi przelewały się przez najwyższy stopień. Nie było szans na ucieczkę. Ogarnęło ją znów przygnębienie. Chcąc się oderwać od niewesołych myśli, przebrnęła przez kałuże i wspięła się po drabince do lodowej jaskini.

Lodowiec zaczynał już odzyskiwać utracone terytorium. Nowe sople tworzyły się tam, gdzie jeszcze niedawno ich nie było. Gruba warstwa lodu całkowicie przesłoniła zamrożone ciało. Hełm nadal leżał w swoim pojemniku. Skye wyjęła go i uniosła do światła, by móc obejrzeć wyryte na nim wzory. Były bardzo skomplikowane i starannie wykonane. Dzieło mistrza. Doznała wrażenia, że nie służyły tylko ku ozdobie, że opowiadają jakąś historię. Metal zdawał się pulsować własnym życiem. Muszę zapanować nad moimi myślami, postanowiła. Brak tlenu sprawiał, że wyobrażała sobie różne dziwne rzeczy. Gdyby miała więcej czasu, mogłaby rozwiązać zagadkę. Cholerny Renaud.

Zabrała hełm ze sobą. Spacer w rozrzedzonym powietrzu zmęczył ją. Znalazła miejsce pod ścianą, usiadła i położyła hełm obok. Inni przestali już rozmawiać. Zauważyła, że dyszeli ciężko, ich torsy unosiły się i opadały. Zdała sobie sprawę, że ona też łapie powietrze jak ryba wyciągnięta z wody, a mimo to do płuc dociera za mało tlenu. Głowa opadła jej na pierś i zasnęła.

Kiedy się obudziła, nie było już światła. Więc umrzemy w ciemności, pomyślała. Próbowała zawołać do towarzyszy niedoli i pożegnać się z nimi, ale nie miała siły. Znowu zasnęła.

6

Austin przypasał ostatni wodoszczelny worek do płaskiego pokładu rufowego za kulistym kokpitem SEAmobile'a, cofnął się i przyjrzał swemu dziełu. Pojazd przypominał bardziej mechanicznego objuczonego muła niż supernowoczesny batyskaf, ale nie było na to rady. Austin nie wiedział, ile osób jest uwięzionych pod lodowcem, więc zabrał cały sprzęt do nurkowania, jaki znalazł. Miał nadzieję, że ta ilość wystarczy.

Austin pokazał Francois znak okay. Francuski obserwator stał obok z krótkofalówką w ręku, pełniąc funkcję łącznika i tłumacza między statkiem i helikopterem. Odpowiedział takim samym gestem i zbliżył usta do mikrofonu. Pilot francuskiego śmigłowca czekał na sygnał.

W ciągu paru chwil helikopter uniósł się z brzegu jeziora. Nadleciał nad statek NUMA zawisł w powietrzu i zrzucił na pokład linę. Austin schylił głowę, kryjąc ją przed podmuchem z wirujących rotorów, chwycił hak na końcu liny i przyczepił do czteropunktowej uprząży. Wraz z załogą umocował wcześniej batyskaf na przyczepie, żeby ładunek można było przetransportować w całości.

Pokazał pilotowi uniesione kciuki. Lina się naprężyła i helikopter zwiększył trochę wysokość. Wisiał nad statkiem, rotory wściekle miały powietrze. Mimo ogłuszającego hałasu batyskaf i przyczepa zastygły zaledwie kilka centymetrów nad pokładem. Ciężar ładunku przekraczał udźwig śmigłowca. Austin dał sygnał pilotowi. Lina zrobiła się luźna i ładunek opadł na pokład.

Austin wskazał helikopter i krzyknął Francois do ucha:

- Niech pan im powie, żeby pozostali na swoim miejscu.

Kiedy Francois przetłumaczył polecenie, Austin połączył się przez swoją krótkofalówkę z Zavalą, który krążył mniejszym śmigłowcem wysoko nad statkiem.

- Mamy problem - powiedział.

- Właśnie widzę - odrzekł Zawała. - Przydałby się latający dźwig. - Miał na myśli wielkie helikoptery transportowe do przenoszenia ciężkich ładunków.

- Może nie będzie nam potrzebny - odparł Austin i wyjaśnił przyjacielowi swój plan.

Zawała się roześmiał.

- Moje życie musiało być strasznie nudne, zanim cię poznałem.

- No więc? - zapytał Austin.

- To ryzykowne. Cholernie niebezpieczne. Brawurowe. Ale wykonalne. Austin nigdy nie wątpił w szczególne umiejętności swojego partnera. Zawała spędził tysiące godzin za sterami helikopterów, małych odrzutowców i samolotów turbośmigłowych. Austina niepokoiło tylko to, czego nie można było przewidzieć. Podmuch wiatru, moment nieuwagi czy awaria sprzętu mogły zmienić ryzykowną, starannie przemyślaną akcję w katastrofę. W tym wypadku niebezpieczna mogła być bariera językowa. Austin musiał mieć pewność, że wszystko będzie jasne.

Odciągnął Francois na bok i wytłumaczył mu, co ma zrobić francuski pilot. Potem kazał obserwatorowi powtórzyć swoje instrukcje. Francois skinął głową na znak, że rozumie, i przekazał przez radio polecenie. Francuski helikopter przesunął się w bok i lina wciągarki znalazła się pod kątem w stosunku do batyskafu i przyczepy na dole.

Nadleciał Zawała i opuścił swoją linę. Austin przyczepił ją szybko do uprząży. Potem przyjrzał się obu śmigłowcom, żeby sprawdzić, czy znajdują się w bezpiecznej odległości od siebie. Skoro miały razem transportować ładunek, musiał się upewnić, czy nie zahaczą się rotorami.

Jeszcze raz dał sygnał do podniesienia batyskafu i przyczepy. Wirniki zwiększyły obroty z ogłuszającym hałasem i tym razem ładunek poderwał się z pokładu. Pół metra. Metr. Dwa

metry. Cztery. Piloci dobrze wiedzieli, że ich maszyny różnią się wielkością i mocą i niwelowali tę różnicę zadziwiająco sprawnie.

Wznosili się powoli ku niebu, dopóki nie osiągnęli wysokości kilkudziesięciu metrów, dziwny ładunek kołysał się między nimi nad jeziorem. Potem skierowali się w stronę lądu i w końcu zniknęli na ciemnym tle skalistych gór. Zawała na bieżąco relacjonował przez radio przebieg lotu. Przerwał kilka razy, żeby skorygować pozycję swojego śmigłowca.

Austin odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał jego lakoniczny komunikat:

- Orły wylądowały.

Austin wraz z kilku członkami załogi wsiedli do małej łodzi, popłynęli do brzegu i zaczęli tam na helikoptery, które wróciły po chwili, lecąc obok siebie, i wylądowały na plaży. Austin wspiął się do maszyny Zawali, a francuski helikopter zabrał załogę „Mummichuga”.

Kilka minut później zeszli do lądowania obok jaskrawożółtego SEAmobile'a. Stał na swojej przyczepie przed wejściem do tunelu. Załoga statku pod nadzorem Austina poprawiła ładunek na batyskafie. Potem przyczepę cofnięto do pochyłego tunelu na krawędź wody. Pod koła podłożono kliny i Austin poszedł porozmawiać z Lessardem. Kierownik elektrowni przyniósł na jego prośbę jeszcze jeden plan sieci tuneli. Rozpostarł go na płaskim gładzie.

- To są wewnętrzne podpory z aluminium, o których panu mówiłem. Pierwsze napotka pan kilkadziesiąt metrów od wejścia do tunelu. Jest dwanaście szeregów po trzy sztuki. Rzędy są oddalone od siebie o mniej więcej dziewięć metrów.

- Batyskaf ma szerokość niecałych dwóch i pół metra - powiedział Austin - więc będę musiał wyciąć tylko jedną kolumnę w każdym rzędzie, żeby się precyzyjnie.

- Proponuję, żeby zrobił pan „ślalom”. Innymi słowy, niech pan nie wycina w każdym szeregu tej samej podpory. Jak widać na planie, sklepienie tunelu jest najcieńsze właśnie na tym odcinku. Z góry naciskają setki ton lodu i skały.

- Wziąłem to pod uwagę.

Lessard spojrział Austinowi prosto w oczy.

- Kiedy przedstawił pan swój pomysł, zadzwoniłem do Paryża do przyjaciela z państwowej firmy energetycznej. Powiedział mi, że ten odcinek tunelu zbudowano po to, żeby przyczepy laboratoryjne mogły dojechać na miejsce. Nie używa się go jako głównego wejścia, bo istnieje niebezpieczeństwo zawalenia się stropu. Podpory wstawiono po to, żeby tunel pozostał drożny i pełnił funkcję szybu wentylacyjnego. Niepokoi mnie to... - Wskazał na planie miejsce nad tunelem. - Wielki, naturalny zbiornik wodny. O tej porze roku jest przepełniony. Jeśli w systemie podpór będzie słaby punkt, całe sklepienie może runąć.

- Warto zaryzykować - odrzekł Austin.

- Zdaje pan sobie sprawę, że może narażacie swoje życie na próżno, bo tamci mogą być już martwi.

Austin uśmiechnął się ponuro.

- Nie będziemy tego wiedzieli, dopóki sami nie sprawdzimy, prawda? Lessard popatrzył na niego z podziwem. Amerykanin o białych włosach i hipnotyzującym spojrzeniu niebieskich oczu był albo szalony, albo absolutnie pewien swoich nieprawdopodobnych umiejętności. - Musi panu bardzo zależeć na tej kobiecie.

- Znam ją dopiero kilka dni, ale jesteśmy umówieni na kolację w Paryżu i nie chcę jej zawieść.

Lessard wzruszył ramionami. Francuz potrafił docenić rycerskość.

- W pierwszych tygodniach znajomości obie strony są najbardziej zauroczone sobą nawzajem, zanim kobieta i mężczyzna dobrze się poznają. Bonne chance, mon ami. Widzę, że pański przyjaciel chce panu coś powiedzieć.

Austin podziękował Lessardowi za pomoc i poszedł do Zawali, który stał przed wejściem do tunelu.

- Zapoznałem się z systemem sterowniczym batyskafu - powiedział Joe. - Jest dość prosty.
- Wiedziałem, że nie będziesz miał z tym problemu. - Austin po raz ostatni rozejrzał się dokoła. - Czas ruszać. Vamos, amigo.
Zavala obrzucił go kwaśnym spojrzeniem.
- Widziałeś za dużo powtórek Cisco Kida.

7

Austin ubrał się w jednoczęściowy ocieplany skafander pletwonurka. Wszedł pierwszy do tunelu i włożył hełm z interkomem do łączności pod wodą. Zawała pomógł mu umocować na plecach butlę akwalungu, zapiąć pas balastowy i wdrapać się na tył batyskafu.

Austin usiadł za kopułą kokpitu na wodoszczelnych workach ze sprzętem i wciągnął pletwy. Jeden z członków załogi statku podał mu na górę lekki palnik do cięcia pod wodą i butlę z tlenem. Austin przymocował ekwipunek do pokładu gumowymi taśmami. Zawała wsiadł do kabiny i pokazał mu uniesiony kciuk.

- Gotowy do startu? - zapytał Austin przez hełmofon, żeby sprawdzić łączność.

- Jasne, ale czuję się tutaj jak w balonowej gumie do żucia.

- W każdej chwili możemy się zamienić miejscami. Zawała zachichotał.

- Dzięki, ale nie skorzystam z tej wielkodusznej propozycji. Ty wyglądasz naturalnie na siedzeniu pasażera, Tex.

Austin postukał w kopułę kokpitu. Był gotowy.

Załoga statku odblokowała koła przyczepy, która stoczyła się wolno do wody, hamowana przez mężczyzn dwiema linami asekuracyjnymi. Kiedy batyskaf zaczął się unosić na powierzchni, załoga szarpnęła liny do siebie i jednocześnie popchnęła pojazd. SEAmobile zsunął się z przyczepy i Zawała uruchomił silniki elektryczne.

Za pomocą bocznych wirników w części rufowej obrócił pojazd o sto osiemdziesiąt stopni i skierował go do tunelu. Płynął naprzód, dopóki woda nie stała się na tyle głęboka, że mógł się zanurzyć. Włączył wirnik pionowy i sprowadził batyskaf w dół. Kiedy kadłub znalazł się pod powierzchnią, znów uruchomił wirniki rufowe. Pojazd ruszył naprzód i schodził coraz niżej, aż w końcu woda zalała kopułę kokpitu.

Cztery reflektory halogenowe na dziobie batyskafu oświetlały pomarańczowe ściany i sklepienie. Odbite światło nadawało wodzie brązowawy odcień.

Austin usłyszał w hełmofonie metaliczny głos Zawali.

- To jest jak nurkowanie w wiadrze z sosem czekoladowym.

- Będę o tym pamiętał, kiedy następnym razem wybiorę się do meksykańskiej restauracji. Mnie się to kojarzy z czymś bardziej poetyckim i dantejskim, na przykład z wejściem do Hadesu.

- W Hadesie jest przynajmniej ciepło i sucho. Jak daleko są pierwsze podpory?

Austin wpatrzył się w mrok poza zasięgiem reflektorów i wydało mu się, że dostrzega matowy odbłask metalu. Wstał i oparł się o kopułę kokpitu, trzymając się kabłąków ochronnych w kształcie litery „D” po obu stronach kabiny.

- Chyba już tutaj - powiedział.

Zawała zwolnił i zatrzymał pojazd kilka metrów przed pierwszym szeregiem aluminiowych słupów o średnicy około piętnastu centymetrów, które zagraadzały im drogę. Austin wziął palnik i tlen i podpłynął do podstawy środkowej kolumny. Włączył palnik i ostry niebieski płomień szybko przeciął metal. Kurt zrobił drugie cięcie na górze.

- Leci drzewo! - Pchnął środkową część słupa i krzyknął jak drwał. Przywołał gestem Zawałę i przeprowadził go przez otwór, wskazując ruchami rąk właściwy kierunek niczym pracownik obsługi naziemnej lotniska, który daje znaki pilotowi samolotu. Potem ruszył ku następnemu rzędowi kolumn.

Kiedy płynął, w pewnym momencie zerknął z obawą w górę. Starał się nie myśleć o tysiącach litrów wody i tonach lodu naciskających na cienkie skalne sklepienie. Idąc za radą Lessarda, w drugim szeregu wyciął prawy słup. Zawała znów przeprowadził pojazd przez otwór. W następnym rzędzie Austin usunął środkową kolumnę, w kolejnym lewą. Potem zaczął cykl od początku.

Praca szła gładko. Wkrótce na podłodze tunelu leżało dwanaście słupów. Austin wdrapał się z powrotem na swoje siedzenie z tyłu batyskafu i powiedział Zavalii, żeby płynął z maksymalną szybkością dwóch i pół węzła. Choć poruszali się w tempie energicznego marszu, ciemność i bliskość ścian stwarzały wrażenie, że pędzą rydwanem Neptuna w Otchłań.

Austin trzymał się mocno i nie mając teraz nic do roboty, rozmyślał o czekającym ich trudnym zadaniu. W uszach dźwięczały mu jeszcze słowa Lessarda. Francuz miał rację, kiedy mówił o największym zauroczeniu. Może nie mylił się także, gdy się obawiał, że wszyscy uwięzieni w tunelu nie żyją.

Łatwiej było być optymistą, gdy otaczało go światło dnia. Ale teraz, kiedy pogrążali się coraz głębiej w ciemność, Austin wiedział, że próba uratowania uwięzionych pod lodowcem może się okazać daremna. Musiał przyznać, że jest mała szansa, by ktoś mógł dłużej pozostać żywy w tym przerażającym miejscu. Przygotował się, acz niechętnie, na najgorsze.

8

Skye śniło się, że są na kolacji z Austinem w paryskim bistro niedaleko wieży Eiffla i on powiedział naraz do niej, żeby się obudziła. Odparła poirytowana, że nie śpi. - Obudź się, Skye. Znów ten Austin. Irytujący facet.

Sięgnął przez stół nad pasztetem i winem i poklepał ją po policzku. Zirytowała się i otworzyła usta.

- Przestań!

- Teraz lepiej - odrzekł Austin.

Uniosła gwałtownie powieki i natychmiast odwróciła wzrok od oślepiającego blasku. Światło przesunęło się i zobaczyła twarz Austina. Miał zaniepokojoną minę. Ścisnął delikatnie jej policzki, dopóki nie otworzyła ust. Potem poczuła między zębami twarde plastikowy ustnik regulatora akwalungu.

Do jej płuc napłynęło powietrze i ocuciło ją. Austin klęczał obok niej. Był w pomarańczowym skafandrze płetwonurka i dziwnym hełmie. Wziął ją za rękę i delikatnie zacisnął jej palce wokół małej butli akwalungu połączonej z regulatorem.

Wyjął z ust swój regulator.

- Postaraj się nie zasnąć, dobrze? - powiedział. Skinęła głową.

- Nigdzie nie odchodź. Zaraz wrócę.

Wstał i ruszył w kierunku schodów. Zanim zszedł na dół, przez moment widziała w świetle jego latarki swoich towarzyszy niedoli. Wszyscy wyglądali jak włóczędzy śpiący po tanim winie w zaułku.

Chwilę później nad wodą w tunelu poniżej rozbłysła upiorna poświata i znów pojawił się Austin. Wbijał stopy w ziemię i ciągnął, jak nadwożański burłak, linę, którą miał na ramieniu. Podłoże było zdradliwe, poślizgnął się i opadł na jedno kolano, ale natychmiast się podniósł. Z wody wyłonił się plastikowy worek umocowany do liny. Sunął po ziemi niczym wielka ryba. Za nim pojawiły się następne.

Austin otworzył je szybko i rozdał butle tlenowe. Paroma mężczyznami musiał mocno potrząsnąć, żeby oprzytomnieli, ale po pierwszym oddechu szybko doszli do siebie. Wciągali łapczywie życiodajne powietrze, w ciasnym pomieszczeniu słychać było głośne, metaliczne dźwięki regulatorów.

Skye wypłuka ustnik.

- Co ty tu robisz? - zapytała takim tonem, jakby Austin był nieproszonym gościem, który wtargnął na jej przyjęcie.

Podniósł ją delikatnie do pozycji stojącej i pocałował w czoło.

- Nie mogłem pozwolić, żeby ktoś potem powiedział, że jakieś małe piekło czy wysoka woda przeszkodziły Kurtowi Austinowi w randce.

- W randce?! Ale... Wetknął jej regulator do ust.

- Nie ma czasu na rozmowy.

Otworzył następne worki i wyjął neoprenowe skafandry. Okazało się, że Rawlins i Thurston mają certyfikaty płetwonurków. Pomogli innym ubrać się i założyć akwalungi. Niezupełnie drużyna SEAL, pomyślał Austin, ale przy odpowiedniej dozie szczęścia może się nam udać.

- Gotowi do podróży do domu? - zapytał. Odpowiedział mu chór pełnych entuzjazmu głosów.

- Okay - powiedział Austin. - Chodźcie za mną.

Poprowadził żałośnie wyglądających „jaskiniowców” po schodach do zalanego tunelu. Kilku z nich uniosło brwi na widok Zawali, machającego ku nim z wnętrza oświetlonej kuli.

Austin przewidział, że jego pasażerowie będą musieli się czegoś trzymać podczas ewakuacji. Przed załadowaniem na batyskaf worków ze sprzętem do nurkowania on i załoga „Mummichuga” rozciągnęli na pokładzie pojazdu sieć rybacką. Sygnalizując energicznymi gestami, o co mu chodzi, poszturchując i popychając uratowanych, Austin ułożył ich na pokładzie twarzami w dół niczym sardynki w puszcze.

W pierwszym rzędzie, tuż za kokpitem, znalazł się ranny w rękę Renaud, który zajął miejsce między reporterami. Skye trafiła do drugiego rzędu, leżała pomiędzy Rawlinsem i Thurstonem, którzy najlepiej umieli sobie radzić z wodnym żywiołem. Austin miał się ulokować w trzecim rzędzie, między silnym jak byk LeBlankiem a młodym asystentem naukowym Rossim.

Dla bezpieczeństwa Austin przeciągnął liny w poprzek pleców pasażerów, jakby mocował nieporęczny ładunek. Batyskaf praktycznie przestał być widoczny pod ciasno upakowanymi ciałami. Ale przy ograniczonej przestrzeni Austin nie potrafił wymyślić nic lepszego. Podpłynął do rufy i usadowił się za Skye. Musiał mieć później swobodę ruchów, więc nie przywiązał się liną.

- Wszystkie miejsca zajęte - zawiadomił Zavalę przez interkom. - Ciasno tutaj, więc odradzam zabieranie autostopowiczów.

Zawarczały silniki elektryczne i SEAmobil ruszył. Najpierw płynął w tempie pełzania, potem przyspieszył do szybkości marszu. Austin wiedział, że uratowani są skrajnie wyczerpani. Choć uprzedził ich, że muszą być cierpliwi, sam był zirytowany powolnością batyskafu.

Pojazd posuwał się tunelem tak wolno, jakby ciągnął go zaprzęg zółwi. Chwilami wydawało się, że stoi w miejscu, a poruszają się ściany. Wokoło panowała martwa cisza. Prócz monotonnego buczenia silników elektrycznych i bulgotu uchodzących pęcherzy powietrza nie było słychać żadnych dźwięków. Austin omal nie krzyknął z radości, gdy Zavala oznajmił:

- Kurt, widzę przed nami podpory. Austin podniósł głowę.

- Zatrzymaj się przed nimi. Przeprowadzę cię trasą „ślalomu”. SEAmobile przystanął. Austin oderwał się od pokładu i uniósł nad kokpit.

Pierwszy szereg podpór połyskiwał w jaskrawym świetle reflektorów batyskafu w odległości około dziesięciu metrów przed nimi. Wykonując spokojne, rytmiczne ruchy płetwami, Austin popłynął w kierunku kolumn i przedostał się przez otwór, który wcześniej wyciął. Potem odwrócił się i przeprowadził Zavalę przez tę niby-bramę jak gliniarz z drogówki, kierując go gestami ręki to w lewo, to w prawo.

Gdy batyskaf przepłynął wolno przed lukę, Zavala zszedł z prostego kursu, żeby trafić w następny otwór. Wtedy zaczęły się kłopoty. Przeciężony pojazd reagował leniwie i sunął bokiem. Zavala miał pewną rękę. Przyhamował i ustawił batyskaf dziobem w kierunku luki. Ale kiedy pojazd przepływał na drugą stronę, Zavala próbował skorygować kierunek. Batyskaf zawadził o kolumnę i zaczął się obracać.

Austin umknął szybko w bok, przywarł do ściany tunelu i czekał, aż Zavala zatrzyma SEAmobile'a. Potem podpłynął do kabiny.

- Naprawdę musisz zmienić swój styl jazdy, stary.

- Przepraszam - odrzekł Zavala. - Z tym całym ciężarem z tyłu tę maszyną prowadzi się jak balie.

- Staraj się pamiętać, że nie siedzisz za kierownicą swojej corvetty. Zavala uśmiechnął się.

- Żałuję, że tak nie jest.

Austin popłynął parę metrów dalej, by sprawdzić, co się dzieje z pasażerami. Zobaczył, że nic się nie zmieniło, i ruszył naprzód ku następnemu rzędowi kolumn. Wstrzymał oddech, kiedy pojazd pokonywał otwór. Zavala nabrał wprawy w kierowaniu batyskafem i przedostał

się bez przygód przez kilka kolejnych luk w podporach. Austin liczył w pamięci. Zostały już tylko trzy rzędy filarów.

Gdy zbliżał się do następnego szeregu podpór, zauważył, że coś jest nie tak. Zmrużył oczy za szybą maski. To, co zobaczył, wzbudziło w nim niepokój. Wyciął środkową kolumnę, a teraz dwie boczne wyglądały jak krzywe nogi. Dostrzegł jakiś szybki ruch w górze i zerknął w tamtą stronę. Z wąskiej szczeliny w stropie wydostawały się pęcherze powietrza.

Nie trzeba mieć dyplomu inżyniera budowlanego, żeby się domyślić, co się dzieje. Dwie podpory nie wystarczały do utrzymania ciężaru sklepienia. Lada chwila mogły runąć. Pasażerowie batyskafu zostaliby pogrzebani w tunelu na zawsze.

- Joe, mamy problem - powiedział, starając się mówić całkiem spokojnie. Zawała pochylił się do przodu i popatrzył przez kopułę kokpitu.

- Widzę, o co ci chodzi. Te słupy wyglądają jak nogi kowboja. Masz pomysł, żeby się przedostać przez tę pułapkę na myszy?

- Zrobimy to tak, jak jeże uprawiają seks. Ostrożnie. Jedź moim śladem. Austin podpłynął do wygiętych kolumn i bez trudu przedostał się przez lukę. Odwrócił się i osłonił oczy przed blaskiem reflektorów halogenowych pojazdu. Potem przywołał gestem Zawałę. Joe przeprowadził batyskaf między podporami, nie dotknąwszy żadnej z nich. Ale naraz stało się coś niespodziewanego. Część sieci rybackiej ciągnąca się za rufą zahaczyła o kikut kolumny wyciętej przez Austina. Zawała poczuł szarpnięcie i niewiele myśląc, zwiększył moc silnika.

Nie mógł zrobić nic gorszego.

Mimo szybszych obrotów wirników pojazd zatrzymał się. Ale sieć pękła i SEAmobile wystrzelił do przodu. Wymknął się spod kontroli i uderzył w prawą kolumnę w następnym szeregu. Zawała gwałtownie skręcił w przeciwną stronę, ale było za późno. Uszkodzona podpora wygięła się złowieszczo.

Austin patrzył z napięciem na to, co się działo, katastrofa rozgrywała się jakby w zwolnionym tempie. Zerknął na sklepienie, które nagle przestroniła wielka chmura pęcherzy powietrza.

- Uciekaj! - krzyknął. - Strop się wali!

W hełmofonie usłyszał przekleństwa po hiszpańsku.

Zawała dał pełną moc i skierował pojazd do następnej luki. SEAmobile przepłynął tuż obok Austina, który w odpowiednim momencie chwycił się sieci rybackiej i zawisnął na batyskafie jak hollywoodzki kaskader na ścianie pędzącego dylizansu.

Zawali zależało teraz na szybkości, a nie na precyzji i nie troszczył się o dokładne sterowanie. Pojazd zawadził o kolumnę. Zrobił tylko małe wgniecenie, ale wygięła się i pękła. Austin zdążył wcześniej wdrapać się na pokład rufowy i trzymał się mocno, gdy batyskaf wykonywał pełny obrót. Potem znów popłynęli przed siebie.

Przed nimi pojawił się ostatni otwór.

Batyskaf zmieścił się swobodnie w luce i nawet nie musnął podpory. Ale to, co się już stało, pociągnęło za sobą przerażające skutki.

Sklepienie zawaliło się. Lawina wielkich głazów i kaskady wody uwolnionej z naturalnego zbiornika w lodowcu runęły w dół. Tysiące litrów zalały ciasny korytarz. Potężna fala ciśnieniowa dotarła do SEAmobile'a i popchnęła go przez tunel jak liść przez rynsztok.

Woda pędziła do wyjścia i niosła batyskaf na swej powierzchni.

Załoga statku, nieświadoma dramatu rozgrywającego się w ciemnych zakamarkach pod lodowcem, wróciła do helikopterów. Samotny członek ekipy pomocniczej, który wypatrywał pojazdu głębinowego, wyszedł z tunelu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy nagle usłyszał grzmot dobiegający z wnętrza ziemi. Jego nogi zareagowały szybciej niż mózg i rzucił się do ucieczki. Zaledwie zdążył się ukryć za głazem, obok wejścia do tunelu, z otworu wystrzelił batyskaf.

Fala rozeszła się przed grotą i straciła energię. Pojazd pozostał na suchym lądzie. Oszołomieni i poobijani pasażerowie odwiązali przytrzymujące ich liny i zsunęli się z pokładu. Wypluli regulatory i łapczywie wdychali świeże powietrze.

Zawala wyskoczył z kokpitu i pobiegł z powrotem w stronę tunelu. Usunął się na bok, gdy z otworu wypłynęła druga, słabsza fala, omyła batyskaf i wyrzuciła człowieka w pomarańczowym skafandrze. Austin miał pękniętą i przekrzywioną maskę. Woda zerwała mu z głowy hełm i toczyła go jak fala przyboju turla piłką rzuconą do morza.

Zawala schylił się, złapał go i pomógł mu wstać.

Austin zatoczył się jak pijany. Miał szkliste oczy. Wypluł wodę i warknął niczym mokry pies.

- Jak powiedziałem, Joe, musisz zmienić swój styl jazdy.

9

Francuscy ratownicy przylecieli godzinę później. Helikopter opadł na lądowisko przed elektrownią jak rybołów na rybę. Zanim jego płozy dotknęły ziemi, z drzwi wysypało się sześciu alpinistów o wyglądzie twardzieli, taszcząc zwoje lin z karabinkami. Szef grupy wyjaśnił, że wzięli sprzęt do wspinaczki, bo zrozumieli, że ludzie są uwięzieni na lodowcu, nie pod nim.

Gdy się dowiedział, że pomoc jego grupy nie będzie potrzebna, wzruszył ramionami i przyznał filozoficznie, że nawet dobrze wyszkoleni ratownicy górscy nie przydaliby się do niczego w wodzie. Potem otworzył kilka butelek szampana, które przyniósł ze sobą. Uniósł wysoko kieliszek, wznosząc toast, i powiedział, że będą jeszcze inne okazje, bo w górach ludzie zawsze miewają kłopoty.

Po zaimprovizowanej uroczystości przewieziono batyskaf z powrotem na pokład „Mummichuga” Austin osobiście nadzorował jego transport, potem wrócił z Zawalą do elektrowni. Uratowanych ułokowano w głównym budynku; wzięli prysznic i zjedli gorący posiłek. Włożyli pożyczone ubrania i zebrali się w pokoju rekreacyjnym, żeby opowiedzieć o swojej przygodzie.

Reporterzy zaprezentowali kasety wideo z napadem na Renauda, ale nagrania miały kiepską jakość i tylko przez moment widać było niewyraźny obraz twarzy napastnika. Magnetofon zarejestrował jedynie krótką wymianę zdań między nim i Renaudem.

Austin leczył sińce i skaleczenia butelką belgijskiego piwa ze spiżarni elektrowni. Siedział z brodą opartą na dłoni i czuł wzbierający gniew, kiedy Skye i inni uwięzieni w tunelu opisywali szczegółowo, jak zbrodniczy czyn popełniony z zimną krwią omal nie doprowadził do straszliwej śmierci pod lodem kilku niewinnych osób.

- Tą sprawą powinna się zająć policja - oświadczył Drouet, zarządca elektrowni, po wysłuchaniu historii. - Trzeba natychmiast zawiadomić władze.

Austin ugryzł się w język, bo miał chęć powiedzieć, że zanim przyjadą żandarmi, nie będzie już żadnego tropu.

10

Renaud pragnął odjechać stąd niezwłocznie, już natychmiast. Wymachiwał zabandażowaną ręką, jakby był śmiertelnie ranny, utorował sobie drogę do helikoptera elektrowni i wpełznął się do środka. Rawlins i reporterzy chcieli jak najszybciej opracować materiał do historii, którą zamierzali przedstawić, a w której odkrycie zamrożonego ciała miało być tylko jednym z elementów. Wezwali swój wyczarterowany hydroplan.

Pilot samolotu wyjaśnił jedną tajemnicę. Powiedział, że kiedy czekał na jeziorze na powrót reporterów z lodowca, wielki mężczyzna, który przyleciał wcześniej razem z innymi, pojawił się na brzegu w citroenie LeBlanca. Oświadczył, że jego koledzy z mediów zostają na noc, a on musi natychmiast wyjechać.

Skye przyglądała się, jak startujący hydroplan sunął po jeziorze, i nagle wybuchnęła śmiechem.

- Widziałeś Renauda? Wykorzystał swoją ranną rękę, żeby odepchnąć innych, i odleciał pierwszy.

- Twój drwiący ton wskazywałby, że nie jest ci zbyt przykro z powodu jego wyjazdu - odrzekł Austin.

Udała, że myje ręce.

- Dobrze jest pozbyć się śmieci, jak mawiał mój ojciec.

Lessard stał obok niej. Patrzył ze smutkiem w oczach, jak hydroplan unosi się w powietrze i kieruje w stronę doliny między dwoma szczytami górskimi.

- No cóż, monsieur Austin, muszę wracać do pracy - powiedział ponurym głosem. - Dziękuję za emocje, które dzięki panu i pańskim przyjaciołom mogłem przeżyć na tym odludziu.

Austin mocno uściśnął mu dłoń.

- Bez pańskiej pomocy akcja ratownicza byłaby niemożliwa. Nie sądzę, żeby długo pozostał pan samotny. Kiedy ta historia się rozejdzie, reporterzy nie dadzą panu spokoju. Policja też tu będzie węszyła.

Wyglądało na to, że Lessard bardziej się ucieszył, niż zmartwił.

- Tak pan myśli? W takim razie, proszę mi wybaczyć, ale lepiej wrócę do mojego biura, żeby przygotować się do wizyty gości. Nasz samochód może pana podwieźć z powrotem do jeziora, jeśli pan chce.

- Pójdę z panem - powiedziała Skye. - Zostawiłam coś w elektrowni. Zawała wskazał głową odchodzącego Lessarda.

- Temu dżentelmenowi najwyraźniej nie wystarczyło piętnaście minut sławy. Jeśli nie jestem ci już potrzebny...

Austin położył mu rękę na ramieniu.

- Tylko mi nie mów, że chcesz opuścić to urocze miejsce, żeby wrócić do Chamonix i francuskiego ciasta.

Zawała powiódł wzrokiem za Skye.

- Okazuje się, że nie tylko ja raczę się miejscowymi przysmakami.

- Jesteś daleko przede mną, Joe. Ta młoda dama i ja nie mieliśmy jeszcze nawet pierwszej randki.

- Nigdy w życiu nie stanąłbym na przeszkodzie prawdziwej miłości.

- Ani ja - odrzekł Austin i odprowadził Zawałę do helikoptera. - Do zobaczenia w Paryżu.

11

Ten korek uliczny był straszny, nawet gdy się przyjęło waszyngtońskie standardy. Paul Trout siedział za kierownicą swojego humve'a i patrzył szklistym wzrokiem na rzędy samochodów blokujących całą Pennsylvania Avenue. Nagle odwrócił się do Gamay i powiedział:

- Zaczynają mi się zamykać skrzela.

Gamay przewróciła oczami, jak to czynią żony, które od dawna przywykły do dziwactw swych małżonków. Wiedziała już, co teraz nastąpi. W rodzinie Paula mawiano pół żartem, pół serio, że kiedy ktoś z Troutów przebywa zbyt długo z dala od rodzinnych stron, zaczyna łapać powietrze, jak ryba wyciągnięta z wody. Toteż nie była zaskoczona, gdy wykonał nieprzepisowy nawrót, wykazując całkowitą pogardę wobec kodeksu drogowego, jest to, jak się wydaje, wrodzona cecha kierowców z Massachusetts.

Kiedy Paul prowadził samochód jak na manewrach przed operacją „Pustynna Burza”, zadzwoniła z komórki do linii lotniczych i zarezerwowała dwa bilety na samolot, a potem zawiadomiła NUMA, że nie będzie ich kilka dni. Wpadli do swojego domu w Georgetown jak dwa tornada, spakowali torby podróżne i popędzili na lotnisko.

Niecałe dwie godziny po wylądowaniu w Bostonie byli już na półwyspie Cape Cod i szli ulicą Water w miasteczku Woods Hole, gdzie Paul urodził się i wychował. Główna arteria Woods Hole ma około czterystu metrów długości i jest wciśnięta między port a słone jezioro. Po obu stronach ulicy stoją budynki, które są siedzibami organizacji naukowych zajmujących się morzem i środowiskiem naturalnym.

Najbardziej rzuca się w oczy światowej sławy Instytut Oceanograficzny Woods Hole. W pobliskiej budowli z cegły i granitu mieści się MBL - Instytut Biologii Morskiej. Jego programy badawcze i biblioteka z dwustoma tysiącami fachowych książek przyciągają naukowców z całego świata. Niedaleko MBL znajduje się akwarium Narodowego Zarządu Rybołówstwa Morskiego. Na obrzeżach miasteczka ulokował się Instytut Badań Geologicznych, są tam również dziesiątki instytucji edukacyjnych oraz prywatnych firm produkujących nowoczesne gadzety podwodne używane przez oceanologów z całego świata.

Od portu wiała bryza z kierunku Wysp Królowej Elżbiety. Trout przystanął na małym moście zwodzonym między jeziorem Eel Pond a portem Great Harbor. Wciągnął do płuc słone powietrze i pomyślał, że historia o zamykaniu się skrzeli musi być prawdziwa. Znów mógł swobodnie oddychać.

Był synem miejscowych rybaków. Niski dom, w którym dorastał, stanowił nadal własność jego rodziny. W dzieciństwie spędzał dużo czasu w Instytucie Oceanograficznym Woods Hole. Załatwiał różne sprawy naukowcom i za ich namową został geologiem morskim. Dzięki temu trafił w końcu do NUMA i Zespołu Specjalnego tej agencji.

W ciągu kilku godzin po przyjeździe Paul odwiedził dom rodzinny, spotkał się z kilkoma krewnymi i wstąpił z Gamay na lunch do miejscowej knajpy, znał wszystkie osoby, które siedziały przy barze. Potem ruszył na obchód. Odwiedził między innymi Pracownię Głębokich Zanurzeń. Dawny kolega zapoznawał go z najnowszymi pojazdami podwodnymi, gdy zadzwonił telefon.

- Do ciebie - powiedział kolega i oddał mu słuchawkę.

- Cześć, Trout - zadudnił znajomy głos. - Tu Sam Osborne. Usłyszałem na pocztce, że wróciłeś. Co słychać u ciebie i twojej pięknej żony?

Doktor Osborne był jednym z czołowych światowych ekspertów w dziedzinie algologii, działu botaniki zajmującego się glonami. Przez wiele lat prowadził działalność dydaktyczną i wciąż jeszcze mówił dwa lub trzy decybele głośniejsze od przeciętnego człowieka.

Trout nawet nie pytał, jakim sposobem Osborne go wytropił. W miasteczku wielkości Woods Hole niczego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Dziękuję, wszystko dobrze. Miło z twojej strony, że do mnie zadzwoniłeś.

Osborne odchrząknął.

- Właściwie... no cóż, właściwie... to nie do ciebie. Chciałem porozmawiać z twoją żoną.

Trout uśmiechnął się.

- Wcale ci się nie dziwię. Gamay jest dużo ładniejsza ode mnie.

Oddał słuchawkę żonie. Gamay Morgan-Trout była atrakcyjną kobietą. Nie wyróżniała się olśniewającą urodą czy nadmiarem seksu, ale podobała się większości mężczyzn. Kiedy się uśmiechała, odsłaniała mały odstęp między górnymi zębami jak aktorka i modelka Lauren Hutton. Miała metr siedemdziesiąt osiem wzrostu i była szczupła - ważyła tylko sześćdziesiąt jeden kilogramów. Ciemnorudy kolor jej długich, kręconych włosów sprawił, że ojciec, koneser win, dał jej imię pochodzące od nazwy gatunku winogron z okręgu Beaujolais.

Gamay była bardziej otwarta i energiczna niż jej mąż i potrafiła doskonale współpracować z mężczyznami. Wychowywała się w Wisconsin wśród chłopców. Jej ojciec, przedsiębiorca budowlany, zachęcał ją do rywalizacji z rówieśnikami. Nauczył ją żeglarstwa i strzelania do rzutków. Gamay była doskonałym nurkiem i snajperem.

Słuchała przez chwilę, potem powiedziała:

- Dobrze, zaraz będziemy. - Wyłączyła się i oznajmiła mężowi: - Osborne prosi, żebyśmy przyszli do MBL. Mówi, że to pilne.

- Dla Sama wszystko jest pilne - odparł Paul.

- Daj spokój. Nie musisz być uszczypliwy tylko dlatego, że chciał rozmawiać ze mną.

- Nie mam w sobie nawet odrobiny uszczypliwości - odrzekł Paul i wziął żonę pod rękę.

Pożegnał się z kolegą z Pracowni Głębokich Zanurzeń i ruszył wraz z Gamay wzdłuż ulicy Water. Kilka minut później wspięli się po szerokich kamiennych schodach do budynku Lillie Research Building i weszli hakowym wejściem do cichego holu.

Doktor Osborne czekał na nich tuż za progiem. Potrząsnął dłonią Paula i uściskał Gamay. Znał ją z czasów, gdy będąc studentką biologii morskiej w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa w Kalifornii, uczęszczała na jego wykłady. Osborne dawno przekroczył pięćdziesiątkę. Jego przerzedzone, siwe, kręcone włosy sprawiały takie wrażenie, jakby się zsuwały z tylnej części czaszki. Był dobrze zbudowany i miał wielkie ręce robotnika; patrząc na nie, myślało się mimowoli, że pasują bardziej do kilofa niż do delikatnych włókien roślin morskich.

- Dzięki, że przyszliście - powiedział. - Mam nadzieję, że w niczym wam nie przeszkodziłem.

- Ależ skąd - Gamay odrzekła słodkim tonem. - Zawsze miło cię widzieć. Osborne uśmiechnął się zagadkowo.

- Może zmienisz zdanie, kiedy usłyszysz to, co mam wam do powiedzenia.

Bez dalszych wyjaśnień poprowadził ich do swojego biura. Choć pracownie badawcze i biblioteki MBL znane były na całym świecie, Lillie Research Building nie wyglądał imponująco. Pod sufitami biegły nagie rury, ciemne drewniane drzwi z matowymi szybami ciągnęły się wzdłuż korytarzy. Był to po prostu stary budynek laboratoryjny.

Osborne wprowadził Troutów do swojego gabinetu. Gamay, która pamiętała, że zawsze dbał o porządek i działał w sposób dobrze zorganizowany, zauważyła, że nic się nie zmieniło. W gabinetach wielu naukowców podobnej rangi piętrzyły się stosy różnych papierów, u niego natomiast oprócz stołu z komputerem i krzesła stało tylko parę składanych krzesełek dla gości. Jedynym luksusem był dzbanek do parzenia herbaty, który przywiózł z Japonii.

Osborne nalał trzy filiżanki zielonej herbaty i po krótkiej wymianie uprzejmości powiedział:

- Wybaczcie, że jestem taki obcesowy, ale czas ucieka, więc od razu przejdą do rzeczy. - Odchylił się na krześle do tyłu, złączył końce palców i zapytał Gamay: - Jako biolog morski, wiesz, co to jest *Caulerpa tucifolia*?

Gamay ukończyła wydział archeologii morskiej na Uniwersytecie Stanu Karolina Północna. Potem zmieniła zainteresowania i zaczęła studiować w Instytucie Oceanograficznym Scrippsa, gdzie zrobiła doktorat z biologii morskiej. Uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie wykładów Osborne'a. Zawsze zadawał pytania w formie stwierdzenia.

- *Caulerpa* to alga tropikalna, choć często można ją spotkać w domowych akwariach.

- Zgadza się. I wiesz, że ta odmiana akwaryjna, która tak dobrze się rozwija w zimnej wodzie, staje się poważnym problemem w pewnych rejonach przybrzeżnych?

Gamay skinęła głową.

- Wodorost zabójca. Niszczy duże obszary dna Morza Śródziemnego i rozprzestrzenia się w innych miejscach. To jeden z glonów tropikalnych, które normalnie nie żyją w zimnej wodzie, ale ta odmiana się przystosowała. Może się pojawić wszędzie.

Osborne przeniósł spojrzenie na Paula.

- Wodorost, o którym rozmawiamy wypuszczono przez nieuwagę do wody pod Muzeum Oceanograficznym w Monako w roku 1984. Od tamtej pory rozprzestrzenił się na obszarze trzydziestu tysięcy hektarów u wybrzeży sześciu krajów śródziemnomorskich. Stanowi problem w Australii i San Diego. Szerzy się jak pożar lasu. Nie chodzi tylko o szybkość. Kolonie *caulerpy* są bardzo zaborcze. Glon rozrasta się w formie rozłogów i tworzy gęsty zielony dywan. Wypiera florę i faunę, gdyż pozbawia rośliny i stworzenia słońca i tlenu. Niszczy inne gatunki i źródła pożywienia, co pociąga za sobą katastrofalne skutki dla ekosystemów.

- Nie ma żadnego sposobu walki z tym wodorostem?

- W San Diego mają pewne sukcesy. Ogradzają kolonie alg brezentem, wpuszczają do wody chlor i wpompowują muł, który unieruchamia rośliny. Ale ta technika byłaby bezużyteczna na większą skalę. Prowadzi się też akcję informacyjną w sklepach akwarystycznych sprzedających *caulerpę* lub skałki, które mogą być skażone mikroorganizmami.

- Czy ten wodorost nie ma żadnych naturalnych wrogów? - spytał Trout.

- Ma zdumiewająco rozwinięte mechanizmy obronne. Zawiera toksyny, które odstraszaają stworzenia roślinożerne. I nie obumiera w zimie.

- Prawdziwy potwór - uznał Trout.

- O, tak. Małeńki skrawek może dać początek nowej kolonii. Jego jedyną słabością jest to, że nie może się rozmnażać płciowo jak jego kuzyni. Łatwo sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby złożył jajeczka na dużym obszarze.

- Byłby nie do powstrzymania - powiedziała Gamay. - Niezbyt przyjemna perspektywa.

Osborne spojrzał znowu na Paula.

- Jako geolog morski, wiesz, co to jest rejon Zaginionego Miasta? Trout był zadowolony, że rozmowa o biologii zesłała na temat związany z jego dziedziną.

- To rejon wzdłuż Masywu Atlantyckiego, w którym zachodzą procesy hydrotermalne. Materiał wyrzucany przez otwory w dnie oceanu tworzy wysokie skupiska minerałów przypominające wieżowce, stąd ta nazwa. Czytałem raporty naukowe na ten temat. Fascynująca sprawa. Chciałbym to kiedyś zobaczyć.

- Może niedługo będziesz miał okazję - odrzekł Osborne.

Paul i Gamay wymienili zdumione spojrzenia. Na widok ich zaskoczonych min Osborne zachichotał.

- Może lepiej chodźcie ze mną.

Wyszli z biura, skręcili kilka razy i znaleźli się w małej pracowni naukowej. Osborne podszedł do metalowej szafki zamkniętej na kłódkę. Otworzył ją kluczem, który nosił przy

pasku od spodni, i wyjął szklany szczelnie zamknięty cylinder wysokości około trzydziestu i średnicy piętnastu centymetrów. Osborne postawił go na stole pod lampą laboratoryjną. Cylinder wypełniała gęsta, szarawozielona substancja.

Gamay pochyliła się do przodu i przyjrzała jego zawartości.

- Co to za świństwo?

- Zanim ci odpowiem, krótkie wprowadzenie. Kilka miesięcy temu MBL i Instytut Oceanograficzny Woods Hole zorganizowały wspólną ekspedycję do Zaginionego Miasta. W tamtym rejonie roi się od niezwykłych mikroorganizmów i substancji, które produkują.

- Połączenie ciepła i chemikaliów porównuje się do warunków, jakie panowały na Ziemi w chwili, gdy powstało życie - powiedziała Gamay.

Osborne skinął głową.

- W czasie tej wyprawy batyskaf „Alvin” pobrał próbki wodorostu. Ta w pojemniku jest martwa.

- Łodyga i liście przypominają trochę caulerpę, ale czymś się różnią - zauważyła Gamay.

- Bardzo dobrze. Jest ponad siedemdziesiąt gatunków caulerpy, łącznie z tymi w sklepach akwarystycznych. U pięciu stwierdzono zachowania inwazyjne, choć niewiele gatunków zbadano dokładnie. Ten jest zupełnie nieznany. Nazwałem go *Caulerpa gorgonosa*.

- *Gorgona*. Podoba mi się.

- Przestanie ci się podobać, kiedy poznasz tego piekielnego dziwolęga tak dobrze jak ja. Mówiąc językiem naukowym, mamy przed sobą zmutowaną odmianę caulerpy. W przeciwieństwie to swoich kuzynów ten gatunek może się rozmnażać płciowo.

- Jeśli to prawda, nasza *Gorgona* może złożyć jajeczka na dużym obszarze. To byłaby poważna sprawa.

- Już jest. *Gorgona* miesza się z *taxifolią* i wypiera ten wodorost. Pojawiła się na Azorach, znajdujemy jej kolonie już wzdłuż wybrzeża Hiszpanii. Rozrasta się w nieprawdopodobnym tempie. To niespotykane zjawisko. Wielkie skupiska unoszą się w Atlantyku. Wkrótce połączą się w jedną masę.

Paul gwizdnął cicho.

- To może się rozprzestrzenić na cały ocean.

- Ale nie to jest najgorsze. *Taxifolia* powoduje tworzenie się gęstego dywanu alg. Jak pod działaniem spojrzenia *Meduzy*, które mogło zamieniać ludzi w kamień, *Gorgona* staje się zbitą, twardą biomasą. Tam, gdzie występuje, nic nie może egzystować.

Gamay popatrzyła ze zgrozą na pojemnik. Wiedza o morzach świata podsuwała jej przerażający obraz.

- Mówisz właściwie o zestaleniu się oceanów.

- Wolę sobie nie wyobrażać najczarniejszego scenariusza, ale wiem jedno. *Gorgona* może się wkrótce rozprzestrzenić wzdłuż wybrzeży o umiarkowanym klimacie i spowodować nieodwracalne szkody ekologiczne - powiedział Osborne niezwykłym dla niego szeptem. - Zmieniłby się klimat, co mogłoby doprowadzić do klęski głodu. Zamarłaby gospodarka morska. W krajach uzależnionych od dostaw białka pochodzenia morskiego nie byłoby co jeść. Na całym świecie powstałyby konflikty polityczne pomiędzy tymi, którzy mieliby żywność, a tymi, którzy zostaliby jej pozbawieni.

- Kto jeszcze wie o całej sprawie? - zapytał Paul.

- Załogi statków meldują o pladze wodorostów, ale poza naszą trójką tylko niewielu zaufanych kolegów w kraju i zagranicą zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji.

- Czy ludzie nie powinni wiedzieć o zagrożeniu, żeby mogli z nim wspólnie walczyć? - spytała Gamay.

- Oczywiście. Ale nie chciałem siać paniki, dopóki nie zakończę badań. Przygotowuję już raport, który wyślę w przyszłym tygodniu do odpowiednich organizacji, takich jak NUMA i ONZ.

- Jest jakaś szansa, że będziesz mógł to zrobić wcześniej? - spytała Gamay.

- Tak, ale jest pewien problem. Przy zagrożeniu biologicznym często dochodzi do „przeciągania liny” między zwolennikami radykalnych rozwiązań i naukowcami. Ci pierwsi, co zrozumiałe, chcą szybko załatwić sprawę, używając wszelkich dostępnych im środków. Jeśli ta wiadomość się rozejdzie, badania zostaną wstrzymane, bo decydenci będą się bali, że spowodują one, iż alga rozprzestrzeni się jeszcze szerzej. - Osborne zerknął na pojemnik. - Ta roślina to nie trawa rosnąca w oceanie. Jestem przekonany, że uda nam się zlikwidować zagrożenie, kiedy będziemy mieli do dyspozycji więcej środków. Dopóki dokładnie nie ustalimy, z czym mamy do czynienia, dopóty żadna metoda walki z tym glonem nie będzie skuteczna.

- Czy NUMA może jakoś pomóc? - zapytała Gamay.

- Wysłano następną ekspedycję do Zaginionego Miasta. Instytut Oceanograficzny skierował tam statek badawczy „Atlantis” z batyskafem „Alvin” na pokładzie. Dotrą na miejsce w tym tygodniu. Spróbują zbadać rejon morza, gdzie powstaje mutacja wodorostu. Jeśli ustalą, w jakich okolicznościach do tego dochodzi, będziemy mogli opracować przeciwśrodk. Zastanawiałem się, jak to zrobić, żeby zakończyć badania tutaj i wziąć udział w ekspedycji. Kiedy dowiedziałem się o waszym przyjeździe, uznałem to za znak od bogów. Jesteście doskonałym zespołem ekspertów. Przyłączylibyście się do ekspedycji zamiast mnie? To tylko kilka dni.

- Oczywiście. Musimy tylko uzyskać zgodę naszych szefów w NUMA, ale nie będzie z tym problemu.

- Wierzę, że będziecie dyskretni. Gdy tylko zdobędziemy próbki, ja i moi koledzy z całego świata wyślemy, wszyscy jednocześnie, ów raport.

- Gdzie jest teraz „Atlantis”? - zapytał Paul.

- Wraca z innej misji. Jutro zatrzyma się na Azorach, żeby wziąć paliwo. Właśnie tam możecie wejść na pokład.

- To się da zrobić - powiedział Paul. - Dziś wieczorem możemy być z powrotem w Waszyngtonie, a jutro rano wyruszymy w drogę. - Zerknął na pojemnik. - Jeśli ten dzinn wydostanie się z butelki, będziemy mieli duży problem.

Gamay wpatrywała się w zielonkawą masę.

- Obawiam się, że już się wydostał. Musimy pomyśleć, jak go tam wsadzić z powrotem.

12

Wodorost Gorgona? - zapytał Austin. - To coś nowego. Rzeczywiście jest taki groźny, jak mówi wasz przyjaciel?

- Może i jest - odparła Gamay. - Doktor Osborne poważnie się niepokoi. Polegam na jego opinii.

- A co ty o tym myślisz?

- Są powody do obaw, ale nie mogę powiedzieć nic konkretnego, dopóki nie mamy dowodów z Zaginionego Miasta.

Gamay zadzwoniła do Austina na pokład „Mummichuga”. Przeprosiła, że wyciągnęła go z łóżka, ale wyjaśniła, że ona i Paul są w drodze do Zaginionego Miasta i chcieli, by wiedział, dokąd się wybierają.

- Dzięki za telefon. Trzeba zawiadomić Dirka i Rudiego - odrzekł Austin, mając na myśli Dirka Pitta, który zastąpił admirała Sandeckera na stanowisku szefa NUMA, i Rudiego Gunna, który odpowiadał za bieżące funkcjonowanie agencji.

- Paul rozmawiał z nimi. Biolodzy NUMA już pracują nad problemem caulerpy.

Austin uśmiechnął się.

- Dlaczego mnie nie zaskakuje, że Dirk wyprzedza nas o krok?

- Tylko o pół kroku. Nie wiedział o tropie do Zaginionego Miasta. Będzie czekał na nasz raport z nurkowania.

- Ja też będę czekał. Powodzenia. Utrzymujcie kontakt ze mną. Austin wyłączył się i przypomniał sobie słowa T.S. Eliota: „Tak skończy się świat. Nie z hukiem, lecz ze skowytem”.

Paul i Gamay zajęli się sprawą i na razie nie miał tu nic do roboty. Zabrał się do oględzin SEAmobile'a. Uznał, że poza kilkoma wgnieceniami i zadrapaniami pojazd był w lepszym stanie niż on sam. Usiadł w kokpicie i sprawdził wszystkie systemy. Zadowolony, że działają, wziął z kuchni okrętowej dwa kubki kawy, zszedł pod pokład i zapukał cicho do drzwi kajuty Skye.

Ze względu na stosunkowo małe wymiary statku konstruktorzy zaprojektowali niewielkie pojedyncze kabiny mieszkalne zapewniające członkom załogi prywatność. Skye już wstała i była ubrana. Natychmiast otworzyła drzwi i uśmiechnęła się na widok Austina.

- Dzień dobry - powiedział. Wręczył jej parujący kubek i zauważył, że Skye ma podkrążone oczy. - Źle spałaś?

- Tak. Ciągle mi się śniło, że przygniatają mnie tony lodu.

- Mam sprawdzony sposób na koszmarne sny. Co byś powiedziała na wycieczkę do podwodnego grobowca?

- Czy jakakolwiek kobieta przy zdrowych zmysłach mogłaby odrzucić taką kuszącą propozycję? - Rozpromieniła się.

- Więc chodź. Nasz rydwan czeka na zewnątrz.

Kiedy oboje usadowili się w kokpicie, batyskaf opuszczono do wody między dwoma kadłubami katamarana. Po odłączeniu się od statku SEAmobile dopłynął na powierzchni do punktu, którego współrzędne zostały już wprowadzone do systemu nawigacyjnego. Austin zanurzył pojazd.

Batyskaf zszedł pod powierzchnię jeziora i kulisty kokpit otoczyła przezroczysta woda. Po kilku minutach płynęli wzdłuż szeregu megalitów w stronę grobowca. Austin zatrzymał pojazd przed wejściem i upewnił się, czy kamery pokładowe działają. Potem znów uruchomił wirniki poziome. SEAmobile wśliznął się przez otwór do antycznej budowli.

Światło mocnych reflektorów nie docierało do przeciwległej ściany, co świadczyło o wielkości wnętrza. Sklepienia nie było widać. Pojazd posuwał się wolno naprzód. Austin włączył szperacz, skierował go na prawą ścianę i zobaczył, że jest ozdobiona płaskorzeźbami.

Kompozycje wykonane starannie z dbałością o szczegóły rękami biegłych w swej sztuce artystów przedstawiały żaglowce, domy, sielankowe sceny z palmami i kwiatami, tancerzy i muzykantów, latające ryby i figlujące delfiny. Statki wyglądały na starożytnie. Dobrze ubrani ludzie sprawiali wrażenie zadowolonych z życia.

Skye pochyliła się do przodu na siedzeniu i przywarła twarzą do plastikowej kopuły jak dziecko w dzień Bożego Narodzenia.

- Widzę cudowne rzeczy - zacytowała pierwsze słowa, jakie wypowiedział Howard Carter po odkryciu grobowca Tutenchamona.

Sceny na ścianie wydały się Austinowi dziwnie znajome.

- Już to widziałem - powiedział.

- Tu, w tym grobowcu?

- Nie. Ale podobne rysunki znalazłem w grocie na Wyspach Owczych na północnym Atlantyku. Styl i tematyka były prawie takie same. Co o tym myślisz?

- Może powiem coś głupiego, ale te płaskorzeźby wyglądają na minojskie. Przypominają malowidła ściennie odkopane w Akrotiri na wyspie Thira i na Krecie. Cywilizacja minojska kwitła około tysiąca pięciuset lat przed naszą erą. - Skye nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia swoich słów. - Czy wiesz, jak wielką wagę ma to odkrycie? - zapytała podekscytowana. - Te kompozycje i tamte rysunki, które widziałeś, mogą wskazywać, że Kreteńczycy docierali dużo dalej, niż podejrzewa większość ludzi.

- I są brakującym ogniwiem w twojej teorii o międzynarodowym handlu?

- Zgadza się - przytaknęła Skye. - Potwierdzają, że wymiana towarów między wschodem i zachodem odbywała się dużo wcześniej i miała znacznie szerszy zakres niż ktokolwiek przypuszcza. - Klasnęła w ręce. - Nie mogę się doczekać chwili, kiedy pokażę to nagranie wideo moim przemądrzałym kolegom w Paryżu.

Batyskaf dotarł do końca ściany, skręcił za róg i wpłynął do następnej czworokątnej sali. Zdobiły ją widoki Lac du Dormeur i lodowca. Ale brzeg jeziora nie był wcale pusty, nad wodą stały budynki i nawet coś, co wyglądało na grobowiec z bramami z monolitów.

- Wygląda na to, że miałaś rację co do osad wokół jeziora i ujścia rzeki.

- To jest wspaniałe! Możemy wykorzystać te płaskorzeźby do sporządzenia mapy lokalizacji ruin.

Lodowiec wyryty na ścianie wieki temu przez nieznanego artystę zajmował większą część doliny niż w czasach obecnych. Rzeźbiarz potrafił pokazać majestat i potęgę przyrody. Okrążyli kilkakrotnie pomieszczenie, ale nie znaleźli sarkofagu.

- Myliłam się co do tej budowli - powiedziała Skye. - To nie grobowiec, tylko świątynia.

- Słuszne przypuszczenie, zważywszy na brak ciał. Jeśli już tu skończyliśmy, chciałbym wyjaśnić inną tajemnicę Lac du Dormeur. - Austin rozłożył wydruk obrazu sonarowego i wskazał kształt na dnie jeziora.

- Wygląda jak samolot - zauważyła Skye. - Co on tutaj robi? Zaczekaj, niech zgadnę. Człowiek w łodzi?

Austin odpowiedział zagadkowym uśmiechem. Zawarczały wirniki poziome pojazdu i wypłynęły z wnętrza świątyni z powrotem na otwarte wody jeziora. Austin zwolnił, kiedy zbliżyli się do punktu zaznaczonego na wydruku, i wycężył wzrok. Wkrótce w polu widzenia ukazał się obiekt w kształcie cygara.

Podpłynęli do samolotu. Drewniany szkielet cylindrycznego kadłuba był częściowo pokryty podartą i spłowiałą czerwoną tkaniną. Zerwana stożkowa osłona silnika leżała na dnie jeziora, silnik lśnił w blasku reflektorów batyskafu. Niska temperatura wody sprawiała, że na kadłubie nie było morskiej roślinności, która pokryłaby samolot w cieplejszej strefie

klimatycznej. Brakowało śmigła; zapewne pękło przy upadku maszyny. Austin okrążył kadłub i dostrzegł w pobliżu szczątki oderwanego skrzydła. Zawrócił do miejsca, w którym spoczywał samolot.

Skye wskazała emblemat na ogonie.

- Takiego samego trójgłowego orła widziałam na hełmie znalezionym pod lodowcem.

- Szkoda, że nie mamy tego hełmu.

- Ależ mamy. Zabrałam go ze sobą. Jest na statku.

Austin przypomniał sobie, że Skye, wchodząc na pokład batyskafu, trzymała w ręku jakiś pakunek. Uczył się szybko, że tej atrakcyjnej kobiety o promiennym uśmiechu nie można nie doceniać. Popatrzył na orła, potem przeniósł wzrok na pusty kokpit.

- Teraz wiemy, skąd się wziął Lodowy Człowiek. Musiał wyskoczyć ze spadochronem, a jego samolot runął do jeziora.

Skye zaśmiała się szatańskim śmiechem.

- Pomyślałam o Renaudzie. Powiedział, że Lodowy Człowiek nie spadł po prostu z nieba. Mylił się. Z tego, co odkryłeś, wynika, że właśnie tak było.

Batyskaf zatoczył krąg wokół wraku. Austin sfilmował skrzydła i dno jeziora kamerą video, zrobił też zdjęcia aparatem cyfrowym, a następnie skierował pojazd ku powierzchni. Niedługo potem wyszli z kokpitu batyskafu na pokład statku. Skye paplała z podnieceniem o ich odkryciu, ale w pewnym momencie rzuciła okiem na lodowiec, po czym nagle zamilkła. Podeszła do relingu i wpatrzyła się w pole lodowe.

Austin wyczuł zmianę jej nastroju i otoczył ją ramieniem.

- Wszystko w porządku?

- Pod wodą było tak spokojnie. Potem się wynurzyliśmy i zobaczyłam lodowiec. - Wzdrygnęła się. - Przypomniało mi się, że omal pod nim nie zginęłam.

Austin przyjrzał się jej pięknym oczom. Patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń jak ranny żołnierz w szoku.

- Nie jestem psychiatrą, ale zawsze mi pomaga konfrontacja z moimi demonami. Chodź, przepłyniemy się łodzią.

Nieoczekiwana propozycja wyrwała ją z odrętwienia.

- Mówisz poważnie?

- Weź z mesy parę bajgli i termos kawy. Spotkamy się przy skifie. A przy okazji, lubię bajgle z rodzynkami.

Skye dość sceptycznie przyjęła tę propozycję, ale nabrała już wręcz bezgranicznego zaufania do Austina i prawdopodobnie poleciałaby z nim na miotle na Księżyc, gdyby o to poprosił. Kiedy wróciła z prowiantem, skif z silnikiem był gotów do drogi. Skierowali się w stronę brzegu, omijając po drodze krą. Wyciągnęli łódź na ciemny żwir kilkaset metrów od miejsca, gdzie lodowiec się zwał i rozpadał na kawałki na krawędzi wody.

Po krótkim spacerze wzdłuż brzegu doszli do bocznej ściany lodowca. Która miała wysokość kilku pięter. Na skutek topnienia, zamarzania i ogromnego ciśnienia na jej powierzchni utworzyły się jaskinie, kratery i poskręcane abstrakcyjne rzeźby. Lód był brudny, z załamania i grot emanowało przedziwne niebieskie światło.

- Oto twój demon - powiedział Austin. - Podejź i dotknij go. Śmiało.

Skye uśmiechnęła się słabo, zbliżyła do lodowca jak do żywej istoty, wyciągnęła rękę i dotknęła go palcem. Potem położyła na nim obie dłonie, zamknęła oczy i napała nań całym ciężarem ciała, jakby miała nadzieję, że go przesunie.

- Jest zimny - powiedziała z uśmiechem.

- Bo twój demon to tylko wielka kostka lodu. W ten sam sposób myślę o morzu. Nic ci nie zrobi. Nawet nie wie, że istniejesz. Dotknęłaś go i nadal żyjesz. - Austin uniósł pakunek z prowiantem. - Konsultacja skończona. Czas na przekąskę.

Znaleźli dwa płaskie głazy blisko brzegu jeziora i usiedli na nich twarzami ku wodzie. Skye podzieliła bajgle.

- Dzięki za egzorcyzm. Miałeś rację, że trzeba się zmierzyć ze swoimi lękami.
- Mam dobre doświadczenia na tym polu. Uniosła brwi.
- Trudno mi wyobrazić sobie, że możesz się czegoś bać.
- A jednak to prawda. Bardzo się bałem, że znajdę cię martwą.
- Doceniam to, zawdzięczam ci życie. Ale nie o to mi chodziło. Sprawiasz wrażenie człowieka, który nie boi się o siebie.

Nachylił się i szepnął jej do ucha:

- Chcesz poznać moją tajemnicę? Skinęła głową.
- Jestem cholernie dobrym aktorem. Jak ci smakuje bajgiel?
- Jest doskonały, ale kręci mi się w głowie. Co myślisz o tej całej niesamowitej sprawie?

Austin popatrzył na zakotwiczony statek NUMA i przypomniał sobie malowany okręt na malowanym morzu z opisu Coleridge'a. Spróbował uporządkować fakty.

- Zaczniemy od tego, co wiemy. - Pociągnął łyk kawy. - Naukowcy pracujący pod lodowcem znajdują ludzkie zwłoki zamrożone w lodzie, które są tam już od pewnego czasu. Obok ciała znajdują stary hełm i pancerną kasetkę. Uzbrojony facet udający reportera zabiera kasetkę i zalewa tunel. Najwyraźniej nic nie wie o hełmie.

- W tym miejscu mój logiczny umysł staje się bezradny. Dlaczego próbował nas zabić? Przecież nie mogliśmy mu zrobić nic złego. Zanim wydostalibyśmy się z tunelu, byłby daleko.

- Myślę, że zalał tunel, żeby zatopić Lodowego Człowieka. Ty i inni tam obecni staliście mu po prostu na drodze. Jak lodowiec. Nie było tu nic osobistego.

Skye w zamyśleniu skubała bajgiel.

- Chyba jest w tym makabryczny sens.

Urwała i spojrzała ponad ramieniem Austina w stronę, z której zbliżał się szybko tuman kurzu. Po chwili okazało się, że nadjeżdża citroen. Rozpoznali Fifi. Samochód zahamował z poślizgiem. Wysiedli z niego LeBlanc, Thurston i Rawlins. Francuz uśmiechnął się szeroko.

- Cieszę się, że was złapaliśmy. Zadzwoiłem z elektrowni na statek i dowiedziałem się, że jesteście na brzegu.

- Chcieliśmy się pożegnać - wyjaśnił Thurston.

- Wyjeżdżacie? - zapytała Skye.

Glacjolog skinął twierdząco głową i wskazał lodowiec.

- Nie ma sensu tu siedzieć, skoro nasze obserwatorium jest pod wodą. Wracamy do Paryża. Helikopter zabierze nas na najbliższe lotnisko.

- Do Paryża? - zainteresowała się Skye. - Znajdzie się może miejsce dla mnie?

- Tak, oczywiście - odrzekł LeBlanc i wyciągnął rękę. - Jeszcze raz dziękuję za uratowanie nam życia, monsieur Austin. Nie chciałbym, żeby Fifi została sierotą. Zostawiam ją w elektrowni pod opieką pana Lessarda. Porozmawiamy z firmą energetyczną o osuszeniu obserwatorium. Może wrócimy tu w następnym sezonie.

- Przepraszam, że uciekam w taki sposób - powiedziała Skye do Austina - ale nie zdziałam tu nic więcej i chcę zrobić zestawienie wszystkich moich danych do późniejszej analizy.

- Rozumiem cię. Zadanie „Mummichuga” też się kończy. Zostanę na pokładzie i napiszę raport, kiedy statek będzie płynął z powrotem w górę rzeki. Potem jakoś się dostanę do najbliższej stacji kolejowej i przyjadę szybkim pociągiem do Paryża na naszą randkę.

- Bien. Pod jednym warunkiem. Ja płacę za kolację.

- Jak ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógłby odrzucić taką kuszącą propozycję? I pokażesz mi miasto.

- Z wielką przyjemnością.

Austin zabrał Skye z powrotem na statek, żeby wzięła swoje rzeczy, potem odwiózł ją na brzeg, gdzie czekał helikopter. Skye pocałowała Kurta w oba policzki i usta, kazała mu obiecać, że zadzwoni do niej po przyjeździe do Paryża, i wdrapała się do śmigłowca. Kiedy płynął przez jezioro, helikopter przeleciał mu nad głową i Austin zobaczył, że Skye macha do niego.

Wróciwszy na statek, Austin wyjął kasetę z kamery wideo i dysk z cyfrowego aparatu fotograficznego batyskafu. Zaniósł je do laboratorium pod pokładem i wprowadził materiał do komputera. Wydrukował zdjęcia kadłuba samolotu i dokładnie obejrzał. Potem skoncentrował się na silniku i znalazł ujęcie, którego szukał. Pokazywało oznaczenia na bloku silnika.

Wybrał kursorem ten fragment, powiększył i odczytał nazwę producenta i numer seryjny. Odchylił się do tyłu na krześle i przez chwilę wpatrywał w obraz. Potem sięgnął do telefonu, przez który mógł się połączyć z dowolnym miejscem na świecie.

- Wytwórnia latających rowerów Orville'a i Wilbura - odezwał się piskliwy głos.

Austin zobaczył oczyma wyobraźni orli nos, pociągłą twarz mężczyzny na drugim końcu linii i uśmiechnął się.

- Nie nabierzesz mnie, Ian. Przypadkiem wiem, że bracia Wright zamknęli swój warsztat rowerowy dawno temu.

- Cholera, Kurt, nie możesz mieć do mnie pretensji o to, że próbowałem. Robię wszystko, co mogę, żeby zebrać prywatne fundusze dla Ośrodka Udvar-Hazy w porcie lotniczym Dullesa, i nie chcę marnować czasu na pogawędkę.

Ian MacDougal, były pilot myśliwski marynarki wojennej, kierował archiwum Muzeum Lotnictwa i Astronautyki Fundacji Smithsoniańskiej. Był postacią w pewnym sensie podobną do St. Julienu Perlmuttera, znanego na całym świecie historyka morza i właściciela olbrzymiego zbioru książek o tej tematyce, stanowiącego przedmiot zazdrości wielu instytucji naukowych. MacDougal posiadał w dziedzinie lotnictwa wiedzę równie imponującą jak St. Julien w swojej. Wysoki i chudy, był fizycznym przeciwieństwem okrągłego Perlmuttera i mniej barwną postacią, wiedział wszystko o samolotach i ich historii, tak jak Perlmutter wiedział wszystko o statkach.

- Możesz liczyć na dużą wpłatę ode mnie i będę się streszczał - odrzekł Austin. - Jestem we Francji i chcę zidentyfikować samolot, który znalazłem na dnie jeziora polodowcowego w Alpach.

- Nowe wyzwanie. Zawsze mogę na tobie polegać. - MacDougal wydawał się zachwycony, że oderwie się od zbierania funduszy. - Mów.

- Włącz komputer, to przyślę ci zdjęcia.

- Jest włączony.

Austin już wcześniej przygotował materiał do wysłania i zdjęcia zrobione na dnie jeziora pomknęły na cybernetycznych skrzydłach przez Atlantyk w ciągu milisekundy. MacDougal został na linii i Austin usłyszał, że mruczy coś pod nosem.

- No i jak? - zapytał po chwili.

- Muszę zgadywać, ale charakterystyczna stożkowa osłona silnika wskazywałaby, że to morane-saulnier, jednopłatowy myśliwiec z czasów pierwszej wojny światowej, budowany na bazie samolotu wyścigowego. Ten mały myszołów był szybszy i zwrotniejszy od niemal wszystkich swoich konkurentów. Synchronizator działka i śmigła był naprawdę rewolucyjny. Jeden z samolotów alianckich niestety się rozbił i Fokker skopiował i usprawnił system. Jest w tym jakiś morał.

- Moralne niuanse zostawiam tobie. Czy na podstawie tego, co wiesz, potrafisz powiedzieć, jak ten samolot znalazł się na dnie jeziora?

- Najwyraźniej spadł z nieba, co czasem zdarza się samolotom. Reszty mogę się tylko domyślać, ale prawdopodobnie nie będę miał racji. Znam kogoś, kto może potrafi ci pomóc. To tylko kilka godzin drogi od Paryża.

Austin zanotował informacje.

- Dzięki. Przekażę ci moją wpłatę na muzeum, jak tylko wrócę do Waszyngtonu. Na razie pozdrów ode mnie Wilbura i Orville'a.

- Z przyjemnością.

Austin wyłączył się i po chwili zadzwonił pod numer, który dał mu Ian.

13

Skye zatrzasnęła grubą fachową książkę, którą czytała, i popchnęła ją przez biurko w kierunku stosu podobnie zniszczonych tomów. Zgarbiła się i rozpostarła ramiona, żeby pozbyć się skurczu mięśni, potem odchyliła się na krześle do tyłu, zacisnęła wargi i utkwiała wzrok w leżącym przed nią hełmie. Zawsze uważała starą broń i zbroje za zwykłe narzędzia, martwe przedmioty używane w krwawych wojnach. Ale ten obiekt przyprawiał ją o dreszcze. Z oksydowanej czarnej powierzchni zdawała się promieniować wrogość, z jaką jeszcze nigdy dotąd się nie spotkała.

Po powrocie do Paryża zabrała hełm do swojego biura na Sorbonie. Miała tu pomoce naukowe i spodziewała się, że identyfikacja będzie łatwa. Zrobiła zdjęcia hełmu, wprowadziła do komputera i przeszukała rozległą bazę danych pochodzących z setek źródeł. Zaczęła od archiwów francuskich, potem przeszła do włoskich i niemieckich. Te kraje były kiedyś głównymi ośrodkami płatnerskimi.

Nie znalazła materiału porównawczego, więc rozszerzyła poszukiwania na całą Europę, a kiedy i to nie dało rezultatów, na Azję i resztę świata. Cofnęła się aż do epoki brązu. Bez skutku. Po bezowocnych poszukiwaniach komputerowych sięgnęła do źródeł pisanych. Wyrzebała ze swoich zbiorów wszystkie książki, w których mogły się znaleźć interesujące ją informacje. Ślęczała nad starodrukami, manuskryptami, rycinami rzeźb z kości słoniowej i metalu. Zdesperowana zbadła nawet słynną Tkaninę z Bayeux, ale szyszaki przedstawionych tam wojowników nie przypominały hełmu, który miała teraz przed sobą.

Niezwykły hełm wyglądał bardziej na ozdobny niż bojowy, choć wgniecenia na jego powierzchni sugerowały, że mógł być używany w walce. Otwór po pocisku stanowił odrębną zagadkę.

Konstrukcja wskazywała na wczesne pochodzenie hełmu. Jego ciężar utrzymywała tylko głowa. Późniejsze hełmy miały armet, kloszową część dolną, która przenosiła ciężar na ramiona poprzez kołnierz nazywany gorget. Ale ten hełm miał na szczycie grzebień w kształcie wachlarza, inną późniejszą innowacją, która była dodatkową ochroną przed maczugą lub mieczem.

Bojowe nakrycia głowy uległy ewolucji. Jedenastowieczne stożkowe szyszaki zastąpiły w XII wieku zaokrąglone hełmy. Osłony nosa przekształciły się w przyłbice z wąskimi wizjerami i otworami wentylacyjnymi. Niemieckie hełmy były ciężkie i szpiczaste, włoskie bardziej zaokrąglone, zgodnie z estetyką Odrodzenia.

Skye najbardziej intrygował metal, z którego sporządzono hełm. Stal zaczęto wytwarzać osiemset lat przed naszą erą, ale podobną jakość osiągnięto dopiero setki lat później. Ten płatnerz musiał być mistrzem. O wytrzymałości stali świadczyło wgniecenie nazywane „znakiem jakości”. Ktoś sprawdzał odporność hełmu na przebicie kulą z pistoletu lub arkebuzą. Strzał z broni palnej nie przedziurawił metalu. Ale - czego dowodził otwór po pocisku - każde udoskonalenie środków obrony stymulowało zwiększenie skuteczności środków ataku. Zbroje zaczęły stopniowo wychodzić z użycia w XVI wieku. Stwarzały większy problem niż kule wroga, stały się po prostu za ciężkie do noszenia.

Twarz wytłoczona na przyłbicy była typowa dla szesnastowiecznej zbroi włoskiej. Rzemieślnicy unikali takiego modelowania hełmów bojowych. Powierzchnie musiały być gładkie i zaokrąglone, żeby ciosy ześlizgiwały się po nich. Skye wzięła włoski sztylet, który służył jej do otwierania kopert i próbowała zahaczyć krawędzią i szpicem ostrza o hełm. Mimo wytłoczeń, w stali hełm wykonano tak sprytnie, że nóż ześlizgiwał się z jego powierzchni.

Skye skoncentrowała się z powrotem na metalu. Dobry płatnerz wyróżniał się przede wszystkim umiejętnością hartowania stali. Postukała kostkami palców w hełm. Rozległ się

czysty dźwięk, jakby uderzyła w dzwon. Przesunęła palcem po pięcioramienną gwiazdę z „nogami”, potem obróciła hełm dookoła. Kiedy spojrzała na wzór pod innym kątem, zobaczyła komety. Przypomniała sobie miecz z angielskiej kolekcji zrobiony z żelaza pochodzącego z meteorytu. Był ostry jak brzytwa. Pomyślała, że może hełm też wykonano z takiej stali. Zanotowała sobie, że powinien to sprawdzić metalurg.

Przetarła zmęczone oczy, westchnęła z rezygnacją, sięgnęła po telefon i wybrała numer. Odebrał mężczyzna o niskim, przyjemnym, kulturalnym głosie.

- Oui. Darnay Antiquites.

- Witaj, Charles. Tu Skye Labelle.

- Skye! - Darnay wyraźnie się ucieszył. - Jak się miewasz, moja droga? Jak idzie praca? To prawda, że byłeś w Alpach?

- Tak. Dlatego właśnie dzwonię. Podczas tej wyprawy znalazłam stary hełm. Jest dość niezwykły i chciałabym, żebyś go zobaczył. Stanowi dla mnie zagadkę.

- A co z twoim cudownym komputerem? - zaczął się z nią drażnić. Darnay i Skye sprzeczali się po przyjacielsku na temat nowoczesnej techniki, z której korzystała Skye. Darnay twierdził, że stały bezpośredni kontakt z artefaktami daje dużo więcej niż grzebanie w bazach danych. Skye odpowiadała, że komputer to oszczędność cennego czasu.

- Mój komputer działa znakomicie - odparła z udawanym oburzeniem. - Przejrzałam też wszystkie moje książki. Nic nie znalazłam.

- Jestem zaskoczony. - Darnay znał zawartość biblioteki Skye i uważał, że to jeden z najlepszych zbiorów, jakie kiedykolwiek widział. - Z przyjemnością obejrzę ten hełm. Przyjedź teraz, jeśli chcesz.

- Bien. Zaraz będę.

Zawinęła hełm w poszewkę od poduszki, włożyła do plastikowej reklamówki z Au Printemps i poszła na najbliższą stację metra. Antykwariat Darnay znajdował się na prawym brzegu Sekwany, w głębi wąskiej uliczki obok boulangerie, skąd dochodziły smakowite zapachy świeżego pieczywa. Na drzwiach widniał mały złożony napis Antiquites. Na wystawie leżały zakurzone rogowe prochownice, pistolet skałkowy i zardzewiałe szable. Ta witryna nie zachęcała do wizyty w sklepie, ale o to właśnie chodziło Darnayowi.

Kiedy Skye przekroczyła próg, zadźwięczał dzwonek przy drzwiach. Obskurne wnętrze było wąskie i ciemne. Prócz zardzewiałej zbroi stało tu tylko parę brudnych szafek z kiepskimi replikami zabytkowych sztyletów. Aksamitna zasłona w głębi sklepu rozsunęła się i z szerokiego pasma światła wyłonił się żylasty mężczyzna w czerni. Zerknął ukradkiem na Skye, minął ją jak cień, wyszedł na ulicę i cicho zamknął za sobą drzwi.

Z zaplecza wynurzył się niski mężczyzna po siedemdziesiątce. Przypominał starego aktora filmowego Claude'a Rains'a. Był w nieskazitelnym granatowym garniturze i stylowym czerwonym krawacie z jedwabiu, ale wyglądałby elegancko nawet w kombinezonie roboczym. Z ciemnych oczu promieniowała inteligencja. Miał srebrzyste włosy i siwy wąsik. Palił gauloisesa w cygarnicze; wyjął papierosa z ust i pocałował Skye w oba policzki.

- Szybko przyjechałaś - powiedział z uśmiechem. - Ten twój hełm musi być bardzo ważny.

- To ty mi powiesz, czy tak jest. Kim był ten facet, który właśnie wyszedł?

- Jednym z moich... hm, dostawców.

- Wyglądał na złodzieja.

Darnay zrobił przerażoną minę, potem się roześmiał.

- Oczywiście, bo nim jest.

Powiesił na drzwiach tabliczkę Zamknięte i wprowadził Skye za zasłonę do swojego biura. W przeciwieństwie do ponurej i zaniedbanej części sklepowej pomieszczenie na zapleczu antykwariatu było jasno oświetlone i nowoczesnie umeblowane. Na ścianach wisiała

niezbyt cenna broń, którą Darnay sprzedawał słabiej zorientowanym kolekcjonerom. Towar najwyższej klasy trzymał bezpiecznie w magazynie.

Choć drwił z zaufania Skye do nowoczesnej techniki, sam ułatwiał interesy głównie przez Internet i za pośrednictwem ilustrowanego katalogu wysyłanego do wąskiego grona klientów, na który niecierpliwie czekali antykwariusze i kolekcjonerzy z całego świata.

Skye po raz pierwszy odszukała Darnaya, gdy potrzebowała porady w sprawie wykrytego fałszerstwa. Wkrótce przekonała się, że antykwariusz wie więcej o starej broni i zbrojach niż niektórzy naukowcy, łącznie z nią. Zostali bliskimi przyjaciółmi, choć było oczywiste, że Darnay robi ciemne interesy w branży antyków. Krótko mówiąc, był oszustem, ale oszustem z klasą.

- Zobaczmy, co masz, moja droga. - Wskazał jasno oświetlony stół używany do fotografowania przedmiotów, które miały się znaleźć w katalogu.

Skye wyjęła hełm z torby, położyła na blacie i zamaszystym ruchem ściągnęła poszewkę od poduszki.

Darnay popatrzył z szacunkiem na obiekt, potem okrążył stół, wypuszczając dym z papierosa, schylając się i przysuwając twarz do metalu. Kiedy zakończył ten rytuał, wziął hełm, zważył w dłoniach, uniósł wysoko i włożył na głowę. Podeszedł do barku i wyjął butelkę grand marnier.

- Brandy? - zapytał.

Skye spojrzała na niego, roześmiała się i pokręciła przecząco głową. - I co o tym myślisz?

- Extraordinaire. - Darnay zdjął hełm, odłożył na stół i nalał sobie brandy. - Skąd wzięłaś to piękne dzieło sztuki?

- Było zamrożone w lodowcu Le Dormeur.

- W lodowcu? To jeszcze bardziej niezwykle.

- To nie wszystko. Hełm znaleziono przy zwłokach zamrożonych w lodzie. Ciało mogło tam leżeć około stu lat. Ten człowiek prawdopodobnie wyskoczył ze spadochronem z samolotu, który został odnaleziony w pobliskim jeziorze.

Darnay wsunął palec do okrągłego otworu w hełmie. - A to?

- To chyba dziura po pocisku. Antykwariusz nie wydawał się zaskoczony.

- Więc ten Lodowy Człowiek mógł mieć hełm na głowie?

- Możliwe.

- Czy to nie ślad po nieudanym teście?

- Wątpię. Przyjrzyj się tej stali. Jest bardzo twarda. Kule z muszkietów odbijałyby się od tego metalu jak groch od ściany. To dziura po pocisku z bardziej współczesnej broni palnej.

- Więc mamy człowieka, który leciał nad lodowcem w starym hełmie i został zastrzelony z nowoczesnej broni.

Skye wzruszyła ramionami.

- Na to wygląda.

Darnay pociągnął łyk brandy.

- Fascynujące, ale, prawdę mówiąc, sensu w tym wszystkim nie widzę.

- Nic w tej całej historii nie ma sensu.

Usiadła na krześle i opowiedziała Darnayowi, jak Renaud wezwał ją do groty, skąd potem została niemal cudem uratowana. Antykwariusz słuchał ze zmarszczonym czołem.

- Dzięki Bogu, że wyszłaś z tego cało! Ten Kurt Austin to hommeformidable. I przystojny, jak się domyślam.

- Bardzo. - Poczwała, że się czerwieni.

- Należą mu się ode mnie wyrazy wdzięczności. Traktuję cię jak córkę, Skye. Byłbym zdruzgotany, gdyby coś ci się stało.

- Na szczęście nic mi się nie stało. Dzięki panu Austinowi i jego koledze Joemu Zavali. - Wskazała hełm. - Więc?

- Uważam, że jest starszy, niż na to wygląda. Jak mówiłaś, stal jest nadzwyczajna. Metal użyty do jego wyrobu mógł pochodzić z kosmosu. Ponieważ nigdy nie widziałem takiego hełmu, a ty nie znalazłaś w swojej bibliotece żadnej informacji, podejrzewam, że to mógł być prototyp.

- Skoro miał takie nowatorskie rozwiązania, to dlaczego nie wprowadzono ich wcześniej?

- Wiesz, jak to jest z bronią i ludźmi. Polska kawaleria stawiała czoło dywizjom pancernym. Billy Mitchell musiał przekonywać naczelne dowództwo o zaletach bombardowań z powietrza. Może ktoś spojrzął na ten hełm i oświadczył, że lepszy jest sprzęt stary niż niesprawdzony.

- Potrafiłbyś wyjaśnić, co oznacza motyw orła tutaj i na samolocie?

- Mogę spróbować, ale nie naukowo.

- Nie szkodzi, chętnie posłucham. I może jednak napiję się brandy. Darnay napełnił drugą koniakówkę i stuknęli się kieliszkami.

- Powiedziałbym, że ten orzeł symbolizuje jakiś sojusz, połączenie trzech różnych grup w jedną. E pluribus unum. „Z wielu jedno”. Co chyba nie było łatwym zadaniem. Orzeł wydaje się rozdarty, ale musi pozostać całością, bo inaczej zginie. Broń, którą trzyma w szponach, nasuwa przypuszczenie, że ten sojusz ma coś wspólnego z wojną.

- Nieźle jak na nienaukowe wyjaśnienie. Darnay uśmiechnął się.

- Szkoda tylko, że nie wiemy, kim był twój Lodowy Człowiek. - Zerknął na zegarek. - Przepraszam cię, Skye, ale mam telefoniczną konferencję z antykwariuszem w Londynie i klientem w Stanach. Nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym zatrzymał ten hełm na kilka godzin? Chciałbym mu się lepiej przyjrzeć.

- Proszę bardzo, zadzwoń, gdy będziesz chciał, żebym go odebrała. Będę w pracy albo w domu.

Darnay spochmurniał nagle.

- Moja droga dziewczyno, to jakaś tajemnicza sprawa. Ten artefakt musi mieć wielką wartość. Ktoś chciał was zabić, żeby go zdobyć. Musimy być bardzo ostrożni. Czy ktoś wie, że masz ten hełm?

- Kurt Austin, ten człowiek z NUMA, o którym ci mówiłam. Jemu można na pewno ufać. Oprócz niego kilku moich współtowarzyszy z grotty. I Renaud.

- I Renaud... - powtórzył przeciągle Darnay. - To niedobrze. Będzie chciał odzyskać hełm. Ciemne oczy Skye rozbłysły gniewem.

- Po moim trupie. - Uśmiechnęła się nerwowo, gdy dotarło do niej dosłowne znaczenie własnych słów. - Mogę go wykołować. Powiem, że hełm jest u metalurga.

Zadzwoił telefon.

- To ten, na który czekam - powiedział Darnay. - Porozmawiamy później.

Po wyjściu z antykwariatu Skye pojechała do domu zamiast do pracy. Chciała odsłuchać automatyczną sekretarkę, mając nadzieję, że odezwał się Austin. Po rozmowie z Darnayem była zdenerwowana. Miała wrażenie, że w pobliżu czai się niebezpieczeństwo. Głos Austina uspokoiłby ją trochę. W mieszkaniu odsłuchiwała nagrane wiadomości, ale żadna nie była od Kurta.

Poczuła nagłe zmęczenie. Położyła się na sofie z magazynem mody, żeby odpocząć przed powrotem do pracy. Ale po kilku minutach czasopismo wypadło jej z rąk na podłogę i zasnęła głębokim snem.

Skye nie spałaby tak smacznie, gdyby wiedziała, co knuje Auguste Renaud. Siedział przy biurku w swoim gabinecie i, kipiąc wściekłością, układał listę skarg na Skye Labelle. Ręka się goiła, ale wciąż cierpiał dotkliwie, bo jego duma została boleśnie zraniona i ta rana wciąż mu dokuczała.

Postanowił użyć wszystkich swoich wpływów, wykorzystać wszystkie znajomości, żeby zniszczyć tę beczelną kobietę, zrujnować jej karierę i zaszkodzić wszystkim osobom, z którymi łączyła ją przyjaźń. Upokorzyła go publicznie i zlekceważyła jego autorytet. Zignorowała jego żądanie i nie oddała hełmu. Już on się postara, żeby wyleciała z Sorbony. Będzie błagała o litość. Wyobraził sobie, że jest Stwórcą z renesansowych obrazów, który wypędza Adama i Ewę z Raju.

Spotkał ją tego poranka w windzie. Powiedziała mu „dzień dobry” i uśmiechnęła się do niego. Zapłonął wewnątrz gniewem, ale panował nad sobą, dopóki nie wszedł do gabinetu. Przełał całą złość na papier, tworząc listę, którą miał teraz przed sobą.

Opisywał właśnie szczegółowo jej swobodne obyczaje, gdy usłyszał ciche szuranie nogami. Zaskrzybiało krzesło po drugiej stronie biurka. Pomyślał, że to jego asystent.

- Tak? - odezwał się, nie podnosząc głowy.

Nikt nie odpowiedział, więc spojrzał w górę i doznał skurczu żołądka. Krzesło było odwrócone oparciem do biurka. Siedział na nim ten sam wielki mężczyzna o nadętej twarzy, który zaatakował go pod lodowcem.

Renaud potrafił wychodzić cało z opresji. Udał, że nie poznaje gościa. Odchrząknął.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Nie pamiętasz mnie?

- Nie przypominam sobie. Ma pan jakąś sprawę do uniwersytetu?

- Nie, mam sprawę do ciebie.

Renaud poczuł, że jego odwaga gwałtownie topnieje.

- Musiał mnie pan pomylić z kimś innym.

- Widziałem cię w telewizji.

Jeszcze przed powrotem do Paryża Renaud zadzwonił do swojego ulubionego reportera telewizyjnego i udzielił mu wywiadu. Przypisał sobie wszystkie zasługi w znalezieniu Lodowego Człowieka i zasugerował niedwuznacznie, że to on zorganizował akcję ratowniczą.

- Chodzi panu o wywiad ze mną, tak?

- Powiedziałeś reporterowi, że znalazłeś pod lodowcem przedmioty. Kasetka to jeden przedmiot. Co jeszcze znalazłeś?

- Tylko hełm. Wyglądał na bardzo stary.

- Gdzie jest teraz ten hełm?

- Myślałem, że został w grocie, ale zabrała go tamta kobieta.

- Kim ona jest?

W oczach Renauda pojawił się zły błysk. Może ten kretyn zostawi go w spokoju, jeśli będzie miał bardziej kuszący cel. Nadarzyła się okazja, żeby pozbyć się jednocześnie i jego, i Skye.

- Archeologiem. Nazywa się Skye Labelle. Chce pan jej adres i telefon? - Sięgnął po notes i otworzył go. - Pracuje piętro niżej. Pokój numer 216. Nie obchodzi mnie, co pan z nią zrobi.

Z trudem ukrywał radość. Dałby wszystko, żeby zobaczyć minę Skye, kiedy ten szalenciec stanie w jej drzwiach.

Mężczyzna podniósł się powoli z krzesła. Doskonale, wychodzi, pomyślał Renaud i się uśmiechnął.

- Życzy pan sobie jeszcze czegoś? - zapytał wspaniałomyślnym tonem. Gość odwzajemnił uśmiech.

Nagle wyciągnął spod płaszcza pistolet kaliber .22 z tłumikiem przykręconym do lufy.

- Tak - odrzekł. - Twojej śmierci.

Padł strzał. W czole Renauda pojawiła się okrągła czerwona dziura. Runął głową na biurko z uśmiechem zastygłym na twarzy.

Wielki mężczyzna podniósł notes, wetknął do kieszeni i wyszedł cicho z pokoju, nie spojrzawszy nawet na nieruchome ciało leżące w poprzek biurka.

14

Zabytkowy samolot wykonywał wysoko pod niebem zgrabne figury akrobatyczne pozornie wbrew prawom fizyki i grawitacji. Austin stał obok hangaru na skraju trawiastego lotniska i obserwował z podziwem te ewolucje. Maszyna zrobiła spiralę, potem pół pętli do góry, pół beczki i szybko zmieniła kierunek lotu.

Austin zeszywniał, kiedy samolot znurkował ku ziemi. Leciał za szybko, żeby bezpiecznie wylądować, zbliżał się jak pocisk kierowany. Sekundy później podwozie z kołami przypominającymi rowerowe dotknęło trawy. Maszyna odbiła się na metr czy dwa do góry, ale potem usiadła i podkołowała z gardłowym rykiem silnika do hangaru.

Kiedy dwułopatowe drewniane śmigło przestało się obracać, z ciasnego kokpitu wygramolił się mężczyzna w średnim wieku. Zdjął gogle i podszedł do Austina. Uśmiechał się od ucha do ucha. Gdyby był pieskiem, merdałby z radości ogonkiem.

- Przykro mi, że to jednomiejscowy samolot, monsieur Austin. Chętnie zabrałbym pana w powietrze.

Austin popatrzył na małą maszynę. Miała osłonę silnika w kształcie pocisku, drewniany kadłub pokryty tkaniną i trójkątny statecznik pionowy. Na sterze kierunku była namalowana trupia czaszka ze skrzyżowanymi pieszczelami. Od wspornika w kształcie litery „A” umieszczonego tuż przed kokpitem biegły metalowe podłużnice, podtrzymujące krótkie szerokie skrzydła jak druty kopułę parasola.

- Z całym szacunkiem, monsieur Grosset, pański samolot wydaje się za mały nawet dla jednej osoby.

Ogorzała twarz Francuza zmarszczyła się w wesołym uśmiechu.

- Nie dziwię się, pańskiemu sceptycyzmowi, monsieur Austin. Morane-saulnier N wygląda tak, jakby złożył go w piwnicy mały chłopiec. Ma tylko sześć i siedem dziesiątych metra długości i rozpiętość skrzydeł zaledwie osiem i dwie dziesiąte metra. Ale ten mały moskit był jednym z najgroźniejszych samolotów bojowych swoich czasów. Jest szybki, rozwija prędkość ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, i zadziwiająco zwrotny. W rękach dobrego pilota potrafił być wyjątkowo skuteczną maszyną do zabijania. Austin podszedł do samolotu i przesunął dłonią po kadłubie.

- Jestem zaskoczony, że to jednopłat i ma taki opływowy kształt. Zawsze wyobrażałem sobie maszyny z czasów pierwszej wojny światowej jako tęponose dwupłaty.

- Całkiem słusznie. Większość samolotów miała wtedy podwójne skrzydła. Francja wyprzedzała inne kraje w konstruowaniu jednopłatów. Ten model był przez pewien czas najbardziej aerodynamiczną maszyną bojową. Jego przewaga nad dwupłatami polegała głównie na tym, że szybciej się wznosił, choć soppwith i nieuport nie ustępowały mu później pod tym względem.

- Wspaniale wykonywał pan akrobacje. Grosset skłonił się.

- Merci. Czasami to nie takie łatwe, jak się wydaje. Ten mały samolot waży z pełnym obciążeniem niewiele ponad czterysta pięćdziesiąt kilogramów, ale napędza go stuszesnastokonny silnik I Rhone. Maszyna jest trudna w pilotowaniu i wymaga delikatnej ręki. - Wyszcherzył zęby w uśmiechu. - Jeden z pilotów powiedział kiedyś, że za sterami „enki” lądowanie jest bardziej niebezpieczne niż walka powietrzna. Musiał pan zauważyć, że podchodziłem do lądowania z dużą szybkością.

Austin zachichotał.

- Jest pan bardzo skromny, monsieur Grosset. Myślałem, że zamierza pan wydrążyć dziurę w ziemi.

Francuz roześmiał się swobodnie.

- Nie byłbym pierwszy. Ale w porównaniu z dawnymi pilotami miałem łatwe zadanie. Niech pan sobie wyobrazi, że podchodzi pan do lądowania ze skrzydłami podziurawionymi pociskami i poszyciem w strzępach. W dodatku jest pan ranny i osłabiony z powodu upływu krwi. To dopiero było wyzwanie.

Austin wyczuł w jego głosie nutkę nostalgicznej zazdrości. Przystojny Francuz z cienkim wąsikiem przypominał dawnych nieustraszonych pilotów, którzy latali nad niemieckimi okopami, lekceważąc ogień artylerii przeciwlotniczej.

Grosset był dyrektorem muzeum lotnictwa. Austin zadzwonił do niego po rozmowie z Ianem MacDougalem i poprosił, żeby obejrzał zdjęcia samolotu w jeziorze. Grosset odpowiedział, że chętnie pomoże, jeśli tylko będzie potrafił. Odezwał się wkrótce po otrzymaniu zdjęć przesłanych przez Internet.

- Pańska maszyna jest w kawałkach - zauważył - ale zgadzam się z panem Ianem, że to morane-saulnier N z czasów pierwszej wojny światowej.

- Niestety mam tylko bardzo ogólną wiedzę o dawnych samolotach - powiedział Austin. - Może pan powiedzieć coś więcej?

- Mogę zrobić coś lepszego - odparł Grosset. - Mogę panu pokazać taką maszynę. Mamy „enkę” w naszym muzeum lotnictwa.

Wcześniej tego dnia, po zameldowaniu się w paryskim hotelu, Austin złapał szybki pociąg, którym jechał do muzeum krócej, niż leciałby samolotem Grosseta. Muzeum zajmowało kompleks hangarów na skraju lotniska polowego niecałe osiemdziesiąt kilometrów na południe od Paryża.

Po zademonstrowaniu możliwości małego jednopłata Grosset zaprosił Austina do swojego gabinetu na kieliszek wina. Biuro mieściło się w kącie hangaru pełnego zabytkowych maszyn. Przeszli obok spada, corsaira i fokkera do małego pokoju z tuzinami zdjęć samolotów na ścianach.

Grosset nalał do kieliszków bordeaux i wznosił toast za braci Wright. Austin zaproponował, żeby wypili również za Alberto Santos-Dumonta, brazylijskiego pioniera lotnictwa, który długo mieszkał we Francji i wielu ludzi uważało go za Francuza.

Na blacie starego drewnianego biurka leżały rozłożone wydruki zdjęć przesłanych Grossetowi przez Austina. Kurt wziął jedną z fotografii, przyjrzał się roztrzaskanemu kadłubowi i pokręcił z podziwem głową.

- Nie do wiary, że zdołał pan rozpoznać po tych szczątkach, jaki to samolot.

Grosset odstawił kieliszek na bok i wybrał jedno ze zdjęć.

- Początkowo nie byłem pewien. Miałem pewne przypuszczenia, ale jak pan słusznie powiedział, są to szczątki. Rozpoznałem, że karabin maszynowy to hotchkiss, ale ta broń była powszechnie używana we wczesnych samolotach bojowych. Cenną wskazówką okazała się charakterystyczna stożkowa osłona silnika. Potem zauważyłem coś interesującego. - Podsunął Austinowi zdjęcie i wręczył mu szkło powiększające. - Niech pan się dobrze przyjrzy temu...

Austin wpatrzył się uważnie w zaokrąglony kawałek drewna.

- Wygląda na łopatę śmigła.

- Zgadza się. Ale nie pierwszego lepszego śmigła. Widać tam metalową płytę. Na początku 1914 roku Raymond Saulnier opracował mechanizm synchronizujący, który umożliwiał strzelanie z karabinu maszynowego hotchkiss przez wirujące śmigło. Wadliwa amunicja przerywała czasami prowadzenie ognia, więc umieścił na łopatach śmigła prymitywne metalowe deflektory.

- Słyszałem o tym. Proste rozwiązanie skomplikowanego problemu.

- Rykoszetujące pociski zabiły kilku pilotów testowych i czasowo zrezygnowano z tego pomysłu. Ale wybuchła wojna i zaczęto szukać nowych sposobów walki z wrogiem. As francuskiego lotnictwa nazwiskiem Roland Garros spotkał się z Saulnierem i jego samolot został wyposażony w stalowe deflektory, które zdały egzamin. Zestrzelił kilku przeciwników,

zanim jego maszyna spadła za liniami wroga. Niemcy wykorzystali francuski system i Fokker skonstruował własny mechanizm synchronizujący. Austin sięgnął po inne zdjęcie i wskazał mały jasny prostokąt w kokpicie.

- Co to jest? Wygląda na metalową płytkę. Grosset uśmiechnął się.

- Ma pan bystre oko. To kod producenta. - Podał Austinowi kolejne zdjęcie. - Powiększyłem go. Litery i cyfry są trochę niewyraźne, ale dzięki obróbce komputerowej na tyle czytelne, że mogłem je porównać z materiałami archiwalnymi w naszym muzeum.

Austin podniósł wzrok.

- Udało się panu ustalić właściciela samolotu? Grosset skinął głową.

- Wyprodukowano czterdzieści dziewięć sztuk modelu N. Po sukcesach Garrosa tych maszyn zaczęli używać z dobrym skutkiem inni francuscy piloci. Anglicy nazwali te samoloty Pocisk i kupili kilka sztuk. Rosjanie też. Enki spisywały się lepiej niż fokkery, ale wielu pilotów obawiało się ich dużej szybkości lądowania i czułych sterów. Znalazł pan ten wrak w Alpach?

- Tak, na dnie jeziora przy lodowcu Le Dormeur.

Grosset odchylił się na krześle do tyłu i złączył końce palców.

- Ciekawe. Kilka lat temu wezwano mnie w tamten rejon, żebym obejrzał szczątki paru starych samolotów rozrzucone w różnych miejscach. To były awiatiki, początkowo używane jako maszyny rozpoznawcze i zwiadowcze. Rozmawiałem z miejscowymi ludźmi, którzy słyszeli od swoich dziadków o walce powietrznej w tamtej okolicy. Podobno miała miejsce tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ale nie udało mi się ustalić dokładnej daty.

- Myśli pan, że tamta walka łączy się z samolotem w jeziorze?

- Kto wie? Może stanowić część pewnej zagadki sprzed blisko stu lat. Tajemniczego zniknięcia Jules'a Faucharda. To on był właścicielem samolotu, który pan znalazł.

- To nazwisko nic mi nie mówi.

- Fauchard był jednym z najbogatszych ludzi w Europie. Zaginął w roku 1914, najprawdopodobniej za sterami swojego morane-saulniera. Miał zwyczaj oblatywania samolotem rozległej posiadłości rodzinnej i winnic. Pewnego dnia po prostu nie wrócił. Szukano go w rejonie wyznaczonym przez przypuszczalny zasięg jego samolotu, ale nie znaleziono żadnego śladu. Kilka dni później wybuchła wojna i choć wiele osób szczerze go żałowało, o jego zniknięciu można już było przeczytać tylko w przypisach do tekstów historycznych.

Austin postukał w zdjęcie karabinu maszynowego.

- Fauchard musiał się bardzo obawiać o swoje winnice. Jak to możliwe, że cywil latał samolotem bojowym?

- Był producentem broni i miał rozległe znajomości wśród polityków. Mógł bez trudu zdobyć samolot francuskich sił powietrznych. Ważniejsze jest to, skąd się wziął w Alpach.

- Zgubił się?

- Wątpię. Jego samolot nie doleciałby do Lac du Dormeur na jednym zbiorniku paliwa. W tamtych czasach było niewiele lotnisk. Po drodze musiałby gdzieś tankować. To sugeruje, że jego podróż była częścią dobrze przemyślanego planu.

- Dokąd mógł lecieć?

- Jezioro jest w pobliżu granicy ze Szwajcarią.

- A Szwajcaria słynie z tajnych kont bankowych. Może leciał do Zurychu, żeby zrealizować czek?

Grosset zachichotał cicho.

- Człowiek z jego pozycją nie potrzebowałby gotówki. - Po chwili spowaźniał. - Widział pan reportaże telewizyjne o zwłokach znalezionych w lodzie?

- Nie, ale rozmawiałem z kobietą, która widziała ciało. Powiedziała mi, że zamrożony mężczyzna był ubrany w długi skórzany płaszcz i obcisłą pilotkę.

Grosset pochylił się do przodu z błyskiem podniecenia w oczach.

- To by się zgadzało! Fauchard mógł wyskoczyć ze spadochronem. Wylądował na lodowcu, a jego samolot spadł do jeziora. Gdybyśmy tylko mogli wydobyć ciało...

Austin pomyślał o ciemnym tunelu zalanym wodą.

- Osuszenie drogi do zwłok byłoby olbrzymią operacją.

- Rozumiem - odrzekł Grosset i pokręcił głową. - Jeśli ktokolwiek mógłby to zrobić, to tylko Fauchardowie.

- Jego rodzina jeszcze żyje?

- O, tak, choć niełatwo się o tym dowiedzieć. Mają obsesję na punkcie swojej prywatności.

- Nie dziwię się. Wiele bogatych rodzin nie lubi zwracać na siebie uwagi.

- Tu chodzi o coś więcej, monsieur. Fauchardowie to tak zwani handlarze śmiercią. Sprzedają broń na wielką skalę. Niektórzy uważają, że to brudny interes.

- Wygląda na to, że Fauchardowie są francuskimi odpowiednikami Kruppów.

- Racine Fauchard nie zgadza się z tym, ale porównuje się ich z Kruppami.

- Racine?

- Córka bratanka Jules'a. Femmeformidable, o ile wiem. Wciąż prowadzi rodzinny interes.

- Wyobrażam sobie, że madame Fauchard chciałaby wiedzieć, co się stało z jej przodkiem.

- Zapewne, ale zwyktemu śmiertelnikowi trudno byłoby do niej dotrzeć. Otaczają armia prawników, specjalistów od public relations i ochroniarzy.

Grosset urwał i zastanowił się.

- Mój znajomy jest dyrektorem w jej firmie. Spróbuję do niego zadzwonić, przekażę mu tę wiadomość i zobaczymy, co będzie dalej. Gdzie mógłbym pana złapać?

- Wracam pociągiem do Paryża. Dam panu numer mojej komórki.

- Bien - odrzekł Grosset.

Wezwał taksówkę, która miała odwieźć Austina na stację kolejową. Potem przeszli obok zabytkowych samolotów do drzwi frontowych muzeum. Uścisnęli sobie ręce.

- Dzięki za pomoc - powiedział Austin.

- Nie ma za co. Mogę zapytać, dlaczego NUMA interesuje się tą sprawą?

- Właściwie to nie NUMA, tylko ja. Odkryłem ten samolot w czasie pracy przy projekcie sponsorowanym przez NUMA, ale interesuję się tym prywatnie, ze zwykłej ciekawości.

- Więc nie będzie się pan kontaktował z Fauchardami przez pośredników?

- Nie miałem takiego zamiaru.

Grosset zastanowił się nad odpowiedzią Austina.

- Przez lata służyłem w wojsku i wydaje mi się, że potrafi pan sobie radzić w trudnych sytuacjach. Ale muszę pana ostrzec: niech pan będzie bardzo ostrożny w kontaktach z Fauchardami.

- Dlaczego?

- Oni nie są zwyczajną bogatą rodziną. - Grosset urwał i przez chwilę szukał właściwych słów. - Mówi się, że mają przeszłość.

Zanim Austin zdążył go zapytać, co ma na myśli, podjechała taksówka. Pożegnali się i Austin wsiadł do samochodu. W drodze na stację kolejową zastanawiał się nad ostrzeżeniem Francuza. Podejrzywał, że Grossetowi chodziło o jakieś mroczne tajemnice rodzinne Fauchardów. Pomyślał, że to samo można by powiedzieć o każdej bogatej rodzinie na świecie. Podstawę, na której budowano wielkie fortuny i wysoką pozycję społeczną, stanowiły często: praca niewolników, handel opium, przemyt i zorganizowana przestępczość.

Myśli Austina pobiegły w inną stronę, ku spotkaniu ze Skye, ale słowa Grosseta wciąż pobrzmiwały mu w głowie niczym dźwięki dalekiego dzwonu kościelnego.

„Mówi się, że mają przeszłość”.

15

Skye miała biuro w centrum naukowym Sorbony, Le Corbusier - gmachu ze szkła i betonu wciśniętego między budynki w stylu art nouveau w pobliżu Panteonu. Na spokojnej uliczce spotykało się zwykle tylko studentów uniwersytetu, którzy chodzili tędy na skróty. Ale kiedy Skye skręciła za róg, zobaczyła radiowozy policyjne blokujące oba wyloty alejki. Przed budynkiem parkowały kolejne samochody, przy wejściu roіło się od mundurów. Tęgi gliniarz stojący przy blokadzie podniósł rękę, żeby zatrzymać Skye.

- Przykro mi, mademoiselle, nie ma przejścia.

- Co się stało, monsieur?

- Był wypadek.

- Jaki wypadek? - zapytała. Policjant wzruszył ramionami.

- Nie wiem, mademoiselle. - Nie zabrzmiało to przekonująco.

Skye wyjęła z portfela legitymację służbową i podsunęła mu pod nos.

- Pracuję w tamtym budynku. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje i czy dotyczy to także mnie.

Policjant porównał jej twarz ze zdjęciem w legitymacji.

- Niech pani lepiej porozmawia z inspektorem - powiedział. Zaprowadził ją do grubego cywila w średnim wieku, który stał przy radiowozie i rozmawiał z mundurowymi. - Ta kobieta twierdzi, że tu pracuje - oznajmił.

Inspektor miał minę człowieka zmęczonego życiem i podkrążone zaczerwienione oczy. Przyjrzał się dokładnie legitymacji uniwersyteckiej, zapisał w notesie nazwisko i adres Skye i zwrócił jej dokument.

- Dubois - przedstawił się. - Proszę tutaj. - Otworzył drzwi radiowozu, wskazał Skye tylne siedzenie i usadowił się obok niej. - Kiedy ostatni raz była pani w swoim biurze?

Spojrzała na zegarek.

- Jakies dwie, trzy godziny temu. Może trochę wcześniej.

- Dokąd pani wyszła?

- Jestem archeologiem. Zawiozłam artefakt do eksperta od antyków, żeby go obejrzał.

Potem pojechałam do domu, żeby się zdrzemnąć.

Inspektor coś zanotował.

- Czy przed wyjściem do miasta nie zauważyła pani w biurowcu niczego podejrzanego?

- Nie. Wszystko wyglądało normalnie. Mógłby mi pan powiedzieć, co się stało?

- Zginął człowiek. Znała pani mężczyznę o nazwisku Renaud?

- Renaud? Oczywiście! Był szefem mojego wydziału. Nie żyje? Dubois skinął potwierdzająco głową.

- Ktoś go zastrzelił. Kiedy widziała go pani ostatni raz?

- Po przyjeździe do pracy, około dziewiątej. Jechaliśmy razem windą. Mój pokój jest piętro niżej od jego gabinetu. Powiedzieliśmy sobie „dzień dobry” i się rozstaliśmy.

Skye miała nadzieję, że jej mina nie zdradza drobnego kłamstwa. Kiedy przywitała Renauda, nie odezwał się, tylko zmiażdżył ją wzrokiem.

- Nie wie pani, czy miał wrogów?

Skye zawahała się. Podejrzewała, że inspektor celowo robi minę basseta, żeby uspic czujność przesłuchiwanym i wydobyć z nich zeznania, które ich obciążą. Jeśli rozmawiał wcześniej z innymi, to już wiedział, że Renauda nie cierpiał cały wydział. Gdyby teraz powiedziała co innego, zastanawiałby się, dlaczego skłamała.

- Renaud był dość kontrowersyjną postacią - odrzekła po chwili. - Wielu osobom nie podobał się jego sposób załatwiania różnych spraw.

- A pani?

- Należałam do tych, którzy uważali, że Renaud jest człowiekiem na niewłaściwym stanowisku.

Inspektor po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, mademoiselle. Mogę spytać, gdzie dokładnie pani była przed powrotem tutaj?

Skye podała mu nazwisko Darnaya i adres jego antykwariatu. Inspektor zapisał informacje i zapewnił ją, że to tylko rutynowa procedura. Potem otworzył drzwi samochodu i dał jej swoją wizytówkę.

- Dziękuję, mademoiselle Labelle. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli przypomni pani sobie coś w związku z tą sprawą.

- Tak, oczywiście. Mam jeszcze prośbę, panie inspektorze. Chciałabym wejść do mojego biura na drugim piętrze.

Dubois zastanawiał się przez moment.

- Dobrze, ale w towarzystwie jednego z moich ludzi - powiedział. Wysiedli z radiowozu, inspektor przywołał mundurowego, który wcześniej zatrzymał Skye, i polecił mu, żeby przeprowadził ją przez kordon. Mogło się wydawać, że na miejscu zbrodni zgromadziła się cała paryska policja. Renaud był kanalią, ale zarazem ważną figurą na uniwersytecie, toteż jego zabójstwo wywołało sensację.

W budynku pracowała ekipa śledcza. Technicy zdejmowali odciski palców, fotografowie robili zdjęcia. Skye poszła do swojego biura na drugim piętrze, policjant trzymał się tuż za nią. Weszła do pokoju i rozejrzała się. Choć wszystkie meble i papiery były na swoim miejscu, miała dziwne wrażenie, że coś się zmieniło.

Podeszła do biurka. Zawsze dbała o porządek. Przed wyjściem starannie układała książki i dokumenty. Teraz leżały trochę inaczej, jakby ktoś w pośpiechu czegoś szukał.

Ktoś tu był!

- Mademoiselle?

Policjant patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Zdała sobie sprawę, że się zamyśliła. Skinęła głową, otworzyła szufladę i wyjęła dokumenty. Wsunęła je pod pachę bez sprawdzania, czego dotyczą.

- Możemy iść - powiedziała z wymuszonym uśmiechem.

Opanowała nagłą chęć, by wybiec pędem, i próbowała iść normalnym krokiem, ale nogi miała jak z drewna. Widząc jej spokojną minę, nikt by się nie domyślał, że ma przyspieszone tętno, serce wali jej jak młotem, krew szumi w uszach. Myślała o tym, że ten sam człowiek, który grzebał w jej papierach, mógł zastrzelić Renauda.

Policjant odprowadził ją do blokady na ulicy. Podziękowała mu i ruszyła w stronę domu. Była oszołomiona i przechodziła przez jezdnię, nie patrząc w lewo ani w prawo, co w Paryżu graniczyło z samobójstwem. Nie zwracała uwagi na pisk opon, klaksony i głośne przekleństwa kierowców.

Zanim dotarła do rogu wąskiej ulicy, przy której mieszkała, uspokoiła się trochę. Zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, nie mówiąc inspektorowi, że ktoś przeszukał jej biuro. Ale obawiała się, że Dubois uzna ją za stukniętą paranoiczkę i wciągnie na listę podejrzanych.

Skye mieszkała przy ulicy Mouffetard na obrzeżach Dzielnicy Łacińskiej w dziewiętnastowiecznym budynku z mansardowym dachem. Lubiła tę ruchliwą okolicę z licznymi restauracjami, sklepami i ulicznymi jazzmanami. Starą rezydencję miejską przerobiono na trzy apartamenty. Skye zajmowała trzecie piętro. Ze swojego balkonu z balustradą z kutego żelaza mogła obserwować życie ulicy i patrzeć na wszechobecne paryskie kominy. Wbiegła szybko po schodach na górę. Otworzyła drzwi i doznała nagłej ulgi. W swoim mieszkaniu odzyskała poczucie bezpieczeństwa, ale natychmiast straciła je, kiedy weszła do salonu. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

Pokój wyglądał jak po wybuchu bomby. Na podłodze walały się poduszki z krzeseł i sofy, magazyny ilustrowane zrzucone ze stolika do kawy i książki wyciągnięte z półek. Kuchnia wyglądała jeszcze gorzej. Szafki były pootwierane, na podłodze leżały naczynia i potłuczone szkło. Poszła jak lunaticzka do sypialni. Zastała tam wyciągnięte i opróżnione szuflady, rozrzuconą pościel i rozpruty materac.

Wróciła do salonu i popatrzyła na bałagan. Zatrzęsła się z gniewu, że ktoś naruszył jej prywatność. Poczowała się jak zgwałcona. Złość zastąpił strach, gdy zdała sobie sprawę, że włamywacz może jeszcze być w mieszkaniu. Nie sprawdziła łazienki. Chwyliła pogrzebacz stojący przy kominku i nie odrywając oczu od drzwi łazienki, zaczęła się wycofywać z mieszkania.

Za jej plecami zaskrzypiała podłoga.

Skye odwróciła się szybko i uniosła pogrzebacz nad głowę.

- Coś takiego - mruknął zaskoczony Austin. Omal nie zemdlął. Opuściła pogrzebacz.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

- To ja powinienem cię przeprosić za to, że tak się skradałem. Drzwi były otwarte, więc wszedłem. - Zauważył jej bladość. - Wszystko w porządku?

- Tak. Od chwili, kiedy cię zobaczyłam.

Austin rozejrzał się po salonie.

- Nie wiedziałem, że w Paryżu zdarzają się tornada.

- Podejrzewam, że zrobił to zabójca Renauda.

- Renaud to ten facet, który był uwięziony z tobą pod lodowcem?

- Tak. Został dziś zastrzelony w swoim gabinecie.

Austin zacisnął zęby.

- Sprawdziłaś całe mieszkanie?

- Oprócz łazienki. I bałam się zajrzeć do szaf.

Wyjął z jej ręki pogrzebacz.

- Ubezpieczenie - powiedział. Poszedł do łazienki i wrócił po minucie.

- Jesteś paląca? - zapytał.

- Rzuciłam palenie lata temu. Dlaczego pytasz?

- Nie dziwię się, że się bałaś. - Pokazał jej niedopałek papierosa. - W wannie znalazłem całą stertę. Ktoś czekał, aż wrócisz do domu.

Wzdrygnęła się.

- Więc dlaczego zrezygnowałaś?

- Nie wiem, ale miałaś szczęście. Opowiedz mi o Renaudzie. Doprowadzili sofę do porządku, usiedli i Skye zrelacjonowała swoją wizytę na uniwersytecie.

- Może jestem głupia, ale moim zdaniem ten bałagan i rewizja w moim biurze mają związek z zabójstwem Renauda.

- Byłabyś głupia, gdybyś uważała, że nie mają związku. Czy coś stąd zginęło?

Rozejrzała się po salonie i pokręciła głową.

- Trudno mi powiedzieć. - Jej wzrok padł na automatyczną sekretarkę. - Dziwne. Kiedy wychodziłam z domu, były tylko dwie wiadomości. Teraz są cztery.

- Jedna jest ode mnie. Dzwoniłem zaraz po przyjeździe do Paryża.

- Ktoś musiał odsłuchać dwie ostatnie wiadomości, bo nie miga kontrolka.

Austin wcisnął przycisk odtwarzania i usłyszał własny głos. Mówił, że nie zastał jej w biurze, więc wpadnie do niej do domu. Wcisnął przycisk po raz drugi. Rozległ się głos Darnaya.

- Skye, tu Charles. Chciałbym zabrać hełm do mojej willi. To większe wyzwanie, niż się spodziewałem.

Skye zbladła.

- O Boże. Ten, kto na mnie czekał, usłyszał tę wiadomość.

- Kto to jest Charles? - zapytał Austin.
 - To mój przyjaciel. Antykwariusz. Handluje rzadką bronią i zbrojami. Zostawiłam u niego hełm, żeby go zbadał. Moment... - Wygrzebała z bałaganu notes adresowy i otworzyła na literze „D”. Kartka była wyrwana. Pokazała to Austinowi. - Ten ktoś wie, gdzie znaleźć Darnaya.

- Spróbuj go ostrzec.

Sięgnęła po telefon, wybrała numer i słuchała przez chwilę.

- Nikt nie odbiera. Co teraz zrobimy?

- Najlepiej zawiadomić policję. Zmarszczyła brwi.

- Charles nie byłby zachwycony. Robi interesy na granicy prawa, czasem nawet ją przekracza. Nigdy by mi nie wybaczył, gdyby przeze mnie zaczęła się nim interesować policja.

- A gdyby od tego zależało jego życie?

- Nie odbiera telefonu. Może go nie ma i niepotrzebnie się martwimy. Austin nie był takim optymistą, ale nie chciał marnować czasu na jałowe dyskusje.

- Gdzie ma antykwariat? Daleko stąd?

- Na prawym brzegu Sekwany. Dziesięć minut jazdy taksówką.

- Mam na dole samochód. Będziemy tam w pięć.

Wybiegli z mieszkania.

W oknie wystawowym antykwariatu było ciemno, drzwi zostały zaryglowane. Skye należała do szczupłego grona zaufanych osób, którym Darnay powierzył klucze. Otworzyła zamek i weszła z Austinem do środka. Spod zasłony oddzielającej biuro od sklepu sączyło się światło.

Austin ostrożnie odsunął kotarę i zobaczył dziwaczną scenę jak z gabinetu figur woskowych. Klęczący na podłodze siwy mężczyzna opierał podbródek na drewnianej skrzyni transportowej niczym skazaniec na moment przed ścięciem głowy. Miał potargane włosy, związane ręce i nogi, usta zaklejone taśmą samoprzylepną.

Nad nim stał jak kat oparty na długim oburęcznym mieczu wielki mężczyzna. Górną część jego twarzy zasłaniała czarna maska. Spojrzał na Austina i uśmiechnął się do niego. Ściągnął maskę, odrzucił na bok i uniósł obosieczny miecz nad karkiem Darnaya. Odbite światło zamigotało na ostrzu.

- Proszę zostać - powiedział. Miał zaskakująco cienki głos. - Jeśli wyjdziecie, wasz przyjaciel po prostu straci głowę.

Skye wbiła palce w ramię Austina, ale ledwo to zauważył. Pamiętał rysopis tego człowieka, znał go z opowiadań. Wiedział, że ma przed sobą fałszywego reportera, sprawcę zatopienia tunelu.

- Dlaczego mielibyśmy wychodzić? - odrzekł nonszalanckim tonem. - Dopiero co przyszliśmy.

Mężczyzna o nalanej twarzy uśmiechnął się, ale nie zmienił położenia miecza.

- Ten facet jest cholernie głupi - powiedział i zerknął na półkę ze starymi hełmami. - Nie chce mi zdradzić, który z tych garnków na głowę jest tym, którego szukam.

Darnay prawdopodobnie zawdzięczał życie swojemu uporowi, pomyślał Austin. Wie, że zginie, gdy tylko napastnik dostanie to, po co przyszedł.

- Na pewno każdy z nich będzie na ciebie pasował - podsunął usłużnie. Mężczyzna zignorował tę sugestię i utkwiał wzrok w Skye.

- Ty mi to powiesz. Jesteś ekspertem w tych sprawach.

- To ty zabiłeś Renauda, zgadza się? - zapytała.

- Nie żałuj go. On właśnie dał mi twój adres - odparł mężczyzna i uniósł miecz o kilka centymetrów. - Wskaż mi hełm znaleziony pod lodowcem i wszyscy będziecie wolni.

Mało prawdopodobne, pomyślał Austin. Wiedział, że jeśli zabójca Renauda zdobyłby hełm, zlikwidowałby wszystkich troje. Postanowił wykonać pierwszy ruch, mimo że zagrażało to życiu Darnaya. Spojrzał na topór bojowy na ścianie, zrobił szybko krok w tamtym kierunku i wyszarpnął broń z uchwytów.

- Proponuję, żebyś opuścił ten miecz - powiedział spokojnie.

- Na kark pana Darnaya? - zadrwił mężczyzna.

- Proszę bardzo - odparł Austin, obserwując go uważnie, żeby nie popełnić błędu. - Ale jeśli to zrobisz, twoja wielka łysa głowa potoczy się po podłodze obok jego głowy.

By wzmocnić efekt swoich słów, uniósł topór. Broń była prymitywna, ale budząca grozę. Miała wydłużoną głowicę ze stali węglowej i mogła być używana jako włócznia. Sterczący szpic przypominał ostry dziób bociana. Z głowicy wystawały metalowe osłony chroniące twarde drzewce.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę. Wyczuł pełną determinację w głosie Austina i wiedział, że jeśli zabije Darnaya lub Skye, będzie martwy. Musiał najpierw rozprawić się z Austinem, a potem zająć innymi. Austin oczekiwał natarcia, prowokował je. Wiedział z doświadczenia, że potężnie zbudowani faceci czasem lekceważą mniejszych przeciwników.

Mężczyzna postąpił krok w kierunku Austina, uniósł wysoko miecz i opuścił go szybkim ruchem. Austin nie był przygotowany na atak i zdał sobie natychmiast sprawę, że to on zlekceważył przeciwnika. Mimo wielkiego cielska ten człowiek poruszał się z kocią zwinnością. Refleks Austina zadziałał, zanim jego mózg zdążył zareagować na błysk stali w powietrzu. Wyrzucił do góry ramiona, trzymając topór poziomo przed sobą.

Ostrze miecza uderzyło w osłonę drzewca. Cios był potężny. Ramiona Austina przeszył ból spowodowany gwałtownego wstrząsem. Klinga zatrzymała się kilka centymetrów nad jego głową. Odepchnął miecz, zsunął rękę w dół drzewca i zamachnął toporem. Zrobił to z pełną pasją, przede wszystkim dlatego że walczył w obronie własnego życia. Ale była też inna przyczyna - po prostu zdecydowanie nie lubił faceta.

Ostrze zabójczej broni rozplątałoby osiłka, gdyby w porę nie dostrzegł, że Austin bierze zamach i nie odchylił się do tyłu. Austin zaczął zdawać sobie sprawę, że to starcie jest bardziej średniowiecznym pojedynkiem niż współczesną walką wręcz. Gdy zadał cios ciężkim toporem, siła odśrodkowa obróciła go o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Odrzucony do tyłu zaskakująco gwałtownym atakiem przeciwnik szybko odzyskał pewność siebie. Widząc, że Austin omal nie stracił równowagi przy wściekłym zamachu toporem, zmienił taktykę. Wysunął miecz przed siebie i zadał pchnięcie.

Postąpił sprytnie. Gdyby klinga wbiła się w ciało Austina na głębokość zaledwie kilku centymetrów, byłby martwy. Austin wciągnął brzuch, odskoczył do tyłu i odwrócił się bokiem do przeciwnika. Ostrze minęło uniesiony topór, ale rozdarło koszulę i przecięło skórę do krwi. Austin odbił miecz i dźgnął.

Zaczynał czuć topór. Broń była karabinem M-16 swojej epoki. Piechur mógł nią strącić kawalerzystę z konia, rozplątać jego zbroję i zakłuć go na śmierć. Długie drzewce dawało Austinowi przewagę i przekonał się teraz, że najbardziej zabójcze są krótkie cięcia i pchnięcia.

Osiłek też się czegoś uczył. Cofał się przed nacierającym Austinem i bezskutecznie uderzał mieczem w szpic topora. W końcu dotarł tyłem do stołu z wysokim stosem hełmów. Mając zablokowaną drogę odwrotu, uniósł miecz, by przejść do kontrataku. Austin nagle dźgnął. Przeciwnik wpadł na stół i hełmy posypały się na podłogę.

Mężczyzna potknął się o jeden z nich i omal nie stracił równowagi. Ryknął jak ranione zwierzę i rzucił się na Austina, wymachując mieczem na wszystkie strony. Trudno było przewidzieć, skąd padnie cios. Pot spływał Austinowi do oczu, utrudniając ocenę sytuacji. Austin cofał się przed gwałtownym atakiem, dopóki nie zatrzymała go ściana za plecami.

Widząc, że przeciwnik nie ma dokąd uciec, mężczyzna warknął triumfalnie, napiął wszystkie mięśnie i uniósł miecz do cięcia. Austin wiedział, że nie zdoła ani zablokować potężnego ciosu, ani zrobić uniku.

Przeszedł do natarcia. Rzucił się naprzód, trzymając topór w wyprostowanych rękach na wysokości jabłka Adama osiłka. Drzewce uderzyło poprzecznie w krtań mężczyzny. Wybałuszył oczy i wydał zduszony pomruk.

Austin przeprowadził atak, lecz znalazł się w niedogodnej dla siebie pozycji. Osilek z trudem łapał powietrze, ale warstwa tłuszczu wokół jego grubej szyi uchroniła tchawicę przed całkowitym zmiżdżeniem. Zdjął lewą dłoń z rękojeści miecza i chwycił drzewce topora. Austin spróbował uderzyć go w krtań po raz drugi. Nie udało się, więc szarpnął broń do tyłu, ale przeciwnik trzymał ją stalowym chwytem.

Austin uniósł kolano i kopnął go w krocze. Mężczyzna tylko stęknął. Musi mieć jądra ze stali, pomyślał Austin. Spróbował obrócić topór oburącz, żeby uwolnić go z dłoni napastnika. Ale ten puścił już miecz i złapał drzewce również prawą ręką. Walczyli jak dwaj chłopcy o kij baseballowy, ale tutaj pokonany miał wrócić do domu w trumnie.

Przeciwnik był cięższy i silniejszy. Zaciskał dłonie na wierzchu drzewca, co dawało mu dodatkową przewagę. Jego maniakalny uśmiech zmienił się w dziki rechot triumfu, gdy wyszarpnął Austinowi topór.

Austin zerknął dookoła. Na zapleczu antykwariatu było mnóstwo broni, ale poza jego zasięgiem. Osilek wyszczerzył zęby i zaczął nacierać. Austin cofał się, dopóki nie wpadł tyłem na ścianę. Przeciwnik uniósł topór do ciosu, który rozłupałby go na pół.

Austin spostrzegł, że tułów mężczyzny jest w tym momencie, odsłonięty, wykorzystał siłę swoich nóg i walnął go bykiem w brzuch. Osilek wydał odgłos jak ściśnięty miecz i wypuścił topór z rąk.

Austin stał w rozkroku, szykując się do zadania ciosu pięścią w nalaną twarz. Przeciwnik wyraźnie odczuł uderzenie głową, które zainkasował, był bledszy niż do tej pory i ledwo mógł oddychać.

Najwidoczniej zrezygnował z przyjemności posiekania Austina na kawałki, bo sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet z tłumikiem zamontowanym na lufie. Austinowi przeleciało przez głowę, że za chwilę trafi go pocisk z bliskiej odległości. Ale uśmiech zgasł nagle na twarzy mężczyzny, pojawił się na niej wyraz zaskoczenia. W jego prawym ramieniu, jak za sprawą magii, utkwiała pierzasta strzała. Pistolet wypadł mu z ręki.

Austin odwrócił się. Skye trzymała kuszę z następną strzałą i gorączkowo napinała cięciwę. Austin schylił się po pistolet. Mężczyzna spojrzał na niego, potem znów na Skye. Otworzył usta i zawył. Porwał z podłogi jeden z walających się tam hełmów, rzucił się do wyjścia, odsunął gwałtownie kotarę i wypadł z zaplecza antykwariatu.

Austin ostrożnie ruszył za nim, z pistoletem w dłoni. Usłyszał dzwonek przy drzwiach, ale zanim znalazł się na ulicy, mężczyzna zniknął. Austin wrócił do sklepu i zaryglował za sobą drzwi. Skye zdążyła już przeciąć więzy krępujące Darnaya.

Austin pomógł mu wstać. Antykwariusz był posiniaczony i nogi miał zdrętwiałe od klęczenia, ale poza tym nic mu się nie stało. Austin odwrócił się do Skye.

- Nigdy mi nie mówiłaś, że tak celnie strzelasz z kuszy. Sprawiała wrażenie oszołomionej.
- Nie mogę uwierzyć, że go trafiłam - powiedziała. - Zamknęłam oczy i po prostu strzeliłam w jego kierunku. - Zauważyła zakrwawioną koszulę Austina. - Jesteś ranny.
- To tylko draśnięcie, ale ktoś jest mi winien nową koszulę.
- Bardzo dobrze wymachiwał pan fauchardem - pochwalił Darnay, kiedy już otrzepał z kurzu łokcie i kolana.
- O czym pan mówi? - zapytał Austin.

- O toporze, którym tak zręcznie pan wywijał. To fauchard, piętnastowieczna broń podobna do glaive. W średniowieczu próbowano wprowadzić zakaz jej używania, bo zadawała straszliwe rany. Wygląda pan na zaskoczonego.

- Bo ostatnio ciągle słyszę to słowo.

- Ta rozmowa o broni jest fascynująca - wtrąciła się Skye - ale może ktoś mi powie, co robimy dalej?

- Możemy wezwać policję - powiedział Austin.

- Wolałbym nie zapraszać tutaj żandarmów. - Darnay wyraźnie się zaniepokoił. - Niektóre moje interesy...

- Skye mówiła mi - przerwał mu Austin. - Ale ma pan rację; policja może nie uwierzyć w opowieść o wielkim złym facecie, który zaatakował nas mieczem.

Antykwarek odetchnął z ulgą i popatrzył na bałagan, jaki powstał na zapleczu.

- Nigdy bym nie pomyślał, że w moim sklepie rozegra się powtórka bitwy pod Agincourt.

Skye oglądała rozrzucone hełmy.

- Nie ma go tutaj - powiedziała zdumiona.

Darnay uśmiechnął się, podszedł do ściany i nacisnął panel. Prostokątna część boazerii obróciła się i odsłoniła duży sejf. Antykwarek otworzył go, ustawivszy szybko zamek szyfrowy, sięgnął do środka i wyjął hełm Skye.

- Ten drobiazg wzbudza wiele emocji - zauważył.

- Przepraszam, że cię w to wplątałam - odrzekła Skye. - Ten straszny typ czekał na mnie w moim mieszkaniu i usłyszał twoją wiadomość telefoniczną. Nie przypuszczałam...

- To nie twoja wina. Jak powiedziałem przez telefon, muszę dokładnie zbadać ten okaz. Pomyślałem, że może ze względu na bezpieczeństwo lepiej będzie, jeśli zamknę sklep na jakiś czas i zacznę prowadzić interesy w mojej willi w Prowansji. Chciałbym cię tam zabrać. Będę się martwił o ciebie, dopóki ten gros cochon jest na wolności.

Skye zastanawiała się przez chwilę.

- Dzięki, ale mam za dużo pracy, nie mogę wyjechać. Po śmierci Renauda na moim wydziale zapanuje straszny chaos. Zatrzymaj hełm, jak długo będziesz chciał.

- Dobrze, ale w takim razie przenocuj w moim mieszkaniu.

- Może jednak przyjmiesz propozycję pana Darnaya - wtrącił się Austin. - Możemy przemyśleć sytuację jutro rano.

Skye zastanowiła się raz jeszcze i powiedziała, że najpierw musi wrócić do siebie po ubrania na zmianę. Austin kazał jej poczekać w holu i upewnił się, że w mieszkaniu jest bezpiecznie. Nie bardzo wierzył, co prawda, żeby jej prześladowca chciał działać dalej ze strzałą z kuszy w ramieniu, ale wielki facet wydawał się odporny na ból i zdolny do wszystkiego.

Skye kończyła pakowanie, kiedy zadzwoniła komórka Austina.

Rozmawiał z kimś przez chwilę, potem wyłączył się i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- O wilku mowa. Odezwała się sekretarka Racine Fauchard. Jutro mam audiencję u wielkiej damy.

- Fauchard? Zauważyłam twoją reakcję, kiedy Darnay mówił o toporze. O co tu chodzi?

Austin zrelacjonował krótko swoją wizytę w muzeum lotnictwa i wyjaśnił związek między Lodowym Człowiekiem a rodziną Fauchardów. Skye zapięła torbę podróżną.

- Jadę z tobą.

- Niezbyt dobry pomysł - zaproponował. - To może być niebezpieczne. Roześmiała się.

- Niebezpieczne? Spotkanie ze starszą panią?

- Wiem, że to głupio brzmi - odrzekł Austin - ale wydaje się, że ta cała sprawa, ciało w łodzi, hełm i ten typ, który zabił Renauda, ma coś wspólnego z Fauchardami. Nie chcę, żebyś się w nią uwikłała.

- Już jestem w nią uwikłana, Kurt. To ja byłam uwięziona pod lodowcem. To moje mieszkanie i biuro przetrząsnął tamten facet, najwyraźniej poszukując hełmu, który zabrałam spod lodowca. To mój przyjaciel zostałby zamordowany, gdyby nie ty. - Skrzyżowała ręce na piersi. - A poza tym jestem ekspertem od broni i moja wiedza może ci się przydać.

- Przekonujące argumenty - przyznał Austin i rozważył wszystkie „za” i „przeciw”. - W porządku. Zrobimy tak. Przedstawię cię jako moją asystentkę. Wystąpisz pod fałszywym nazwiskiem.

Skye cmoknęła go w policzek.

- Nie będziesz tego żałował.

- Mam nadzieję - odrzekł Austin sceptycznym tonem, choć wiedział, że Skye w kilku kwestiach ma rację.

Była atrakcyjną kobietą i czasu spędzonego w jej towarzystwie nigdy nie nazwałby straconym. Nie miał dowodu na to, że istnieje związek między Fauchardami a jego niedawnym przeciwnikiem, którego nazywał w myślach Knedlem. Ale wciąż pamiętał ostrzeżenie Grosseta, żeby zachował wielką ostrożność w kontaktach z rodziną Fauchardów. Wciąż dźwięczały w jego głowie, jak dzwon bijący nocą na alarm, tamte słowa:

„Mówi się, że mają przeszłość”.

16

Wylądowana po brzegi ciężarówka sunęła wiejską drogą. Kierowca, hodowca drobiu, śpiewał rzewną wersję *Le Souvenir*, gdy przednią szybę nagle przesłoniła czerwona plama i kabinę samochodu wypełnił ogłuszający huk. Szarpnął kierownicę w prawo i przód pojazdu wpadł do rowu odwadniającego. Ciężarówka uderzyła w jego brzeg, drewniane klatki posypały się na ziemię i roztrzaskały na kawałki, uwalniając setki piszczących kurczaków. Hodowca wyskoczył z kabiny i pogroził pięścią pilotowi czerwonego samolotu z emblematem orła na ogonie. Potem rzucił się do ucieczki w obłoku fruujących piór, kiedy maszyna jeszcze raz przeleciała nad ciężarówką.

Samolot wzbił się do góry i wykonał triumfalną beczkę. Pilot tak się trząsł ze śmiechu, że omal nie stracił panowania nad sterami. Otarł rękawem łzy, po czym zszedł niżej nad winnice, które rozciągały się we wszystkich kierunkach na obszarze setek hektarów. Przesunął włącznik i wypuścił chmurę rozpylonych pestycydów z dwóch pojemników pod skrzydłami, potem przechylił maszynę w skręcie. Winnice zostały z tyłu, pojawił się gęsty las otoczony ciemnymi jeziorami, nadającymi krajobrazowi w dole melancholijny wygląd.

Samolot leciał nad wierzchołkami drzew w kierunku czterech odległych wież na zalesionym wzgórzu, które wznosiły się w narożnikach grubego muru obronnego z blankami na szczycie. Otaczała go szeroka fosa wypełniona zieloną wodą, a wokół niej rozciągały się wielkie ogrody francuskie.

Samolot przeleciał nad dachem okazałego zamku stojącego w obrębie murów obronnych, potem nad lasem, wylądował na trawiastym lotnisku i podkołował do jaguara zaparkowanego na skraju pasa startowego. Kiedy pilot wy dostał się z kokpitu, jakby spod ziemi wyłoniła się obsługa naziemna i wpełchnęła maszynę do małego kamiennego hangaru.

Emil Fauchard zignorował swoich mechaników i ruszył sprężystym krokiem w stronę samochodu. Pod czarnym skórzanym kombinezonem lotniczym przeżyły się jego mocne mięśnie. Zdjął gogle i rękawice i oddał je czekającemu kierowcy. Wciąż chichotał na wspomnienie miny rolnika prowadzącego ciężarówkę. Usadowił się wygodnie na tylnym siedzeniu i nalał sobie kieliszek koniaku z barku w limuzynie.

Fauchard miał klasyczne rysy gwiazdora filmu niemego. Rodzina Barrymore byłaby dumna z jego profilu. Ale mimo fizycznej doskonałości wywierał odpychające wrażenie. Zimne, aroganckie spojrzenie ciemnych oczu przypominało wzrok kobry. Wyglądał jak marmurowy posąg, w który tchnięto życie, ale nie człowieczeństwo.

Miejscom rolnicy szeptali, że Fauchard zawarł pakt z diabłem. Inni mówili, że sam może być diabłem. Bardziej zabobonni nie ryzykowali, odwracali wzrok na jego widok i żegnali się.

Jaguar przejechał przez długi tunel, który tworzyły nad drogą korony drzew, potem przez most nad fosą i wjechał bramą w murze na rozległy brukowany dziedziniec.

Rezydencja Fauchardów była budowlą w feudalnym stylu i brakowało jej architektonicznej finezji renesansowych zamków. W narożnikach wznosiły się średniowieczne wieże podobne do tych w murze obronnym. Niektóre otwory strzelnicze zastąpiono dużymi oknami, tu i tam dodano ozdobne płaskorzeźby. Ale ta kosmetyka nie mogła zmienić militarnego charakteru wielkiej, przysadzistej budowli.

Przy podwójnych rzeźbionych drzwiach frontowych pełnił wartę tęgi mężczyzna z ogólną głową i twarzą buldoga. Jakimś cudem udało mu się wcisnąć ciało przypominające kształtem lodówkę w czarny garnitur kamerdynera.

- Pańska matka jest w zbrojowni - powiedział ochryłym głosem. - Czekam na pana.
- Jestem tego pewien, Marcel - odrzekł Emil i wyminął lokaja.

Marcel dowodził małą armią, która otaczała matkę Faucharda jak gwardia pretoriańska. Nawet Emil nie mógł się do niej zbliżyć bez wiedzy jej służących, z których każdy przypominał wyglądem bandziora. Wielu członków jej straży przybocznej, pełniących funkcje wykonywane normalnie przez służbę domową, było niegdyś egzekutorami francuskich gangów, choć wołała byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej, takich jak Marcel. Większość z nich trzymała się w ukryciu, ale Emil zawsze czuł ich obecność; nie widział ich, ale wiedział, że go obserwują. Nie cierpiał ochroniarzy matki. Czuł się przez nich jak ktoś obcy we własnym domu. Co gorsza, nie miał nad nimi żadnej władzy.

Wszedł do przestronnego westybulu ozdobionego wspaniałymi gobelinami i pomaszzerował wzdłuż galerii porterów wiszących na ścianie. Zdawała się ciągnąć bez końca. Emil prawie nie patrzył na podobizny swoich przodków. Te setki twarzy znaczyły dla niego nie więcej niż twarze na znaczkach pocztowych. Nie obchodziło go również to, że wielu z nich zginęło gwałtowną śmiercią w tych właśnie murach. Fauchardowie mieszkali w zamku od wieków, odkąd zamordowali jego poprzedniego właściciela. Niemal w każdej spiżarni, sypialni i jadalni został kiedyś uduszony, zasztyletowany albo otruty ktoś z członków rodziny lub jej wrogów. Gdyby zamek nawiedzały duchy ofiar zabójstw, w korytarzach rozległej budowli panowałby niezły tłok.

Emil wkroczył do zbrojowni, wielkiej sali z wysokim sklepieniem. Na ścianach wisiała broń z różnych okresów, od ciężkich mieczy z brązu do karabinów automatycznych, pogrupowana według epok. Na środku szarżujący rycerze konni w pełnych zbrojach atakowali niewidzialnego przeciwnika. Ogromne witrażowe okna przedstawiały wojowników zamiast świętych, ale stwarzały coś w rodzaju religijnej atmosfery, jakby zbrojownia była świątynią poświęconą przemocy.

Emil wszedł do sąsiedniej sali, biblioteki historii wojskowości. Światło wpadające przez ośmiokątne okno oświetlało wielkie mahoniowe biurko stojące pośrodku. Jakby dla kontrastu z militarnym otoczeniem mebel zdobiły rzeźbione kwiaty i leśne nimfy. Za biurkiem siedziała kobieta w ciemnym kostiumie i przeglądała stos papierów.

Racine Fauchard, choć już niemłoda, była wciąż uderzająco piękna. Miała drobne zmarszczki, ale cerę bez skazy i figurę modelki; w przeciwieństwie do wielu kobiet, które garbią się z wiekiem, trzymała się prosto jak struna. Niektórzy porównywali jej profil do słynnego popiersia Nefretete. Inni mówili, że wygląda jak ornament na masce zabytkowego samochodu. Ci, którzy widzieli japo raz pierwszy, domyślali się po jej srebrzystych włosach, że jest w średnim wieku.

Madame Fauchard podniosła wzrok i spojrzała na syna oczami koloru polerowanej stali.

- Czekałam na ciebie, Emilu - powiedziała. Mówiła cicho, ale autorytatywnym tonem.

Fauchard opadł na czternastowieczne krzesło obite skórą, warte więcej niż wielu ludzi zarabia w ciągu dziesięciu lat.

- Przepraszam, mamó - odrzekł z beztroską miną. - Opylałem fokkerem winnice.

- Słyszałam grzechot dachówek. - Racine uniosła kształtne brwi. - Ile krów i owiec wystraszyłeś tym razem?

- Żadnej - odparł z uśmiechem zadowolenia. - Ale zaatakowałem konwój i uwolniłem alianckich jeńców. - Na widok jej zaskoczonej miny wybuchnął śmiechem. - Żartuję. To była ciężarówka z kurczakami. Wpadła do rowu.

- Twoje popisy w powietrzu są bardzo zabawne, Emilu, ale mam już dosyć płacenia tutejszym wieśniakom odszkodowań za twoje wyczyny. Są dużo poważniejsze sprawy, które zasługują na twoją uwagę. Na przykład przyszłość imperium Fauchardów.

Emil usłyszał lodowaty ton w głosie matki i usiadł prosto jak niesforny uczeń zbesztany za wygłupy.

- Wiem, mamó. To po prostu mój sposób na wyzycie się. W powietrzu lepiej mi się myśli.

- Mam nadzieję, że myślisz o tym, jak uporać się z zagrożeniami dla naszej rodziny i o swoim stylu bycia. Jesteś spadkobiercą tego wszystkiego, co Fauchardowie budowali przez wieki. Nie powinieneś tego lekceważyć.

- I nie lekceważę. Musisz przyznać, że rozwiązaliśmy kłopotliwy problem. Zniknął pod tysiącami ton lodu. Racine odsłoniła w lekkim uśmiechu zęby gwiazdy filmowej.

- Wątpię, czy Jules'owi spodobałoby się to, że nazwałeś go „kłopotliwym problemem”. Sebastian nie zasługuje na zaufanie. Przez jego nieudolność omal nie straciliśmy relikwii na zawsze.

- Nie wiedział, co jest pod lodowcem. Miał zdobyć kasetkę.

- Niepotrzebnie się trudził. - Otworzyła podniszczoną metalową skrzyneczkę na biurku. Kompromitujące dokumenty w środku dawno zniszczyła woda.

- Nie wiedzieliśmy o tym. Zignorowała usprawiedliwienie.

- Ani o tym, że tamta kobieta archeolog uciekła z relikwią. Musimy odzyskać hełm. Od tego zależy teraz sukces całego naszego przedsięwzięcia. Sprawa na Sorbonie została załatwiona fatalnie. Zajęła się tym policja. Potem Sebastian zmarnował następną okazję do odebrania naszej własności. Hełm, który zabrał z antykwariatu, to tani chiński falsyfikat, rekwizyt teatralny.

- Staram się...

- Przestań się starać i zacznij działać. Nasza rodzina nigdy nie pozwalała sobie na żadne porażki. Nie możemy okazywać słabości, bo nas zniszczą. Sebastian jest dla nas niebezpieczny. Ktoś mógł go widzieć na Sorbonie. Zajmij się tym.

Emil skinął głową.

- Załatwię to.

Racine wiedziała, że jej syn kłamie. Sebastian był jak mastyf wyszkolony do zabijania i lojalny tylko wobec Emila. Nie mogła tolerować takiej sytuacji z bardzo prostej przyczyny: więzy rodzinne jeszcze nigdy nie przeszkodziły nikomu z Fauchardów w dokonaniu zabójstwa, kiedy stawką były władza i majątek.

- Byle szybko.

- Dobrze. Na razie nasza tajemnica jest bezpieczna.

- Bezpieczna?! Przypadkowe odkrycie omal nas nie zdemaskowało. Klucz do przyszłości rodziny jest w obcych rękach. Boję się myśleć, ile jeszcze pól minowych może być wokół nas. Bierz przykład ze mnie. Kiedy jeden z moich chemików, doktor MacLean, zaczął chodzić własnymi drogami, sprowadziłam go z powrotem prawie bez żadnego zamieszania.

Emil zachichotał.

- Ale to ty mammo zaaranżowałaś „wypadki”, w których zginęli wszyscy naukowcy pracujący nad projektem oprócz niego, zanim skończyli swoją robotę.

Racine posłała mu lodowate spojrzenie.

- Przeliczyłam się. Nigdy nie twierdziłam, że jestem nieomylna. Umieć przyznać się do własnych błędów i naprawić je to oznaka dojrzałości. Doktor MacLean już pracuje nad wzorem chemicznym. Musimy odzyskać relikwię, żeby nasza rodzina znów była w komplecie. Robisz jakieś postępy?

- Ten antykwariusz, Darnay, zniknął. Próbujemy go wytropić.

- A co z tą archeolog?

- Wygląda na to, że wyjechała z Paryża.

- Szukaj jej. Wysłałam w teren moich osobistych agentów, żeby ją znaleźli. Musimy działać dyskretnie. Pojawiło się zagrożenie dla naszego największego przedsięwzięcia. Instytut Oceanograficzny Woods Hole i NUMA badają Zaginione Miasto.

- Kurt Austin, ten człowiek, który uratował ludzi spod lodowca, pracuje w NUMA. Ma z tym coś wspólnego?

- Nic o tym nie wiem - odrzekła Racine. - Kiedy pojawił się na scenie, wspólna ekspedycja już trwała. Obawiam się, że mogą odkryć rezultaty naszej pracy i zaczną się pytania.

- Nie możemy na to pozwolić.

- Zgadzam się z tym. Dlatego wpadłam na pewien pomysł. Zaplanowali kilka zanurzeń pojazdu głębinowego „Alvin”. Zniknie w czasie pierwszego.

- Czy to mądre posunięcie? Zorganizują wielką akcję poszukiwawczo-ratowniczą. Zaroi się tam od nurków i reporterów.

Racine uśmiechnęła się ponuro.

- Owszem, jeżeli ktoś zgłosi zaginięcie „Alvina”. Ale zanim ktokolwiek zdąży to zrobić, statek wsparcia też zniknie. Z całą załogą. Będą mieli do przeszukania tysiące mil kwadratowych oceanu.

- Zniknięcie statku z załogą? Zawsze podziwiałem twoje zdolności, mamó, ale nie wiedziałem, że znasz magię.

- Ucz się ode mnie. Wykorzystaj porażkę jako odskocznię do sukcesu. Do Zaginionego Miasta płynie statek z ładownią pełną naszych „błędów”. Jest zdalnie sterowany z odległości kilku mil morskich przez inną jednostkę. Zarzuci kotwicę w pobliżu punktu zanurzenia batyskafu. Gdy pojazd głębinowy zostanie spuszczonej do wody, statek badawczy odbierze sygnał SOS z naszego frachtowca, meldunek o pożarze na pokładzie. Wyśle łódź, żeby to sprawdzić. Załogę łodzi przywitają nasze wygłodniałe ślicznotki. Kiedy skończą swoją robotę, frachtowiec podpłyne do statku badawczego i eksplodują zdalnie zdetonowane ładunki wybuchowe. Obie jednostki znikną. Nie będzie żadnych świadków. Nie chcemy powtórki sytuacji z tamtą ekipą telewizyjną, prawda?

- To była prawie katastrofa - przyznał Emil.

- Prawdziwe reality-show - powiedziała Racine. - Mielśmy szczęście, że jedyną ocalałą uznano za bredzącą wariatkę. Jeszcze jedno. Kurt Austin poprosił mnie o spotkanie. Powiedział, że chodzi o zwłoki w lodowcu, że ma informacje, które mogą zainteresować naszą rodzinę.

- Wie coś o Julesie?

- Zobaczymy. Zaprosiłam go tutaj. Jeśli okaże się, że wie za dużo, oddam go w twoje ręce.

Emil wstał, okrążył biurko i cmoknął matkę w policzek. Racine patrzyła, jak jej syn wychodzi ze zbrojowni, i pomyślała, że jest prawdziwym Fauchardem. Błyskotliwy, okrutny, sadystyczny, niebezpieczny i chciwy. Jak jego ojciec. I podobnie jak ojciec pozbawiony zdrowego rozsądku i porywczy. Te właśnie cechy zdecydowały o tym, że Racine przed laty zabiła męża, kiedy omal nie pokrzyżował jej planów.

Emil chciał ją naśladować, ale obawiała się o przyszłość imperium Fauchardów i swoje starannie układane plany. Wiedziała też, że syn nie zawaha się jej zabić, gdy przyjdzie na to czas. Między innymi dlatego nie zdradzała mu prawdziwej wartości hełmu. Niechętnie pozbyłaby się swojego jedynego dziecka, ale trzeba być ostrożnym, kiedy wyhodowało się żmiję na własnej piersi.

Podniosła słuchawkę telefonu. Musiała odszukać właściciela kurzej fermy, którego Emil zepchnął z drogi, i wynagrodzić mu straty finansowe i moralne.

Westchnęła ciężko i pomyślała, że obowiązki matki nigdy się nie kończą.

17

Spokojne morze i dobra pogoda sprawiły, że statek badawczy „Atlantis” szybko pokonał dystans między Azorami i Grzbietem Śródatlantyckim i rzucił kotwicę nad podwodną górą nazywaną Masywem Atlantyckim. Wzniesienie wyrasta stromo z dna oceanu w odległości około tysiąca pięciuset mil morskich na wschód od Bermudów i dokładnie na południe od Azorów. W odległej przeszłości masyw wystawał z oceanu, ale obecnie jego płaski szczyt znajduje się jakieś siedemset sześćdziesiąt metrów pod powierzchnią.

„Alvin” miał się zanurzyć następnego dnia rano. Po kolacji Paul i Gamay spotkali się z innymi naukowcami na pokładzie, żeby przedyskutować program badań. Postanowiono pobrać próbki skał, minerałów i roślin z rejonu wokół Zaginionego Miasta i sfilmować możliwie jak najwięcej.

Członkowie Grupy Alvin, siedmioosobowego zespołu pilotów i inżynierów, wstali o świcie i przed szóstą zaczęli kontrolę przedzanurzeniową według czternastostronicowej listy. Do siódmej otaczali batyskaf i sprawdzali akumulatory, elektronikę i inne systemy oraz przyrządy. Załadowali do pojazdu głębinowego aparaty fotograficzne, kamery wideo, prowiant i ciepłe ubrania dla pilota i naukowców.

Potem umocowali na zewnątrz kadłuba stopy żelaznych sztab, żeby obciążony batyskaf osiadł na dnie. Podróż „Alvina” na dół była bardziej swobodnym opadaniem niż klasycznym zanurzeniem. W odpowiednim momencie pojazd miał zrzucić balast i wypłynąć na powierzchnię. Ze względu na wymogi bezpieczeństwa ramiona manipulatorów można było odłączyć, gdyby się w coś zaplątały, a fiberglasowy kadłub zewnętrzny odstrzelić, jeśli pojawiłyby się jakieś problemy, żeby część pasażerska mogła samodzielnie się wynurzyć. Na wszelki wypadek załoga miała zapas tlenu i prowiantu na siedemdziesiąt dwie godziny.

Paul Trout był doświadczonym rybakim i dobrze znał kapryśną naturę oceanu. Sprawdził prognozę pogody, ale bardziej polegał na instynkcie i własnej wiedzy. Obserwował niebo i morze z pokładu „Atlantisa”. Poza kilkoma pasmami cirrusów niebo było bezchmurne, powierzchnia wody spokojna niemal jak w wannie. Mieli idealne warunki do zanurzenia.

Gdy tylko się rozwidniło, zespół zanurzeniowy opuścił na dno oceanu w rejonie operacyjnym „Alvina” dwa transpondery. Wysyłały sygnały dźwiękowe, które umożliwiały pilotowi batyskafu określenie swojej pozycji w ciemnym podwodnym świecie bez znaków drogowych, gdzie zwykle techniki nawigacji nawodnej były praktycznie bezużyteczne.

Gamay stała obok i rozmawiała przez telefon z doktorem Osbornem o ostatnich zdjęciach satelitarnych warstwy wodorostu Gorgona.

- Glon rozprzestrzenia się szybciej, niż przypuszczaliśmy - powiedział Osborne. - Rozległe masy przemieszczają się w kierunku naszego wschodniego wybrzeża. Plamy zaczynają się pojawiać na Pacyfiku.

- Za chwilę „Alvin” opuści się na dół - poinformowała go Gamay. - Morze jest spokojne, więc widoczność pod powierzchnią powinna być dobra.

- Miejmy nadzieję - odrzekł Osborne. - Wypatrujcie uważnie miejsc rozrostu. Źródło może nie być łatwo widoczne.

- Kamery będą pracowały przez cały czas - odparła Gamay. - Może zobaczymy coś na zdjęciach. Przyślę ci je, jak tylko będziemy coś mieli.

Wyłączyła się i powtórzyła słowa Osborne'a Paulowi. Nadszedł czas, żeby ruszać. Na rufie statku zebrał się tłum obserwatorów. Szpakowaty, muskularny mężczyzna podszedł do Troutów i życzył im powodzenia. Charlie Beck był szefem grupy, która szkoliła załogę statku w zakresie bezpieczeństwa.

- Trzeba mieć dużo odwagi, żeby zejść na dno w czymś takim - powiedział. - W pojazdach transportowych SEAL zawsze miałem klaustrofobię.

- Będzie trochę ciasno - odrzekła Gamay - ale to tylko kilka godzin. Batyskaf trzymano w specjalnym hangarze na pokładzie rufowym statku.

Teraz otwarto drzwi i „Alvin” wyłonił się zza nich. Sunął po szynach ku rufie, w końcu zatrzymał się pod dźwigiem w kształcie litery „A”. Troutowie wraz z pilotką wspięli się po schodkach i wąskim pomostem doszli do czerwonego kiosku pojazdu. Zdjęli buty i precyzyjnie się przez półmetrowy właz.

Dwaj nurkowie wdrapali się na batyskaf i przyczepili doń zwisającą z dźwigu linę wciągarki. Za burtę statku opuszczono małą łódź pneumatyczną. Operator w „psiej budzie”, jak nazywano kabinę na szczycie hangaru, uruchomił dźwig, który uniósł osiemnastotonowy pojazd głębinowy z pokładu i opuścił go do wody. Dwaj nurkowie pozostali jeszcze na batyskafie. Usunęli liny zabezpieczające kosz narzędziowy na dziobie pojazdu, sprawdzili po raz ostami „Alvina” i pożegnali się przez właz z pasażerami. Potem popłynęli do pontonu, skąd miano ich zabrać z powrotem na statek.

Troutowie i pilotka zajęli miejsca w ciasnym kokpicie, tytanowej kuli o średnicy dwustu ośmiu centymetrów. Jej wnętrze wypełniały panele z włącznikami napędu, obsługi balastu, monitorami ilości tlenu i poziomu dwutlenku węgla oraz innymi przyrządami. Pilotka usiadła na lekko podwyższonym fotelu, z którego mogła sterować batyskafem za pomocą znajdującego się przed nią joysticka.

Troutowie, siedząc po obu stronach kobiety, na poduszkach, które zapewniały zaledwie minimum komfortu mieli dla siebie niewiele miejsca. Mimo to Paul był mocno podekscytowany. Gdyby nie wrodzona powściągliwość człowieka z Nowej Anglii, krzyczałby z radości. Geolog morski czuł się lepiej w ciasnej kabine batyskafu niż w luksusowej kajucie „Queen Elizabeth II”.

„Alvina” skonstruowano w roku 1964 dla Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Dzięki swoim sukcesom stał się najśłynniejszym batyskafem na świecie. Mały pękaty pojazd o długości siedmiu metrów i sześćdziesięciu centymetrów i dźwięcznym imieniu wiewiórki ziemnej mógł schodzić na głębokość prawie czterech tysięcy trzystu metrów. Międzynarodowy rozgłos zyskał po odnalezieniu zaginionej bomby wodorowej u wybrzeży Hiszpanii. „Alvin” przewiózł także pierwsze osoby odwiedzające wrak „Titanica”.

Niełatwo było uzyskać miejsce w tym słynnym pojeździe podwodnym. Trout miał prawo uważać się za wielkiego szczęściarza. Gdyby nie priorytetowy charakter ekspedycji, mógłby długo czekać na taką okazję, choć miał imponujące listy polecające z NUMA i rozległe znajomości.

Pojazd pilotowała Sandy Jackson, biolog morski z południowej Kalifornii. Jej przeciągły akcent, zwięzłe wypowiedzi i spokojne zachowanie przywodziły na myśl legendarną kobietą lotnika, Jacqueline Cochran. Sandy przekroczyła trzydziestkę, była szczupła i umięśniona jak maratończyk. Miała na sobie dżinsy i wełniany sweter, włosy koloru surowej marchwi upchnęła pod jasnobrązową czapkę baseballową z napisem Alvin, którą nosiła granatowym daszkiem do tyłu.

Gamay włożyła na podwodną wyprawę wygodny, jednoczęściowy kombinezon. Paul nie widział powodu, żeby zmieniać swoje przyzwyczajenia, ubrał się jak zawsze nienagannie. Był w spranych dżinsach szytych na miarę, eleganckiej koszuli z przypinanym kołnierzykiem i wielką kolorową muszką w koniki morskie, którą wybrał na tę okazję ze swojej bogatej kolekcji. Miał kurtkę lotniczą z najlepszej włoskiej skóry. Jasnobrązowe włosy z precyzyjnym przedziałkiem na środku i zaczesane na skroniach do tyłu nadawały mu wygląd postaci z powieści F. Scotta Fitzgeralda.

- To łatwa wyprawa - powiedziała Sandy, kiedy zbiorniki balastowe wypełniły się wodą i batyskaf zaczął schodzić na głębokość siedmiuset sześćdziesięciu metrów. - „Alvin” zanurza się w tempie około trzydziestu metrów na minutę, co oznacza, że będziemy na dnie za niecałe pół godziny. Gdybyśmy schodzili na maksymalną głębokość jego zanurzenia, czyli prawie

cztery tysiące sześćset metrów, opadanie trwałoby półtorej godziny. W drodze na dół zwykle puszcza muzykę klasyczną, a z powrotem soft rock. Ale to zależy od was.

- Mozart stworzyłby chyba odpowiedni nastrój - odparła Gamay.

Po chwili kabinę wypełniły rytmiczne dźwięki koncertu fortepianowego.

- Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi - poinformowała Sandy po piętnastu minutach.

Trout uśmiechnął się szeroko.

- Nie mogę się doczekać widoku podwodnej metropolii.

Kiedy „Alvin” schodził w głąb morza, „Atlantis” zataczał powoli krąg wokół rejonu zanurzenia. Załoga i naukowcy zebrali się w górnym laboratorium między mostkiem a kabiną nawigacyjną, gdzie monitorowano przebieg podwodnej wyprawy.

Sandy złożyła meldunek przez telefon akustyczny i potwierdziła otrzymanie zniekształconej odpowiedzi.

- Co wiecie o Zaginionym Mieście? - zapytała Troutów.

- Czytałam, że zostało przypadkowo odkryte w roku 2000 i było to pełne zaskoczenie - odrzekła Gamay.

Sandy skinęła głową.

- Zaskoczenie to za słabo powiedziane. Był to dla nas szok. Płynęliśmy statkiem badawczym, ciągnęliśmy na holu „Argo II” i szukaliśmy aktywności wulkanicznej na grzbiecie śródoceanicznym. Około północy szef drugiej zmiany zobaczył na monitorach wideo kształty podobne do zmrożonych białych choinek bożonarodzeniowych i zdał sobie sprawę, że natrafiliśmy na zjawisko hydrotermalne. Rejon wyglądał inaczej niż inne takie miejsca. Wiadomość rozeszła się błyskawicznie, wszyscy na statku stłoczyli się przed ekranami. Potem pojawiły się wieże.

- Słyszałem wypowiedź pewnego naukowca, że gdyby Zaginione Miasto leżało na lądzie, byłoby parkiem narodowym - powiedział Trout.

- Najważniejsze nie było to, co znaleźliśmy, tylko gdzie. Większość odkrytych wcześniej otworów termalnych, na przykład „dymiące kominy”, znajduje się blisko grzbietów śródoceanicznych uformowanych przez ruchy tektoniczne. Zaginione Miasto jest odległe o dziewięć mil morskich od najbliższego centrum wulkanicznego. Następnego dnia wysłaliśmy na dół „Alvina”.

- Podobno niektóre kolumny mają wysokość prawie dwudziestu pięter - odezwał się znów Trout.

Sandy włączyła reflektory zewnętrzne i zerknęła przez bulaj.

- Zobaczcie sami.

Paul i Gamay wyjrżeli przez okrągłe okna. Widzieli zdjęcia i filmy z Zaginionego Miasta, ale takiego krajobrazu się nie spodziewali. Paul mrugał z podniecenia dużymi piwnymi oczami, gdy pojazd sunął przez baśniowy las wysokich kolumn. Gamay również była oczarowana. Powiedziała, że wieże przypominają jej „śnieżne duchy”, które widać na szczytach gór, gdy zimna mgła osiadająca na gałęziach drzew zamienia się w szron.

Słupy z węglanów i miki miały różne barwy, od białej do beżowej. Gamay wiedziała z własnych badań, że jaśniejsze kolumny są czynne, a ciemniejsze wygasłe. Szczyty wież były uformowane z wielu postrzępionych iglic. Z boków kolumn wystawały delikatne białe wieńce. Wyglądały jak huby na pniach starych drzew. Wciąż tworzyły się nowe kryształki, dzięki czemu krawędzie przypominały koronkę.

Sandy zmniejszyła szybkość opadania „Alvina” i batyskaf zawisnął w pobliżu komina z płaskim szczytem o średnicy co najmniej dziesięciu metrów. Wieża, pokryta roślinnością, która dzięki prądom przydennym falowała jak w rytmie muzyki, wydawała się żywa i ruchoma.

Gamay patrzyła na to z zapartym tchem.

- To kraina snów - powiedziała.

- Już to widziałam i wciąż jestem pod wrażeniem - odrzekła Sandy i podpłynęła „Alvinem” do szczytu wysokiej kolumny. - W tym miejscu zaczyna być naprawdę ciekawie. Ciepła woda wydostaje się spod dna morza, unosi do góry i zostaje uwięziona pod tamtymi płatami. Ta narośl to właściwie gęste kolonie mikrobów. Wieńce zatrzymują roztwory alkaliczne o temperaturze siedemdziesięciu stopni Celsjusza, wpływające do kominów spod osadów na dnie oceanu, które powstały półtora miliarda lat temu. W wodzie są metan, wodór i minerały wydobywające się przez otwory w dnie. Niektórzy uważają, że tu mogło się zacząć życie - dodała cicho. Trout odwrócił się do żony.

- Jestem facetem, który zna się tylko na skałach i żwirze. Jako biolog, co myślisz o tej teorii?

- To na pewno możliwe - odparła Gamay. - Warunki w tym rejonie mogły być podobne do tych, jakie panowały na Ziemi w pierwszym okresie jej istnienia. Te mikroby żyjące wokół kolumn przypominają pierwsze formy życia w morzu. Jeśli ten proces odbywa się bez udziału wulkanów, to znacznie zwiększa się liczba miejsc na dnie morskim, w których mogło się kiedyś zacząć życie na Ziemi. Takie otwory mogły być też inkubatorami życia na innych planetach. Na satelitach Jowisza mogą istnieć zamrożone morza, które kiedyś tętniły życiem. Grzbiet Śródatlantycki ma setki mil morskich długości, więc są nieograniczone możliwości dokonania nowych odkryć.

- Fascynujące - odrzekł Trout.

- Jak daleko stąd jest główne skupisko wodorostu Gorgona? - spytała Gamay.

Sandy zmrużyła oczy i popatrzyła na wskaźniki.

- Kawalek na południe. „Alvin” nie ma imponującej szybkości, rozwija maksymalnie dwa węzły, więc usiądźcie wygodnie i cieszcie się podróżą, jak mówią piloci samolotów pasażerskich.

Wieże przeredziły się i zaczęły znikać. Batyskaf opuszczał Zaginione Miasto. Ale wkrótce w świetle reflektorów pojawiły się następne kolumny. Sandy gwizdnęła cicho.

- O, kurczę! To całkiem nowe Zaginione Miasto. Nie do wiary! „Alvin” przepływał przez gąszcz wież, który ciągnęły się we wszystkich kierunkach poza zasięg mocnych reflektorów.

- Pierwsze Zaginione Miasto wygląda przy tym jak jakieś zadupie - powiedział Trout, patrząc z podziwem przez bulaj. - Tu są prawdziwe wieżowce. Tamten przypomina Empire State Building.

- Chyba jesteśmy na miejscu - odezwała się Gamay po chwili. Zbliżali się do ciemnozielonej ściany z alg. Unosiła się wśród wież jak wielka chmura dymu.

„Alvin” wzniósł się dziesięć metrów wyżej, przepłynął nad nią i znów zszedł niżej.

Gamay pokręciła głową.

- To zabawne zobaczyć coś takiego na tej głębokości. Trout wyglądał przez bulaj.

- Wcale nie takie zabawne - mruknął. - Czy ja dobrze widzę tam, na prawo?

Sandy ustawiła batyskaf tak, że światło reflektorów padło na dno morza.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła, jakby zobaczyła restaurację McDonalda na rogu ulicy nowo odkrytej podwodnej metropolii.

Podpłynęła „Alvinem” na odległość kilku metrów od dna. Dwie równoległe szerokie linie oddalone od siebie o co najmniej dziesięć metrów prowadziły w ciemność.

- Wygląda na to, że nie jesteśmy tu pierwszymi gośćmi - powiedział Trout.

- Jakby przejechał tędy gigantyczny spychacz - odrzekła Sandy. - Ale to niemożliwe. - Urwała, potem dodała cicho: - A może to naprawdę jest Zaginione Miasto? Może to Atlantyda?

- Byłoby pięknie, ale te ślady są zbyt świeże - odparł Paul.

Linie biegły przez jakiś czas prosto, potem skręcały między dwie wieże o wysokości prawie stu metrów. W kilku miejscach dochodziły do kolumn leżących na boku jak

przewrócone kręgle. Inne słupy na trasie szerokich śladów były starte na proch. Coś wielkiego i potężnego torowało sobie drogę przez nowe Zaginione Miasto.

- Podwodna wycinka lasu - powiedział Trout.

Gamay i Paul zrobili zdjęcia i sfilmowali zniszczenia. Zapuścili się w głąb nowo odkrytego rejonu hydrotermalnego na odległość co najmniej pół mili morskiej. Tutejsze wieże wyglądały w porównaniu z poprzednimi jak sekwoje przy sosnach. Niektóre miały taką wysokość, że nie było widać ich szczytów. Od czasu do czasu musieli omijać wielkie plamy alg.

- Dobrze, że mamy kamery - powiedziała Sandy. - Inaczej ludzie na górze nie uwierzyliby nam.

- Sam ledwo w to wierzę - odrzekł Trout. - Nigdy bym... Co to było?

- Ja też to widziałam - odezwała się Gamay. - Przesunął się nad nami wielki cień.

- Wieloryb? - zapytał Paul.

- Nie na tej głębokości - odparła Gamay.

- A może gigantyczna kałamarnica? Słyszałem, że mogą nurkować głębiej niż wieloryby.

- W takim miejscu wszystko jest możliwe - odrzekła Gamay. Trout poprosił Sandy, żeby powoli obróciła batyskaf.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała i poruszyła sterami.

Pojazd zaczął wykonywać powolny obrót. Znajdowali się w samym środku gęstego skupiska wież, które zasłaniały widok we wszystkich kierunkach.

Kolumny wznoszące się dokładnie na wprost „Alvina” zdawały się wibrować jak struny fortepianu. Potem dwie czy trzy wieże runęły w zwolnionym tempie i rozpadły się w tumanie kurzu. Trout miał niejasne wrażenie, że zza zasłony pyłu wyłania się jakiś ogromny czarny kształt i sunie prosto na nich.

Krzyknął do Sandy, żeby cofnęła batyskaf, choć wiedział, że pojazd jest zbyt powolny, by uciec przed czymkolwiek szybszym od meduzy. Ale pilotka wpatrywała się jak zahipnotyzowana w nadpływającego potwora. Kiedy się ocknęła, było już za późno.

„Alvin” zadrżał i rozległ się głośny metaliczny dźwięk.

Sandy spróbowała ruszyć wstecz, ale przyrządy nie reagowały.

Trout znów zerknął przez bulaj.

Tam, gdzie przed momentem w świetle reflektorów widać było las białych i beżowych wież, otwierała się olbrzymia paszcza.

„Alvin” został wchłonięty do wnętrza przepastnej rozżarzonej czeluści.

18

Alvin” nie odpowiadał na wezwania i choć miał się wynurzyć dopiero za jakiś czas, niepokój na pokładzie „Atlantisa” rósł z każdą minutą. Początkowo nie było wielkich obaw. Batyskaf nigdy dotąd nie zawiódł i na wypadek awarii wyposażono go w sprawdzone systemy rezerwowe. W momencie, gdy napięcie sięgnęło już zenitu, pojawił się naraz dziwny statek.

Charlie Beck stał oparty o reling i obserwował go przez lornetkę. Mały frachtowiec najlepsze lata miał już dawno za sobą. Zardzewiały kadłub aż się prosił o malowanie. Pod nazwą wypisany był kraj rejestracji, Malta.

Beck domyślał się, że statek wcale nie jest maltański, lecz po prostu pływa pod tanią banderą. W ciągu ostatniego roku mógł nawet pięciokrotnie zmieniać nazwę. Załoga składała się bez wątpienia z kiepsko opłacanych marynarzy z krajów Trzeciego Świata. Istniało spore prawdopodobieństwo, że frachtowiec był wykorzystywany przez piratów lub terrorystów i należał do „marynarki wojennej” al-Kaidy, jak to określali ludzie z branży Becka.

Świat kapitana Charliego Becka, zawodowego żołnierza, był stosunkowo prosty, wolny od różnych komplikacji. Klienci dawali mu zlecenia, a on je wykonywał. W rzadkich chwilach refleksji zastanawiał się, czy nie powinien spłacić długu wdzięczności i postawić pomnika piratowi Czarnobrodemu. Rozumował w ten sposób: gdyby nie William Teach i jego krwiożerczy następcy, nie miałby mercedesa, szybkiej łodzi w Zatoce Chesapeake i domu w Wirginii. Byłby sfrustrowanym urzędasem w Pentagonie, przekładałby papierki na biurku, patrzył na swój pistolet służbowy i myślał o tym, czy nie strzelić sobie w łeb.

Beck prowadził własną firmę konsultingową o nazwie Triple S, skrót od Sea Security Services, która świadczyła usługi w zakresie bezpieczeństwa morskiego. Korzystali z jej usług właściciele statków, którzy obawiali się ataku piratów. Ludzie Becka działali na całym świecie. Uczyli załogi statków, jak rozpoznawać zagrożenie na morzu i bronić się przed atakiem. Na szczególnie niebezpiecznych wodach dobrze uzbrojone zespoły Triple S ochraniały statki klientów.

Beck zaczął działalność z kilkoma byłymi komandosami SEAL, którzy tęsknili za tym, żeby znowu móc działać. Interes szybko się rozwijał, gdyż zagrożenie ze strony piratów rosło. Ale po ataku na World Trade Center wzrósł gwałtownie przed zamachami terrorystycznymi i Beck stał się wkrótce szefem wielkiej korporacji obracającej milionami dolarów.

Armatorzy zawsze bali się piratów, ale środowisko naukowców uświadomiło sobie zagrożenie z tej strony dopiero po ataku na statek badawczy „Maurice Ewing”. Prowadził on prace oceanograficzne u wybrzeży Somalii, gdy grupa mężczyzn otworzyła ogień do statku z małej łodzi i wystrzeliła w niego pocisk raketowy.

Pocisk chybił i „Maurice Ewing” zdażył uciec, ale incydent dowiódł, że statek badawczy jest dla piratów równie łakomym kąskiem jak kontenerowiec z cennym ładunkiem. Za skradziony laptop pirat mógł dostać na czarnym rynku więcej, niż zarobiłby uczciwie przez cały rok.

Beck, bystry biznesmen, dostrzegł lukę rynkową, którą mógł wypełnić. Ale chęć zysku nie była jedynym motywem jego działalności. Kierował się również sentymentem, kochał morze i ataki na oceanologów traktował jak osobistą obrazę.

Jego firma opracowała program ochrony przeznaczony specjalnie dla statków badawczych. Takie jednostki są szczególnie narażone na ataki, gdyż stoją długo na kotwicy w jednym miejscu, tam gdzie prowadzą wiercenia podwodne, i zapewniają wsparcie pojazdom na uwięzi lub batyskafom. Nieruchomy statek jest dla piratów łatwym celem.

Beck i jego ludzie z SEAL weszli na pokład „Atlantisa” po podpisaniu umowy z działem operacji technicznych Instytutu Oceanograficznego Woods Hole. Po kilkudniowych badaniach Zaginionego Miasta „Atlantis” miał wyruszyć na Ocean Indyjski. Wynajęto zespół Triple S do ochrony. Beck uczestniczył w operacjach zawsze, kiedy mógł, chciał, żeby załoga statku i jego ludzie byli dobrze przygotowani. Przeczytał o Zaginionym Mieście w magazynie naukowym i zapalił się do udziału w ekspedycji.

Beck zbliżał się do sześćdziesiątki. Był szpakowaty, miał kurze łapki pod szarymi oczami. Walczył z nadwagą, stosując dietę i ćwiczenia, ale wciąż był w dobrej kondycji, która pozwalała mu kiedyś wytrzymywać mordercze treningi komandosów SEAL. W jego firmie obowiązywała wojskowa dyscyplina.

Podczas rejsu Beck i jego trzyosobowy zespół byłych komandosów SEAL szkolili załogę i naukowców według standardowego programu. Ostrzegali ich, że szybkość i zaskoczenie to największy sprzymierzeńcy piratów. Uczyli marynarzy, jak zmieniać program rejsu, ograniczać w porcie wstęp na statek, podróżować w dzień, rozpoznawać ewentualne zagrożenie, używać szperaczy, zachowywać wzmożoną czujność na nocnych wachtach i odpierać abordaż za pomocą węży strażackich. I wpajali zasadę, że jeśli wszystko zawiedzie, należy oddać piratom to, czego żądają. Żaden komputer na statku nie jest wart życia.

Szkolenie szło dobrze, ale kiedy naukowcom na pokładzie przybyło zajęć badawczych, bezpieczeństwo zeszło na dalszy plan. W przeciwieństwie do wód wokół Azji Południowo-Wschodniej i Afryki, obszarów wzdłuż Grzbietu Śródatlantyckiego uważano za rejon, w którym piraci nie działają. Opuszczeniu w głąb morza „Alvina” towarzyszyło pewne podniecenie, ale do czasu jego ponownego wynurzenia niewiele było do roboty.

Potem zaczęły się problemy z „Alvinem” i pojawił się dziwny frachtowiec. Beck nie wierzył, że to przypadek.

Choć wiedział, że „Atlantis” nie jest na niebezpiecznych wodach, a w wyglądzie i zachowaniu frachtowca nie było nic szczególnie podejrzanego, obserwował go uważnie, odkąd tamten statek się zatrzymał. Potem wspiał się na mostek, żeby porozmawiać z kapitanem. Kiedy wszedł do sterowni, usłyszał głos przez radio.

- SOS, SOS. Odbiór.

Kapitan trzymał w ręku mikrofon i starał się odpowiedzieć.

- Przyjąłem. Tu statek badawczy „Atlantis”. Proszę podać, jaka jest sytuacja.

Wezwanie o pomoc powtarzało się bez żadnego wyjaśnienia. Kiedy kapitan próbował nawiązać kontakt, znów bez skutku, z pokładu frachtowca zaczął się unosić gęsty czarny dym. Kapitan przyjrzał się statkowi przez lornetkę.

- To wygląda na pożar w jednej z ładowni.

Kazał sternikowi podpłynąć bliżej do frachtowca, który wciąż wzywał pomocy. „Atlantis” zatrzymał się kilkaset metrów od płonącego statku. Beck popatrzył przez lornetkę. Z ładowni wciąż wydobywał się dym, ale ku jego zaskoczeniu na pokładzie nie było żywej duszy. Skoro statek się palił, załoga powinna się tłoczyć przy relingach i próbować zwrócić na siebie uwagę, wsiadać do szalup lub skakać za burtę.

Beck stał się nagle czujny.

- Co pan o tym myśli? - zapytał kapitana. Kapitan opuścił lornetkę.

- Nic z tego nie rozumiem. Pożar nie pozbawiłby całej załogi możliwości działania. Jeszcze kilka minut temu ktoś prowadził tamten statek. I ktoś najwyraźniej jest na mostku, skoro nadaje SOS. Lepiej wyśle kogoś, żeby sprawdził, co się tam dzieje. Może jednak rzeczywiście załoga jest niezdolna do działania lub uwięziona pod pokładem.

- Wykorzystajmy moich ludzi - zaproponował Beck. - Są przeszkoleni w abordażu i udzielaniu pomocy medycznej. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Poza tym robią się leniwi i przyda im się trochę ćwiczeń.

- Proszę bardzo. Mam już dość kłopotów z samym „Alvinem” - odrzekł kapitan i kazał pierwszemu oficerowi przygotować małą łódź.

Ludzie Becka obserwowali z pokładu płonący frachtowiec. Beck kazał im wziąć broń i amunicję.

- Traciecie formę, chłopaki - powiedział. - Potraktujcie to jako ćwiczenia, ale trzymajcie broń w pogotowiu. Cały czas bądźcie czujni.

Komandosi zabrali się do roboty. Znudziła im się beczynność i z zadowoleniem przywitani odmianę. Navy SEAL są znani z niekonwencjonalnego stroju. Bystre oko rozpoznaloby chusty związane jak opaski na włosach, ich nieoficjalne nakrycia głowy, które wolą nosić zamiast tradycyjnych miękkich czapek. Ale zamienili panterki na dżinsy i koszule robocze.

Nawet taki mały oddział SEAL, jak zespół Becka, mógł dysponować dużą siłą ognia. Jego komandosi owinęli broń kawałkami tkaniny, żeby nie rzucała się w oczy. Beck najbardziej lubił krótkolufową strzelbę kaliber .12. Strzał z tej broni mógł przeciąć człowieka na pół. Jego ludzie mieli czarne car-15, kompaktowe wersje M-16, preferowane przez wielu komandosów SEAL.

Beck i jego zespół wsiedli do pontonu z silnikiem zaburtowym i szybko pokonali odległość między dwoma statkami. Beck siedział za sterem i wykonał manewr mylący w kierunku frachtowca. Nikt ich nie ostrzelał, więc podpłynął bliżej. W końcu skierował ponton ku drabince, która zwisała z kadłuba blisko dziobu.

Pod osłoną stromych burt statku włożyli maski gazowe i zarzucili broń na ramię. Potem wspięli się na zadymiony pokład. Beck wziął ze sobą najmniej doświadczonego komandosa, dwóch pozostałych wysłał na przeciwną stronę. Mieli iść ku rufie.

Spotkali się chwilę później. Nie zauważyli żywej duszy. Ruszyli w kierunku mostka. Posuwali się żabimi skokami, jedna para osłaniała drugą.

- SOS, SOS. Odbiór.

Głos dochodził z otwartych drzwi sterowni. Ale kiedy weszli do środka, nie zastali tam nikogo.

Beck obejrzał włączony magnetofon obok mikrofonu. Odtwarzał w kółko tę samą nagraną wiadomość. W głowie Becka zabrzmiał dzwonek alarmowy.

- Niech to szlag! - powiedział jeden z jego ludzi. - Co to za smród, do cholery?

Odór przenikał przez ich maski.

- Nieważne - odrzekł cicho Beck i przeładował strzelbę. - Wracać do łodzi. Biegiem.

Ledwo wypowiedział te słowa, sterownię wypełnił wrzask mrozący krew w żyłach. Przez drzwi wpadła jakaś przerażająca postać. Beck zadziałał instynktownie, uniósł broń jednym ruchem i strzelił z biodra.

Następne wrzaski zmieszały się z krzykami jego ludzi. Wokół zaroilo się od napastników z długimi białymi włosami, żółtymi zębami i żarzącymi się czerwonymi oczami.

Wytrącili mu z rąk strzelbę. Pomarszczone dłonie chwyciły go za gardło i przewróciły na pokład. Jego nozdrza wypełnił odór gnijącego ciała.

19

Rolls-royce silver cloud mknął wśród zalanych słońcem pól, mijał wiejskie domy, falujące zielone łąny zbóż i żółte stogi siana. Przed odlotem do Prowansji Darnay zaproponował, żeby skorzystali z jego samochodu. W przeciwieństwie do swojego kolegi, Dirka Pitta, miłośnika egzotycznych aut, Austin jeździł w Stanach przeciętnymi pojazdami z garaży NUMA. Kiedy rolls zjechał ze wzgórza w dolinę, Austin poczuł się jak za sterami latającego dywanu.

Skye siedziała obok niego. Przez otwarte okna wpadał ciepły wiatr i rozwiewał jej włosy. Zauważyła uśmiech na twarzy Austina.

- O czym myślisz? - zapytała.

- Gratulowałem sobie szczęścia. Prowadzę wspaniały samochód, wokoło urzekający francuski krajobraz, który mógłby zainspirować Van Gogha, obok siebie mam piękną kobietę. I NUMA jeszcze mi za to płaci.

Skye popatrzyła tęsknym wzrokiem na mijaną okolicę.

- Szkoda, że ci za to płacą. Moglibyśmy zapomnieć o Fauchardach i zająć się sobą. Mam już dosyć tej całej paskudnej sprawy.

- To nie powinno długo potrwać - odrzekł Austin. - Przed chwilą mijaliśmy uroczą auberge. Po wizycie u Fauchardów moglibyśmy tam wstąpić na naszą odkładaną kolację.

- Więc tym bardziej trzeba to załatwić jak najszybciej. - Zbliżali się do skrzyżowania. Skye popatrzyła na mapę. - Niedaleko stąd będziemy musieli skrócić.

Kilka minut później Austin wjechał na wąską kamienistą szosę. Odchodziły od niej liczne bite drogi prowadzące do winnic, które ciągnęły się aż po horyzont. W końcu winnice się przerzedziły i samochód dojechał do ogrodzenia pod napięciem. Na siatce wisiała tablica z napisem w kilku językach: Wstęp wzbroniony. Brama była otwarta, więc pojechali dalej i zagłębili się w gęsty las. Po obu stronach drogi rosły grube drzewa, przez ich korony sączyły się promienie słońca.

Temperatura spadła o kilka stopni. Skye skrzyżowała ręce na piersi i zgarbiła się.

- Zimno? - zapytał Austin. - Mogę podnieść szyby.

- Nie trzeba - odparła. - Zaskoczyła mnie ta zmiana otoczenia. Po malowniczych polach i winnicach nagle ten las. Jest... złowrogi.

Zerknął na drzewa. Za pniami zobaczył tylko cienie. Czasami las otwierał się, odsłaniając nagle bagniste polany. Austin włączył światła, ale wtedy wydawało mu się, że mrok zgęstniał jeszcze bardziej.

Potem sceneria znów się zmieniła. Droga się rozszerzyła, po obu jej stronach rosły wysokie dęby. Ich gałęzie splatały się, tworząc drugi tunel, który ciągnął się przez co najmniej półtora kilometra i naraz urwał się niespodziewanie. Droga zaczęła się wznosić.

- Mon Dieu! - wykrzyknęła Skye na widok masywnej granitowej budowli na niskim wzgórzu.

Austin popatrzył na stożkowe wieże i wysokie mury obronne z blankami.

- Chyba przenieśliśmy się w czasie i przestrzeni do czternastowiecznej Transylwanii.

- Wygląda złowieszczo, ale imponująco - odrzekła Skye cicho.

Na Austinie architektura chateau nie wywarła specjalnego wrażenia. Zerknął na Skye.

- To samo mówili o zamku Drakuli.

Wjechał rollsem na biały zwirowy podjazd i okrążył fontannę ozdobioną postaciami rycerzy w zbrojach, którzy zabijali się wzajemnie w krwawej walce. Na twarzach figur z brązu malowało się wyraźnie cierpienie.

- Urocze - mruknął Austin.

- Raczej groteskowe.

Austin zaparkował przy łukowym moście nad szeroką fosą. Z zielonkawo-brązowej powierzchni stojącej wody unosił się bagienny odór. Przeszli przez most, potem przez drugi - zwodzony - i weszli bramą na rozległy brukowany dziedziniec otaczający zamek. Nikt ich nie powitał, więc przecięli podwórze i wspięli się po schodach na taras biegnący wzdłuż frontowej ściany budynku.

Austin położył dłoń na masywnej kołatce, która zdobiła drewniane drzwi z żelaznymi okuciami.

- Czy to nie wygląda znajomo?

- Taki sam orzeł jest na hełmie i ogonie samolotu. Austin skinął głową, uniósł kołatkę i zastukał dwa razy.

- Przewiduję, że otworzy nam bezzębny garbus imieniem Igor - powiedział.

- Jeśli tak będzie, uciekam do samochodu.

- Jeśli tak będzie, nie radzę ci blokować mi drogi - odrzekł Austin.

Mężczyzna za progiem nie był bezzębnym garbusem, lecz wysokim blondynem ubranym w biały strój do gry w tenisa. Mógł być równie dobrze po czterdziestce, jak i po pięćdziesiątce. Twarz bez jednej zmarszczki i sylwetka zawodowego lekkoatlety utrudniały określenie jego wieku.

Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę do powitania.

- Pan Austin, jak się domyślam?

- Zgadza się. A to moja asystentka, mademoiselle Bouchet.

- Emil Fauchard. Miło mi państwa poznać. To bardzo uprzejme, że przyjechali państwo aż z Paryża. Moja matka nie może się państwa doczekać. Proszę tędy.

Zaprosił gości do przestronnego holu i poprowadził sprężystym krokiem w głąb wyłożonego dywanem korytarza. Wysokie sklepienie zdobiły sceny mitologiczne z nimfami, satyrami i centaurami w fantastycznych lasach. Skye nachyliła się do Austina.

- Twoja teoria o Igorze nie sprawdziła się - szepnęła mu do ucha.

- Widocznie ma dziś wolne - odrzekł z poważną miną. Skye przewróciła oczami.

Korytarz wydawał się nie mieć końca, ale wędrówka nie była nudna. Na wyłożonych ciemną boazerią ścianach wisiały olbrzymie gobeliny przedstawiające średniowieczne polowania. Postacie szlachciców i giermków miały naturalną wielkość. Myśliwi dziurawili strzałami z łuków jelenie i dziki.

Fauchard zatrzymał się przy jakichś drzwiach, otworzył je i zaprosił gości gestem do środka.

Komnata, do której weszli, kontrastowała z ogromną przestrzenią zamku. Była mała, przytulna i niska. Przypominała pokój w wiejskim domku. Wzdłuż ścian stały półki ze starymi książkami. W skórzanym fotelu w rogu komnaty siedziała kobieta; przy świetle wpadającym przez wysokie okno czytała książkę.

- Mamo - zawołał cicho Fauchard. - Przyjechali nasi goście. To pan Austin i jego asystentka, mademoiselle Bouchet. - Skye wybrała sobie fałszywe nazwisko z paryskiej książki telefonicznej.

Kobieta uśmiechnęła się, odłożyła książkę i wstała, żeby się przywitać. Była wysoka i miała niemal wojskową posturę. Czarny kostium i lawendowa apaszka uwydatniały jej bladą cerę i srebrzyste włosy. Podeszła krokiem baletnicy i uścisnęła gościom dłonie. Miała zaskakująco mocną rękę.

- Proszę siadać - wskazała dwa wygodne skórzane fotele po czym zerknęła na syna. - Państwo na pewno są spragnieni po drugiej jeździe. - Mówiła po angielsku bez obcego akcentu.

- Zajmę się tym, wychodząc - odrzekł Emil.

Po chwili zjawił się służący. Przyniósł na tacy butelkę zimnej wody mineralnej i szklanki. Austin obserwował madame Fauchard, kiedy, odprowadzając służącego, napełniała szklanki.

Podobnie jak w przypadku Emila, trudno było odgadnąć jej wiek. Wyglądała na co najmniej czterdzieści lat, ale nie więcej niż sześćdziesiąt. W każdym razie wciąż była piękną kobietą o klasycznych rysach. I nieskazitelnej - jeśli nie liczyć sieci drobnych zmarszczek - cerze. Szare oczy promieniujące inteligencją spoglądały czujnie, uśmiechała się czarująco i tajemniczo. Jej głos tylko w nieznacznym stopniu zdradzał, że jest starszą osobą.

- To bardzo uprzejme z państwa strony, że przyjechaliście aż z Paryża.

- Nie ma o czym mówić, madame Fauchard. Cieszę się, że mimo tylu ważnych zajęć tak szybko znalazła pani czas, żeby się z nami spotkać - odparł Austin.

Wyrzuciła do góry ręce w geście zdumienia.

- Jak mogłabym zwlekać ze spotkaniem po tym, jak usłyszałam o waszym odkryciu? Szczerze mówiąc, byłam oszołomiona, kiedy się dowiedziałam, że mężczyzna znaleziony w lodowcu Le Dormeur może okazać się moim stryjecznym dziadkiem, Jules'em Fauchardem. Przelatywałam nad Alpami wiele razy i nigdy nie podejrzewałam, że znakomity członek mojej rodziny leży zamrożony w lodzie na dole. Jest pan całkowicie pewien, że to Jules?

- Nie widziałem ciała i nie mam pewności, czyje to zwłoki - odrzekł Austin. - Ale w jeziorze polodowcowym odkryłem samolot morane-saulnier. Jego numer seryjny wskazuje, że należał do Jules'a Faucharda. To wprawdzie dowód pośredni, ale przekonujący.

Pani Fauchard zapatrzyła się w przestrzeń.

- To może być tylko Jules - powiedziała bardziej do siebie niż do swoich gości. Zastanawiała się przez chwilę. - Zniknął w roku tysiąc dziewięćset czteremastym. Wystartował stąd swoim samolotem morane-saulnier. Uwielbiał latanie i ukończył francuską szkołę pilotów wojskowych, więc był w tym znakomity. Biedak. Pewnie zabrakło mu paliwa albo trafił w górach na fatalną pogodę.

- Stąd jest daleko do Le Dormeur - zauważyła Skye. - Co skłoniło go do tego, że poleciał aż w Alpy?

Pani Fauchard uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Widzi pan, był zupełnym szaleńcem. To się zdarza w najlepszych rodzinach. - Odwróciła się z powrotem do Austina. - Wiem, że pracuje pan w NUMA. Niech pan się nie dziwi, pańskie nazwisko było w gazetach i telewizji. Użycie batyskafu do uratowania naukowców uwięzionych pod lodem wymagało sprytu i odwagi.

- Nie dokonałbym tego bez pomocy innych.

- Pomysłowy i skromny - powiedziała pani Fauchard, przyglądając się Austinowi z wyrazem twarzy świadczącym o czymś więcej niż zwykłe zainteresowanie. - Czytałam o tym strasznym człowieku, który zaatakował naukowców. Czego mógł chcieć?

- Trudne pytanie. Nie ma na to prostej odpowiedzi. Najwyraźniej nie chciał, żeby wydobyto ciało. I zabrał kasetkę pancerną. Mogły w niej być dokumenty.

- Szkoda - westchnęła. - Może te dokumenty wyjaśniłyby dziwne zachowanie mojego stryjecznego dziadka. Pytała pani, co robił w Alpach, mademoiselle Bouchet. Mogę się tylko domyślać. Widzi pani, Jules bardzo cierpiał.

- Był chory? - zapytała Skye.

- Nie, ale był wrażliwym człowiekiem, który uwielbiał sztukę i literaturę. Powinien był się urodzić w innej rodzinie. Będąc członkiem naszej rodziny nazywanej „handlarzami śmiercią”, Jules miał problemy.

- To rozumiałe - wtrącił się Austin.

- Nazywano nas jeszcze gorzej, monsieur. Może mi pan wierzyć. Jak na ironię, Jules był urodzonym biznesmenem. Jego przebiegłość i zakulisowe działania zrobiłyby wrażenie na Machiavellim. Pod jego zarządem nasz rodzinny interes prosperował.

- Ten wizerunek nie pasuje do opisanego przez panią łagodnego człowieka.

- Jules nienawidził przemocy związanej z tym, czym handlował. Ale doszedł do wniosku, że jeśli my nie będziemy produkowali i sprzedawali broni, zastąpi nas ktoś inny. Podziwiał

Alfreda Nobla. Podobnie jak on, przeznaczał dużą część rodzinnego majątku na propagowanie idei pokoju na świecie. Starał się utrzymać równowagę sił.

- Coś musiało wytrącić z równowagi jego samego. Skinęła głową.

- Uważamy, że tym czymś była groźba wybuchu pierwszej wojny światowej. Rozpoczęli ją pompatyczni przywódcy, ignoranci, ale nie jest żadną tajemnicą, że popchnęli ich do tego handlarze bronią.

- Tacy jak Fauchardowie i Kruppowie?

- Kruppowie to arrivistes - powiedziała, marszcząc nos, jakby poczuła zapach zgnilizny. - Gloryfikowani górnicy, zwykli parweniusze, którzy zbili swoje majątki na krwi i pocie innych. Kiedy pojawili się w średniowieczu, Fauchardowie działali w branży zbrojeniowej już od stuleci. Co pan wie o naszej rodzinie, panie Austin?

- Głównie to, że jest bardzo skryta. Madame Fauchard roześmiała się.

- Kiedy działa się w branży zbrojeniowej, skrytość to nic złego. Choć wolę słowo „dyskrecja”. - W zamyśleniu przechyliła głowę na bok, potem wstała z fotela. - Proszę, chodźcie państwo ze mną. Pokażę wam coś, co powie o Fauchardach więcej niż tysiąc słów.

Poprowadziła ich korytarzem do wysokich łukowych drzwi z emblematem trójgłowego orła z czarnej stali.

- To nasza zbrojownia - wyjaśniła, kiedy przestąpili próg. - Serce i dusza imperium Fauchardów.

Weszli do wielkiej sali z wysokim, żebrowanym sklepieniem zaprojektowanym tak, że przypominało wnętrze katedry. Stali teraz w długiej nawie z kolumnami. Przecinał ją transept, za którym znajdowało się miejsce na ołtarz. Wzdłuż nawy ciągnęły się nisze, ale zamiast figur świętych umieszczono w nich broń i najwyraźniej pogrupowano ją według epok. Broń i zbroje zajmowały również galerię biegnącą wokół sali.

Na wprost wejścia czterech rycerze naturalnej wielkości, w pełnych zbrojach i z wyciągniętymi kopiami, szarżowali na wypchanych koniach, jakby bronili zbrojowni przed intruzami.

Skye przyjrzała się kolekcji okiem zawodowca.

- Zakres i rozmiary tych zbiorów są naprawdę imponujące - powiedziała. Madame Fauchard podeszła do rycerzy na koniach i stanęła obok.

- To czołgi swojej epoki. Wyobraźcie sobie państwo, że jesteście biednymi piechurami, uzbrojonymi tylko w piki, i widzicie tych dżentelmenów pędzących prosto na was pełnym galopem. - Uśmiechnęła się, jakby podobała jej się taka ewentualność.

- Formidable - powiedziała Skye. - Ale wraz z rozwojem broni i taktyki przestali być niepokonani. Strzały z długich łuków piechoty przebijały niektóre zbroje z dużej odległości. Halabardy potrafiły rozłupać pancerz i można było zabić rycerza oburęcznym mieczem, jeśli udało się ściągnąć go z konia. Żadna zbroja nie ochroniłaby tych jeźdźców przez pociskami z broni palnej.

Madame Fauchard uniosła kształtne brwi.

- Trafiała pani w sedno, tu właśnie tkwi źródło sukcesów naszej rodziny, mademoiselle. Każdą nową broń zastępowała w końcu jeszcze doskonalsza. Widzę, że wie pani, o czym mówi.

- Stara broń to hobby mojego brata. Chcąc nie chcąc, uczę się od niego.

- Zna się pani na tym. Każda broń w tej sali jest dziełem Fauchardów. Co pani sądzi o jakości wyrobów naszej rodziny?

Skye przyjrzała się eksponatom w najbliższej niszy i pokręciła głową.

- Te hełmy są prymitywne, ale wykonane znakomicie. Mają zapewne ponad dwa tysiące lat.

- Brawo! Pochodzą z czasów przedromańskich.

- Nie wiedziałem, że ród Fauchardów ma taką długą historię - powiedział Austin.

- Nie byłabym zaskoczona, gdyby ktoś odkrył w jakiejś grocie rysunki ścienne, które przedstawiają Fauchardów sporządzających krzemienne groty włóczni dla klientów z epoki neolitu.

- Ten zamek znajduje się dość daleko w czasie i przestrzeni od neolitycznej jaskini.

- Początki były skromne, ale od tamtej pory przeszliśmy długą drogę. Nasza rodzina wyrabiała broń na Cyprze, gdzie przecinały się szlaki handlowe prowadzące przez Morze Śródziemne. Wyspę opanowali krzyżowcy i zachwyciło ich nasze mistrzostwo. Bogata szlachta miała zwyczaj zatrudniać u siebie rusznikarzy. Moi przodkowie przenieśli się do Francji, gdzie w końcu zorganizowali kilka cechów rzemieślniczych. Poprzez małżeństwa związali się z dwiema innymi rodzinami z tej branży.

- Stąd trójgłowy orzeł w waszym herbie?

- Tak. Jest pan bardzo spostrzegawczy, monsieur Austin. Ale z czasem tamte rodziny zostały zepchnięte na dalszy plan i Fauchardowie zdominowali ten interes. Kontrolowali różne wyspecjalizowane przedsiębiorstwa i mieli agentów w całej Europie. Od czasów wojny trzydziestoletniej do epoki napoleońskiej zamówieniom nie było końca. Wojna francusko-pruska przyniosła im duże zyski i przygotowała grunt do pierwszej wojny światowej.

- Zatoczyliśmy pełne koło i wróciliśmy do pani stryjecznego dziadka. Skinęła głową.

- Kiedy wojna stała się nieunikniona, Jules'a ogarnęło przygnębienie. Byliśmy już kartelem zbrojeniowym o nazwie Spear Industries. Jules próbował przekonać naszą rodzinę, żeby wycofała się z wyścigu zbrojeń, ale było już za późno. Jak swego czasu powiedział Lenin, Europa przypominała beczkę prochu.

- I wystarczyło zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda, żeby wywołać iskrę.

- Arcyksiążę był prostakiem - powiedziała, machnąwszy długimi palcami. - Jego śmierć stała się raczej pretekstem niż iskrą. Międzynarodowy przemysł zbrojeniowy miał umowy i patenty. Każdy wystrzelony pocisk, każda zdetonowana bomba oznaczały zysk dla właścicieli i akcjonariuszy. Kruppowie robili pieniądze na śmierci Niemców, a Spear Industries na śmierci francuskich żołnierzy. Jules przewidział, że tak będzie. Czuł się za to odpowiedzialny i prawdopodobnie to właśnie doprowadziło go do rozstroju nerwowego.

- Jeszcze jedna ofiara wojny?

- Mój stryjeczny dziadek był idealistą. Żarliwość przekonań stała się przyczyną jego przedwczesnej i bezsensownej śmierci. Smutne jest to, że jego śmierć nie miała większego znaczenia niż śmierć jakiegoś biednego żołnierza zagazanego w okopach. Zaledwie ćwierć wieku później nasi przywódcy wciągnęli nas w następną wojnę światową. Fabryki Fauchardów zostały zbombardowane, nasi robotnicy zginęli. Szybko nadrobiliśmy straty w czasie zimnej wojny. Ale świat się zmienił.

- Nadal jest dość niebezpiecznym miejscem - zauważył Austin.

- Tak, broń jest bardziej zabójcza niż kiedykolwiek, ale konflikty są raczej regionalne i trwają krócej. Rządy, na przykład pański, zmieniają głównych dostawców uzbrojenia. Odkąd odziedziczyłam stanowisko szefowej Spear Industries, pozbywamy się naszych fabryk. Jesteśmy właściwie firmą, która dostaje subkontrakty na towary i usługi. Obawa przed awanturczymi państwami i terrorystami nadal nie maleje, więc nasze interesy idą całkiem nieźle.

- Fascynująca historia - powiedział Austin. - Dziękuję za szczegółową opowieść o pani rodzinie.

Skinęła głową.

- Wracając do teraźniejszości, panie Austin, jakie są szanse na wydobycie z jeziora samolotu, który pan znalazł?

- To byłoby delikatne zadanie, ale możliwe do wykonania dla kompetentnej firmy ratowniczej. Mogę pani kilka polecić, jeśli pani chce.

- Bardzo panu dziękuję. Chcielibyśmy odzyskać naszą własność. Wracają państwo dziś do Paryża?

- Taki mieliśmy zamiar.

- Bien. Odprowadzę państwa.

Pani Fauchard poprowadziła ich teraz innym korytarzem: jego ściany pokryte były setkami portretów. Zatrzymała się przed podobizną mężczyzny w długim skórzanym płaszczu.

- To mój stryjeczny dziadek, Jules Fauchard - powiedziała. Mężczyzna z orlim nosem i wąsami stał przy samolocie podobnym do tego, który Austin widział w muzeum lotnictwa kilkadziesiąt kilometrów od Paryża. Miał na głowie taki sam hełm, jaki Skye zostawiła u swojego przyjaciela Darnaya.

Skye cicho wciągnęła powietrze. Odgłos był ledwo słyszalny, ale spojrzenie pani Fauchard natychmiast powędrowało w stronę rzekomej panny Bouchet. - Coś się stało, mademoiselle?

- Nie, nie. - Skye odchrząknęła. - Podziwiałam po prostu ten hełm. Jest w pani zbiorach w zbrojowni?

Racine popatrzyła na nią surowo.

- Nie. Nie ma go tam.

Austin spróbował zmienić temat.

- Nie widzę dużego podobieństwa do pani i syna. Racine uśmiechnęła się.

- Fauchardowie mieli grube rysy twarzy, co widać na portrecie. My wrodziliśmy się w mojego dziadka, który nie pochodził z Fauchardów. Wzenił się w tę rodzinę i przyjął jej nazwisko, to było małżeństwo skojarzone przez rodziców młodej pary, chodziło o to, żeby połączyć dwie rodziny dla interesu. Fauchardowie nie mieli wtedy dziedzica płci męskiej, więc go zdobyli.

- Ma pani ciekawą rodzinę - powiedziała Skye.

- Nie wie pani nawet połowy - odrzekła Racine. Przez chwilę patrzyła na Skye w zamyśleniu, potem się uśmiechnęła. - Przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Może zostaną państwo na kolacji? Zaprosiłam już kilka osób. Będziemy w maskach, jak w dawnych czasach. Taki mały bal kostiumowy.

- Czeka nas długa jazda do Paryża - odparł Austin. - Poza tym nie mamy kostiumów.

- Mogą państwo przenocować tutaj. I zawsze mamy kilka zapasowych kostiumów, znajdziemy coś odpowiedniego. Są tu wszystkie wygody. Wyjedziecie państwo rano. Nie przyjmuję odmowy.

- Jest pani bardzo uprzejma, madame Fauchard - powiedziała Skye. - Ale nie chcielibyśmy sprawiać kłopotu.

- To żaden kłopot. Państwo wybaczą, ale muszę teraz porozmawiać z synem o przygotowaniach do przyjęcia. Proszę czuć się jak siebie w domu i obejrzeć parter zamku. Na piętrach są pokoje mieszkalne.

Po tych słowach Racine Fauchard odeszła szybko korytarzem, zostawiając im do towarzystwa tylko swoich przodków.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytał Austin, kiedy zniknęła za rogiem.

Skye klasnęła w dłonie po czym zatarła ręce.

- Mój plan się powiódł! W zbrojowni celowo paplałam o mojej znajomości broni, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Chwyciła przynętę. Mówiłeś, że Fauchardowie są kluczem do wyjaśnienia tamtej sprawy pod lodowcem i napadu na sklep Darnaya. Nie możemy stąd wyjechać z pustymi rękami. W czym problem?

- To może być dla ciebie niebezpieczne. W tym problem. Opadła ci szczęka, kiedy zobaczyłaś portret starego, poczciwego Jules'a. Ona teraz wie, że widziałaś hełm.

- To nie było planowane. Naprawdę zaskoczył mnie widok Jules'a w hełmie, który zabrałam spod lodowca. Posłuchaj, chcę wykorzystać okazję. Poza tym bal kostiumowy może być fajną zabawą. Ona nic mi nie zrobi przy gościach. Wydaje się całkiem sympatyczna, wcale nie jest potworem, czego się spodziewałam.

Austin nie był przekonany. Pani Fauchard zachowywała się czarująco, ale podejrzewał, że to zwykła gra. Zauważył jej groźną minę po reakcji Skye na widok portretu nad ich głowami. To Skye, nie Racine Fauchard, chwyciła przynętę. W głowie Austina dźwięczały dzwonki alarmowe, ale uśmiechał się. Nie chciał przstraszyć Skye.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował.

Zwiedzanie parteru zajęło im godzinę. Zamek stał na kilku akrach ziemi, ale obejrzeliby tylko labirynt korytarzy. Wszystkie drzwi były zamknięte. Kiedy spacerowali, Austin starał się zapamiętać rozkład wnętrza. W końcu dotarli z powrotem do frontowego przedsionka. Niepokój Austina narastał.

- Dziwne - powiedział. - W takim wielkim domu powinno być mnóstwo służby, a tymczasem widzieliśmy tylko Fauchardów i faceta, który przyniósł nam wodę.

- Fakt - przyznała Skye. Otworzyła drzwi frontowe i uśmiechnęła się. - Spójrz, panie Zatroskany. Możemy się stąd wynieść w każdej chwili, kiedy zechcemy.

Wyszli na taras i ruszyli przez dziedziniec w kierunku bramy. Zwodzony most nadal był opuszczony, ale krata w bramie również. Kiedy tu wchodzili, była podniesiona. Austin położył dłonie na żelaznych sztabach i wyrżał na zewnątrz.

- Nieprędko stąd wyjedziemy - oznajmił z ponurym uśmiechem.

Rolls-royce zaparkowany na podjeździe zniknął.

20

„Alvin” wznosił się jak mewa na grzbiecie fali, potem runął w dół w swobodnym opadaniu, które zakończyło się głośnym uderzeniem metalu o metal. Wstrząs zrzucił trzy osoby w środku batyskafu z ich miejsc. Trout próbował uniknąć zderzenia z Gamay i szczupłą pilotką, ale jego dwumetrowe ciało nie bardzo nadawało się do akrobacji i wyrznął głową w przegrodę. Najpierw zobaczył przed sobą gwiazdy, potem twarz Gamay. Patrzyła na niego z niepokojem.

- Nic ci się nie stało? - zapytała z troską w głosie.

Trout pokręcił głową. Podciągnął się z powrotem na siedzenie i delikatnie dotknął bolącego czoła. Nabił sobie guza, ale nie krwawił.

- Co to było? - zapytała Sandy.

- Nie wiem - odrzekł Trout. - Rozejrzę się.

Starając się nie myśleć o tym, że czuł mdłości, podpełzł do bulaja. Przez krótki moment zastanawiał się, czy po kolizji z przegrodą nie ma halucynacji. Miał przed sobą wykrzywioną męską głowę. Facet zobaczył go. Postukał w szybę lufą pistoletu i pokazał kciukiem w górę. Gest był jasny. Otwórzcie właz.

Gamay przywarła twarzą do drugiego bulaja.

- Tu jest jakiś naprawdę paskudny typ - szepnęła. - Ma spluwę.

- Tutaj też - odrzekł Trout. - Chcą, żebyśmy wyszli. - I co zrobimy? - zapytała Sandy.

Ktoś zaczął walić w kadłub.

- Nasz komitet powitalny zaczyna się niecierpliwie - powiedziała Gamay.

- Słyszę - odparł Trout. - Proponuję, żebyśmy zrobili, co każą. Chyba że ktoś ma pomysł, jak przerobić „Alvina” na bojowy okręt podwodny.

Sięgnął w górę i otworzył właz. Do wnętrza dostało się ciepłe, wilgotne powietrze, a w okrągłym otworze pojawiła się ta sama twarz, którą Trout widział przez bulaj. Mężczyzna przywołał go gestem, po czym zniknął. Gdy Trout wystawił na zewnątrz głowę i ramiona, zobaczył, że „Alvina” otaczało sześciu uzbrojonych ludzi.

Trout wydostał się wolno na kadłub batyskafu. Z włazu wyłoniła się Sandy i zbladła na widok komitetu powitalnego. Zamarła i trwała w bezruchu, dopóki Gamay nie szturchnęła jej z dołu, a Trout nie pomógł jej zejść na metalowy pokład.

„Alvin” spoczywał w jasno oświetlonym pomieszczeniu wielkości garażu dla trzech samochodów. Ciężkie powietrze pachniało morzem. Z kadłuba batyskafu ściekała woda i znikła z bulgotem w otworach odpływowych w pokładzie. Z oddali dobiegało przytłumione buczenie silników. Trout domyślił się, że byli w komorze powietrznej ogromnego okrętu podwodnego. Na jednym końcu pomieszczenia ściany wyginały się i stykały ze sobą wzdłuż poziomej fałdy niczym wielka mechaniczna paszcza. Okręt najwyraźniej połknął „Alvina” jak granik krewetkę.

Strażnik wcisnął włącznik na ścianie i w przegrodzie na wprost mechanicznej paszczy otworzyły się drzwi. Wskazał lufą drogę. Więźniowie weszli do mniejszego pomieszczenia, które wyglądało jak fabryka robotów. Z wieszaków na ścianie zwisało kilkanaście „skafandrów kosmicznych”, z grubymi przegubowymi ramionami zakończonymi chwytakami kleszczowymi. Trout, pracując w NUMA, wiedział, że były to „człękokszałtne” pojazdy podwodne do długiego nurkowania na dużych głębokościach.

Drzwi zamknęły się z sykiem i więźniowie pomaszerowali korytarzem pod eskortą sześciu strażników - trzech z przodu i trzech z tyłu. Krótko ostrzyżeni muskularni mężczyźni w granatowych kombinezonach bez żadnych znaków identyfikacyjnych wyglądali na twardzieli i w ich chodzie można było dostrzec pewność siebie dobrze wyszkolonych żołnierzy. Wyglądali na trzydziesto-, czterdziestolatków. Byli za starzy jak na rekrutów. Nie

sposób było odgadnąć, jakiej są narodowości, bo się nie odzywali, a porozumiewali wyłącznie gestami. Trout podejrzewał, że to najemnicy, zapewne typy z sił specjalnych.

Przeszli się korytarzy. W końcu więźniów wepchnięto do kajuty i zaryglowano za nimi drzwi. W małej kabinie były dwie koje, krzesło, pusta szafa i toaleta.

Gamay rozejrzała się po ciasnej kwaterze.

- Przytulnie tutaj - powiedziała.

- To na pewno kajuta trzeciej klasy - odrzekł Trout. Kręciło mu się w głowie i oparł się ręką o przegrodę, żeby nie stracić równowagi. Widząc zaniepokojoną minę Gamay, dodał: - Nic mi nie jest. Ale muszę usiąść.

- Wymagasz udzielenia pierwszej pomocy - odparła.

Kiedy mąż przysiadł na brzegu koi, weszła do toalety i zmoczyła ręcznik zimną wodą. Trout przyłożył go do czoła, żeby zmniejszyć opuchliznę. Sandy i Gamay na zmianę chodziły do łazienki i moczyły kompres. W końcu opuchlizna zmaląła. Trout poprawił ostrożnie muszkę zwisającą z szyi i przeczesał palcami włosy.

- Lepiej? - zapytała Gamay.

Odświeżony Trout wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Chyba stałem się całkowicie niepo czytalny, to mógł być tylko lekki wstrząs mózgu.

Sandy, choć pełna niepokoju, roześmiała się głośno.

- Jak wy oboje możecie być teraz tak spokojni? - zapytała z podziwem.

Zachowanie Trouta wynikało nie tyle z brawury, ile z pragmatycznej postawy i wiary we własne możliwości. Paul należał do Zespołu Specjalnego NUMA i bywał już wielokrotnie w niebezpiecznych sytuacjach. Jego pozorną niefrasobliwość maskował twardy charakter odziedziczony po przodkach z Nowej Anglii. Pradziadek Paula był ratownikiem morskim. Dewiza obowiązująca w tej profesji brzmiała: „Musisz wypłynąć, ale nie musisz wrócić”. Jego dziadek i ojciec byli rybakami i nauczyli go żeglarstwa i szacunku dla morza, on sam już nauczył się polegać na własnej pomysłowości.

Gamay brano czasem za modelkę lub aktorkę. Była szczupła, miała zgrabne ruchy, ciemnorude włosy i promienny uśmiech. Mało kto uwierzyłby, że w dzieciństwie była chłopczycą, która rozrabiała jak szalona razem z chłopakami w rodzinnym Wisconsin. Nie brakowało jej żadnej cechy płci pięknej, ale nie była delikatną kobietką. Rudi Gunn, wicedyrektor NUMA, docenił jej inteligencję i zaproponował szefowi, by przyjął ją do pracy w agencji wraz z Paulem. Admirał Sandecker chętnie się zgodził. Od tamtej pory Gamay wiele razy dowiodła swojej zaradności podczas misji Zespołu Specjalnego.

- Spokój nie ma tu nic do rzeczy - odparła Gamay. - Jesteśmy po prostu praktyczni. Czy nam się to podoba, czy nie, utknęliśmy tutaj na jakiś czas. Trzeba ruszyć głową i wydedukować, co się stało.

- Naukowcy nie powinni wyciągać wniosków, dopóki nie mogą ich poprzeć faktami - zauważyła Sandy. - Nie znamy wszystkich faktów.

- Ale znamy metody naukowe - odrzekł Trout. - Ben Jonson powiedział kiedyś, że nic tak nie pomaga w koncentracji jak perspektywa, że mogą nas powiesić. Skoro nie znamy wszystkich faktów, spróbujmy wykorzystać naukowe rozumowanie, żeby dojść do czegoś. I tak nie mamy nic lepszego do roboty. Po pierwsze, wiemy na pewno, że nas porwano i uwięziono w jakimś wielkim okręcie podwodnym o dziwnej konstrukcji.

- Czy to może być ów pojazd, który zostawił tamte ślady w Zaginionym Mieście? - zapytała Sandy.

- Nie znamy faktów na poparcie tej teorii - odparł Trout. - Ale można zbudować pojazd podwodny pełzający po dnie morskim. NUMA miała coś takiego kilka lat temu.

- Okay, więc co on tu robi? Kim są ci ludzie? I czego od nas chcą?

- Mam przeczucie, że niedługo poznamy odpowiedzi na te pytania - odrzekła Gamay.

- Mówisz bardziej jak jasnowidz niż naukowiec - powiedziała Sandy. Gamay położyła palec na ustach i wskazała drzwi; klamka powędrowała w dół. Po chwili do kajuty wszedł mężczyzna. Był taki wysoki, że w progu musiał schylić głowę. Miał na sobie taki sam kombinezon, jak tych sześciu, którzy ich „powitali” i doprowadzili tutaj, ale innej barwy, żółtozielony. Zamknął cicho drzwi i spojrzął na więźniów.

- Proszę się odprężyć - powiedział. - Jestem jednym z porządnym facetów.

- Niech zgadnę - odezwał się Trout. - Nazywa się pan kapitan Nemo, a ten okręt to „Nautilus”.

Zaskoczony mężczyzna zamrugał gwałtownie. Spodziewał się, że więźniowie będą przerażeni.

- Nie, nazywam się Angus MacLean - zaprzeczył, mówił z wyraźnym szkockim akcentem. - Jestem doktorem chemii. Ale ma pan rację co do okrętu. Jest równie wspaniały, jak „Nautilus” kapitana Nemo.

- A my wszyscy jesteśmy bohaterami powieści Jules'a Verne'a? - zapytała Gamay.

MacLean westchnął ciężko.

- Szkoda, że to wszystko nie jest takie proste. Nie chcę was straszyć - ciągnął poważnym tonem - ale wasze życie może zależeć od wyniku naszej rozmowy. Proszę mi podać swoje nazwiska i zawody. I bardzo proszę mówić prawdę. Na tym okręcie nie ma miejsca na areszt.

Troutowie zrozumieli ostrzeżenie. Ten człowiek dał im do zrozumienia, że nie trzyma się tu zbędnych więźniów. Trout spojrzął w łagodne niebieskie oczy MacLeana i postanowił mu zaufać.

- Nazywam się Paul Trout. To jest moja żona, Gamay. Oboje pracujemy w NUMA. To jest Sandy Jackson, pilotka „Alvina”.

- Jaką macie specjalizację naukową?

- Jestem geologiem morskim. Gamay i Sandy są biologami morskimi. Na poważnej dotychczas twarzy MacLeana pojawił się uśmiech ulgi.

- Dzięki Bogu - mruknął. - W takim razie jest jeszcze nadzieja.

- Może teraz pan mi odpowie na jedno pytanie - powiedział Trout. - Dlaczego nas uprowadziliście i porwaliście „Alvina”?

MacLean w odpowiedzi uśmiechnął się smutno.

- Nie miałem z tym nic wspólnego. Jestem takim samym więźniem jak wy.

- Nie rozumiem - odezwała się Sandy.

- Teraz nie mogę tego wyjaśnić. Mogę tylko powiedzieć, że na szczęście możecie się im przydać. Nie zabiją was, dopóki będziecie im potrzebni. Tak jak mnie.

- Kim są ci ludzie? - zapytał Trout.

MacLean przeczesał długimi palcami siwiejące włosy.

- Lepiej, żebyście nie wiedzieli. Są niebezpieczni.

- Kimkolwiek pan jest - odparła Gamay - proszę przekazać ludziom, którzy nas porwali i zabrali nasz batyskaf, że nasz statek wsparcia będzie nas szukał.

- Powiedzieli mi, że z tym nie będzie problemu. Nie mam powodu, żeby im nie wierzyć.

- Co mieli na myśli? - zapytał Trout.

- Nie wiem. Ale wiem, że ci ludzie dążą do celu po trupach.

- A jaki jest ten cel?

Niebieskie oczy MacLeana posmutniały natychmiast.

- Lepiej nie zadawać pewnych pytań i nie odpowiadać na nie. - Wstał z krzesła. - Muszę im zdać relację z naszej rozmowy. - Wskazał lampę i położył palec na ustach, ostrzegając przed podsłuchem. - Przyniosę wam niedługo coś do jedzenia i picia. Proponuję, żebyście trochę odpoczęli.

- Wierzycie mu? - zapytała Sandy po wyjściu MacLeana.

- Jego opowieść jest tak niesamowita, że może być prawdziwa - odparła Gamay.

Sandy popatrzyła na Troutów.

- Co proponujecie?

Trout położył się na koi i próbował się wyprostować, choć jego długie nogi zwisały poza krawędź materaca. Wskazał lampę.

- Zamierzam pójść za radą MacLeana i trochę odpocząć. Chyba że ktoś chce skorzystać z tej koi.

MacLean wrócił pół godziny później. Przyniósł kanapki z serem, termos z gorącą kawą i trzy kubki. Co najważniejsze, uśmiechał się.

- Gratuluję - powiedział, rozdając kanapki. - Jesteście już oficjalnie zatrudnieni przy naszym projekcie.

- Co to za projekt? - Gamay odpakowała kanapkę i ugryzła kawałek.

- Nie mogę wam zdradzić wszystkiego. Jesteście w zespole badawczym. Zostaniecie wtajemniczeni tylko w to, o czym będziecie musieli wiedzieć. Mam was oprowadzić po okręcie, żebyście poznali warunki pracy. Po drodze wyjaśnię, co trzeba. Nasz opiekun czeka.

MacLean zastukał w drzwi. Ponury strażnik otworzył je i odsunął się na bok, żeby ich przepuścić. Pomaszrowali raz jeszcze siecią korytarzy. MacLean prowadził, strażnik trzymał się z tyłu. Weszli do dużego pomieszczenia z monitorami telewizyjnymi na ścianach i świecącymi się panelami elektronicznymi. Strażnik stanął tak, żeby mieć ich na oku, ale nie wtrącał się do rozmowy.

- To sterownia - powiedział MacLean. Trout rozejrzał się wokoło.

- A gdzie załoga?

- Ten okręt jest prawie całkowicie zautomatyzowany. Na pokładzie mamy tylko nieliczną obsługę, ochronę i nurków, oczywiście.

- Widziałem skafandry. W pomieszczeniu za komorą powietrzną. MacLean skinął głową.

- Jest pan spostrzegawczy. Na tamtym ekranie widać nurków przy pracy.

Monitor ścienny pokazywał typowe kolumny Zaginionego Miasta. Na dole ekranu coś się poruszyło. Pojawił się nurek: wznosił się wzdłuż kolumny w pękatym skafandrze z pionowymi wirnikami napędowymi. Za nim wyłonili się trzej następni, podobnie wyposażeni. Wszyscy trzymali w chwytakach manipulatorów grube gumowe węże.

Groteskowe postacie dopłynęły bezdzźwięcznie do górnej krawędzi ekranu. Zatrzymały się pod osłoną skały w kształcie grzyba jak pszczoły zbierające nektar.

- Co oni robią? - zapytał Trout.

- Już wiem - powiedziała Sandy. - Pobierają bioorganizmy z kolonii mikroorganizmów żyjących wokół otworów termalnych.

- Zgadza się - potwierdził MacLean. - Usuwiają całe kolonie. Żywy materiał i płynne środowisko, w którym się rozwija, są transportowane tymi węzami do zbiorników na okręcie.

- Chce pan powiedzieć, że to ekspedycja naukowa? - zapytała Gamay.

- Niezupełnie. Zaraz pani zobaczy.

Dwaj nurkowie odłączyli się od kolegów i podpłynęli do szczytu innej kolumny. Pozostała para zaczęła ciąć pierwszą kolumnę piłami ręcznymi.

- Niszczą ją! - oburzyła się Sandy. - To przestępstwo!

MacLean zerknął na strażnika, żeby sprawdzić, czy usłyszał jej wybuch. Mężczyzna stał oparty o ścianę z obojętną, znudzoną miną. MacLean pomachał ręką, żeby zwrócić jego uwagę, i wskazał drugie drzwi sterowni. Strażnik ziewnął i skinął głową. MacLean wprowadził trójkę „gości” do następnego pomieszczenia, wypełnionego dużymi okrągłymi zbiornikami z plastiku.

- Tu możemy porozmawiać - powiedział. - W tych zbiornikach magazynujemy materiał biologiczny.

- Musi być tego dużo - zauważyła Gamay.

- Bardzo trudno utrzymać te organizmy przy życiu poza ich środowiskiem naturalnym. Dlatego nurkowie zabierają na okręt niektóre kolumny. Zanim wrócimy na ląd, tylko mały procent tego materiału będzie się nadawał do wykorzystania.

- Na ląd? - upewnił się Trout.

- Tak. Zebrany materiał poddaje się ostatecznemu przetworzeniu na pewnej wyspie. Co jakiś czas opróżniamy tam zbiorniki. Nie wiem dokładnie, gdzie to jest.

MacLean spostrzegł, że strażnik ich obserwuje.

- Przepraszam. Wygląda na to, że nasz opiekun ocknął się z letargu. Będziemy musieli dokończyć tę rozmowę później.

- Niech pan mi szybko opowie o tej wyspie. To może być nasza jedyna szansa ucieczki.

- Ucieczki? Na to nie ma żadnych szans.

- Jakaś zawsze istnieje. Jak tam jest?

MacLean zauważył, że nadchodzi strażnik. Zniżył głos co sprawiło, że jego słowa zabrzmiały bardziej złowieszczo.

- Gorzej niż byłby w stanie wyobrazić sobie Dante.

21

Austin omiół spojrzeniem strome mury obronne z mocnymi blankami otaczające zamek Fauchardów i poczuł wielki szacunek dla rzemieślników, którzy układali ciężkie kamienne bloki. Jego podziw osłabiła świadomość, że tę wzniesioną przez nich przed wiekami twierdzę równie trudno było zdobyć i opuścić. - I co o tym myślisz? - zapytała Skye.

- Gdyby Alcatraz zbudowano na stałym lądzie, wyglądałby podobnie.

- Więc co zrobimy? Wziął ją pod rękę.

- Będziemy kontynuowali przechadzkę.

Kiedy zobaczyli, że krata w bramie jest opuszczona i nie ma ich samochodu, poszli na spacer wokół dziedzińca niczym para turystów. Od czasu do czasu przystawali i gawędzili, potem ruszali dalej. Swobodne zachowanie miało zmylić obserwatorów. Austin miał nadzieję, że on i Skye sprawiają wrażenie całkowicie wyluzowanych.

Podczas przechadzki badał wzrokiem otoczenie i szukał słabych punktów. Jego umysł odnotowywał każdy szczegół. Gdy okrążyli dziedziniec i wrócili do miejsca, od którego rozpoczęli spacer, mógł narysować z pamięci dokładny plan całego kompleksu.

Skye zatrzymała się i potrząsnęła żelazną furtką, zagrządzając wejście na wąskie schody prowadzące na blanki. Była zaryglowana.

- Musielibyśmy przefrunąć nad tymi murami, żeby się stąd wydostać - powiedziała.

- Moje skrzydła są akurat w pralni chemicznej - odparł Austin. - Trzeba wymyślić coś innego. Chodźmy z powrotem do środka. Rozejrzemy się.

Na tarasie spotkali Emila Faucharda. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Jak się państwu podoba nasz zamek?

- Teraz już takich nie budują - odrzekł Austin. - A przy okazji, zauważyliśmy, że zniknął nasz samochód.

- A, tak. Przystawiliśmy go, żeby nie blokował drogi gościom. Kluczyki były w stacyjce. Wróci na swoje miejsce, kiedy będą państwo gotowi do wyjazdu. Mam nadzieję, że to nie problem?

Austin uśmiechnął się z przymusem.

- Oczywiście, że nie. Zaoszczędziło mi to fatygi.

- Doskonale. Proszę do środka. Niedługo przyjadą goście.

Emil wprowadził ich z powrotem do zamku, a potem powiódł szerokimi schodami na piętro do sąsiadujących ze sobą pokoi gościnnych. Austin otrzymał apartament z sypialnią, łazienką i salonem. Barokowy wystrój pełen czerwieni i złota przypominał wiktoriański burdel.

Na łożu z baldachimem leżał kostium. Pasował na Austina, choć był trochę za ciasny w ramionach. Austin zerknął na swoje odbicie w wysokim lustrze, potem zapukał do drzwi łączących jego apartament z pokojem Skye. Uchyliła drzwi i parsknęła śmiechem na widok kostiumu Austina w czarno-białą szachownicę i czapki z dzwoneczkami dworskiego błazna.

- Madame Fauchard ma większe poczucie humoru niż myślałam - powiedziała.

- Moi nauczyciele w szkole zawsze mówili, że jestem klasowym błaznem. Pokaż, jak ty wyglądasz.

Skye weszła do apartamentu Austina i obróciła się wolno jak modelka na wybiegu. Była ubrana w obcisły czarny trykot, który uwydatniał wszystkie krągłości i wypukłości jej ciała. Na dłoniach miała futrzane rękawice, na nogach takie same bambosze, na głowie opaskę z wielkimi szpiczastymi uszami.

Zrobiła jeszcze jeden piruet.

- I co powiesz? - zapytała.

Austin przyglądał się jej z męską aprobatą, którą bardzo niewiele dzieliło od pożądania.

- Mój dziadek nazwałby cię „niezłym kociakiem”.

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Za progiem stał okrągłogłowy służący o imieniu Marcel. Popatrzył łakomie na Skye jak lew na smakowitą antylopę, potem przeniósł spojrzenie małych oczu na kostium Austina i wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu.

- Zjeżdżają się goście - oznajmił głosem, który brzmiał jak dźwięk żwiru zsuwającego się z szufli. - Madame Fauchard prosi państwa do zbrojowni na koktajl i kolację. - Jego gangsterski ton nie pasował do tekstu lokaja.

Austin i jego kocia towarzysząca włożyli czarne aksamitne maski, zeszli za tęgim służącym na parter, a potem pomaszrowali za nim labiryntem korytarzy. Byli jeszcze daleko od zbrojowni, gdy ich uszu dobiegły liczne głosy i śmiechy. Około dwudziestu mężczyzn i kobiet w fantastycznych kostiumach kręciło się wokół baru ustawionego przed kolekcją maczug. Służący wyglądający jak klony Marcela torowali sobie drogę przez tłum, roznosząc na tacach kawior i szampana. Rozbrzmiewała dyskretna muzyka - grał kwartet smyczkowy przebrany za gryzonia.

Austin wziął dwa wysokie kieliszki z tacy przechodzącego kelnera i jeden podał Skye. Stanęli pod wyciągniętymi kopiami szarżujących rycerzy na koniach. Sączyli szampana i obserwowali gości. Wyglądało na to, że mężczyzn jest tyle samo co i kobiet, choć różnorodność kostiumów utrudniała rozpoznanie płci.

Austin starał się odgadnąć motyw przewodni przyjęcia, gdy wszedł do sali tęgi czarny ptak. Zataczał się jak statek na wzburzonym morzu. Zachwiał się na żółtych nogach i pochylił do przodu. Lśniący czarny dziób zbliżył się niebezpiecznie do oka Austina.

- „Kiedyś, gdym wśród posępnej nocy...”, cholera, jak to idzie dalej? - wybełkotał pijackim głosem z niewyraźnym brytyjskim akcentem.

Najtrudniej zrozumieć nawalonego Angoła z wyższych sfer, pomyślał Austin.

- „Dumał znużony i w niemocy...” - dokończył.

Ptak zaklaskał skrzydłami i porwał kieliszek szampana z mijającej go tacy. Długi dziób przeszkadzał mu w picciu, więc zsunął go na czoło. Ukazała się okrągła, czerwona twarz. Przypominała Austinowi kreskówki o Johnie Bullu, symbolu Anglii.

- Zawsze przyjemnie spotkać wykształconego dżentelmena - powiedział ptak.

Austin przedstawił Skye i siebie. Ptak wyciągnął skrzydlatą rękę.

- Na czas dzisiejszej uroczystości nazwano mnie Nigdy więcej, ale kiedy nie kręcę się w przebraniu ponurego ptaszyska Poego, występuję pod nazwiskiem Cavendish. Lord Cavendish, co odzwierciedla żalostny stan naszego dumnego niegdyś imperium, skoro takiemu staremu pijaczynie jak ja dają tytuł szlachecki. Przepraszam, widzę, że mam pusty kieliszek. Nigdy więcej, stary. - Czknął głośno i potoczył się dalej w poszukiwaniu szampana.

Edgar Allan Poe. No, oczywiście.

Cavendish był pijanym Krukiem, Skye była Czarnym kotem. Austin błaznem z Beczki amontillado.

Austin przyjrzał się gościom. Zauważył kobietę przebraną za trupa. Była w brudnym i zakrwawionym białym całunie. Zagłada domu Usherów. Inna kobieta miała na sobie strój pokryty miniaturowymi dzwonkami. Piosnka o dzwonkach. O bar opierała się małpa człekokształtna i popijała martini. Zabójstwo przy rue Morgue. Małpa mówiła coś do ogromnego chrząszcza z trupią czaszką na pancerzu. Złoty żuk. Austin pomyślał, że pani Fauchard nie tylko miała poczucie humoru, lecz także lubiła groteskę.

Muzyka umilkła i w sali zapadła cisza. W drzwiach zbrojowni stanęła nowa postać. Cavendish, który właśnie wrócił z drinkiem w dłoni, wymamrotał „Dobry Boże!” i wmieształ się z powrotem w tłum gości, jakby szukał tam schronienia.

Wszystkie oczy były utkwione w kobiecie, wyglądającej jakby została ekshumowana. Na jej zapadłej trupiobladej twarzy i długim całunie widniały plamy krwi. Miała wysuszone wargi, oczy zapadnięte w głąb czaszki. Gdy wkroczyła do sali, rozległy się stłumione okrzyki

gości. Znow się zatrzymała i przez chwilę spoglądała kolejno każdemu w oczy. Potem ruszyła przez zbrojownię, jakby unosiła się na poduszce powietrznej. Stała przed wielkim zegarem z kości słoniowej i klasnęła w dłonie.

- Witajcie u Maski Czerwonego Moru - powiedziała wyraźnym głosem Racine Fauchard.
- Świętujcie dalej, przyjaciele. Pamiętajcie - jej głos zadrżał melodramatycznie - że kiedy grasuje Czerwony Mór, ulatuje życie.

Pomarszczone wargi wykrzywiły się w odrażającym uśmiechu. W tłumie rozległy się nerwowe śmiechy. Kwartet smyczkowy znów zaczął grać, kelnerzy, którzy na jakiś czas zamarli w bezruchu, ruszyli dalej. Austin spodziewał się, że pani Fauchard przywita się ze swoimi gośćmi, ale ku jego zaskoczeniu podeszła właśnie do niego i zdjęła upiorną maskę, odsłaniając twarz.

- Jest pan całkiem przystojny w tej czapce z dzwoneczkami i trykotach, monsieur Austin - powiedziała uwodzicielskim tonem.

- Dziękuję, madame Fauchard. Nigdy nie spotkałem tak czarującej zarazy. Racine Fauchard przechyliła kokieteryjnie głowę.

- Potrafi pan prawić komplementy. - Odwróciła się do Skye. - A pani jest urocza jako czarny kot, mademoiselle Bouchet.

- Merci, madame Fauchard. - Skye uśmiechnęła się słabo. - Postaram się nie zjeść kwartetu smyczkowego, choć uwielbiam myszy.

Pani Fauchard przyjrzała się jej z zazdrością, jaką w starzejącej się piękności budzi zwykle młoda kobieta.

- To właściwie szczury. Przykro mi, że nie mieliśmy większego wyboru kostiumów. Ale chyba nie ma pan nic przeciwko temu, żeby udawać pajaca, panie Austin?

- Oczywiście, że nie. Niejeden dworski błazen doradzał niegdyś królom. Lepiej udawać pajaca, niż nim być.

Racine Fauchard roześmiała się wesoło i zerknęła w stronę drzwi.

- Bien, widzę, że przybył książę Prospero.

W ich kierunku szła postać w trykotach, tunice i masce z purpurowego aksamitu ozdobionego złotem. Mężczyzna zdjął szerokim gestem aksamitną czapkę i skłonił się przed panią Fauchard.

- Wspaniałe wejście, mamó. Nasi goście porządnie się wystraszyli.

- Tak miało być. Przywitam się ze wszystkimi, gdy skończę rozmowę z panem Austinem.

Emil znów się skłonił, tym razem przed Skye, i odszedł. Austin popatrzył na tłum.

- Ma pani interesujących przyjaciół. To pani sąsiedzi?

- Wręcz przeciwnie. Przyjechali z całego świata. Są potomkami potentatów w branży zbrojeniowej. Mają ogromne pieniądze zarobione na śmierci i destrukcji. Ich przodkowie wyrabiali groty do włóczni i strzał, które zabiły setki tysięcy ludzi, budowali działa, które zniszczyły Europę w ostatnim stuleciu, i produkowali bomby, które zrównały z ziemią całe miasta. Powinien pan czuć się zaszczycony, że znalazł się pan w takim doborowym towarzystwie.

- Mam nadzieję, że się pani nie obrazi, jeśli powiem, że nie jestem pod wrażeniem.

Racine Fauchard zaśmiała się.

- Nie dziwię się panu. Ci nadęci, rozgadani durnie to dekadentkie euro-śmiecie. Żyją z tego, co w pocie czoła zdobyły poprzednie pokolenia ich rodzin. Ich niegdyś dumne korporacje i kartele są dzisiaj niemal anonimowym firmami, którymi handluje się na giełdzie nowojorskiej.

- A lord Cavendish? - zapytał Austin.

- Jest jeszcze bardziej żałosny niż inni, bo nie ma nawet majątku; zostało mu tylko nazwisko. Fauchardowie wykradli kiedyś jego rodzinie tajemnicę kucia stali.

- A co z Fauchardami? Są odporni na dekadencję?

- Nikt nie jest na nią odporny, nawet moja rodzina. Dlatego będą zarządzała Spear Industries, dopóki żyję.

- Nikt nie żyje wiecznie - zauważyła Skye.

- Co pani powiedziała? - Madame Fauchard odwróciła gwałtownie głowę i przeszła ją płonącym spojrzeniem.

Skye poczyniła po prostu zwykłą luźną uwagę i nie spodziewała się takiej reakcji.

- Miałam na myśli to, że wszyscy jesteśmy śmiertelni. Ogień w oczach Racine przygasł.

- To prawda, ale niektórzy z nas żyją dłużej niż inni. Za dziesiątki i setki lat Fauchardowie będą nadal prosperowali. Niech pani zapamięta moje słowa. A teraz państwo wybaczą, ale muszę zająć się gośćmi. Służba niedługo poda kolację.

Znów włożyła swoją upiorną maskę i dołączyła do syna. Skye sprawiała wrażenie trochę oszołomionej.

- O co jej właściwie chodziło?

- Madame Fauchard jest przewrażliwiona na punkcie swojego wieku. Nie dziwię się jej. Kiedyś musiała być piękna. Wpadłaby mi w oko.

- Nie wiedziałam, że lubisz seks z trupami - zadrwiła Skye. Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Widzę, że koteczek ma pazurki.

- Bardzo ostre i chętnie podrapałabym nimi twoją przyjaciółką. Nie rozumiem, dlaczego byłeś taki zaniepokojony. Ja czuję się śmiertelnie znudzona.

Austin obserwował, jak kilkunastu nowych służących o wyglądzie twardzieli wślizguje się cicho do sali i zajmuje pozycje przy wszystkich drzwiach.

- Przygotuj się - mruknął. - Mam przecucie, że prawdziwa zabawa dopiero się zacznie.

22

Cavendish był już zupełnie pijany. Zsunął dziób kruka na czubek głowy, by móc swobodnie podnosić puchar do ust. Złapał wino przez całą kolację w średniowiecznym stylu, popijając nim egzotyczne dania z dziczyzny, od skowronka po dzika. Austin przez uprzejmość skubał jedzenie, rzadko sięgał po kielich i radził Skye, by postępowała tak to samo. Musieli być trzeźwi, jeśli instynkt go nie zawodził.

Kiedy tylko sprzątnięto nakrycia po deserze, Cavendish wstał chwiejnie i postukał łyżeczką w szklanką do wody stołowej. Wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku. Uniósł swój puchar.

- Chciałbym zaproponować toast. Wypijmy za naszych gospodarzy.

- Brawo, brawo - podchwycili goście z pijackim zapałem i także unieśli swoje kielichy.

Zachęcony taką reakcją Cavendish uśmiechnął się szeroko.

- Jak wielu z was wie, rodziny Fauchardów i Cavendishów znają się od wieków. Wszyscy wiemy, że Fauchardowie... hm... zapożyczyli od Cavendishów metodą kucia stali na masową skalę i w ten sposób zagwarantowali sobie pomyślny rozwój, gdy tymczasem moi krewni zniknęli z horyzontu.

- Tak bywa na wojnie - zauważyła małpa z Zabójstwa przy rue Morgue.

- Wypiję za to - powiedział Cavendish i pociągnął solidny łyk z pucharu.

- Na nieszczęście, a może na szczęście, zważywszy jak często Fauchardom zdarzają się tragiczne wypadki, nikt z nas nigdy nie wżenił się w ich rodzinę.

- Tak bywa w miłości - odezwała się kobieta w dzwoneczkach, a pijani goście wokół stołu hałaśliwie przyznali jej rację.

Cavendish zaczął, aż ucichną śmiechy.

- Wątpię, czy w tym domu kiedykolwiek padło słowo „miłość” - ciągnął.

- Ale każdy może kochać. Ile rodzin może się pochwalić tym, że samodzielnie rozpoczęły „wojnę, która miała zakończyć wszystkie wojny”?

W sali zapadła nagle cisza. Goście zerkali ukradkiem na panią Fauchard. Siedziała u szczytu stołu, syn zajmował miejsce z jej prawej strony. Podczas przemowy Anglika uśmiechała się sztucznie przez cały czas, ale w oczach płonął ten sam złowieszczy płomień jak wówczas, gdy Skye wspomniała, że wszyscy są śmiertelni.

- Monsieur Cavendish bardzo nam schlebia, ale trzeba przyznać że wyolbrzymia wpływ Fauchardów na bieg historii - powiedziała chłodnym tonem. - Było wiele przyczyn wybuchu „wielkiej wojny”. Chciwość, głupota, arogancja, żeby wymienić tylko kilka. Wszystkie rodziny reprezentowane w tej sali przyłączyły się do sfory szowinistów dążących do wojny, na której wszyscy zbiliśmy majątki.

Cavendish nie dał się zniechęcić.

- Nie bądź taka skromna, moja droga Racine. To prawda, że my, ludzie z branży zbrojeniowej, byliśmy właścicielami gazet i przekupywaliśmy polityków, żeby nawoływali do wojny, ale to Fauchardowie, w swej nieskończonej mądrości, zapłacili za zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda, a tym samym utopili świat we krwi. Wszyscy znamy pogłoski, że Jules Fauchard wyłamał się z klanu i dlatego rozstał się przedwcześnie z tym padołem.

- Monsieur Cavendish - warknęła ostrzegawczo Racine Fauchard, ale Anglik był na fali.

- Jednak wielu nie wie - ciągnął - że Fauchardowie finansowali również pewnego austriackiego kaprała, kiedy robił karierę polityczną, i zachęcali dowództwo japońskiej armii cesarskiej do ataku na Stany Zjednoczone. - Urwał, żeby się napić. - Okazało się, że nie byliście na to odpowiednio przygotowani i sprawy wymknęły się wam trochę spod kontroli. Bomby zrównały z ziemią wasze zakłady niewolniczej pracy. Ale jak ktoś przed chwilą powiedział, „tak bywa na wojnie”.

W sali zapanowało napięcie trudne wręcz do zniesienia.

Madame Fauchard zdjęła maskę zarazy. Z twarzą wykrzywioną nienawiścią wyglądała jeszcze bardziej przerażająco niż w roli Czerwonego Moru. Austin nie wątpił, że gdyby Racine miała zdolności telekinetyczne, broń na ścianach posiekałaby Cavendisha na kawałki.

Jeden z gości przerwał przedłużającą się nieznośną ciszę.

- Wystarczy, Cavendish. Siadaj.

Anglik dopiero teraz zauważył miazdzące spojrzenie madame Fauchard. Zrozumiał, że posunął się za daleko, i serce podeszło mu do gardła. Głupkowaty uśmiezek gdzieś zniknął i Cavendish skurczył się jak kwiat pod kwarcówką. Niemal wytrzeźwiał i klapnął ciężko na krzesło.

Racine Fauchard wstała niczym prostująca się kobra i uniosła kielich.

- Merci. Teraz ja zaproponuję toast. Wypijmy za wspaniałą świętej pamięci rodzinę Cavendishów.

Czerwona twarz Anglika zbladła. Wymamrotał podziękowania i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć. Nie czuję się zbyt dobrze. Obawiam się, że to atak niestrawności.

Wstał od stołu, ruszył w stronę wyjścia i zniknął za drzwiami.

Pani Fauchard zerknęła na syna.

- Trzeba się zająć naszym gościem. Nie chciałabym, żeby wpadł do fosy. Żartobliwa uwaga rozładowała napięcie. Znów rozległ się gwar rozmów, jakby w ciągu ostatnich kilku minut nic się nie wydarzyło. Austina to nie uspokoiło. Kiedy patrzył na wychodzącego Cavendisha, pomyślał, że Anglik podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Co się dzieje? - zapytała Skye.

- Fauchardowie nie znoszą publicznego prania ich brudów, zwłaszcza w obecności obcych.

Austin obserwował Racine Fauchard. Nachyliła się do syna i coś powiedziała. Emil uśmiechnął się i wstał od stołu. Przywołał gestem Marcela i obaj wyszli z sali. Emil wrócił sam po jakichś dziesięciu minutach, kiedy podawano brandy. Spojrzał na Austina i Skye i szepnął matce coś do ucha. Skinęła lekko głową z obojętną miną. Austin domyślił się, o co chodzi. Do wyroku śmierci na Cavendisha dodano dwa nazwiska: jego i Skye.

Kilka minut później zjawił się Marcel. Na jego widok Emil wstał i klasnął w dłonie.

- Panie i panowie, szanowni goście Maski Czerwonego Moru, dla uświetnienia tego uroczystego spotkania ksiązę Prospero przygotował niezapomnianą rozrywkę.

Na jego znak służący zapalił pochodnię od płomieni w koksowniku i wręczył mu ją. Emil z namaszczeniem wydobył z fałdów tuniki wielki klucz i ruszył pierwszy wzdłuż nawy, minął transept i doszedł do końca zbrojowni. Zatrzymał się przed niskimi drewnianymi drzwiami, które były ozdobione wyrzeźbionymi ludzkimi czaszkami i kośćmi, po czym wsunął klucz do zamka. Kiedy otworzył drzwi, pochodnia przygasła od podmuchu chłodnego stęchłego powietrza za progiem.

- Chodźcie ze mną, jeśli macie odwagę - powiedział Emil z krzywym uśmiechem, schylił głowę i wszedł do środka.

Chichoczący goście przystanęli na chwilę, a potem podążyli za nim z pucharami w dłoniach niczym dzieci za szczurołapem z Hamelinu. Austin przytrzymał Skye za ramię, nie chcąc, żeby szła w grupie.

- Udawaj, że jesteś pijana - mruknął.

- Szkoda, że nie jestem - odrzekła Skye. - Merde. Zbliża się żelazna dama. Racine Fauchard podeszła do nich.

- Czerwony Mór musi się pożegnać, monsieur Austin - powiedziała. - Żałuję, że nie mogliśmy się lepiej poznać.

- Ja też. Pan Cavendish wygłosił interesujące przemówienie - odrzekł bełkotliwie Austin.

- Wielkie rody często są obiektem złośliwych plotek - odparła Racine i odwróciła się do Skye. - Koniec udawania. Ma pani przedmiot, który należy do mojej rodziny

- O czym pani mówi?

- Niech pani ze mną nie igrza. Wiem, że ma pani hełm.

- Więc to pani przysłała tamtego straszego typu.

- Sebastiana? Nie. To wierny fagas mojego syna. Jeśli to panią w jakiś sposób pocieszy, zostanie zlikwidowany, bo nas zawiódł. Nieważne. Wydobędziemy od pani informację, gdzie jest nasza własność. Co do pana, monsieur Austin, musimy się rozstać.

Austin zachwiał się lekko.

- Do następnego spotkania.

Pani Fauchard spojrzała na niego niemal ze smutkiem.

- Właśnie. Do następnego spotkania.

W otoczeniu służących ruszyła do wyjścia. Marcel stał w pobliżu. Podszedł i wykrzywił usta w tym swoim uśmiechu filmowego gangstera.

- Monsieur Emil byłby niepokieszony, gdyby ominęła państwa rozrywka, którą przygotował.

- Nie zrezygnowałbym z niej za nic na świecie - zapewnił Austin pijackim głosem.

Marcel zapalił drugą pochodnię i wskazał gestem drzwi. Austin i Skye przyspieszyli kroku i znaleźli się na końcu rozbawionej grupy. Kamerdyner szedł za nimi, by mieć pewność, że nie zbczą z drogi.

Goście zeszli po niskich kamiennych stopniach do korytarza o szerokości około dwóch metrów. Kiedy zapuścili się głębiej w podziemia zamku, śmiechy i rozmowy zaczęły cichnąć. Wesoły nastrój zniknął zupełnie, gdy weszli do części korytarza, gdzie na kamiennych półkach usytuowanych na wysokości wzroku leżały stosy ludzkich kości. Emil przystanął, wziął jedną z czaszek i uniósł wysoko nad głowę. Szczęrzyła z góry zęby, jakby bawiły ją kostiumy gości.

- Witamy w katakumbach Chateau Fauchard - powiedział wesołym tonem przewodnika po Disney World. - Przedstawiam państwu jednego z moich przodków. Przepraszam, że jest trochę powściągliwy. Rzadko ma gości.

Rzucił czaszkę z powrotem na stertę kości, wywołując małą lawinę zeber, obojczyków i piszczeli. Potem ruszył dalej i przynaglił grupę do szybszego marszu, ostrzegając, że jeśli się nie pospieszą, mogą stracić przedstawienie. Doszli do szeregu dużych zakratowanych pomieszczeń. Emil wyjaśnił, że to dawne lochy i izby tortur. Wewnątrz stały płonące koksowniki. Przez ich witrażowe szyby o różnych barwach przeświecały chybotliwe płomienie.

Światło o dziwnych kolorach padało na figury woskowe. Wyglądały jak żywe i nikt nie byłby zaskoczony, gdyby się poruszyły. W jednej z izb wielka człekokształtna małpa pchała kobietę w górę komina. W innej mężczyzna odkopywał się z grobu. W każdym pomieszczeniu można było zobaczyć scenę z jakiegoś utworu Poe'go.

Emil podszedł do Austina. Blask pochodni nadawał jego twarzy demoniczny wygląd pasujący do otoczenia.

- Jak się panu podoba dotychczasowa część mojego małego przedstawienia, monsieur Austin?

- Nie bawiłem się tak dobrze od czasu wizyty w muzeum figur woskowych Madame Tussaud.

- Pochlebia mi pan. Brawo! Ale najlepsze dopiero będzie.

Emil zaprowadził grupę po pomieszczenia, gdzie w purpurowej poświacie wszyscy wyglądali jak ofiary Czerwonego Moru. W podłodze znajdował się okrągły otwór. Nad drewnianą konstrukcją kołysało się ostre jak brzytwa wahadło. Do platformy był przywiązany wielki czarny ptak. Po jego piersi pełzały szczury. Scena, przedstawiająca torturowanie ofiary

przez hiszpańską inkwizycję, pochodziła ze Studni i wahadła. Tyle że tutaj ofiarą był przywiązany do stołu i zakneblowany Cavendish.

- Jak państwo widzą, ta scena różni się od innych - powiedział Emil. - Szczury są prawdziwe, ofiara też. Pan Cavendish to porządny chłop, jak powiedzieliby Anglicy. Wspaniałomyślnie zgodził się uczestniczyć w naszym przedstawieniu.

Gdy goście wyrazili uprzejmie swoje uznanie, Cavendish szarpał się, próbując zrzucić więzy.

Wahadło opadło i znalazło się zaledwie kilka centymetrów od falującej piersi ofiary.

- On zginie! - wrzasnęła jakaś kobieta.

- Posiekany na kawałki - odrzekł Emil z niestosowną wesołością i zniżył głos do teatralnego szeptu. - Boję się, że lord Cavendish ma stracha. Ale bez obaw, przyjaciele. Ostrze jest z drewna. Nie chciałbym, żeby nasz gość został poszatowany. Ale jeśli to wam przeszkadza...

Strzelił palcami. Wahadło kołysało się jeszcze przez chwilę, coraz wolniej, potem stanęło. Cavendish szarpnął się gwałtownie i znieruchomiał.

Emil poprowadził gości do ostatniego lochu. Mimo że nie przedstawiono tu żadnej sceny, pomieszczenie wydawało się najbardziej przerażające ze wszystkich. Czarny aksamit na ścianach pochłaniał nikłe światło widoczne za ciemną nieprzezroczystą zasłoną, co stwarzało przynębiający nastrój. Gdy Emil wskazał gościom korytarz prowadzący do wyjścia, z podziemi rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi. Kiedy Austin i Skye ruszyli za innymi, Emil zastąpił im drogę.

Austin zatoczył się pijacko i zdjął szerokim gestem czapkę.

- Ty pierwszy, Gastonie.

Emil przestał grać rolę wytwornego Prospera. Ton jego głosu stał się zimny i twardy jak stal.

- Gdy Marcel będzie wyprowadzał naszych gości z lochów, pokażę państwu coś wyjątkowego - powiedział i uniósł czarny aksamit udrapowany na ścianie. Za zasłoną ukazała się blisko półmetrowa szczelina w murze.

Austin zamrugał.

- O co chodzi? To część przedstawienia? Emil uśmiechnął się sztywno.

- Tak, to część przedstawienia - potwierdził i wyciągnął pistolet. Austin popatrzył na broń i wybuchnął pijackim śmiechem.

- Cholernie dobre przedstawienie - zawołał i potrząsnął głową, dzwoneczki przy błazeńskiej czapce zadźwięczały donośnie.

Wszedł do otworu, za nim Skye, na końcu Emil. Zeszli po dwóch kondygnacjach schodów. Temperatura spadła, powietrze stało się wilgotne. Ściany były mokre, woda kapiała im na głowy. Schodzili coraz niżej, w końcu Emil kazał im przystanąć przed niszą w murze. Miała około półtora metra szerokości i podobną, trochę tylko mniejszą głębokość.

Wetknął pochodnię do lichtarza i ściągnął plandekę ze stosu cegieł. Obok stało wiadro z zaprawą murarską i leżała kielnia. Sięgnął w głąb niszy i wyjął stamtąd butelkę wina. Ciemnozielone szkło pokryte kurzem i pajęczynami. Wyciągnął zębami korek i wręczył butelkę Austinowi.

- Niech pan pije, monsieur Austin. Austin popatrzył na butelkę.

- Może to wino powinno chwilę pooddychać.

- Miało na to całe wieki - odparł Fauchard i wykonał ruch pistoletem. - Niech pan pije.

Austin wyszczerzył zęby w głupkowskim uśmiechu, jakby myślał, że broń to zabawka. Przyłożył butelkę do ust. Część wina pociekła mu po brodzie. Otarł ją i oddał butelkę Fauchardowi. Emil pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Wolę być trzeźwy.

- Hm?

- Narobił pan masę kłopotów - powiedział Emil. - Matka kazała mi pozbyć się pana w najbardziej odpowiedni sposób, jaki uda mi się wymyślić. Dobry syn zawsze słucha matki. Sebastianie, przywitaj się z mademoiselle Bouchet.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać i pochodnia oświetliła bladą twarz mężczyzny, którego Austin nazywał w myślach Knedlem. Egzekutor miał prawą rękę na temblaku.

- Znacie się już, prawda? - powiedział Emil do Skye. - Sebastian ma dla pani prezent.

Mężczyzna rzucił jej pod nogi strzałę z kuszy.

- To twoje - mruknął.

- O co chodzi? - zapytał Austin.

- W pańskim winie jest środek paraliżujący - wyjaśnił Emil. - Za chwilę przestanie się pan ruszać, ale wszystkie pańskie zmysły pozostaną sprawne, więc będzie pan wiedział, co się dzieje. - Wyjął spod płaszcza kajdanki i pomachał nimi Austinowi przed nosem. - Jeśli powiesz: „Na miłość boską, Montresorze”, może puszcze cię wolno.

- Ty skurwielu - wymamrotał Austin. Oparł się ręką o ścianę, jakby tracił władzę w nogach, ale nie odrywał wzroku od leżącej strzały.

Na widok Sebastiana Skye wydała stłumiony okrzyk przerażenia, ale teraz rzuciła się na uzbrojonego Faucharda i chwyciła go za nadgarstek. Sebastian zaszedł ją z tyłu i zdrowym ramieniem opasał jej szyję. Choć miał jedną rękę na temblaku, nie brakowało mu siły i zaczął dusić Skye. Pociemniało jej w oczach z braku powietrza.

Austin wyprostował się nagle. Trzymając butelkę za szyjkę, walnął nią Sebastiana w głowę. Szkło i wino rozprysło dookoła. Sebastian puścił Skye, stał przez kilka sekund z zaskoczoną miną, potem runął jak ścięte drzewo. Skye osunęła się na ziemię.

Emil odskoczył na bok, żeby padający Sebastian nie zwałił go z nóg, i wycelował pistolet w Austina. Kurt natarł na niego ciałem i wepchnął go do niszy. Sięgnął po jego broń, ale Emil zdążył strzelić. Chybił i pocisk trafił w ścianę kilka centymetrów od twarzy Austina. Kurt poczuł na policzku odpryski muru, bliski błysk z lufy oslepił go na chwilę. Potknął się o stos cegieł i padł na kolana. Fauchard uskokzył na bok.

- Szkoda, że nie umrzesz powolną śmiercią, którą dla ciebie wymyśliłem - powiedział. - Skoro klęczysz, może spróbujesz błagać o litość?

- Nie zamierzam - odrzekł Austin i zacisnął dłoń na strzale z kuszy. Poderwał ją z ziemi i wbił w stopę Faucharda.

Ostry grot z łatwością przebił złoty trzewik. Przerażliwy wrzask odbił się echem od sklepienia i Emil wypuścił pistolet z ręki.

Austin już stał na nogach. Wybrał punkt na szczęce Emila, zebrał się w sobie i uderzył prawym sierpowym. Potężny cios omal nie urwał Fauchardowi głowy. Emil upadł na ziemię obok swojego fagasa. Austin pomógł Skye wstać. Trzymała się za bolącą szyję i z trudem chwyciła powietrze. Kurt upewnił się, czy może oddychać, i pochylił się nad Knedlem.

- Wygląda na to, że wino poszło Sebastianowi do głowy.

- Emil powiedział, że w winie jest środek paraliżujący. Jak...

- Ściekło mi po brodzie. Takie stare wino smakuje pewnie jak ocet. Austin chwycił Emila za kostki i wciągnął do niszy. Potem zatrzasnął mu kajdanki na nadgarstku i przykuł go do metalowego kółka na ścianie. Zdjął czapkę błazna i naciągnął Fauchardowi na uszy.

- Na miłość boską, Montresorze - powiedział mu na pożegnanie.

Wyjął pochodnię ze świecznika i ruszył korytarzem. Udając wcześniej pijanego, starał się jednak zapamiętać każdy odcinek drogi, którą przyszli. Wkrótce dotarli z powrotem do lochu, gdzie leżał Cavendish. Na ich widok szczury uciekły. Na pulchnej twarzy Anglika zastygł wyraz przerażenia.

Austin dotknął jego szyi. Nie wyczuł tętna.

- Nie żyje - powiedział.

- Nie rozumiem - odrzekła Skye. - Nigdzie nie ma krwi.

Austin przesunął kciukiem wzdłuż krawędzi ostrza, które dotykało piór na piersi nieboszczyka.

- Fauchard powiedział prawdę. To drewno. Ale nie uprzedził o tym Cavendisha. Myślę, że biedak umarł ze strachu. Chodźmy, nie możemy mu już pomóc.

Doszli korytarzem do stromych, wąskich, krętych schodów. W miarę jak się wspinali, zapach stęchlizny słabł coraz bardziej i wkrótce poczuli na twarzach podmuch świeżego powietrza. Wyszli przez otwarte drzwi na dwór i usłyszeli śmiechy. Skręcili za róg i znaleźli się na frontowym dziedzińcu zamku. Gości wyprowadzano otwartą kratą w bramie.

Austin i Skye dołączyli do grupy powolnym, chwiejnym krokiem, jakby byli pijani. Wmieszali się w tłum, wydostali za bramę i przeszli przez łukowy kamienny most. Na kolistym podejździe stały rzędem samochody. Goście zegnali się wylewnie i życzyli sobie dobrej nocy. Wkrótce wszyscy odjechali i została tylko jedna para - Austin i Skye. Nadjechał ostatni samochód, rolls-royce Darnaya. Kierowca najwyraźniej myślał, że to limuzyna któregoś z gości. Austin podszedł do auta i otworzył Skye tylne drzwi.

Usłyszał krzyki po francusku, odwrócił się i zobaczył Marcela. Kamerdyner biegł przez most. Służący, który stał w pobliżu, wykonał jego polecenie podszedł szybko i stanął pomiędzy Austina a samochodem. Sięgnął pod smoking, ale Austin unieszkodliwił go krótkim prawym prostym w splot słoneczny. Potem krzyknął do Skye, żeby wsiadła na tylne siedzenie. Okrążył biegiem rollsa, szarpnął drzwi kierowcy, wyciągnął go na zewnątrz, walnął łokciem w szczękę i wskoczył za kierownicę.

Wrzucił bieg i wdepnął gaz. Rolls-royce wystartował ostro, spod kół wytrysnął żwir. Austin objechał poślizgiem fontannę i dostrzegł jakiś ruch z lewej strony, ktoś biegł w kierunku samochodu. Szarpnął kierownicę w prawo. W blasku reflektorów pojawił się drugi ochroniarz. Trzymał oburącz pistolet.

Austin schował się za tablicą przyrządów i wcisnął gaz. Mężczyzna wpadł na maskę, uderzył w przednią szybę i stoczył się na ziemię. Ale od zderzenia z ciałem ochroniarza na szybie powstała siatka pęknięć. Boczna szyba od strony pasażera rozprysła się nagle w kawałki. Austin zobaczył przed sobą błyski wystrzałów i usłyszał odgłosy, jakby ktoś walił szybko młotkiem w chromowaną kratownicę. Skręcił, poczuł uderzenie drugiego ciała i szarpnął kierownicę w przeciwną stronę.

Oślepiło go mocne światło, przez uszkodzoną szybę nic nie widział. Znów wdepnął gaz do podłogi, sądząc, że ma przed sobą wyjazd, ale stracił poczucie kierunku. Rolls-royce oderwał się od ziemi na krawędzi fosy, poszybował w przestrzeń i wylądował w wodzie. Poduszka powietrzna eksplodowała. Próbując się z niej uwolnić, Austin poczuł jak woda wdzierająca się przez okno zalewa mu nogi. Samochód tonął. Pociski podziurawiły dach, ale woda zamortyzowała ich siłę uderzenia. Austin nabrał powietrza do płuc. W następnym momencie auto znalazło się pod powierzchnią.

23

Rolls-royce opadał długą maską w dół jak okręt podwodny przy niekontrolowanym nurkowaniu. Po kilku sekundach zarył się w muł nagromadzony przez stulecia na dnie fosy. Austin przeczołgał się na szerokie tylne siedzenie, wyciągając przed siebie po omacku ręce jak homar szczypce w poszukiwaniu pożywienia. Natrafił palcami na miękkie ciało. Skye chwyciła go za nadgarstki i wciągnęła do płytkiej kieszeni powietrznej pod sufitem. Usłyszał jej gwałtowny oddech. Wypluł cuchnącą wodę.

- Słyszysz mnie?

Nieartykułowany gardłowy odgłos mógł być tylko potwierdzeniem. Woda sięgała Austinowi do brody. Wyciągnął szyję, żeby mieć usta i nos nad powierzchnią, i wydał szybkie instrukcje.

- Nie panikuj. Trzymaj się mnie. Ściśnij mnie za rękę, kiedy będziesz potrzebowała powietrza. Rozumiesz?

Drugi gardłowy odgłos.

- Teraz weź trzy głębokie oddechy i wstrzymaj ostatni.

Oboje napełnili płuca w samą porę. Zaraz potem kieszeń powietrzna zniknęła i znaleźli się całkowicie pod wodą. Austin pociągnął Skye do drzwi i otworzył je ramieniem. Wydostał się z samochodu i pohołował ją za sobą. Woda lśniła zielono od świateł latarek krążących po powierzchni. Gdyby wynurzyli głowy, natychmiast byłiby martwi. Austin mocno trzymał Skye za rękę i odciągał w mrok.

Zaledwie po kilku metrach ścisnęła jego dłoń. Odpowiedział takim samym gestem i płynął dalej. Powtórzyła sygnał. Nie miała już powietrza. Austin skierował się w górę ku plamie ciemności. Ostrożnie wystawił głowę i przechylił tak, że tylko jedno ucho i oko było wynurzone. Marcel i jego ludzie strzelali do pęcherzy powietrza unoszących się z zatopionego samochodu. Austin podciągnął Skye ku powierzchni, rzeziła jak uszkodzona pompa. Pozwolił jej napełnić płuca i znów ściągnął ją w dół.

Płynęli i wynurzali się. Oddalili się od pościgu, ale Marcel i jego ludzie zaczęli rozszerzać teren poszukiwań. Lataрки przesuwaly się wzdłuż brzegu fosy, snopy światła omiatały wodę. Austin zbliżył się do zamkowego muru. Wyciągnął lewą rękę i wykorzystywał śliskie kamienie zanurzonych przypór jako drogowskazy. Okrążyli jeden ze skośnych występów i ukryli się pod jego osłoną.

- Długo jeszcze? - wykrztusiła Skye.

Z trudem mogła mówić. Ale w jej głosie dzwięczała zdrowa nuta gniewu.

- Ostatnie zanurzenie. Musimy wyjść z fosy.

Skye zaklęła po francusku. Zanurkowali, dopłynęli do drugiego brzegu i wynurzyli się pod gęstą kępą krzaków zwisających nad wodą.

Austin puścił nadgarstek Skye, sięgnął nad głowę i uchwycił się obu dłońmi zwisających gałęzi. Wsuwając palce nóg w szczeliny między kamiennymi blokami wzdłuż fosy, podciągnął się do góry jak alpinista na szczyt skalnej ściany. Potem podpełzł na brzuchu do krawędzi, opuścił ręce w dół i wyciągnął Skye na brzeg. Nagle rozbłysło światło.

Przetoczyli się w mrok, ale było już za późno. Rozległy się krzyki, zadudniły kroki. Ludzie Marcela nadbiegali z dwóch stron, oskrzydłali ich. Obie grupy wstrzymały ogień w obawie, że powystrzelają się wzajemnie. Jedyna droga ucieczki prowadziła do lasu rosnącego wokół zamku.

Austin skierował się w stronę drzew widocznych na tle ciemnogrnatowego letniego nieba. Dostrzegł w mroku bielejącą niewyraźnie wstęgę zwirowej ścieżki. Mokra ubrania i zmęczenie uniemożliwiały pobicie rekordu olimpijskiego, ale desperacja dodawała im skrzydeł.

Mając swoje ofiary w zasięgu wzroku, ludzie Marcela wrzeszczeli z podniecenia. Dobięgli do miejsca, gdzie ścieżka krzyżowała się z inną.

- Którędy? - wysapała Skye.

Nie mieli wielkiego wyboru. Głosy dochodziły i z prawej, i z lewej strony.

- Prosto - odpowiedział Austin.

Przeciął sprintem skrzyżowanie, Skye pędziła tuż za nim. Biegając, obserwował las, wypatrując jakiejś polany, ale drzewa rosły bardzo blisko siebie, między nimi były gęste krzaki i ciernie. Nagle las się skończył i po obu stronach ścieżki pojawiły się żywopłoty wysokie co najmniej na trzy metry. Dobięgli do następnego skrzyżowania. Austin skręcił, potem zawrócił i przebiegł kilka metrów w przeciwnym kierunku. Wszędzie wznosiły się żywopłoty, nieprzeniknione jak mury zamku.

- Oho-ho - powiedział.

- Qu' est-ce que c' est „Oho-ho”?

- Chyba jesteśmy w labiryncie ogrodowym. Skye rozejrzała się wokoło.

- O, merde! I co teraz zrobimy?

- Nie mamy szczura laboratoryjnego, żeby nas stąd wyprowadził, więc proponuję iść naprzód, dopóki nie znajdziemy wyjścia.

Ponieważ kierunek wydawał się obojętny, skręcili w lewo. Ścieżka wzdłuż żywopłotu biegła długim łukiem, potem zwracała i rozwidlała się. Ten labirynt to prawdziwe wyzwanie, pomyślał Austin. Zamiast kątów prostych, były tu kręgi i nieregularne półkola. Skręcili i okazało się, że zmierzają z powrotem w tym samym kierunku.

Marcel i jego ludzie już weszli do labiryntu. Austin i Skye przystawali kilka razy i wstrzymywali oddech, dopóki nie ucichły głosy po drugiej stronie żywopłotu. Ścigani i ścigający znajdowali się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od siebie, rozdzielała ich tylko ściana krzewów.

Austin wiedział, że Marcel ściągnie posiłki i schwywanie ich obojga jest tylko kwestią czasu. Ta przygoda nie mogła mieć happy endu, chyba że znaleźliby wyjście z zielonego labiryntu. Na miejscu Marcela obstawiłby każdą możliwą drogę ucieczki z tej gmatwaniny ścieżek.

- Niech to szlag!

Austin potknął się o coś twardego. Opadł na jedno kolano i wyrzucił z siebie potok cichych przekleństw. Ale złość zmieniła się w radość, gdy się okazało, że zawadził nogą o drewnianą drabinę, którą prawdopodobnie zostawił ogrodnik.

Podniósł drabinę z ziemi i oparł o żywopłot. Wspiął się na płaski szczyt i położył na brzuchu. Ostre gałęzie kłuły go przez cienki kostium błazna i poczuł się jakby leżał na łożu fakira wyłożonym gwoździami. Ale żywopłot utrzymał jego ciężar.

W kilku miejscach labiryntu przesunęły się światła. Pościg zbliżał się do Skye. Austin zawołał do niej cicho, żeby weszła na górę. Potem wciągnął drabinę na szczyt żywopłotu. W samą porę. Moment później usłyszeli chrzęst żwiru pod butami, ciężkie oddechy i szepty.

Austin zaczekał, aż grupa pościgowa oddali się inną ścieżką, po czym przesunął drabinę tak, że jej drugi koniec oparł się na najbliższym żywopłocie. Przeczółgał się przez utworzony w ten sposób pomost na drugą stronę i przytrzymał drabinę dla Skye. Potem tak samo przedostali się na następny żywopłot.

Dopóki posuwali się w linii prostej, mogli wyjść z labiryntu. Działali zespołowo - przerzucali prowizoryczny pomost nad ścieżką, przeczołgali się po drabinie, upewniali, czy nie zbliża się pościg, i ruszali dalej. Gałęzie kaleczyły im dłonie i kolana, ale nie zwracali na to uwagi.

Wreszcie Austin zobaczył w ciemności czarną linię drzew. Pozostało im do pokonania już tylko parę żywopłotów. Wtedy usłyszeli helikopter, nadlatujący od strony zamku. Był na

wysokości kilkudziesięciu metrów i zbliżał się do labiryntu. W górze rozbłysły dwie pary reflektorów i zaczęły przeczesywać teren.

Austin szybko przerzucił pomost na następny żywopłot, ale w pośpiechu źle ocenił odległość. Kiedy czołgał się po drabinie, jej przeciwległy koniec zsunął się na ziemię i Austin spadł na zwirową ścieżkę. Zerwał się na nogi, wdrapał z powrotem, znalazł się obok Skye i ponownie ułożył drabinę, tym razem staranniej. Potem przeczołgał się na drugą stronę, Skye szybko dołączyła do niego.

Przez jego błąd stracili sporo cennego czasu. Helikopter dokonywał już pierwszego przelotu nad labiryntem. Blask szperaczy zamienił noc w dzień. Austin przerzucił drabinę nad ostatnią ścieżką i odwrócił się, żeby pomóc Skye. Kiedy była w połowie drogi, jej stopa ześlizgnęła się ze szczebla. Austin wychylił się, żeby przyciągnąć ją do siebie.

Helikopter był coraz bliżej.

Gdy Skye znalazła się obok Austina, opuścił drabinę po zewnętrznej stronie ostatniego żywopłotu. Skye zeszła na dół z szybkością i zwinnością małpy, obawiając się, że Austin nadejmuje jej na rękę. Kiedy tylko stanął na ziemi, położył drabinę wzdłuż żywopłotu i dopchnął do krzewów. Oboje wyciągnęli się obok.

Nad głowami usłyszeli helikopter.

Poczuli podmuch od rotora, gdy śmigłowiec wykonał ostry zakręt. Zawrócił nad labirynt i zaczął przelatywać to w tę, to w tamtą stronę nad żywopłotami. Po minucie przeniósł się nad las.

Jego reflektory na moment oświetliły otwartą przestrzeń między drzewami. Austin pomógł Skye wstać i popędzili zwirową ścieżką wokół żywopłotu. Potem pokonali sprintem pas trawy i wpadli do lasu. Nie wiedzieli, dokąd biegną, ale byli wdzięczni losowi, że udało się im wydostać z labiryntu.

Po kilku minutach wydostali się spomiędzy drzew. Byli na skraju łąki lub pola, ale Austina bardziej zainteresował budynek w pobliżu lasu.

- Co to jest? - szepnęła Skye.

- Port w czasie sztormu - odpowiedział cicho Austin.

Kazał jej zaczekać i mknął polem oświetlonym srebrzystym blaskiem księżyca.

24

Austin bez żadnych przygód przebiegł przez pole skąpane w księżycowej poświacie i dotarł do ściany budynku z kamieni polnych. Znalazł niezaryglowane drzwi i wszedł do ciemnego wnętrza. Poczłł garażowy zapach oleju i benzyny. W przypiływie optymizmu pomyślał, że może stoi tu jakiś samochód. Wymacał włącznik światła i sekundę później przekonał się, że to nie garaż, lecz mały hangar.

Jaskrawoczerwony dwupłatowiec miał skośne skrzydła i emblemat czarnego trójgłowego orła na ogonie. Austin przesunął palcami po pokrytym tkaniną kadłubie, podziwiając starannie odrestaurowany samolot. Pod każdym z dolnych skrzydeł wisiał metalowy zbiornik w kształcie torpedy. Na pojemnikach widniały trupie czaszki i skrzyżowane piszczele. Trucizna.

Zajrzał do dwóch kokpitów. W tylnym był pojedynczy drążek przed siedzeniem pilota i nożny orczyk steru kierunku. Przesuwając drążek w przód lub w tył, regulowało się wysokość lotu, przesuwając go w lewo lub w prawo uruchamiało lotki na końcach skrzydeł, które przechylały maszynę do skrętu. Ten prymitywny, ale jednocześnie genialnie prosty system umożliwiał pilotowanie samolotu jedną ręką.

Kokpit wyposażono w urządzenia, których nie miał oryginalny model, na przykład współczesne radio, nowoczesny kompas i GPS. Pilot i pasażer porozumiewali się przez mikrofony ze słuchawkami. Austin rozejrzał się szybko po hangarze. Na ścianach wisiały narzędzia i części zamienne. Zajrzał do magazynu, gdzie stały plastikowe pojemniki oznaczone trupimi czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami. Z napisów wynikało, że to pestycydy.

Wyjął latarkę z uchwytu na ścianie, zgasił światło i podszedł do drzwi. Wszędzie wokoło panowała cisza. Błysnął trzykrotnie latarką, a później patrzył, jak od drzew oderwał się cień i pobiegł cicho przez pole ku hangarowi. Obserwował uważnie łąkę i las, sprawdzając, czy nikt nie zauważył Skye. Potem wciągnął ją do środka i zamknął drzwi.

- Co robięś tak długo? - zapytała poirytowana. - Przestraszyłam się, kiedy zobaczyłam błyski światła.

Austin uznał jej oskarżycielski ton za dobry znak, odzyskała wrodzoną energię. Pocałował ją w policzek.

- Przepraszam - powiedział. - Była duża kolejka do stanowiska rezerwacji. Zamrugła w ciemności.

- Co to za miejsce?

Zapalił latarkę i oświetlił samolot od drewnianego śmigła do herbu na ogonie.

- Oto siły powietrzne rodziny Fauchardów. Muszą używać tej maszyny do opylania winnic.

- Piękna - zachwyciła się Skye.

- Nie tylko to. Jest naszym biletem do wolności.

- Potrafisz tym latać?

- Chyba tak.

- Chyba? - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Pilotowałeś już coś takiego?

- Mnóstwo razy. - Zauważył jej sceptyczną minę i poddał się.

- No, dobra. Raz. Na wiejskim festynie.

- Na wiejskim festynie - powtórzyła jak echo grobowym głosem.

- Na dużym wiejskim festynie. Posłuchaj. Samoloty, którymi latałem, miały po prostu trochę nowocześniejsze systemy sterownicze, ale zasady pilotowania są takie same.

- Mam nadzieję, że jesteś lepszym pilotem niż kierowcą.

- To nie był mój pomysł, żeby pływać o północy. Pamiętaj, że w prowadzeniu samochodu przeszkadzały mi bandziory Fauchardów.

Uszczypnęła go w policzek.

- Jak mogłabym zapomnieć, cherri Na co czekamy? Co mam robić? Austin wskazał włączniki na ścianie opisane po francusku.

- Najpierw powiedz mi, do czego służą.

Kiedy Skye przetłumaczyła mu napisy, zaprowadził ją przed dziób samolotu. Ułożył jej dłonie na śmigle i polecił, żeby odskoczyła do tyłu, jak tylko obróci łopatom. Wspiął się do kokpitu pilota, sprawdził szybko stery i uniósł kciuk. Skye chwyciła oburącz śmigło, obróciła łopatom i odskoczyła do tyłu, jak jej kazał. Silnik kaszlnął kilka razy, ale nie zaskoczył.

Austin przestawił lekko przepustnicę i polecił Skye, żeby spróbowała raz jeszcze. Na jej twarzy pojawił się wyraz ponurej determinacji, zmobilizowała wszystkie siły, włożyła w tę drugą próbę całą energię. Tym razem silnik zaskoczył i wszedł z rykiem na obroty. Ściany potęgowały hałas.

Skye przebiegła przez chmurę purpurowego dymu wydobywającego się z rur wydechowych do włączników. Otworzyła drzwi hangaru i zapaliła światła na lądowisku. Potem wdrapała się do kokpitu dla pasażera. Zapinała jeszcze pas, gdy samolot wytoczył się na zewnątrz.

Austin nie tracił czasu na kołowanie przed startem. Otworzył przepustnicę do oporu i samolot zaczął nabierać szybkości między dwoma rzędami świateł. Kurt starał się delikatnie manipulować sterami, ale ponieważ nie miał w tym wprawy, ogon maszyny zarzucał, a wężykowanie zmniejszało przyspieszenie.

Austin wiedział, że jeśli wkrótce nie osiągnie prędkości startowej, roztrzaska się o drzewa na końcu łąki. Zmusił się do spokoju i pozwolił, żeby drażek i orczyk same dyktowały jego ręką i nogom, co trzeba robić. Samolot wyprostował się i rozpędził. Austin pociągnął lekko ster wysokości. Koła oderwały się od ziemi i maszyna zaczęła się wznosić, ale znajdowała się wciąż za nisko, by mogła przelecieć nad drzewami.

Austin próbował siłą woli zmusić samolot do zwiększenia pułapu. Dzielny dwupłat najwyraźniej usłyszał jego modlitwy, bo uniósł się nieco i zawadził podwoziem o wierzchołki drzew. Zakołysał się od uderzenia, ale wrócił do poziomu.

Austin wzbijał się do góry, zerkając w prawo i w lewo, żeby się zorientować, gdzie jest. Okolica tonęła w ciemności, z wyjątkiem Chateau Fauchard, którego groźne wieże oświetlały mocne reflektory. Austin starał się odtworzyć w pamięci trasę do głównej drogi. W dole widział kolisty podjazd z dziwaczną fontanną w środku i oświetlony latarniami zjazd ze wzgórza do długiego tunelu z drzew.

Przechylił samolot w skręcie, żeby trzymać się drogi przez winnice. Leciał na wschód na wysokości około trzystu metrów. Lekki wiatr ograniczał szybkość do „poddźwiękowych” stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Zadowolony, że powraca do cywilizowanego świata, Austin podniósł do ust mikrofon interkomu.

- Przepraszam za niezgrabny start - krzyknął do Skye przez ryk silnika. - Mam nadzieję, że cię za bardzo nie wytrzęsło.

- Wszystko będzie w porządku, jak tylko włożę sobie zęby na miejsce.

- Cieszę się. Twoja sztuczna szczeka przyda ci się, kiedy pójdziemy na kolację.

- Myślisz tylko o jednym. Wiesz przynajmniej, dokąd lecimy?

- Mniej więcej tam, skąd przyjechaliśmy. Wypatruj świateł. Spróbuję wylądować na zosie w pobliżu miasta. Mam nadzieję, że o tej porze nie będzie dużego ruchu. Usiądź wygodnie i ciesz się lotem.

Austin skupił teraz całą uwagę na prowadzeniu maszyny - musiał przewieźć ich oboje w bezpieczne miejsce. Zachowywał się nonszalancko, ale wiedział doskonale, że czekające go zadanie nie będzie łatwe. Leciał właściwie na ślepo, nad nieznanym terenem, zabytkowym

samolotem, którego nie potrafił dobrze prowadzić, mimo dużego doświadczenia zdobytego na wiejskim festynie. Zarazem jednak sprawiało mu wielką przyjemność sterowanie starą maszyną o prostej konstrukcji. Latanie tym samolotem wymagało wrodzonych zdolności i odwagi. Żadna kopuła kabiny nie chroniła go przed chłodnym wiatrem. Siedział praktycznie na silniku i hałas był ogłuszający. Nabrał na nowo szacunku dla lotników, którzy walczyli na tych dinozaurach w powietrzu.

Miał ogromną ochotę wycisnąć z samolotu większą szybkość. Maszyna zdawała się z trudem przedzierać przez nocne niebo. Poczul przypływ optymizmu, gdy po kilku minutach lotu zobaczył w oddali pierwsze punkciki świateł. Zbliżali się do granicy rozległej posiadłości Fauchardów. Dobry nastrój popsuł mu okrzyk Skye w słuchawkach.

W tym samym momencie dostrzegł kątem oka jakiś ruch i zerknął w lewo. W odległości około dziesięciu metrów zobaczył ten sam helikopter, który szukał ich w labiryncie. W kokpicie śmigłowca paliło się światło, na fotelu pasażera siedział jeden z ochroniarzy Fauchardów. Trzymał na kolanach broń automatyczną, ale nie próbował zestrzelić samolotu, choć dwupłat byłby łatwym celem.

Chwilę później w radiu odezwał się znajomy głos Emila Faucharda.

- Dobry wieczór, panie Austin. Miło znów pana widzieć.

- Emil! Co za niespodzianka! Nie widzę cię w helikopterze.

- To dlatego że jestem w naszym naziemnym centrum dowodzenia. Widzę cię całkiem wyraźnie dzięki kamerze w śmigłowcu.

Austin zerknął na kamerę pod kadłubem helikoptera i pomachał przyjaźnie do obiektywu.

- Myślałem, że wciąż jesteś w lochach z innymi szczurami. Emil zignorował obrazę.

- Jak ci się podoba mój fokker aviatik, Austin?

- Wolałbym F-16 z pociskami raketowymi powietrze-powietrze, ale na razie ten mi wystarczy. Miło z twojej strony, że pozwoliłeś mi z niego skorzystać.

- Nie ma sprawy. Fauchardowie są zawsze gościnni. Ale teraz muszę cię poprosić, żebyś zawrócił albo cię zestrzelimy.

Ochroniarz w helikopterze zmienił pozycję i wystawił przez okno w kokpicie lufę broni, która wyglądała na AK-47.

- Najwyraźniej śledzisz nas przez cały czas. Dlaczego nas nie zestrzeliłeś, kiedy miałeś okazję?

- Wolałbym, żeby mój samolot pozostał nietknięty.

- Chłopcy i ich zabawki. - Co?

Austin lekko skrzywił. Helikopter odbił w bok, żeby uniknąć kolizji.

- Przepraszam - powiedział Austin. - Nie jestem przyzwyczajony do tego samolotu.

- Te dziecinne manewry nic ci nie dadzą. Doskonale znam możliwości aviatika. Nie chciałem go stracić, ale jakoś to przeżyję, jeśli będzie trzeba. Patrz.

Emil najwyraźniej wydał rozkaz swojemu pilotowi, bo helikopter wzniósł się nad aviatika i opadł tak, że jego płozy znalazły się kilkadziesiąt centymetrów nad głową Austina. Dwupłatowiec zakołysał się niebezpiecznie w potężnym podmuchu rotora i zboczył z kursu. Austin zszedł w dół, helikopter za nim. Trzymał się nad samolotem, żeby pokazać, że ucieczka jest niemożliwa. Po kilku sekundach oddalił się trochę i zrównał z dwupłatem.

- Jak widzisz, w każdej chwili mogę cię zmusić do lądowania - głos Emila rozległ się znowu w słuchawkach Austina. - Zawróć, bo inaczej oboje zginiecie.

- Ja może ci się nie przydam, ale jeśli zabijesz ją, nie znajdziesz hełmu.

- Zaryzykuję.

- Może najpierw powinieneś zapytać matkę? - powiedział Austin. Emil zaklął po francusku i po kilku sekundach helikopter pojawił się nad dwupłatem. Płozy walnęły mocno w skrzydła nad głową Austina i popchnęły aviatika w dół. Helikopter wzniósł się i znów uderzył. Austin walczył o utrzymanie kontroli nad samolotem. Siły były nierówne. Dwupłat z

drewna i tkaniny przegrywał pojedynek z szybszym i zwrotniejszym helikopterem. Emil mógł prowadzić atak, dopóki awiatik nie rozpadnie się lub nie roztrzaska o ziemię. Austin podniósł do ust mikrofon.

- Wygrałeś, Emil. Co mam zrobić?

- Zawróć na lądowisko. Nie próbuj żadnych sztuczek. Będę na ciebie czekał.

Założę się, że będziesz, pomyślał Austin.

Przechylił maszynę w zakręcie. Skye słyszała w słuchawkach rozmowę.

- Nie możemy tam wrócić, Kurt - odezwała się przez interkom. - On cię zabije.

- Jeśli tam nie wrócimy, zabije nas oboje.

- Nie chcę, żebyś to robił dla mnie. - I dobrze. Robię to dla siebie.

- Do jasnej cholery, Austin. Jesteś uparty jak Francuz.

- Uznam to za komplement. Ale nie będę jadł ślimaków i żabich udek.

- W porządku, wygrałeś - odparła z irytacją w głosie. - Ale nie zamierzam się poddać bez walki.

- Ja też nie. Sprawdź, czy masz ciasno zapięty pas.

Austin wyłączył interkom i skupił uwagę na groźnych wieżach rodowej rezydencji człowieka, który chciał go zabić. Kiedy dwupłatowiec zbliżył się do zamku, Austin zobaczył dwa rzędy świateł wyznaczające lądowisko. Przechylił awiatika w skręcie, jakby zamierzał podejść do lądowania, ale blisko zamku zmienił kurs i poleciał prosto w kierunku najbliższej wieży.

Helikopter trzymał się za nim. W radiu zabrzmiał raz jeszcze głos Emila. Krzyczał coś po francusku. Austin wzruszył ramionami, wyłączył radio i skoncentrował się na czekającym go zadaniu.

Helikopter skręcił w momencie, kiedy wydawało się, że samolot uderzy w wieżę. Austin w ostatniej chwili zrobił unik, minął ją w odległości kilku metrów i poleciał nad samym zamkiem po przekątnej ku następnej wieży. Okrążył ją, wrócił nad kompleks i dokończył figurę w kształcie ósemki. Zatoczył krąg wokół trzeciej wieży i powtórzył manewr. Mógł sobie tylko wyobrazić reakcję Emila, ale wcale go to nie obchodziło. Przypuszczał, że dopóki jest nad zamkiem, Fauchard nie będzie próbował zmusić go do lądowania.

Austin wiedział, że nie może bez końca wykonywać ósemek. I nie zamierzał. Podczas każdego skretu obserwował tereny za fosą. Z powrotem włączył radio. Potem okrążył wieżę i zaczął kolejną ósemkę, ale w połowie zmienił kierunek, przeleciał nad kolistym podjazdem z dziwaczną fontanną w środku i wziął kurs na długą, oświetloną drogę dojazdową.

Helikopter krążył wysoko w górze. Kiedy Austin wydostał się za mury, śmigłowiec znurkował i znalazł się dokładnie nad awiatikiem. Austin zszedł lotem ślizgowym tuż nad ziemię. Pilot Faucharda mógł w każdej chwili zmusić go do lądowania, ale najwyraźniej sądził, że Austin zamierza posadzić samolot na drodze, i czekał na to. Chwila niezdecydowania drogo go kosztowała.

Zamiast wylądować, Austin wleciał do tunelu z drzew.

Helikopter wzniósł się i zawadził płozami o ich wierzchołki. Pilot zawrócił i zatoczył ciasny krąg.

Austin usłyszał w radiu głos Faucharda.

- Załatwcie go! - krzyknął Emil.

Pilot helikoptera posłuchał rozkazu i wleciał za Austinem do tunelu jak pies myśliwski ścigający lisa w norze.

Szybki śmigłowiec łatwo dogonił samolot. Austin usłyszał hałas rotorów przez huk swojego silnika. Uśmiechnął się szeroko. Obawiał się, że helikopter przeleci po prostu nad drzewami i zaczeka na niego u wylotu tunelu. Uwaga na temat matki musiała rozwścieczyć Emila. Austin właśnie na to liczył. Nikt nie lubi, kiedy nazywa się go maminsynkiem, zwłaszcza jeśli to prawda.

Austin leciał dwa metry nad drogą. Miał kilka metrów wolnej przestrzeni w górze i po obu stronach, ale było ciasno. Lekka zmiana kursu mogła pozbawić samolot skrzydeł albo pilota głowy.

Helikopter siedział mu na ogonie, lecz Austin starał się nie myśleć o pościgu. Koncentrował uwagę na ciemnym wylocie tunelu majaczącym w oddali. Mniej więcej w połowie drogi sięgnął spokojnie do dźwigni otwierającej zawory pojemników do opylania winnic.

Spod skrzydeł wytrysnęły dwa strumienie pestycydów i połączyły się białą toksyczną chmurą. Trująca ciecz pokryła przednią szybę helikoptera i oślepiła pilota, potem dostała się przez otwarte okna do środka i zamieniła kokpit w latającą komorę gazową.

Pilot wrzasnął z bólu i puścił stery, żeby wytrzeć z oczu piekący płyn. Helikopter skręcił i rotor zawadził o drzewa. Łopaty wirnika rozprysły się, kadłub obrócił się wokół własnej osi, uderzył w pnie i rozpadł na części. Zapłonęło wyciekające paliwo i śmigłowiec eksplodował w wielkiej pomarańczowo-białej kuli ognia.

Lecący przed czołem wybuchu awiatik wystrzelił z tunelu jak kula armatnia. Austin przyciągnął do siebie drążek sterowy i samolot wzbił się ponad drzewa. Kiedy powoli nabierał wysokości, Austin obejrzał się przez ramię. Z wylotu tunelu wydobywał się ogień i dym, drzewa stały w płomieniach.

Austin włączył z powrotem interkom.

- No i wydostaliśmy się - powiedział.

- Próbowałam z tobą rozmawiać - powiedziała Skye. - Co tam się stało z tyłu?

- Wytepiłem trochę szkodników.

W oddali pojawiły się światła miasteczek. Wkrótce potem w dole zaczęły się przesuwać reflektory samochodów. Austin poszukał dobrze oświetlonego, ale pustego odcinka drogi. Zszedł niżej i wylądował, niezbyt miękko, ale bezpiecznie. Podkołował na pobocze szosy i zatrzymał samolot na skraju łąki.

Gdy tylko stanęli na ziemi, Skye objęła Austina i złożyła na jego wargach bardziej niż przyjacielski pocałunek. Austin otoczył ją ramieniem i ruszyli przed siebie. Oboje byli w znakomitym nastroju po udanej ucieczce, zapomnieli już o swoich sińcach i skaleczeniach. Austin z rozkoszą wdychał zapach trawy i zboża.

Po blisko godzinnej wędrówce dotarli do uroczej auberge. Nocny recepcjonista drzemał, ale natychmiast usiadł prosto, gdy Austin i Skye weszli do holu i zapytali, czy dostaną pokój.

Popatrzył na Austina w podartym kostiumie błazna, potem na Skye, która wyglądała jak bezdomny kot po walce w ciemnym zaułku, potem znów na Austina.

- Americain? - zapytał.

- Oui - przytaknął Austin ze znużonym uśmiechem.

Recepcjonista ze zrozumieniem skinął głową i podsunął im przez ladę rejestr gości.

25

Leżąc z rękami pod głową na ciasnej koi, Trout zorientował się nagle, że niski pomruk silników zastąpiły ledwo słyszalne wibracje. Poczłł lekki wstrząs, jakby okręt podwodny zatrzymał się na czymś miękkim. Potem zapadła cisza. Gamay, która drzemała na górnej koi, obudziła się.

- Co to było? - zapytała.

- Chyba przybiliśmy do portu - odrzekł Trout.

Podniósł swoje długie ciało z wąskiej platformy sypialnej, wstał i przyłożył ucho do drzwi. Nic nie usłyszał i domyślił się, że okręt dotarł do celu. Kilka minut później w progu kajuty stanęli dwaj uzbrojeni strażnicy i kazali więźniom wyjść. Sandy już czekała w korytarzu pod czujnym okiem innej dwójki. Pilotkę „Alvina” przeniesiono do oddzielnej kajuty i Troutowie nie widzieli jej od czasu wizyty MacLeana.

Trout mrugnął do niej uspokajająco. Odpowiedziała nerwowym uśmiechem. Trzymała się dzielnie i Trout nie był tym zaskoczony. Ten, kto regularnie pilotował pojazdy głębokiego zanurzenia, mógł się bać, ale nie dałby się zastraszyć. Pod eskortą strażników idących przed nimi i za nimi wspięli się kilka poziomów wyżej do włazu i wyszli na pokład dziobowy tuż przed kioskiem.

Okręt podwodny miał około stu dwudziestu metrów długości. Był przycumowany w przestronnym schronie z wysokim sklepieniem. Po drugiej stronie hali nikał w ścianie skomplikowany system przenośników taśmowych i dźwignic. Strażnicy popchnęli więźniów w kierunku trapu. Na brzegu doku czekał MacLean.

- Witam moich współtowarzyszy podróży - powiedział chemik, uśmiechając się miło. - Proszę za mną. Zaczynamy następny etap naszej przygody.

Poprowadził ich do dużej windy towarowej. Kiedy zamknęły się drzwi, zerknął na zegarek i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Mamy około trzydziestu dwóch sekund na rozmowę - oznajmił.

- Potrzebuję tylko dwóch sekund, żeby zapytać pana, gdzie jesteśmy - powiedział Trout.

- Tego nie wiem, ale sądząc po klimacie i ukształtowaniu terenu, przypuszczam, że gdzieś na Morzu Północnym lub w Skandynawii. Może nawet w Szkocji. - Znow zerknął na zegarek.

- Czas minął.

Drzwi windy otworzyły się z sykiem i weszli do małego pomieszczenia. Czekał tu na nich uzbrojony strażnik, który warknął coś do swojego walkie-talkie i wyprowadził ich na zewnątrz do zaparkowanego mikrobusu. Pokazał gestem, żeby wsiedli, a sam usadowił się z tyłu, by móc przez cały czas kontrolować ich zachowanie. Zanim opuścił zasłony w oknach, Trout zdążył zauważyć długą, wąską zatoczkę daleko w dole.

Po mniej więcej dwudziestu minutach jazdy drogami gruntowymi samochód zatrzymał się i strażnik kazał im wysiąść. Znajdowali się w kompleksie budynków ogrodzonym wysokim parkanem z drutu kolczastego z transformatorami elektrycznymi na szczycie. Wszędzie było widać uzbrojonych wartowników i kompleks niepokojąco przypominał obóz koncentracyjny. Strażnik wskazał niski betonowy budynek o wyglądzie magazynu. Żeby do niego dotrzeć, musieli wejść za wewnętrzne ogrodzenie wykonane również z drutu kolczastego. Kiedy zbliżali się do drzwi, powietrze przeszył nieludzki wrzask dobiegający ze środka budynku. Potem rozległo się chóralne piskliwe wycie.

Na twarzy Sandy odmalowało się przerażenie.

- Czy to zoo? - zapytała.

- Chyba można by tak powiedzieć - odrzekł MacLean. Jego ponury uśmiech nie był zbyt pocieszający. - Ale zobaczcie tu stworzenia, o jakich londyńskiemu zoo nawet się nie śniło.

- Nie rozumiem - powiedziała Gamay.

- Zrozumie pani.

Trout chwycił chemika za rękaw.

- Proszę z nas nie żartować.

- Przepraszam za moje kiepskie poczucie humoru. Przeszedłem przez to o jeden raz za dużo, stąd taka reakcja. Starajcie się nie poddawać panice. Nic wam się nie stanie. Ten mały pokaz ma was tylko wystraszyć i nakłonić do posłuszeństwa.

Trout uśmiechnął się lekko.

- Nawet pan nie wie, jak dobrze się teraz poczuliśmy, doktorze MacLean.

Chemik uniósł krzaczaste brwi.

- Widzą, że pan też ma dość szczególne poczucie humoru.

- Zawdzięczam je mojemu jankeskiemu pochodzeniu. Nasze długie, uciążliwe zimy nie sprzyjają widzeniu świata w zbyt różowych barwach.

- To dobrze. Trzeba być zupełnym pesymistą, żeby przetrwać w tym piekle. Witam na dziwnej wyspie doktora Moreau - powiedział MacLean, nawiązując do opowieści o szalonym naukowcu, który zmieniał ludzi w zwierzęta.

Strażnik otworzył podwójne stalowe drzwi i z wnętrza budynku buchnął straszliwy odór. Ale jeszcze gorsze od tego smrodu było to, co zobaczyli i usłyszeli w wielkim pomieszczeniu.

Wzdłuż ścian ciągnęły się klatki z człekokształtnymi bestiami, które próbowały wyłamać i przegryźć kraty. W hali było dwadzieścia pięć do trzydziestu dziwnych stworzeń. Ubrane w brudne szmaty stały wszystkie w półprzysiadzie na dwóch nogach. Długie białe włosy i brody niemal całkowicie zasłaniały ich twarze, ale dawało się dostrzec zasuszoną i pomarszczoną cerę ze starczymi plamami. Z otwartych ust z nierównymi, pociemniałymi zębami wydobywało się dzikie wycie wściekłości. Krwistoczerwone oczy żarzyły się przerażającym blaskiem.

Sandy miała już dość. W odruchu zdrowego rozsądku rzuciła się do drzwi, ale zagroził jej drogę wysoki mężczyzna w wojskowym mundurze kamuflującym i czarnym berecie. Złapał ją za ramię i przyprowadził z powrotem. Miał duży nos i ostro zarysowany podbródek, wykrzywione w złośliwym uśmiechu usta odsłaniały złote zęby. Jego wejście dziwnie podziało na stworzenia za kratami. Zamilkły i cofnęły się w głąb swoich klatek.

- Dzień dobry, doktorze MacLean - odezwał się z europejskim akcentem. Spojrzał na Troutów i zatrzymał dłużej wzrok na Gamay. - To nasi nowi rekruci?

- Są ekspertami w naszej dziedzinie - odparł chemik. W drzwiach zrobił się naraz ruch.

- Dobrze się składa. Pan i nasi nowi goście trafiliście na porę karmienia. Weszli wartownicy, pchając przed sobą wózek magazynowy z wysokim stosem humanitarnych pułapek na szczury, które łapią gryzonie, ale ich nie zabijają. Rozładowali wózek, wnieśli pułapki do klatek i wypuścili piszczące szczury.

Oczy białowłosych stworzeń rozbłyły jak rubiny. Bestie z powrotem podeszły do krat. Musiały dobrze znać przyjęte reguły, bo były gotowe, kiedy szczury wybiegły z pułapek. Rzuciły się na nieszczęsne gryzonie z szybkością panter. Porykując dziko, rozerwały szczury na kawałki i pożarły z apetytem, jaki demonstrował smakosz w pięciogwiazdkowej restauracji.

Sandy znów rzuciła się do ucieczki. Tym razem mężczyzna w berecie nie zatrzymał jej, odsunął się na bok, rycząc ze śmiechu. Gamay kusiło, żeby pójść w ślady Sandy, ale wiedziała, że wyrwie facetowi ramię, jeśli jej dotknie.

- Tamta młoda dama najwyraźniej nie docenia naszego systemu recyklingu. Tępiemy szczury, karmiąc nimi nasze zwierzątka domowe. - Odwrócił się do MacLeana. - Mam nadzieję, że wyjaśnił pan naszym gościom, w jak wspaniałym miejscu się znaleźli.

- Pan jest dużo bardziej elokwentny i przekonujący, pułkowniku - odrzekł MacLean.

- To prawda - przyznał wojskowy i odwrócił się twarzą do Trouta. - Pułkownik Strega - przedstawił się. - Dowódca tego ośrodka doświadczalnego. Te brudne bestie, którym tak smakuje ich wykwintny posiłek, były kiedyś ludźmi jak pan. Jeśli pan i panie nie będziecie

robili tego, co wam każemy, zmienimy was w takie same potwory. Albo nakarmimy wami te stworzenia. To będzie zależało od mojego nastroju i wspaniałomyślności. Obowiązują tu proste zasady. Pracujecie bez narzekań, a my w zamian za to pozwalamy wam żyć. Rozumie pan?

Trout starał się nie zwracać uwagi na chrupanie i czknięcia dochodzące z klatek.

- Rozumiem, pułkowniku. Przekażę pańskie słowa mojej wrażliwej przyjaciółce.

Strega przyglądał mu się żółtymi, wilczymi oczami, jakby chciał zapamiętać jego twarz. Potem posłał Gamay czternastokaratowy uśmiech, stuknął obcasami, odwrócił się na pięcie i pomaszerował do drzwi. Wartownicy wyprowadzili Troutów z budynku, choć Paul i Gamay nie potrzebowali zachęty do wyjścia. Strega wsiadał właśnie do odkrytego mercedesa. Sandy opierała się o ścianę i wymiotowała. Gamay podeszła do niej i otoczyła ją ramieniem.

- Przepraszam za to wszystko - powiedział MacLean. - Strega każe tu przyprawiać nowicjuszy, żeby ich wystraszyć.

- Na mnie to podziałało - odrzekła Sandy. - Następnym razem będę pamiętała, żeby mieć przy sobie serwetkę do ust.

MacLean westchnął.

- Wszyscy mieliśmy ciężki dzień. Chodźmy, zakwaterujcie się. Weźmiecie prysznic, przebierzecie się i spotkamy się u mnie na drinku.

Mikrobus pokonał jeszcze około kilometra, wjechał za kolejne ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem i zatrzymał się w następnym kompleksie. Duży budynek z kopułą na szczycie otaczały małe domki z płaskimi dachami.

- To nasze laboratorium - wyjaśnił MacLean, potem wskazał dom na uboczu. - Tam mieszka Strega. Ochroniarze kwaterują obok. Małe domki są dla personelu naukowego. Wyglądają jak bunkry, ale są całkiem wygodne.

Strażnik kazał im wysiąść z samochodu, potem przydzielił Troutom i Sandy dwa sąsiednie domki. MacLean mieszkał obok. Paul i Gamay weszli do swojej jednopokojowej kwatery wyposażonej w żelazne łóżko, mały stół, krzesło i łazienkę. Domek był urządzonej po spartańsku, ale czysty. Zdjęli ubrania i kolejno wzięli długi gorący prysznic. Trout ogolił się tępą maszynką, którą mu przydzielono.

Na łóżku leżały dwa starannie złożone jednocześnie żółtozielone kombinezony. Troutowie nie mieli ochoty wkładać więziennych uniformów, ale ich własne ubrania cuchnęły jeszcze przed wizytą w zwierzętami. Kombinezon Paula miał trochę za krótkie rękawy i nogawki, ale był wygodny. Muszka nie pasowała do tego stroju, ale mimo to Trout ją założył. Gamay wyglądałaby wspaniale nawet w worku pokutnym.

Poszli po Sandy, ale spała i postanowili jej nie budzić. MacLean powitał ich serdecznie w swoim domku, który był identyczny z wszystkimi pozostałymi, różnił się od innych tylko dobrze zaopatrzonym barkiem. Chemik nalegał, żeby zwracali się do niego Mac, potem nalał trzy szklanki szkockiej. Wziął butelkę i wyszli na zewnątrz. Powietrze było chłodne, ale przyjemne.

- Podejrzewam, że w moim domku jest podsłuch - usprawiedliwił się MacLean. - Pułkownik Strega to pomysłowy facet.

- Nie odpowiada mi jego poczucie humoru - odrzekła Gamay.

- Bardziej znane są inne jego cechy. Trybunał Międzynarodowy chętnie porozmawiałby z nim o masowych grobach w Bośni. Jak smakuje drink?

- Jest doskonały. Lepszego nie dostalibyśmy nawet na wakacjach z Klubem Medem.

- Kiedy wpadam w depresję, udaję sam przed sobą, że jestem na urlopie w jakimś ustronnym kurorcie - powiedział MacLean.

- W kurortach, które znam, nie podają lunchu w pułapkach na szczury - odparł Trout.

Zapadła kłopotliwa cisza.

- Czym, lub może kim, są tamte obrzydliwe stworzenie w klatkach? - przerwała ją Gamay.

MacLean nie spieszył się z odpowiedzią.

- To są błędy - powiedział wreszcie.

- Jesteśmy naukowcami. Musisz mówić w sposób bardziej precyzyjny - zwrócił mu uwagę Trout.

- Przepraszam. Może lepiej zacznę od początku.

MacLean dolał sobie whisky, wypił solidny łyk i wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń.

- Wydaje się, że to odległa przeszłość, ale minęły dopiero trzy lata od dnia, gdy mała firma badawcza pod Paryżem zatrudniła mnie do pracy przy enzymach, białkach wytwarzanych przez żywe komórki. Interesowała nas rola enzymów w procesie starzenia się. Firma miała niestety ograniczone środki, więc byliśmy zachwyceni, kiedy naszą pracownię naukową wchłonął wielki konglomerat.

- Kto nim zarządzał? - zapytał Trout.

- Nie wiedzieliśmy i nic nas to nie obchodziło. Nie znaliśmy nawet nazwy tej korporacji. Dostaliśmy duże podwyżki. Obiecano nam większe fundusze i środki. Nie przeszkadzały nam nowe warunki pracy.

- To znaczy, jakie?

- Pod nowym zarządem byliśmy stale pilnowani. Strażnicy nosili wprawdzie garnitury i białe fartuchy laboratoryjne, ale to nie zmieniało istoty rzeczy. Mieliśmy ograniczoną swobodę poruszania się. Mieszkaliśmy blisko laboratorium. Rano i wieczorem zabierały nas pojazdy firmy. Naukowcy, którzy mieli rodziny, mogli od czasu do czasu przyjmować gości, ale wszyscy zostaliśmy zobowiązani do milczenia na temat naszej pracy. Podpisaliśmy nawet zgodę na to w umowach, ale musicie zrozumieć, że byliśmy w euforii. Szukaliśmy prawdziwego kamienia filozoficznego.

- Myślałam, że byliście tam chemikami, nie alchemikami - odezwała się Gamay. - O ile pamiętam, kamień filozoficzny był substancją, która mogła zmieniać takie metale, jak ołów, w srebro lub złoto.

MacLean skinął głową.

- To szeroko rozpowszechnione błędne przekonanie. Wielu starożytnych wierzyło, że ten kamień to legendarny „eliksir życia”. Że jeśli zmiesza się tę cudowną substancję z winem, roztwór może wyleczyć rany, przywrócić młodość i przedłużyć życie. I takiego kamienia filozoficznego szukaliśmy.

- Klucza do nieśmiertelności - mruknął Trout. - Może łatwiej byłoby zmienić ołów w złoto.

MacLean uśmiechnął się słabo.

- W trakcie naszych badań często myślałem podobnie. Wiele razy wydawało mi się, że zadanie, jakie sobie postawiliśmy, jest wykonalne.

- Nie wy pierwsi przegraliście - powiedział Trout.

- O, nie, doktorze Trout. Źle mnie zrozumiałeś. Nie przegraliśmy.

- Zaraz, zaraz, Mac. Sugerujesz, że eliksir życia istnieje?

- Tak. Odkryliśmy go na dnie morza w otworach termicznych w Zaginionym Mieście.

Troutowie popatrzyli na Szkota uważnie, bo w głowach obojga zrodziła się myśl, że przebywając zbyt długo na tej rządzonej przez szaleńców wyspie, on sam popadł w obłąd.

- Od dawna wtykam sondy w muł na dnie morskim - odezwał się po chwili Trout - ale jeszcze nie natrafiłem na nic, co przypominałoby źródło młodości.

Gamay pokręciła głową.

- Wybacz, że jestem sceptyczna, Mac, ale jako biolog morski znam się na otworach termicznych lepiej niż Paul i przyznam szczerze, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

W niebieskich oczach MacLeana zabłyśły iskielki rozbawienia.

- Wiesz więcej, niż ci się zdaje, dziewczyno. Wyjaśnij mi, dlaczego naukowców na całym świecie tak ekscytują mikroby występujące wokół tych otworów?

Gamay wzruszyła ramionami.

- To proste. Te bakterie to coś nowego. Przedtem takich nie znajdowano. Są „żywymi skamielinami”. Warunki naturalne w Zaginionym Mieście są podobne do tych, jakie panowały na Ziemi, kiedy pojawiło się życie. Jeśli prześledzi się ewolucję życia wokół otworów, będzie można się dowiedzieć, jak się ono zaczęło na Ziemi, a może nawet i na innych planetach.

- Dokładnie. Zaczynając moją pracę, przyjąłem proste założenie. Jeśli masz do czynienia z czymś, co stworzyło życie, to może to coś potrafi również życie przedłużyć. Nasza firma miała dostęp do próbek pobranych z Zaginionego Miasta podczas wcześniejszych ekspedycji naukowych. Kluczem okazał się enzym wytwarzany przez te mikroby.

- W jakim sensie?

- Każde żywe stworzenie na świecie jest zaprogramowane do pewnego tego samego zadania: ma się reprodukować tyle razy, ile to możliwe. Kiedy zrobi swoje, staje się zbędne, toteż wszystkie organizmy mają wbudowany gen samodestrukcji, który je likwiduje, by ustąpiły miejsca przyszłym pokoleniom. W wypadku ludzi ten gen uaktywnia się czasami przedwcześnie i ośmioletnie dziecko wygląda tak, jakby miało osiemdziesiąt lat. Doszliśmy do wniosku, że skoro ten gen może się włączyć, to być może udałoby się go również wyłączyć, co spowolniłoby starzenie się.

- Ale jak to sprawdzić? - zapytał Trout. - Trzeba byłoby testować ten środek na ludziach i czekać całymi latami, żeby się przekonać, czy żyją dłużej niż inni.

- Słuszna uwaga. Doszłaby też sprawa patentu. Mógłby wygasnąć, zanim produkt pojawiłby się na rynku. Ale ten enzym nie tylko wyłącza gen. Jest również doskonałym przeciwutleniaczem redukującym wolne rodniki. Może nie tylko hamować procesy chemiczne, które powodują starzenie się, ale również przywracać młodość.

- Kamień filozoficzny?

- Tak. Teraz rozumiecie.

- Naprawdę udało wam się to osiągnąć? - zapytał Trout.

- Tak, ze zwierzętami laboratoryjnymi. Wzięliśmy myszy, które według ludzkich standardów były osobnikami w podeszłym wieku, i bardzo je odmłodziliśmy.

- Jak bardzo?

- Mieliliśmy myszy w wieku porównywalnym do dziewięćdziesięciu lat ludzkiego życia i zredukowaliśmy ten wiek do odpowiednika czterdziestu pięciu.

- Chcesz powiedzieć, że odmłodziliście je o połowę?

- Otóż to. Odzyskały dawną siłę mięśni, strukturę kostną, poziom energii, zdolności reprodukcyjne. Były bardziej zaskoczone niż my.

- To wielkie osiągnięcie - powiedziała Gamay - ale istoty ludzkie są dużo bardziej skomplikowane niż myszy.

- Tak - westchnął MacLean - teraz już o tym wiemy. Gamay odgadła, co się kryło pod jego słowami.

- Prowadziliście eksperymenty na ludziach, zgadza się?

- Nie my. Minęłyby lata, zanim włączylibyśmy ludzi do testów. Robilibyśmy to według najsurowszych norm bezpieczeństwa. - Szkot przełknął whisky, jakby mogła zmyć nieprzyjemne wspomnienia. - Przedstawiliśmy wstępne wyniki i na jakiś czas zapadła cisza. Potem poinformowano nas, że nasz zespół zostaje rozwiązany, a laboratorium zlikwidowane. Wszystko odbyło się bardzo kulturalnie. Uściski dłoni i uśmiechy. Dostaliśmy nawet premie. Po pewnym czasie kolega usuwał pliki ze swojego komputera i natrafił na sfilmowane eksperymenty z ludźmi. Prowadzono je na jakiejś wyspie.

Trout wskazał palcem ziemię pod stopami.

- Tutaj?

- Nietrudno się domyślić, prawda? - odparł MacLean.

- Co było dalej?

- Popelniliśmy drugi fatalny błąd w ocenie naszych byłych pracodawców. Pojechaliśmy całą grupą do firmy i zażądaliśmy zaprzestania eksperymentów. Powiedziano nam, że biorą w nich udział sami ochotnicy i to już nie jest nasza sprawa. Zagroziliśmy, że podamy to do wiadomości publicznej. Poproszono nas, żebyśmy z tym poczekali. W ciągu tygodnia członkowie mojego dawnego zespołu zaczęli ginąć w „wypadkach”. Jednego przejechał pirat drogowy, drugi spłonął w pożarze, trzeciego śmiertelnie poraził prąd, gdy nieumiejętnie posługiwał się elektronarzędziami. Kilku zdrowych mężczyzn miało ataki serca. W sumie było dwadzieścia jeden ofiar.

- Przypuszczasz, że ich zamordowano? - Trout gwizdnął cicho.

- Ja to wiem.

- Czy policja podejrzewała celowe działanie? - zapytała Gamay.

- Owszem, w kilku wypadkach, ale nie mogli tego udowodnić. Moi koledzy mieszkali w różnych krajach i, jak już mówiłem, pracowaliśmy w tajemnicy.

- Ale ty przeżyłeś - zauważyła.

- Czysty przypadek. Prowadziłem badanie archeologiczne daleko od domu. To moje hobby. Po powrocie znalazłem wiadomość od kolegi, który potem też zginął, że grozi mi niebezpieczeństwo. Uciekłem do Grecji, ale moi dawni pracodawcy wytropili mnie tam i sprowadzili tutaj.

- Dlaczego cię nie zabili? MacLean roześmiał się ponuro.

- Chcieli, żebym pokierował nowym zespołem naukowców. Przenieśli swoje możliwości. Kiedy zlikwidowali moich kolegów, we wzorze chemicznym zaczęły się pojawiać słabe punkty. To było nieuniknione przy takich skomplikowanych badaniach. Ich błędy tańczące w klatkach widzieliście niedawno.

- Chcesz powiedzieć, że te warczące bestie to wytwór tego eliksiru młodości? - zapytał Trout.

MacLean uśmiechnął się.

- Mówiliśmy tym durniom, że trzeba jeszcze popracować nad projektem. Na ludzi enzym działa inaczej. Jak powiedziała Gamay, jesteśmy skomplikowanymi stworzeniami. To kwestia delikatnej równowagi. Przy złych proporcjach mieszanka chemikaliów jest po prostu zabójcza. Kiedy indziej przyspiesza proces starzenia się. W przypadku tych biednych istot w klatkach ta substancja rozbudziła zwierzęcą agresję, którą mieli w sobie nasi przodkowie, kiedy byli jeszcze gadami lub małpami. Niech was nie zmyli ich wygląd. Nadal mają ludzką inteligencję, Strega już się o tym przekonał.

- To znaczy?

- Są dwa rodzaje tych istot. Alfy były częścią pierwszego eksperymentu, który podobno zaczął się wiele lat temu. Bety stworzono w ostatnim czasie. Niedawno niektórym z nich udało się uciec. Zbiegami najwyraźniej dowodziły Alfy. Zbudowały prymitywną tratwę i wylądowały na innej wyspie, gdzie zabiły kilkunastu ludzi. Strega je wytropił i sprowadził z powrotem. Poddał część Alf straszliwym torturom, potem zabił je na oczach innych ku przestrodze.

- Skoro mają z nimi tyle kłopotów, to po co je trzymają? - zapytała Gamay.

- Nasi pracodawcy najwyraźniej uważają, że te stworzenia mają jakąś wartość. Coś jak my. Narzędzia do dyspozycji. Ostatnie testy przeprowadzono na nielegalnych imigrantach z biednych krajów, którzy myśleli, że jadą do Europy lub Ameryki, gdzie dostaną pracę i będą mieli lepsze życie.

Twarz Trouta wyraźnie stwardniała.

- To jedna z najbardziej potwornych zbrodni, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Ale nie mogę zrozumieć jednego: po co te typy porwały „Alvina” z nami na pokładzie?

- Enzym żyje krótko poza swoim naturalnym środowiskiem. Zbudowali okręt podwodny, żeby pozyskiwać go natychmiast po zbiorach. Jest oddzielany od mikrobów. Po ustabilizowaniu go okręt podwodny transportuje gotowy produkt tutaj do dalszych badań i rozwoju. Wiedzieli o waszej ekspedycji. Widocznie bali się, że odkryjecie ich podwodne przedsięwzięcie. Przez przypadek znaleźliście się za blisko.

- To nie był żaden przypadek - odparła Gamay. - Szukaliśmy źródła wodorostu Gorgona.

- Teraz ja nie rozumiem. Co to takiego?

- Zmutowana postać zwykłej algi - wyjaśniła Gamay. - Sieje spustoszenie na całym świecie. Trop tej mutacji prowadził do Zaginionego Miasta. Próbowaliśmy ustalić przyczynę. Nie rozgłaszaliśmy tego, żeby nie wywoływać paniki. Sytuacja jest dużo gorsza, niż się oficjalnie podaje.

- W jakim sensie?

- Jeśli wodorost się rozprzestrzeni, oceany zamienią się w wielkie mokradła. Żegluga będzie niemożliwa. Porty zostaną zamknięte. Zniknie większość gatunków ryb. Zabraknie żywności. W przyrodzie zapanuje chaos. Upadną rządy. Z powodu chorób i głodu zginą miliony ludzi.

- Mój Boże. Obawiałem się, że coś takiego może się zdarzyć.

- Dlaczego? - zapytała Gamay.

- Mikroby są zupełnie nieszkodliwe w swoim naturalnym środowisku. Ale zawsze istniała możliwość, że nastąpi ich migracja, jeśli naruszymy to środowisko. Najwyraźniej mutują geny wyższych organizmów.

- Można to cofnąć?

- Jest duża szansa, że znajdziemy rozwiązanie tego problemu w trakcie badań, które tu teraz prowadzimy.

- Myślisz, że pułkownik Strega uległby sugestii, żebyśmy skoncentrowali nasze wysiłki na uratowaniu świata przed plagą wodorostu Gorgona? - zapytał Trout.

MacLean roześmiał się.

- Pułkownik Strega uważa, że świat to ten obóz. I że on sam jest Bogiem.

- Tym bardziej trzeba stąd uciec - powiedział Trout.

- Nasi porywacze musieli zdawać sobie sprawę, że po naszym zniknięciu rozpoczną się poszukiwania „Alvina” zakrojone na szeroką skalę - zauważyła Gamay.

MacLean zajął do swojej pustej szklanki, potem spojrzął Gamay prosto w oczy.

- Strega mówił, że poradzą sobie z tym. Nie wdawał się w szczegóły, ale niedawno zabrano z wyspy część mutantów. Podejrzewam, że miało to coś wspólnego z tym planem.

- Nie znasz żadnych szczegółów? MacLean pokręcił przecząco głową.

Trout zmusił się do skupienia nad obecnymi problemami.

- Powiedziałeś, że sprowadzili cię tutaj, żebyś pokierował zespołem naukowców.

- Tak. Jest tu sześciu nieszczęśników, skuszonych, podobnie jak tamci imigranci, obietnicą pracy. Poznacie ich przy kolacji. Nasz pracodawca zadał sobie wiele trudu, żeby znaleźć osoby samotne, prawie lub zupełnie pozbawione krewnych.

- Ile mamy czasu?

- Wszyscy wiemy, że nas zabiją, gdy tylko otrzymamy czysty eliksir. Opóźnimy ten moment jak możemy, a jednocześnie pokazujemy, że robimy jakieś postępy. Utrzymujemy delikatną równowagę. Kiedy byliśmy na okręcie podwodnym, zabrano stąd transport eliksiru.

- Co to dla nas oznacza?

- Staniemy się zbędni, kiedy wzór chemiczny dotrze do miejsca przeznaczenia i nasi pracodawcy sprawdzą, czy będzie działał.

- A będzie? MacLean skinął głową.

- O, tak. Pierwsze efekty pojawią się bardzo szybko i będą dramatyczne. Strega dostanie wiadomość i zacznie rzucać nas zwierzętom na pożarcie.

- Obawiam się, że uratowałem was tylko po to, żeby wpakować w beznadziejną sytuację.
- Pokręcił głową.

Trout wstał z krzesła i rozejrzał się po obozie. Pomyślał, że surowe piękno wyspy zupełnie nie pasuje do przerażających scen, które tu widział.

- Są jakieś pomysły? - zapytał.

- Uważam, że byłoby dobrze, gdyby Mac opowiedział nam wszystko, co wie o tym miejscu - powiedziała Gamay. - Może się przydać każdy szczegół, bez względu na to, jak bardzo wydaje się śmieszny czy głupi.

- Jeśli nadal myślicie o ucieczce, to zapomnijcie o tym - odrzekł ponuro MacLean. - Nie ma sposobu.

Gamay zerknęła na męża i uśmiechnęła się.

- Zawsze jest jakiś sposób - powiedziała. - Tylko jeszcze go nie znamy.

26

Skye zapadła w głęboki sen, zanim Austin wsunął się pod ciepłą puchową kołdrę w auberge. Przez całą noc przytulała się do jego boku i przez sen mamrotała niespokojnie o czerwonym morze i czarnej wodzie. Austin też miał napięte nerwy. Kilka razy uwalniał się z uścisku Skye i podchodził do okna. Wszędzie panował spokój, tylko ćmy krążyły wokół oświetlonego szyldu gospody. Ale mimo to Austin nie czuł się bezpiecznie. Rodzina Fauchardów miała długie ręce.

Obudziło ich jasne słońce za oknem. Włożyli aksamitne płaszcze kąpielowe, które Skye znalazła w szafie, i zamówili śniadanie do pokoju. Austin wrzucił ich podarte kostiumy do śmietnika. Porozmawiali z pokojówką, która przyniosła im jedzenie, i wysłali ją do sklepu po ubrania. Po mocnej kawie Skye odzyskała swoją zwykłą energię, ale nie mogła przestać myśleć o Chateau Fauchard.

- Zawiadomimy policję? - zapytała.

- Fauchardowie to bogata i potężna rodzina - odrzekł Austin.

- Co nie znaczy, że są ponad prawem.

- Zgadzą się z tobą. Jak myślisz, w którą część naszej opowieści uwierzyłaby policja? W Studnię i wahadło czy w Beczkę amontillado. Jeśli narobimy szumu, mogą nas nawet oskarżyć o kradzież samolotu Emila.

Skye zmarszczyła brwi.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Więc co zrobimy?

- Wrócimy do Paryża. Przegrupujemy siły. Wykopiemy wszystkie brudy Fauchardów, jakie uda się nam znaleźć. - Austin odchrząknął. - Kto z nas poinformuje twój przyjaciela Darnaya, że jego podziurawiony kulami rolls-royce spoczywa na dnie zamkowej fosy?

- Ja mu powiem. Bez obaw, Charles zamierzał go zamienić na bentleya. Zgłosi po prostu kradzież. - Skye uśmiechnęła się promiennie jak zawsze. - Znając Charles'a, przypuszczam, że ten rolls był kradziony. - Przestała się uśmiechać i spochmurniała. - Wierzysz w to, co mówił tamten biedny Anglik, Cavendish? Że Fauchardowie rozpoczęli pierwszą wojnę światową i byli przynajmniej częściowo odpowiedzialni za wybuch drugiej?

Austin ugryzł croissanta i przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem.

- Sam nie wiem. Żeby wojna mogła się rozpocząć, nie wystarczy, że tego chce kilka osób. Wielką rolę odgrywają tu arogancja, głupota i zła ocena sytuacji.

- Zgoda, ale pomyśl, Kurt. W roku tysiąc dziewięćset czteremnaście na czele wielkich mocarstw stali chyba najbardziej nieudolni przywódcy, jakich zna historia. Decyzja o rozpoczęciu wojny spoczywała w rękach paru ludzi. Żadna z nich nie grzeszy nadmierną inteligencją. Car i kajzer nie musieli prosić swoich poddanych o zgodę na wypowiedzenie wojny. Czy mała, bardzo bogata i zdeterminowana grupa, taka jak Fauchardowie i inni producenci broni, nie mogła manipulować ówczesnymi przywódcami, wykorzystywać ich słabości i wywierać wpływu na ich decyzje? A potem zorganizować zamach na arcyksięcia, żeby doprowadzić do wybuchu konfliktu?

- To na pewno możliwe. Druga wojna światowa to inna sytuacja, ale taka sama łatwo palna mieszanka czekała na iskrę, która wywoła eksplozję.

- Więc przyznajesz, że w tych oskarżeniach może być część prawdy?

- Teraz, kiedy poznałem Fauchardów, zgodziłbym się z tym, że jeśli ktokolwiek mógł rozpocząć wojnę, to właśnie oni. Świadczy o tym sposób, w jaki potraktowali Cavendisha po jego przemowie.

Skye wzdrygnęła się na wspomnienie śmierci Anglika.

- Cavendish twierdził, że Jules Fauchard próbował zapobiec wojnie. Wiemy, że dotarł tylko do lodowca Le Dormeur. Gdyby udało mu się przelecieć nad Alpami, wylądowałby w Szwajcarii.

- Domyślam się, do czego zmierzasz. Lecił do neutralnego państwa, gdzie mógłby ujawnić światu machinacje swojej rodziny. - Austin umilkł na chwilę. - Zastanówmy się. Fauchard był bogatym i wpływowym człowiekiem, ale potrzebowałby dowodów na poparcie swoich rewelacji. Jakichś tajnych dokumentów.

- Oczywiście! - wykrzyknęła Skye. - Były w tej kasetce pancерnej, którą miał ze sobą. Fauchardowie nie chcieli, żeby ich rodzinne tajemnice wyszły na jaw.

- Nie rozumiem jednego - powiedział Austin. - Założmy, że udałoby się nam ekshumować Jules'a i uratować kompromitujące papiery. Fauchardowie poradziliby sobie bez trudu w tej sytuacji. Wynajęliby dobrą firmę public relations i ukreśliłby łeb całej sprawie. Oświadczyliby, że dokumenty są sfałszowane. Wątpię, czy poza kilkoma historykami ktoś interesowałby się długo tym wszystkim.

- Więc dlaczego zatopili tunel, zamordowali Renauda i próbowali zabić nas?

- Mam drugą teorię. Przypuśćmy, że Spear Industries jest o krok od jakiegoś wielkiego sukcesu. Fuzji. Wypuszczenia nowego produktu. Może nawet wywołania następnej wojny. - Austin uśmiechnął się krzywo. - Sensacyjne informacje o niechlubnej przeszłości rodziny mogłyby pokrzyżować im plany.

- To ma sens - przyznała Skye.

- Nie widzę natomiast sensu w tym, że Jules miał ze sobą hełm.

- Fauchardowie są ekscentryczni - zauważyła Skye. Austin zmarszczył brwi.

- Jesteś dla nich zbyt łaskawa. To krwiożerczy maniacy, ale nie działają bez celu. Uważam, że obawiali się czegoś więcej niż ujawnienia historii rodziny. Chcą za wszelką cenę odzyskać hełm. Ten stary żelazny garnek jest dla nich bardzo ważny. Trzeba się dowiedzieć, dlaczego.

- Może Charles już coś odkrył. Muszę się z nim jak najszybciej zobaczyć. Rozmowę przerwało im pukanie do drzwi. Wróciła pokojówka, niosąc torby z zakupami. Austin miał w portfelu na szyi trochę gotówki i karty kredytowe. Dał dziewczynie duży napiwek, potem on i Skye przymierzili nowe ubrania. Czerwona sukienka pasowała znakomicie na szczupłą Skye. Austin włożył luźne czarne spodnie i białą koszulę. W tych tradycyjnych strojach nie rzucali się w oczy.

Recepcjonista wynajął im przez telefon samochód. Peugeot z wypożyczalni nie był wprawdzie rolls-royce'em, ale jazda do Paryża w słoneczny dzień pomogła im zapomnieć o przygnębiających wrażeniach, jakich doznali w katakumbach Fauchardów. Austin mocno naciskał pedał gazu. Im bardziej się oddalali od zamku, tym lepiej się czuli.

Austinomal nie zaczął śpiewać Marsylianki, gdy w oddali ukazała się wieża Eiffla. Wkrótce potem wjechali do Paryża. Wstąpili do mieszkania Skye, skąd zadzwoniła do antykwariusza, żeby go uprzedzić, że wybiera się do Prowansji. Darnay, zachwycony tą wiadomością, powiedział, że będą mieli o czym rozmawiać. Skye spakowała torbę podróżną i Austin podrzucił ją na dworzec. Zanim wsiadła do pociągu, ucałowała go w oba policzki.

Recepcjonista uśmiechnął się szeroko, gdy Austin podszedł do lady po klucz.

- Witamy, monsieur Austin. Cieszymy się ogromnie, że pan wrócił. Ktoś na pana czeka. Już dość długo.

Wskazał wzrokiem hol.

W wygodnym skórzanym fotelu siedział mężczyzna z wyciągniętymi swobodnie nogami. Najwyraźniej drzemał. Twarz miał zakrytą świeżym egzemplarzem „Le Figaro”. Austin podszedł, uniósł gazetę i zobaczył ciemną twarz Joego Zavali.

Poklepał go w ramię.

- Ochrona hotelu - oznajmił z akcentem inspektora Clouseau. - Pójdzie pan ze mną.

Zavala zamrugał i otworzył oczy.

- Nareszcie.

- Wzajemnie, stary. Myślałem, że jesteś w Alpach i poprawiasz stosunki francusko-amerykańskie.

Zavala usiadł prosto.

- Denise chciała mnie przedstawić swoim rodzicom. To zawsze zły znak. Gdzie się podziewałeś? Dzwoniłem na twoją komórkę, ale nie odbierałeś.

Austin opadł na sąsiedni fotel.

- Mam dobre usprawiedliwienie. Moja komórka leży na dnie zamkowej fosy.

- Muszą przyznać, że pierwszy raz słyszę taką wymówkę. Mogę spytać, jak się tam znalazła?

- To długa historia. Co masz takiego pilnego, że koczujesz w holu hotelowym?

Zavala zrobił ponurą minę, co nie zdarzało mu się często.

- Rudi nie mógł się do ciebie dodzwonić, więc zatelefonował do mnie. - Rudi Gurm był zastępcą Dirka Pitta. - W Zaginionym Mieście zdarzył się wypadek. Paul i Gamay zanurkowali w „Alvinie” i już się nie wynurzyli. Na pokładzie była też pilotka.

- O cholera - zaklął Austin. - Co się stało?

- Nie wiadomo. Ktoś zaatakował statek badawczy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy załoga straciła kontakt z batyskafem.

- To bez sensu. Kto mógłby zaatakować nieszkodliwą ekspedycję naukową?

- Dlatego tu jestem. W nocy wsiałem w szybki pociąg do Paryża, ulokowałem się tutaj i co kwadrans pytałem o ciebie tego biednego recepcjonistę.

- Ile czasu minęło, odkąd zaginęli?

- Ponad dwadzieścia cztery godziny.

- Rozumiem, że natychmiast zaalarmowano Dirka i Rudiego? Zavala skinął głową.

- Dirk chce, żebyśmy go informowali na bieżąco. Poprosił o pomoc marynarką wojenną. Pół godziny temu rozmawiałem z Rudim. Wysłał na miejsce statek badawczy „Searcher”, żebyśmy się dowiadywali natychmiast o wszelkich zmianach sytuacji.

- Jak wygląda zabezpieczenie awaryjne na „Alvinie”?

- Mają zapas tlenu i prowiantu na jakieś czterdzieści osiem godzin. Zavala zerknął na zegarek.

Austin zaklął cicho. Kiedy flirtował ze Skye, zajadając francuskie rogaliki, Trout, Gamay i pilotka znajdowali się gdzieś głęboko pod powierzchnią morza i - jeśli wciąż jeszcze żyli - potrzebowali natychmiastowej pomocy.

- Musimy się pospieszyć.

- Na lotnisku Charles'a de Gaulle'a czeka odrzutowiec NUMA. Za kilka godzin możemy być na Azorach. Rudi załatwił nam też transport do następnego etapu podróży.

Austin polecił Zawali, żeby został na miejscu, i poszedł do swojego pokoju. Zdjął nowe ubranie, włożył swój stały strój - dżinsy i sweter - wrzucił do worka marynarskiego trochę rzeczy na zmianę i po kilku minutach wrócił do holu. Kiedy przyjechali na lotnisko, odrzutowiec rozgrzewał silniki. Po wylądowaniu na Azorach przesiedli się do hydroplanu i odlecieli nad Atlantyk.

Statek badawczy „Searcher” wracał z Europy do domu, gdy Gunn skierował go telefonicznie w rejon Grzbietu Śródatlantyckiego. Austina ucieszyła wiadomość, że „Searcher” jest już na miejscu. Statek zwodowano zaledwie kilka miesięcy wcześniej, miał na pokładzie najnowocześniejszy sprzęt sensorowy i roboty podwodne.

Kiedy hydroplan zaczął schodzić w dół, Austin wyjrzał przez szybę i przekonał się, że marynarka wojenna zareagowała niezwłocznie na prośbę Pitta. Nieopodal statku badawczego NUMA i „Atlantisa” unosił się na falach krążownik.

Hydroplan wylądował na morzu w pobliżu smukłego statku NUMA. Pilot samolotu zawiadomił załogę „Searchera” i na wodzie czekała łódź, która zabrała Austina i Zawalę na pokład. Powitał ich kapitan Paul Gutierrez, wysoki Kalifornijczyk o oliwkowej cerze. Nie tracił czasu i od razu zaprowadził ich na mostek. Austin popatrzył ze sterowni na morze. Do „Atlantisa” zbliżała się motorówka z krawężnika.

- Wygląda na to, że będziemy mieli towarzystwo.

- Okręt wojenny zjawił się w ciągu kilku godzin. Jest w pogotowiu na wypadek następnego ataku. Pokażę wam, co robimy. - Kapitan rozłożył mapę morską rejonu. Niektóre miejsca były zakreskowane czarnym flamastrem.

- Na szczęście jest dobra pogoda. Przeszukujemy te zaznaczone obszary. Używamy sonaru i zdalnie sterowanych pojazdów podwodnych ROV.

- Imponujące.

- Dzięki. Sprzęt „Searchera” potrafi dostrzec dziesięciocentówkę leżącą na głębokości tysiąca sążni. Przeszukaliśmy już całe Zaginione Miasto i częściowo jego okolice, gdzie odkryliśmy nowe otwory termiczne. „Atlantis” sprawdza też grzbiet. „Searcher” ma wręcz niesamowite możliwości. - Kapitan pokręcił głową. - Nie mogę tego zrozumieć. „Alvin” to jeden z najbardziej wytrzymałych batyskafów na świecie. Setki razy schodził na dół bez problemów.

- Nie natrafiliście dotychczas na żaden ślad?

- Nie, ale coś mamy.

Gutierrez wręczył Austinowi wydruk obrazu dna morskiego z monitora sonaru.

- Po sprawdzeniu Zaginionego Miasta przenieśliśmy się w jego najbliższe okolice. Na grzbiecie są co najmniej trzy inne strefy hydrotermalne o porównywalnej wielkości lub większe. Niech pan zobaczy, co znaleźliśmy w rejonie, który nazwaliśmy Zaginione Miasto II. Byliśmy cholernie zaskoczeni.

Austin wziął szkło powiększające. Po latach pracy poszukiwawczej miał wprawę w odczytywaniu wskazań sonaru, ale ten widok był dla niego zagadką.

- Co to za dwie dziwne linie? - zapytał.

- Też się nad tym zastanawialiśmy, więc wysłaliśmy na dół ROV-a i zrobił te zdjęcia.

Austin obejrzał dokładnie lśniąca fotografie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Pokazywały wyraźnie kolumny Zaginionego Miasta i dwie równoległe linie wijące się między wieżami.

- Wyglądają jak ślady gąsienic dużego spychacza lub czołgu - powiedział.

- Bardzo dużego - poprawił go kapitan. - Porównaliśmy ich rozstaw do wysokości kolumn. Biegają co najmniej dziesięć metrów od siebie.

- Jaka tu jest głębokość?

- Siedemset sześćdziesiąt metrów. Zawała gwizdnął.

- Wyczyn techniczny godny szacunku. Przypomina ci to coś, Kurt?

- Big Johna - odrzekł z uśmiechem Austin i dostrzegłszy zdziwione spojrzenie kapitana, wyjaśnił, że taką nieoficjalną nazwę nosił zbudowany przed kilkoma laty pojazd NUMA pełzający po dnie morskim, który stanowił ruchome laboratorium głębinowe. Wskazał zdjęcie miejsca, gdzie ślady nagle się urywały. - Cokolwiek tam było, tutaj się uniosło. W przeciwieństwie do Big Johna ten mechaniczny żółw może nie tylko pełzać, ale również pływać.

- I podejrzewam, że zabrał ze sobą „Alvina” - dodał Zawała.

Kapitan Gutierrez skinął głową.

- Zniknięcie batyskafu w pobliżu tych śladów nie wygląda na przypadek.

- Jest jeszcze jeden dziwny zbieg okoliczności - powiedział Austin. - Jak rozumiem, zostaliście zaatakowani mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaginął „Alvin”.

- Kiedy zaczynaliśmy się niepokoić już na serio o batyskaf, zbliżył się do nas dziwny frachtowiec - odrzekł Gutierrez. - Stara, zardzewiała łajba. Na kadłubie miała wypisaną nazwę Celtic Rainbow i była zarejestrowana na Malcie. Nadawała SOS i nie odpowiadała na nasze wezwania. Potem zobaczyliśmy dym z jej ładowni.

- Czy ktoś próbował opuścić frachtowiec?

- Nikt. To było właśnie niesamowite. Na pokładzie nie widzieliśmy żywej duszy. Chciałem tam wysłać łódź, żeby zbadać sytuację, ale kapitan Beck zgłosił się na ochotnika ze swoimi ludźmi.

- Beck?

- Prowadził firmę bezpieczeństwa morskiego. Pewnie wiecie, że piraci atakują statki badawcze lub przynajmniej im zagrażają. Na zlecenie instytutu Beck zajmował się ich ochroną. Miał na pokładzie trzech swoich ludzi, byłych komandosów SEAL, jak on sam. Szkolili załogę i naukowców w zakresie bezpieczeństwa. Uczyli ich, jak reagować na atak piratów. Zrobił na mnie wrażenie doskonałego fachowca.

- Podobno nie było lepszego - powiedział mężczyzna w mundurze marynarki wojennej, który wszedł do sterowni. - Z tego co słyszałem, Beck był prawdziwym profesjonalistą. Chorąży marynarki Pete Muller - przedstawił się i wskazał krążownik. - To mój okręt.

Austin wyciągnął rękę.

- Miło mi pana poznać.

- Zawsze przyjemnie jest pogadać z kimś z NUMA.

- Co się stało z kapitanem Beckiem i jego ludźmi? - zapytał Austin.

- Obawiam się, że wszyscy zginęli - odparł chorąży. - Znaleźliśmy w wodzie ciało kapitana, ale nie było ani śladu jego ludzi i tamtego statku.

- Frachtowiec nie mógł tak sobie po prostu zniknąć.

- Kiedy „Atlantis” nadał sygnał SOS, byliśmy najbliższą jednostką pływającą. Ale zanim do niego dopłynęliśmy, napastnicy zdążyli się ulotnić. Zabezpieczyliśmy ten statek i ruszyliśmy w pościg. Zналиśmy kierunek ich ucieczki, byliśmy od nich szybsi i dogonilibyśmy ich. Widzieliśmy ich na radarze, ale nagle zniknęli. Znaleźliśmy tylko jakieś szczątki i plamę ropy, frachtowca nie było.

- Nie rozumiem tego - odrzekł Austin. - Komandosi SEAL należą do najlepiej wyszkolonych żołnierzy sił specjalnych na świecie. Abordaż to jedna z ich specjalności.

- Obawiam się, że znaleźli się w sytuacji, której nigdy nie ćwiczyli.

Na twarzy chorążego Mullera Austin zauważył coś, co rzadko widywał na twarzach wojskowych: po prostu lęk.

- Mam wrażenie, że nie usłyszałem jeszcze wszystkiego. Może kapitan opowie nam o ataku?

- Mogę zrobić coś lepszego - odparł Gutierrez. - Pokażę wam, co się stało.

27

Migający obraz na ekranie podskakiwał gwałtownie. Było oczywiste, że film nakręcono kamerą wideo w niestabilnych warunkach. Ujęcie pokazywało trzech mężczyzn widzianych od tyłu. Wokół głów mieli zawiązane chusty, z ich ramion zwisała broń automatyczna. Płynęli łodzią pneumatyczną po rozhuśtanym morzu i zbliżali się do zardzewiałego frachtowca średniej wielkości. Przez buczenie silnika zaburtowego dobiegł twardy głos:

- Zbliżamy się do celu. Przygotujcie się, chłopaki. To nie przejażdżka dla przyjemności. Spróbujemy zrobić fałszywe podejście, żeby zobaczyć, czy ściągniemy na siebie ogień.

Mężczyzna znajdujący się najbliżej obiektywu odwrócił się i uniósł kciuk. Potem obraz zamarł.

Chorąży Muller wstał z krzesła i stanął obok płaskiego monitora ściennego. Wskazał ciemnoskórego komandosa, który uśmiechał się szeroko do kamery.

- To Sal Russo - powiedział Muller. - Fachura najwyższej klasy, bystrzak i twardziel. Służył w Szóstej Kompanii SEAL, jednostce antyterrorystycznej. Dostał kupę medali za kampanię w Zatoce Perskiej, potem odszedł z wojska i podjął pracę w firmie Becka.

- W tle słychać pewnie głos kapitana Becka? - domyślił się Austin. Siedział na składanym krześle obok Zavali i Gutierrezza.

- Zgadza się. Beck miał kamerę wideo przypiętą z przodu uprząży. Używał jej do celów szkoleniowych, pokazywał swoim zespołom, co wykonują dobrze, a co źle. Kiedy wyłowiliśmy jego ciało z morza, kamera wciąż jeszcze była przy nim, na szczęście z osłoną wodoszczelną. Obraz trochę skacze od czasu do czasu, ale będziecie mogli zobaczyć całkiem wyraźnie, co się wydarzyło.

Muller wcisnął przycisk na pilocie i wrócił na swoje miejsce. Mężczyzna na ekranie ożył i znów odwrócił się plecami do kamery. Hałas silnika zaburtowego wzrósł o kilka decybeli, dziób się uniósł i ponton popłynął prosto w kierunku drabinki zwisającej ze sterburty na dziobie statku. Trzydzieści metrów od drabinki ponton skręcił ostro i oddalił się od frachtowca.

- Próba ściągnięcia ognia nie udała się - powiedział ten sam twardy głos.

- Sprawdźmy nazwę na rufie.

Teraz widać było, jak ponton okrąży statek od tyłu. Na odrapanym kadłubie widniał napis Celtic Rainbow, a poniżej Malta. Łódź pneumatyczna popłynęła wzdłuż statku i skierowała się z powrotem do drabinki. Kiedy zbliżyła się do burty, jeden z mężczyzn chwycił szczebel i zatrzymał ponton.

Wszyscy włożyli maski gazowe i dwaj komandosowie wspięli się po drabince. Mężczyzna na dziobie odepchnął ponton o kilka metrów i skierował broń w stronę pokładu, gotów zastrzelić każdego, kto próbowałby zaskoczyć jego kolegów. Dwaj komandosowie dotarli na górę bez przeszkód. Pierwszy z nich przywołał ponton z powrotem.

- Gładkie wejście, nie napotkano oporu - powiedział Beck. - Teraz wchodzi wsparcie.

Po przycumowaniu pontonu do drabinki Beck i Russo zaczęli wchodzić po niej na górę. Pojawił się skaczący obraz burty statku, słychać było czyjś ciężki oddech.

- Robię się za stary na to gówno - mruknął Beck. - Choć to o wiele większa frajda niż siedzenie za biurkiem.

Wreszcie na ekranie ukazał się pokład. Komandosowie czekali w półprzysiadzie z bronią gotową do strzału. Nad pokładem unosił się gęsty dym. Zgodnie z wcześniejszym planem Russo wziął ze sobą jednego komandosa, podbiegli schyleni do przeciwległej burty i ruszyli w kierunku rufy. Beck i drugi komandos posuwali się wzdłuż sterburty. Spotkali się przy relingu rufowym.

- Lewa strona czysta - zameldował Russo i spojrzął, mrużąc oczy, na dym.

- Wygląda na to, że ogień gaśnie.

- Masz rację - odrzekł Beck. - Dym rzędzie. Zdejmijcie maski. Komandosi wykonali rozkaz i wetknęli maski do toreb przy pasach.

- Dobra, sprawdźmy mostek. Zobaczymy, kto nadaje SOS.

Kamera pokazała, jak mężczyźni posuwali się naprzód metodą żabich skoków, najpierw jedna dwójka, potem druga, żeby para na czele była zawsze kryta. Wspinali się na pomosty, zatrzymywali na każdym pokładzie, potem ruszali dalej. Dotarli do mostka bez przygód.

Z otwartych drzwi sterowni dochodził czyjś głos wołający: SOS... SOS...

W akcjach komandosów SEAL najważniejsze są trzy elementy: szybkość, zaskoczenie i niewidzialność. Konieczność wejścia na statek w biały dzień wykluczała dwa z nich, więc nie tracili czasu na zewnątrz sterowni. Kamera pokazała wewnątrz i rozległ się głos Becka:

- Dobra robota... Cholera, to pieprzone miejsce jest puste.

Kamera obróciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, potem Beck podszedł do radia w sterowni. Ręka, najwyraźniej jego, sięgnęła po magnetofon kasetowy obok mikrofonu. SOS powtarzało się raz za razem. Ręka wyłączyła magnetofon i SOS ucichło.

- Niech to szlag! - odezwał się jeden z mężczyzn. - Co to za smród, do cholery?

Spokojny, ale przynaglający głos Becka w tle kazał odbezpieczyć broń, zwiększyć czujność i wycofać się szybko do pontonu.

Potem rozpętało się piekło.

Przez drzwi wpadła z upiornym wrzaskiem jakaś postać. Huknęła strzelba. Następne wrzaski i atakujące sylwetki. Terkot broni automatycznej. Zamazane plamy białych włosów lub sierści i migawkowe ujęcia koszmarnych twarzy.

- Tędy, kapitanie!

Plecy Russo zasłoniły prawie cały widok. Znow strzały i potworne wrzaski. Potem cała seria niewyraźnych obrazów.

Beck wydostał się ze sterowni. Na wpół zbiegał, na wpół spadał z pomostów, chrapliwie łapał powietrze. W tle rozległy się krzyki Russo:

- Szybciej, kapitanie, szybciej! Załatwiłem jednego z tych czerwonoookich skurwysynów, ale dobierają się nam do tyłków.

- Moi ludzie...

- Za późno! Szybciej. O, cholera. Znow odgłosy strzałów. Potem krzyk.

Beck dotarł na główny pokład. Biegł i dyszał jak parowóz wspinający się na strome zbocze, słychać było jego ciężkie kroki. Do drabinki na dziobie pozostał mu niecały metr.

Poza kadrem rozległ się nieludzki wrzask. Znow białe włosy i atakujące ciała, jeszcze jeden huk strzelby. Błysk czerwonych oczu. Potem gardłowy bulgot. Niebo i morze zawirowały i ekran pociemniał.

Zapadła cisza, którą dopiero po chwili przerwał Austin.

- To nagranie przynosi więcej pytań niż odpowiedzi.

- Beckowi prawie się udało wrócić do pontonu - powiedział Muller. - Ale nim zdążył zejść na dół po drabince, napastnicy dopadli go. Kiedy znaleźliśmy martwe ciało, miał rozprute gardło.

- Mógłby pan trochę cofnąć taśmę? - odezwał się Zavala. Muller nacisnął przycisk. - O, właśnie, niech pan tu zatrzyma.

Niemal cały ekran wypełniły płonące czerwone oczy. Mimo złej ostrości obrazu wyraźnie widać w nich było przerażającą dzikość. W pomieszczeniu znow zapadła cisza, którą mącił tylko szum wentylatora.

- Rozumie pan coś z tego filmu? - spytał w końcu Austin Mullera. Chorąży pokręcił głową jak człowiek, którego poproszono o wyjaśnienie tajemnic wszechświata.

- Jestem pewien tylko tego, że kapitan Beck i jego ludzie nadziali się na coś niesamowitego. Ale napastnicy nie spodziewali się starcia z uzbrojoną drużyną SEAL.

- Przypuszczam, że zamierzali zaatakować „Atlantis”, lecz po walce z Beckiem i jego ludźmi zrezygnowali z tego - powiedział Austin.

- Też tak myślę - przytaknął Muller. Kapitan Gutierrez wstał z krzesła.

- Muszę wracać na mostek. Dajcie mi znać, panowie, jeśli będę mógł jeszcze w czymś pomóc.

Austin podziękował Gutierrezowi, a po jego wyjściu zapytał Mullera.

- Jak się domyślam, pan wraca na swój okręt?

- Jeszcze nie. Płynie tu inna jednostka, żeby nas złuzować. Będzie tutaj za kilka godzin. Mam czas. Teraz, kiedy zostaliśmy sami, chciałbym porozmawiać z panami o całej sytuacji, jeśli nie macie nic przeciwko temu.

- Oczywiście - odrzekł Austin. - Mało zobaczyłem, ale z tego, co widziałem, wyraźnie wynika, że jest o czym mówić.

Muller uśmiechnął się.

- Kiedy się dowiedziałem o tej sprawie, sądziłem, że chodzi po prostu o piratów, choć nie było informacji, że działają w tej części świata.

- Potem zmienił pan zdanie? - zapytał Austin.

- Odrzuciłem tę teorię. Nie wspominałem jeszcze, że jestem oficerem wywiadu marynarki wojennej. Po obejrzeniu kasety wideo skontaktowałem się z moimi sztabem w Waszyngtonie i poprosiłem ich, żeby wygrzebali wszystko, co się da o „czerwonookich potworach lub diabłach”. Szkoda, że nie słyszeliście, panowie, ich drwiących komentarzy, sprawdzili jednak wszystkie możliwe źródła, począwszy od historii o Drakuli, aż do hollywoodzkich filmów. Wiecie panowie, że jest grupa rockowa o nazwie Czerwonookie Demony?

- Moja wiedza o rocku kończy się na Rolling Stonesach - odparł Austin.

- Moja też. W każdym razie spędziłem trochę czasu nad raportami i zainteresowało mnie to...

Muller wyjął z teczki kawałek papieru i wręczył Austinowi. Kurt rozłożył go i przeczytał nagłówek.

LOS EKIPY TELEWIZYJNEJ I UCZESTNIKÓW PROGRAMU NADAL NIEZNANY. POLICJA BEZRADNA.

Była to wiadomość Agencji Reutera opublikowana w Londynie. Austin czytał dalej:

Władze wciąż nie mają żadnego tropu w sprawie zaginięcia siedmiu uczestników reality-show i czterech członków ekipy technicznej, którzy realizowali odcinek programu telewizyjnego Wygnańcy na bezludnej wysepce u wybrzeży Szkocji.

Zgodnie z regułami gry, członkowie tak zwanego klanu co tydzień wybierali w głosowaniu „wygnańca”, który musiał opuścić wyspę. Załoga helikoptera przysłanego po ostatnią wyeliminowaną osobę zastała pusty obóz. Policja, we współpracy z FBI, odkryła ślady krwi sugerujące użycie przemocy.

Jedyna ocalała uczestniczka programu znaleziona w rozpadlinie, która stała się jej kryjówką, powraca do zdrowia i przebywa obecnie w domu. Twierdzi, że ekipę zaatakowały na wyspie czerwonookie diabły. Władze nie traktują poważnie jej relacji, gdyż uważają, że kobieta miała halucynacje wywołane doznaniem szokiem.

Popularny program telewizyjny wzorowany na wcześniejszych produkcjach typu Rozbitkowie był krytykowany za tworzenie zbyt napiętej atmosfery wśród uczestników i poddawanie ich ryzykownym testom powodującym silny stres. Stacja telewizyjna wyznaczyła 50 000 dolarów nagrody za informacje o incydencie.

Austin wręczył wiadomość Zawali. Joe przeczytał tekst:

- Jaki to ma związek z zaginięciem „Alvina”? - zapytał.

- Przyznaję, że luźny, ale spróbujcie, panowie, zrozumieć mój tok myślenia. Wróć do tych podwodnych śladów. Jest oczywiste, że w Zaginionym Mieście coś się działo i ktoś wolał to zachować w tajemnicy.

- Brzmi rozsądnie - odrzekł Zavała. - Ktokolwiek zostawił te ślady, nie chciał, żeby ktoś węszył wokół otworów termicznych.

- Jeśli ktoś coś ukrywa, to co robi, kiedy na jego terenie zjawia się batyskaf z aparatami fotograficznymi i kamerami?

- To proste - odparł Zavała. - Ekspedycja może to coś ujawnić, więc zwiija interes.

- To wcale nie jest takie proste - zaprzeczył Austin. - Jeśli ktoś zobaczy ślady, będzie zadawał pytania. Trzeba go wyeliminować. Nie może być żadnych świadków.

- Więc mamy wyjaśnienie, dlaczego przeciwko „Atlantisowi” skierowano frachtowiec pełen czerwonoookich dziwołagów - odrzekł Zavała.

- Założmy, że „Atlantis” znika - powiedział Austin. - Wkrótce potem wynurza się „Alvin”. Widzi, że statek wsparcia gdzieś przepadł, więc wzywa pomoc. Zaczynają się poszukiwania na dużą skalę. Zawsze jest możliwość, że ratownicy wpadną na jakiś trop i operacja wzbudzi nadmierne zainteresowanie.

- Więc ktokolwiek zostawił te ślady, mógł porwać „Alvina” - podsumował Zavała.

- Gutierrez twierdzi, że batyskaf nie zatonał, i ja mu wierzę - powiedział Muller.

Austin zerknął na tekst wiadomości agencji.

- Czerwone oczy tam i tutaj. Rzeczywiście luźny związek.

- Zgadza się z tym. Dlatego kazałem zrobić zdjęcia satelitarne wód wokół wyspy Wygnańców. - Muller wyjął z teczki plik fotografii i rozłożył je na stole. - Na większości tamtejszych wysp znajdują się małe, stare wioski rybackie, na innych mieszkają tylko ptaki. Moją uwagę zwróciło to...

Podsunał Austinowi zdjęcie. Widniało na nim kilka budynków, w większości stłoczonych daleko od wybrzeża, i prymitywne drogi.

- Wiadomo, co tam jest? - zapytał Austin.

- Ta wyspa była kiedyś własnością rządu brytyjskiego. W czasie drugiej wojny światowej i w okresie zimnej wojny mieściła się tam baza okrętów podwodnych. Później teren sprzedano prywatnej korporacji. Jeszcze to sprawdzamy. Prawdopodobnie prowadzono tam badania nad ptakami, ale nie wiemy tego na pewno, bo na wyspę nikt obcy nie ma wstępu.

Austin wskazał cienką białą linię na morzu.

- To może być kilwater łodzi patrolowej, która pilnuje wybrzeża.

- Zgadł pan - przytaknął Muller. - Mam zdjęcia zrobione o różnych porach dnia i łódź znajduje się zawsze w jakimś punkcie w pobliżu wyspy. Stałe pływa mniej więcej tą samą trasą.

Austin przyjrzał się dokładnie skałom i rafom strzegącym wyspy i zauważył ciemny owalny kształt u wejścia do portu. Obiekt widniał też na następnych zdjęciach, ale w innych miejscach. Miał niewyraźne kontury, jakby znajdował się pod wodą, a nie na powierzchni. Austin podał zdjęcia Zawali.

- Przyjrzyj się im i powiedz, czy widzisz coś niezwykłego, Joe. Zavała, ekspert od zdalnie sterowanych i załogowych pojazdów podwodnych, natychmiast zauważył dziwny obiekt. Rozłożył zdjęcia na stole.

- To jakiś pojazd podwodny.

- Chciałbym na to spojrzeć - powiedział Muller. - A niech mnie! Tak się skoncentrowałem na tym, co jest na powierzchni morza, że nie zauważyłem tego, co jest pod nią. Chyba myślałem, że to jakaś ryba.

- Bo to jest ryba - odrzekł Zavała. - Mechaniczna, z napędem akumulatorowym. Domyślam się, że to AUV.

- Samodzielny pojazd podwodny?

AUV-y, budowane do celów komercyjnych i badawczych, były najnowszym osiągnięciem w dziedzinie techniki podwodnej. Te pojazdy-roboty mogły działać

samodzielnie według zaprogramowanych instrukcji, inaczej niż zdalnie sterowane ROV-y na uwięzi.

- Możliwe, że ten AUV ma sonar i urządzenia akustyczne, wykrywa wszystkie ruchome obiekty nawodne i podwodne wokół wyspy i wysyła sygnały alarmowe do monitorów na lądzie.

- Marynarka wojenna używa AUV-ów do wykrywania min - powiedział Muller. - Te roboty zastąpiły delfiny. Słyszałem, że niektóre AUV-y można zaprogramować na atak.

Austin popatrzył na zdjęcie.

- Chyba będziemy musieli szybko podjąć decyzję.

- Nie chcę wam niczego sugerować, ale wiem, że martwicie się o swoich przyjaciół - odparł Muller. - Tutaj niewiele możecie zdziałać. Kapitan Gutierrez będzie kontynuował poszukiwania i zawiadomi was, jeśli coś znajdzie.

- Chciałby pan, żebyśmy sprawdzili tamto miejsce?

- Amerykańska marynarka wojenna nie może wysadzić desantu na tej wyspie, ale kilku dobrze wyszkolonych i zdeterminowanych ludzi mogłoby się tam dostać.

Austin spojrział na Zavalę.

- Jak myślisz, Joe, co powinniśmy zrobić?

- To loteria - odparł Zavalę. - Będziemy tropili dziwadła o czerwonych oczach, a tymczasem Paul i Gamay mogą być w stu innych miejscach.

Austin wiedział, że Zavalę ma rację, ale instynkt podpowiadał mu, że zaginieni są chyba na wyspie.

- Poprosiliśmy pilota hydroplanu, żeby był w pogotowiu - powiedział do chorążego Mullera. - Polecimy z powrotem na Azory i złapiemy tam samolot. Jeśli dopisze nam szczęście, jutro możemy się przyjrzeć z bliska pańskiej tajemniczej wyspie.

- Miałem nadzieję, że pan to powie - uśmiechnął się Muller.

Niecałą godzinę później hydroplan uniósł się z morza zatoczył krąg nad statkiem badawczym i okrętem wojennym, po czym wziął kurs na Azory. Austin i Zavalę rozpoczęli pierwszy etap podróży w niewiadome.

28

Darnay mieszkał w przebudowanym wiejskim domu krytym czerwoną dachówką, z widokiem na stare historyczne miasto Aix-en-Provence. Skye zadzwoniła do niego z dworca kolejowego, żeby go zawiadomić, że przyjechała. Kiedy wysiadła przed willą z taksówki, antykwariusz czekał na nią w drzwiach frontowych. Uściskali się i ucałowali w policzki na powitanie, potem Darnay zaprowadził ją na szeroki taras przy basenie otoczonym słonecznikami, posadził przy stole z kutego żelaza i marmuru i nalał dwa koktajle Kir z białego wina i creme de cassis.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę, moja droga - powiedział. Stuknęli się kieliszkami i wypili po łyku zimnego słodkiego napoju.

- Jak dobrze być tutaj, Charles. - Skye przymknęła oczy, wystawiła twarz do słońca i wciągnęła głęboko powietrze o lekkim zapachu lawendy i dalekiego Morza Śródziemnego.

- Niewiele mi powiedziałaś przez telefon - przypomniał Darnay. - Mam nadzieję, że wasza wizyta u Fauchardów udała się.

Otworzyła oczy.

- Na tyle, na ileśmy się tego spodziewali.

- Bon. A pan Austin był zadowolony z jazdy moim rollsem? Skye zawahała się.

- I tak, i nie. Darnay uniósł brwi.

- Zanim ci opowiem, co się stało, lepiej nalej nam po następnym drinku.

Darnay napełnił kieliszki. Przez następne czterdzieści pięć minut Skye relacjonowała mu przebieg wizyty w zamku Fauchardów. Zaczęła od momentu, kiedy Emil powitał ich w drzwiach frontowych, skończyła na szalonej ucieczce skradzionym samolotem. W miarę jak snuła swą opowieść twarz Darnaya robiła się coraz bardziej ponura.

- Ten Emil i jego matka to potwory! - wykrzyknął.

- Przepraszamy za to, co się stało z twoim samochodem. Ale, jak widzisz, nie mieliśmy wyjścia.

Darnay rozchmurzył się i uśmiechnął szeroko.

- Najważniejsze, że nic wam się nie stało. Rolls to nie problem. Mała strata. Kosztował mnie ułamek jego rzeczywistej wartości. Był trefny, jak powiedziałby pewnie twój amerykański przyjaciel.

- Domyślałam się tego.

- Zaintrygował mnie twój opis portretu Jules'a Faucharda. Jesteś pewna, że miał na głowie ten sam hełm? - zapytał Darnay.

- Tak. Posunąłeś się naprzód w jego identyfikacji?

- O, tak. - Darnay dopił drinka. - Jeśli już odpoczęłaś, pojedziemy do Weebela.

- Co to jest?

- Nie co, tylko kto. Oskar Weebel to Alzatzczyk. Mieszka w mieście. Hełm jest u niego.

- Nie rozumiem.

Darnay wstał z krzesła i wziął Skye za rękę.

- Zrozumiesz, kiedy go poznasz.

Po kilku minutach siedzieli w jaguarze Darnaya i pędzili krętą, wąską drogą. Darnay niedbale pokonywał łuki, jakby jechał szeroką szosą.

- Powiedz mi coś więcej o swoim przyjacielu - poprosiła Skye, gdy znaleźli się na obrzeżach historycznej starówki. Darnay skręcił w wąską ulicę między muzeum Cezanne'a a katedrą Saint Sauveur.

- Weebel to doskonały rzemieślnik - odrzekł Darnay. - Jeden z najlepszych, jakich znam. Wykonuje reprodukcje zabytkowych zbroi i broni. Większość z nich sprzedaje. Jego wyroby

są tak dobre, że muzea i kolekcjonerzy z całego świata często nie wiedzą, że to kopie, a nie oryginały.

- Falsyfikaty?

- Takie brzydkie słowo w tak pięknych ustach? - skrzywił się Darnay. - Woleje nazywać replikami wysokiej jakości.

- Przepraszam, że zapytam, Charles, ale czy któreś z tych cudownych replik kupują twoi klienci - muzea i kolekcjonerzy.

- Rzadko twierdzą, że moje towary to autentyki. Mógłbym wylądować w więzieniu za oszustwo. Po prostu daję do zrozumienia, że przedmiot transakcji ma być może pewne pochodzenie i pozwalam, żeby klient dośpiewał sobie resztę. Jak powiedział amerykański komik W.C. Fields, „nie można okradać uczciwego człowieka”. Jesteśmy na miejscu.

Darnay zaparkował jaguara przy krawężniku, poprowadził Skye do piętrowego budynku o średniowiecznej architekturze i nacisnął dzwonek. Po chwili drzwi otworzył niski, krępy mężczyzna po sześćdziesiątce w jasnoszarym fartuchu roboczym. Powitał ich szerokim uśmiechem i zaprosił do środka. Darnay dokonał prezentacji.

Weebel wyglądał tak, jakby złożono go z przypadkowych części zamiennych. Łysa głowa wydawała się za duża w stosunku do ramion. Kiedy zdjął staromodne okulary, łagodne oczy sprawiały wrażenie zbyt małych w jego twarzy. Nogi były krótkie i grube. Ale miał usta i zęby modela oraz długie, szczupłe palce pianisty. Przypominał Skye Kreta z O czym szumią wierzby Kennetha Grahame'a.

Weebel zerknął nieśmiało na Skye.

- Teraz wiem, dlaczego się nie odzywałeś, Charles. Byłeś zajęty.

- Mademoiselle Labelle dopiero przyjechała, mój pocziwy przyjacielu. Ledwo zdążyłem jej opowiedzieć o twoich niezwykłych zdolnościach.

Weebel bąknął skromnie, że nie ma o czym mówić, ale jego mina wyraźnie wskazywała, że komplement sprawił mu przyjemność.

- Dziękuję, Charles. Właśnie zaparzyłem herbatę hibiskusową.

- Wprowadził ich do czystej, uporządkowanej kuchni, gdzie usiedli przy stole z blatem na kozłach. Weebel podał herbatę, potem zasypał Skye pytaniami o jej pracę. Kiedy cierpliwie odpowiadała, miała wrażenie, że Weebel stara się zapamiętać każde jej słowo.

- Charles opowiedział mi również o pańskiej pracy, monsieur Weebel. Kiedy Weebel był podniecony, akcentował swoje wypowiedzi krótkim „aha”.

- Tak? To świetnie. Aha. Pokażę pani mój warsztat.

Zaprowadził ich wąskimi schodami do piwnicy jasno oświetlonej jarzeniówkami. Wyglądała jak zakład kowalski, były tu: kuźnia, kowadło, dłuta, specjalistyczne młotki i szczypce. Wszystkie narzędzia służyły do podstawowej pracy płatnerza - kształtowania arkuszy gorącej blachy. Na ścianach wisały napierśniki, nagolenniki, metalowe rękawice i inne części zbroi. Darnay spojrział wprawnym okiem na półkę z kilkoma hełmami w różnym stylu.

- Gdzie jest to, co tu zostawiłem?

- Wyjątkowy okaz zasługuje na wyjątkowe traktowanie - odrzekł Weebel. Podeszedł do zbroi stojącej w rogu piwnicy, podniósł przyłbicą i sięgnął do środka. - To masówka. Aha. Produkują takie dla mnie w Chinach, sprzedają je głównie restauracjom.

Przestawił włącznik wewnątrz zbroi. Część panelu ściennego szerokiego na sto dwadzieścia centymetrów otworzyła się z cichym trzaskiem i odsłoniła stalowe drzwi. Weebel wystukał kod. Za drzwiami znajdował się schowek wielkości szafy w ścianie. Na półkach stały drewniane ponumerowane skrzynki o dziwnych wymiarach.

Weeber wziął jedną z nich i zaniósł do warsztatu. Postawił skrzynkę na stole i wyjął z niej hełm Fauchardów. Skye popatrzyła na wytłoczoną na hełmie twarz i pomyślała o portrecie Jules'a w zamku Fauchardów.

- Niezwykły okaz. Niezwykły. Aha. - Weebel zamachał nad hełmem rękami jak wróżka patrząca w szklaną kulę. - Oglądał go mój metalurg. Żelazo użyte do wyrobu tej stali było bardzo nietypowe. Uważa, że mogło pochodzić z meteorytu.

Darnay uśmiechnął się do Skye.

- Taka jest też teoria mademoiselle Labelle. Ustaliłeś wiek hełmu?

- Niektóre elementy były bardzo innowacyjne, jak sam mówiłeś. Typowałbym, że to szesnasty wiek, kiedy przyjęło się wyłaczanie na przyłbicach rysów twarzy ludzi lub zwierząt. Możliwe, że sam metal jest dużo starszy i hełm zrobiono z jakiegoś innego sporządzonego znacznie wcześniej. To wgniecenie jest znakiem próbnym. Najwyraźniej sprawdzano odporność stali na trafienie pociskiem. Spisała się bardzo dobrze. Ale w miejscu, gdzie jest ta dziura, już gorzej. To mógł być strzał z bliskiej odległości z potężnej broni palnej, być może współczesnej. Może ktoś ćwiczył na tym hermie strzelanie do celu.

- A kto go wyprodukował?

- To jeden z najlepiej wykonanych hełmów, jakie widziałem. Wewnątrz ani śladu uderzeń młotkiem. Nawet bez znaku producenta można rozpoznać, czyja to robota. Był tylko jeden płatnerz, który wytwarzał metal o tak wysokiej jakości. Należał do rodziny Fauchardów.

- Co pan może o nich powiedzieć? - zapytała Skye.

- Byli jedną z zaledwie trzech famili, które założyły cech rzemieślniczy przekształcony z czasem w firmę znaną dziś pod nazwą Spear Industries. Każda rodzina miała inną specjalność. Jedna produkowała stal, druga zbroje. Fauchardowie zajmowali się sprzedażą. Ich agenci podróżowali po całej Europie i handlowali wyrobami spółki. Dzięki temu Fauchardowie mieli wszędzie dobre kontakty i powiązania polityczne. Zazwyczaj nie używali swojego znaku firmowego. Uważali, że jakość ich zbroi mówi sama za siebie.

Dlatego dziwię się, że jest tutaj wyryty ich herb. Ten hełm musi mieć wyjątkowe znaczenie dla rodziny.

- Madame Fauchard powiedziała mi, że każda głowa orła oznacza jedną rodziną założycielską.

Weebel zamrugął.

- Rozmawiała pani z nią? Skye przytaknęła.

- Nadzwyczajne. Słyszałem, że całkowicie odizolowała się od świata. Jaka jest?

- To skrzyżowanie skorpionia z czarną wdową - odrzekła bez wahania Skye. - Powiedziała, że środkowy orzeł symbolizuje Fauchardów, którzy zdominowali spółkę za sprawą zgonu i małżeństw.

Weebel wybuchnął nerwowym śmiechem.

- A nie dodała, że były to często przedwczesne zgony, a większość małżeństw wymuszono, żeby umocnić władzę Fauchardów?

- Mówi o swojej rodzinie w sposób, by tak rzec, bardzo selektywny. Zaprzecza na przykład, że byli wystarczająco potężni, by wywołać pierwszą wojnę światową i przyłożyć rękę do wybuchu drugiej.

- Takie pogłoski krążą od wielu lat. Pewni handlarze bronią zachęcali do wojny i ułatwili jej rozpoczęcie. Fauchardowie tkwili w tym po uszy. Aha. Od kogo słyszała pani tę historię?

- Od Anglika nazwiskiem Cavendish. Powiedział też, że Fauchardowie wykradli jego rodzinie tajemnicę produkcji stali.

- A, sir Cavendish. Tak, to prawda. Jego rodzina doszła do perfekcji w wyrobie stali. Fauchardowie ukradli im technologię. - Weebel pogładził palcami hełm. - Widzi pani coś niezwykłego w tym wizerunku orła?

Skye popatrzyła uważnie na hełm, ale w pierwszej chwili nie dostrzegła niczego nowego.

- Zaraz. Moment. Tak. Z jednej strony ma w szponach więcej włóczni niż z drugiej.

- Bystre oko. Aha. Zauważyłem to samo i porównałem z herbem Fauchardów. Na oryginalne liczba włóczni jest taka sama po obu stronach. Przy dokładniejszych oględzinach hełmu odkryłem, że jedną włócznię dodano dużo później. Zapewne w ostatnim stuleciu.

- Dlaczego ktoś to zrobił? - zapytała Skye.

Weebel uśmiechnął się tajemniczo i umieścił hełm pod szkłem powiększającym przymocowanym do stołu warsztatowego.

- Niech pani sama zobaczy, mademoiselle Labelle. Skye przyjrzała się włóczni przez lupę.

- Grot i drzewce to właściwie jakiś napis. Litery i cyfry. Chodź, Charles, zobacz.

Damay zajął jej miejsce.

- To wygląda na równanie algebraiczne.

- Tak, tak. Aha. Też tak myślę - zgodził się Weebel. - Ale nie potrafię tego rozszyfrować.

Potrzebny jest specjalista.

- Kurt uważa, że ten hełm może być kluczem do rozwiązania zagadki Fauchardów - powiedziała Skye. - Muszę go zabrać do Paryża i pokazać kryptologowi albo matematykowi na uniwersytecie.

- Szkoda - zmartwił się Weebel. - Miałem nadzieję skopiować ów piękny hełm. Może potem?

- Właśnie, monsieur Weebel - powiedziała z uśmiechem Skye. - Może potem.

Weebel schował hełm z powrotem do skrzynki i wręczył jej. Skye i Darnay podziękowali mu i pożegnali się. Skye poprosiła Darnaya, żeby odwiózł ją na dworzec. Był rozczarowany jej decyzją i próbował ją namówić, żeby została. Odrzekła, że chce jak najszybciej wrócić do Paryża, ale obiecała, że wkrótce przyjedzie na dłużej.

- Skoro tak postanowiłaś, nie będę cię zatrzymywał - powiedział Darnay. - Zobaczysz się z panem Austinem?

- Mam nadzieję. Jesteśmy wstępnie umówieni na kolację. Dlaczego pytasz?

- Boję się, że może ci grozić niebezpieczeństwo. Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, że twój przyjaciel czuwa nad tobą.

- Sama potrafię o siebie zadbać, Charles. - Pocałowała go w policzki. - Ale jeśli to cię uspokoi, zadzwonię do Kurta z komórki.

- Pewnie, że będę spokojniejszy. Odezwij się po powrocie do domu.

- Za bardzo się martwisz - odrzekła. - Ale dobrze, zatelefonuję do ciebie.

Zgodnie z obietnicą zadzwoniła do Austina, kiedy w szybkim pociągu TGV pędziła na pomoc. Recepcjonista w hotelu Kurta powiedział, że pan Austin zostawił dla niej wiadomość. Prosił, by przekazać, że musiał wyjechać w pilnej sprawie i będzie z nią w kontakcie.

Zastanawiała się, co się mogło stać. Ale wiedziała, że Austin jest człowiekiem czynu i jego nagły wyjazd nie zaskoczył jej. Była pewna, że wkrótce się odezwie. Podróż z Aix trwała niecałe trzy godziny, pociąg dojechał do Paryża późnym wieczorem. Złapała taksówkę do domu.

Zapłaciła za kurs i szła w stronę drzwi, gdy ktoś zapytał głośno:

- Ekskiuzez muwa. Parlej wu anglej?

Odwróciła się. W świetle ulicznej latarni zobaczyła wysokiego mężczyznę w średnim wieku. Obok stała uśmiechnięta kobieta z Michelin Green Guide w ręku.

Turyści. Sądząc po kiepskiej wymowie, pewnie Amerykanie, pomyślała Skye.

- Tak, mówię po angielsku - odpowiedziała. - Zgubili się państwo? Mężczyzna uśmiechnął się nieśmiało.

- Jak zwykle.

- Mój mąż nie cierpi pytać o drogę nawet w domu - wyjaśniła kobieta. - Szukamy Luwru.

Skye stłumiła śmiech. Zastanawiała się, po co ktoś chce znaleźć Luwr w nocy.

- To na prawym brzegu Sekwany. Kawalek drogi. Ale niedaleko jest stacja metra. Stamtąd dojadą państwo na miejsce. Powiem państwu, jak tam dojść.

- Mamy w samochodzie plan miasta - odrzekła kobieta. - Mogłaby nam pani pokazać, gdzie jesteśmy?

Jeszcze gorzej. Paryż to nie miejsce dla kierowcy, który nie zna miasta. Poszła z nimi do samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Kobieta otworzyła tylne drzwi, sięgnęła do środka, potem cofnęła głowę na zewnątrz. - Mogłaby pani wziąć plan z siedzenia, moja droga? Bolą mnie plecy.

- Oczywiście. - Trzymając torbę z hełmem w lewej ręce, Skye schyliła się, ale nie zauważyła planu na siedzeniu. Nagle poczuła ukłucie w prawy pośladek, jakby użądliła ją pszczoła. Odruchowo dotknęła bolącego miejsca i zdała sobie sprawę, że Amerykanie wpatrują się w nią uważnie. Nie wiadomo dlaczego ich twarze zaczęły się rozmazywać.

- Dobrze się pani czuje, moja droga? - zapytała kobieta. Skye zeszywniał język. Nie mogła wymówić słowa.

- Może pani na chwilę usiądzie? - powiedział mężczyzna i wepchnął ją do samochodu.

Jego głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Była za słaba, żeby stawiać opór, kiedy wyjął jej z rąk torbę z hełmem. Kobieta wśliznęła się do środka obok niej i zamknęła drzwi. Skye widziała niewyraźnie, jak mężczyzna okrąża samochód i siada za kierownicą. Ruszyli. Wyrzwała przez szybę, ale zobaczyła tylko niewyraźnie zamglone obrazy.

Potem ogarnęła ją ciemność.

29

Trout sprawiał wrażenie bardzo zapracowanego naukowca. Patrzył na wykres wyświetlony na ekranie spektrometru i zapisywał swoje obserwacje w notesie. Po raz trzeci analizował tę samą próbkę minerału z Zaginionego Miasta, ale jego notatki nie miały nic wspólnego z obrazem na ekranie. Na podstawie informacji od MacLeana rysował z pamięci mapę wyspy.

Obiekt nie wyglądał z zewnątrz na pracownię naukową. Laboratorium mieściło się w trzech barakach, dawnych kwaterach personelu brytyjskiej bazy okrętów podwodnych, która kiedyś znajdowała się na wyspie. Dwa półcylindryczne budynki z blachy falistej zespawano razem na końcach. Trzeci połączono z nimi prostopadle w połowie ich wspólnej długości i w ten sposób całość uzyskała kształt litery T. Jeden barak służył za magazyn zbiorników z płynnym materiałem badawczym, resztę przestrzeni wykorzystywano do analiz naukowych.

Matowe oliwkowe ściany zewnętrzne były pokryte rdzawymi plamami, obiekt sprawiał wrażenie zaniedbanego, ale wewnątrz było ciepłe i jasno oświetlone. Przestronne laboratorium wyposażono w najnowocześniejszą aparaturę badawczą. Pracownia przypominała Troutowi ośrodek naukowy NUMA. Główna różnica polegała na obecności wartowników uzbrojonych w pistolety automatyczne, którzy pilnowali wszystkich drzwi.

MacLean powiedział, że przywieziono go tutaj samolotem, więc widział wyspę z lotu ptaka. Gdy maszyna podchodziła do lądowania, zauważył, że wyspa ma kształt filiżanki. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się wysokie klify, w jednym punkcie w ląd wrzynał się długi trójkątny basen portowy. Między portem a niskimi urwiskami, które przechodziły gwałtownie w wysoką skalną ścianę, biegła półkolistą plaża długa na niespełna kilometr. Nad wybrzeżem krążyły stada białych ptaków morskich.

Schron dla okrętów podwodnych mieścił się w głębi małej zatoki. Od kwater personelu znajdujących się ponad wejściem do schronu prowadziła wzdłuż klifów droga wokół portu. Mijała opuszczony kościół, zniszczony cmentarz i ruiny starej wioski rybackiej, po czym łączyła się z inną drogą, która wiodła w głąb lądu, wspinała się przez wąską przełęcz i opadała do środka wyspy, niegdyś krateru dawno nieczynnego wulkanu.

Za skalistym wybrzeżem, w głębi wyspy, ciągnęły się pofalowane torfowiska. Tu i ówdzie rosły małe kępy karłowatych sosen i dębów. Droga kończyła się w dawnej bazie morskiej, gdzie teraz był kompleks naukowy, którym dowodził Strega.

Do stanowiska Trouta podszedł MacLean.

- Przepraszam, że przeszkadzam ci w pracy - powiedział. - Jak idą analizy?

Trout postukał długopisem w notes.

- Mam problem, Mac.

MacLean pochylił się nad jego ramieniem, jakby się naradzali.

- Wracam ze spotkania ze Stregą - powiedział cicho. - Sprawdzili wzór chemiczny. Preparat działa.

- Chyba powinienem ci pogratulować. Ale to znaczy, że nie jesteśmy już potrzebni. Dlaczego jeszcze żyjemy?

- Strega ma mordercze skłonności, ale jest również dobrym organizatorem. Najpierw dopilnuje szczegółów zakończenia operacji na wyspie, żeby potem móc się swobodnie zabawiać. Podejrzewam, że jutro zabierze nas na uroczy piknik i każe nam wykopać własne groby.

- Więc została nam tylko dzisiejsza noc - odrzekł Trout i wręczył MacLeanowi notes. - Jak to się ma do topografii wyspy?

MacLean przyjrzał się mapie.

- Masz zdolności kartograficzne. Wszystko się zgadza. Co dalej?

- Plan jest prosty, Mac.
- To znaczy?
- Pokonujemy przełęcz, bo to jedyna droga ucieczki. Docieramy do portu. Mówiłeś, że jest tam nabrzeże.
- Nie jestem pewien. Lądowaliśmy o zmroku.
- Zakładamy, że jest. A tam, gdzie jest nabrzeże, powinna być łódź. Pożyczamy ją sobie. Wychodzimy w morze i próbujemy ustalić naszą pozycję.
- A co z planem rezerwowym na wypadek, gdyby coś poszło źle?
- Nie ma planu rezerwowego. Jeśli coś pójdzie źle, będzie po nas. Ale warto spróbować, zważywszy jaką mamy alternatywę.

MacLean przyjrzał się twarzy Trouta. Rysy naukowca skrywały wewnętrzną siłę i stanowczość. Chemik uśmiechnął się szeroko.

- Prostota tego planu przemawia do mnie. Martwię się tylko o jego wykonanie.
- Musi się udać - powiedział Trout z naciskiem.
- Przepraszam za mój sceptycyzm. Ci ludzie dali mi niezłą szkołę. Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać.

Trout wyciągnął się na krześle i popatrzył przez salę na Gamay i Sandy. Siedziały obok siebie i oglądały próbki pobrane z otworów termicznych. Przeniósł wzrok na innych naukowców. Pracowali w błogiej nieświadomości, że zbliża się ich koniec. Spojrzenie MacLeana powędrowało w tę samą stronę.

- A co z tymi nieszczęśnikami? - zapytał.
- Czy Strega mógł zwerbować któregoś z nich do współpracy, żeby mieć nas na oku?
- Rozmawiałem z nimi. Wszyscy obawiają się o swoje życie tak samo jak my. Trout zacisnął zęby i przez chwilę rozważał różne aspekty i realne szansę powodzenia planu.
- Ucieczka we czwórkę będzie wystarczająco ryzykowna. Duża grupa zwróci na siebie uwagę. Nasza jedyna nadzieja to wydostanie się cało z kompleksu i zdobycie łodzi. Na pokładzie na pewno jest GPS i radio. Wezwiemy pomoc.
- A jeśli się nie uda?
- Wszyscy znajdziemy się w takiej samej sytuacji.
- W porządku. Jak chcesz przejść obok wartowników przy ogrodzeniu pod wysokim napięciem?
- Myślałem o tym. Trzeba będzie odwrócić ich uwagę.
- Ale jak? Ludzie Stregi to zawodowi zabójcy.
- Muszą być bardzo zajęci ratowaniem własnej skóry. MacLean zbladł, kiedy Trout wyłożył mu swój plan.
- Rany boskie, człowieku. Sprawy mogą się zupełnie wymknąć spod kontroli.
- Na to liczę. Jeśli nie zdobędziemy jakiegoś środka transportu, będziemy musieli iść pieszo. Każda minuta będzie na wagę złota.
- Nie odwracaj się teraz, obserwuje nas jeden ze strażników - ostrzegł MacLean. - Zaczęę gestykulować i wymachiwać rękami, jakbym był wściekły. Nie przestrasz się.
- Rób swoje.

MacLean wskazał ekran spektrometru i skrzywił się. Wziął notes, rzucił go, wymamrotał kilka przekleństw i zaczął nerwowo chodzić po laboratorium. Trout wyprostował się i popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem. Na widok ich kłótni strażnik wybuchnął śmiechem, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyszedł zapalić.

Trout wstał i pomaszerował przez laboratorium, żeby przekazać Gamay i Sandy dobrą wiadomość.

30

Austin wszedł frontowymi drzwiami do hałaśliwego pubu o nazwie Krwawy Wąż Morski, ruszył przez zadymioną salę i zatrzymał się obok ustawionego w rogu stolika, przy którym Zavala gawędził z bezzębnym facetem, wyglądającym jak szkocka wersja bohatera opowiadania Stary człowiek i morze. Zavala zobaczył Austina i uściśnął na pożegnanie dłoń swojemu rozmówcy, ten dołączył do tłumu przy barze. Austin usiadł na wolnym krześle.

- Cieszę się, że nawiązujesz nowe przyjaźnie.

- To niełatwe dla meksykańsko-amerykańskiego chłopaka. Mają akcent ostry jak chili i jakby tego było mało, nie uświadczysz kropli tequili w całym mieście.

Zavala uniósł półlitrową szklankę piwa, żeby podkreślić dramatyzm sytuacji.

- Przerażające - odrzekł Austin bez cienia współczucia. Przywołał kelnerkę i po minucie on także raczył się piwem.

- Jak ci poszło? - zapytał Zavala.

W odpowiedzi Austin sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął kluczyki i rzucił na stół.

- Leżą przed tobą kluczyki od najnowszego dodatku do światowej floty nowoczesnych statków NUMA.

- Miałeś jakieś problemy? Austin pokręcił głową.

- Chodziłem po nabrzeżu rybackim, dopóki nie wybrałem najgorzej wyglądającej łodzi, jaką mogłem znaleźć. Potem złożyłem właścicielowi propozycję nie do odrzucenia.

- Nie był podejrzliwy?

- Powiedziałem mu, że jestem amerykańskim producentem telewizyjnym, robimy program o tajemnicy Wygnańców i natychmiast jest nam potrzebna łódź. Widok gotówki zrobił na nim takie wrażenie, że mógłbym mu się przedstawić nawet jako przybysz z planety NUMA. Za taką forszę kupi sobie nową łódź. Spisaliśmy szybko umowę kupna-sprzedaży, żeby transakcja była legalna. Zobowiązałem go do dyskrecji i obiecałem mu, że wystąpi w naszym programie.

- Miał jakieś teorie na temat zniknięcia ekipy Wygnańców!

- Mnóstwo. Głównie portowe plotki. Powiedział, że policja przeczesła wyspę, ale władze nie udzielają żadnych informacji. Podobno znaleziono ślady krwi i fragmenty ciała. Ludzie nie przejęli się zbyt mocno tą sprawą. Podejrzewają, że to był chwyt reklamowy i zaginiona ekipa pojawi się nagle na jakiejś tropikalnej wyspie w nowym programie. A ta jedyna ocalała to aktorka, która dostała kupę dolców za zmyśloną opowieść o czerwonoookich ludożercach. A co mówią twoje źródła?

- Dowiedziałem się mniej więcej tego samego od faceta, z którym przed chwilą rozmawiałem - odrzekł Zavala. - Mieszka tu od czasów, kiedy wynaleziono kilty, wszystko wie i wszystkich zna. Powiedziałem, że jestem nurkiem amatorem i postawiłem mu kilka kolejek.

- Czy twój nowy kumpel wspominał coś o tym, że sprawa Wygnańców ma jakiś związek z naszą wyspą? - zapytał Austin.

- Podobno z początku tak mówiono - odparł Zavala. - Potem zaczęły krążyć plotki o chwycie reklamowym.

- Jak daleko jest ta wyspa od planu Wygnańców?

- Około pięciu mil morskich. Miejscowi uważają, że trwa tam półoficjalna operacja i właścicielem wyspy nadal jest rząd - powiedział Zavala. - Zważywszy na historię tego miejsca, to całkiem możliwe. Rybacy unikają wyspy. Kiedy tylko ktoś się tam zbliży, natychmiast pojawiają się uzbrojone łodzie patrolowe. Niektórzy rybacy przysięgają, że tropią ich miniaturowe okręty podwodne.

- To by się zgadzało z tym, co widzieliśmy na zdjęciach satelitarnych - odrzekł Austin. - Musieli trafić na AUV-a.

Drzwi pubu otworzyły się i wszedł rybak, który sprzedał Austinowi swoją łódź. Austin domyślił się, że facet postawi wszystkim kolejkę i wolał nie uczestniczyć w oblewaniu transakcji, bo chciał uniknąć pytań. Dopił piwo i przynaglił Zavalę. Wyszli tylnymi drzwiami i poszli do domu, w którym wynajęli pokój po rzeczy. Kilka minut później maszerowali wąską brukowaną ulicą do zasnutego mgłą portu.

Na nabrzeżu Austin zatrzymał się przy łodzi z drewnianym kadłubem o długości około siedmiu i pół metra. Miała poszycie na zakładkę i wysoki dziób do żeglugi po wzburzonym morzu. Na odkrytym pokładzie wznosiła się mała sterówka. Nawet we mgle było widać, że całość spaja tylko kilka warstw farby.

- Miejscowi nazywają takie łajby „sadzycami” - powiedział Austin. - Ta to podobno rocznik siedemdziesiąty pierwszy.

- Tysiąc osiemset czy tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy? - zachichotał Zavalę.
- Nie mogę się doczekać widoku miny Pitta, kiedy dostanie rachunek za ten luksusowy jachcik.

- O ile znam Pitta, zrozumie sytuację - odparł Austin.

- Spooter? - Zavalę przeczytał nazwę na rufie.

- To miejscowy mięczak jadalny. Podobno ma cechy afrodyzjaka.

- Naprawdę? - zainteresował się Zavalę. - Pewnie jest w tym tyle sensu, ile w tekstach o rogu nosorożca.

Weszli na pokład. Zavalę zaczął oglądać łódź, a Austin wetknął głowę do sterówki wielkości dwóch budek telefonicznych. W kabinie cuchnęło zastałym dymem papierosowym i spalinami diesla. Kiedy Austin zakończył lustrację, Zavalę postukał nogą w deski.

- Wydają się solidne.

- Tak naprawdę ta stara łajba na pewno lepiej pływa, niż wygląda. Sprawdźmy, czy jest tu mapa morska.

Austin przetrząsnął sterówkę i znalazł ubrudzoną smarem mapę nawigacyjną. Wynikało z niej, że wyspa znajdowała się po drugiej stronie zatoki, w odległości dziesięciu mil morskich od portu rybackiego. Wskazał port na wyspie i przedstawił Zavalę swój plan.

- Co o tym myślisz?

- Prymitywna technika przeciwko nowoczesnej. Powinno się udać. Kiedy ruszamy?

- Natychmiast - odrzekł Austin. - Przekonałem poprzedniego właściciela łodzi, żeby dorzucił mi pełny zbiornik paliwa.

Wszedł do sterówki. Po pewnym czasie silnik już się rozgrzewał, sprzęt był załadowany, kurs wyznaczony. Łódź wiele przeszła, ale miała stosunkowo nową elektronikę, która umożliwiała żeglugę po nieznanym wodach w nocnej mgle.

Zavalę rzucił cumy na pokład, Austin stanął za sterem i skierował dziób w stronę wyjścia z portu. Silnik dławił się i przerywał, jakby miał wyzionąć ducha, ale „Sooter” zanurzył się w skłębionej mgle i rozpoczął rejs ku tajemniczej wyspie.

31

Trout miał prawie dwa metry wzrostu, ale potrafił się poruszać niemal niepostrzeżenie. Tylko bardzo bystre oko zauważyłoby jego postać, gdy wymykał się krótko po północy z obozu więźniów. Skradał się od cienia do cienia i trzymał poza kręgami światła.

Jego niezwykła ostrożność okazała się niepotrzebna. Nikt nie patrolował terenu, na wieżach strażniczych było pusto. Z baraku ochrony dochodziły pijackie śmiechy i głośna muzyka. Trout domyślił się, że wartownicy świętują zakończenie nudnej służby w odludnym miejscu.

Hałas cichł, w miarę jak Trout oddalał się biegiem od kwatery strażników. Przestał się kryć i pokonywał drogę długimi susami. Gdy poczuł odór, wiedział, że zbliża się do celu. Na myśl o czekającym go zadaniu trochę stracił pewność siebie, ale zacisnął zęby i biegł dalej w kierunku „zoo” pułkownika Stregi.

Zwolnił na oświetlonej przestrzeni wokół betonowego budynku i podszedł prosto do drzwi frontowych. Zapalił latarkę i obejrzał framugę. Nie zauważył urządzeń alarmowych. Najwyraźniej nikt się nie spodziewał próby włamania.

Podwójne stalowe drzwi wytrzymałyby uderzenie taranu, ale wisiała na nich tylko zwykła kłódka. Uporał się z nią łatwo za pomocą młotka i ostrego dłuta, które zabrał z laboratorium, gdzie używano takich narzędzi do odłupywania próbek skał. Rozejrzał się i niemal pożałował, że nikt nie próbuje go powstrzymać. Potem otworzył drzwi i wszedł do budynku.

Fala potwornego smrodu uderzyła w nozdrza, to było jak cios kijem baseballowym, omal nie zwymiotował. W pomieszczeniu panował półmrok, paliło się tylko kilka przyćmionych lamp sufitowych. Jego głośne wejście musiało zaalarmować mieszkańców „zoo”, gdyż usłyszał ruch w ciemnych klatkach. Płonące czerwone oczy obserwowały każdy jego krok. Poczul się jak nowy więzień prowadzony przed szeregiem cel.

Skierował latarkę na ścianę i znalazł włącznik. Kiedy w pomieszczeniu rozbłysło światło, rozległy się pomruki i stworzenia cofnęły się w głąb klatek. Po chwili zdały sobie sprawę, że Trout nie jest groźny, wróciły do krat i przycisnęły do nich swoje koszmarnie twarze.

Trout wyczuwał, że nie kieruje nimi tylko dziki głód, lecz również ciekawość. Pomruki były formą porozumiewania się. Pamiętał, że te stworzenia dokonały morderczego ataku na sąsiednią wyspę i nie są zwykłymi zwierzętami. Kiedyś były ludźmi i potrafią myśleć.

Starał się ignorować ich denerwujące spojrzenia i zaczął badać pomieszczenie. Odnalazł to, czego szukał, za metalowym panelem na ścianie. Przesunął palcami po włącznikach oznaczonych napisami Alfa i Beta, ponumerowanych tak jak klatki. Zawahał się na myśl, jakie piekielne siły zamierza uwolnić. Teraz albo nigdy. Na próbę przestawił włącznik z napisem Alfa. Zabuczał silnik elektryczny i drzwi klatki odsunęły się z metalicznym dźwiękiem. Stworzenie w środku cofnęło się gwałtownie w głąb swojego więzienia, potem ostrożnie ruszyło naprzód i przystało w progu, jakby podejrzewało jakiś podstęp.

Trout szybko przesunął resztę włączników. Otworzyły się wszystkie kraty, ale żadne stworzenie nie zaryzykowało wyjścia z klatki. Porozumiewały się ze sobą nieartykułowanymi dźwiękami i gestami. Trout nie zamierzał tracić czasu na próby zrozumienia ich mowy. Po uwolnieniu demonów pobiegł do drzwi.

MacLean czekał z Gamay i Sandy w gęstej kępie drzew, sto metrów od bramy obozu. Trout kazał im wcześniej wymknąć się z domków, kiedy tylko ruszy w drogę, i pozostać w ukryciu do jego powrotu.

MacLean słyszał odgłosy popijawy w kwaterze ochrony, ale mimo to denerwował się. Znał strażników dłużej niż Trout i wiedział, że są nieprzewidywalni. Jego najgorsze obawy potwierdziły się, gdy usłyszał szybkie, dudniące kroki. Ktoś biegł w ich kierunku. MacLean wyteżył wzrok i wpatrzył się w ciemność. Nie wiedział, czy powinien uciekać, czy walczyć.

Potem ktoś zawołał:

- Mac!

Wrócił Trout.

Gamay wyszła zza drzew i przytuliła go mocno.

- Tak się cieszę, że cię widzę.

- Na litość boską, człowieku - powiedział MacLean. - Myślałem, że coś się stało.

Trout łapał gwałtownie oddech.

- To było łatwiejsze, niż przypuszczałem.

Zesztywniał, gdy zza drzew wyłoniła się jakaś postać. Za nią pojawiła się druga i następne. Sześciu naukowców.

- Przepraszam - powiedział się MacLean. - Nie mogłem ich zostawić.

- To był mój pomysł - wyjaśniła Gamay.

- W porządku. Zmieniłem zdanie i sam miałem po nich pójść. Wszyscy są?

- Tak - odpowiedział jeden z naukowców. - Nikt nas nie widział. Ale co dalej?

- Zaczekamy - odparł Trout. Wszedł między drzewa i stanął za grubym dębem, skąd miał dobry widok na główną bramę. Przed wartownią w niedbałych pozach siedzieli dwaj strażnicy. Wrócił do grupy i powiedział, żeby wszyscy czekali cierpliwie.

Trout wiedział, że wypuszczając stworzenia z klatek, podjął wkalkulowane w plan ucieczki ryzyko. Poczawszy wolność, mogły po prostu uciec na wzgórze. Ale liczył na to, że zwyciężą w nich ludzkie emocje i będą chciały się zemścić na tych, którzy je więzili i dręczyli.

Znów sprawdził sytuację przy bramie. Wartownicy palili papierosy i popijali na zmianę z jednej butelki. Nie mogli uczestniczyć w przyjęciu, więc urządzili własne. Cofnął się i przemknął na drugą stronę kępy drzew, skąd widział wyraźnie „zoo”.

Opuszczając pośpiesznie budynek, pozostawił uchylone drzwi. Przez szparę wydostawała się smuga światła. Zobaczył, że na zewnątrz wychodzą ciemne postacie. Przystanąły, potem ruszyły rzędem w kierunku kwatery strażników i zniknęły w ciemności.

Sądząc po gardłowych śmiechach i dźwiękach muzyki, przyjęcie było w pełnym toku. Trout obawiał się przez moment, że się przeliczył. Ale śmiechy nagle ucichły. Rozległy się głośne przekleństwa, strzały, potem wrzaski bólu i przerażenia.

Trout mógł sobie tylko wyobrazić masakrę i nawet współczuł strażnikom. Ale pamiętał, że mieli zlikwidować więźniów. Czekali tylko na rozkaz Stregi.

Wartownicy przy bramie usłyszeli dziwne odgłosy w kwaterze. Naradzali się i nie wiedzieli, co robić. Wyglądało na to, że się kłóca. Przerwali gorączkową dyskusję, gdy zobaczyli reflektory samochodu. Unieśli pistolety automatyczne i wycelowali w nadjeżdżający pojazd. Zbliżał się szybko zygzakiem z głośnym trąbieniem.

Kiedy znalazł się w oświetlonej strefie przy bramie, Trout rozpoznał kabriolet Stregi. Na przednich i tylnych siedzeniach kłębiły się ciała. Niektóre stworzenia podróżowały na masce, inne zwiślały z drzwi po obu stronach i przeszkadzały kierowcy, który próbował je zrzucić, wykorzystując gwałtowne skręty.

Wartownicy otworzyli ogień do samochodu. Dwa stworzenia spadły z maski i potoczyły się po ziemi z przeraźliwym wrzaskiem, ale inne trzymały się nadal. Mercedes skręcił ostro, wymknął się spod kontroli i uderzył bokiem w wartownię. Wstrząs zrzucił stworzenia z pojazdu i drzwi kierowcy otworzyły się gwałtownie. Pułkownik Strega wysiadł z samochodu z pistoletem w ręku. Miał zakrwawiony i podarty mundur, na głowie i całym ciele krwawiące rany.

Zatoczył się i strzelił. Zabił jednego z napastników, ale zanim zdążył ponownie nacisnąć spust, inne stworzenia powaliły go na ziemię. Trout widział, jak pułkownik machał rękami i nogami w kłębowisku ciał, a potem zesztywniał i znieruchomiał. Stworzenia powlokły jego

szczątki w mrok. Dwaj wartownicy mieli dosyć. Oddali kilka strzałów, zabili jedno lub dwa stworzenia i rzucili się do ucieczki. Stado czerwonoookich demonów deptało im po piętach.

Trout zebrał swoją grupę i wyprowadził na otwartą przestrzeń. Minął drgające jeszcze ciała i podszedł do mercedesa. Wsiadł za kierownicą i wrzucił wsteczny bieg, ale samochód wisiał na ruinach wartowni. Poleciał wszystkim naukowcom pchać i ciągnąć i po wielu wysiłkach koła kabrioletu spoczęły na ziemi. Wszyscy wcisnęli się do środka.

Trout niemal stanął na pedale gazu. Samochód wystrzelił do przodu, staranował bramę i pomknął drogą, która - taką przynajmniej Trout miał nadzieję - prowadziła do morza i wolności.

32

Najnowszy dodatek do floty NUMA zaczął przeciekać kilka minut po wyjściu z portu. Fale na pełnym morzu miały zaledwie pół metra wysokości, ale to wystarczyło, by woda przedostawała się przez spojenia starego kadłuba. Austin stał za sterem i zauważył, że łódź leniwie reaguje na obroty kołem i zwiększa zanurzenie. Przesunął włącznik pompy żęzy, ale silnik elektryczny nie zadziałał.

- Ta łajba powinna się nazywać „Zepsuta spłuczka” - burknął.

- Sprawdzę, co się stało - odrzekł Zavała.

Każdy zdolny konstruktor ma duszę mechanika. Zavała nie był wyjątkiem, najlepiej czuł się z palcami uwalanymi w smarze. Wsunął się przez właz pod pokład i po minucie czy dwóch zawołał do Austina, żeby spróbował raz jeszcze uruchomić silnik. Pompa zaczęła pracować, dławiąc się i krztusząc. Kiedy Zavała wyłonił się z powrotem, wyglądał jak wskaźnik poziomu oleju, ale jego brudną twarz rozjaśniał uśmiech satysfakcji.

- Naprawa silnika, punkt sto pierwszy. Kiedy wszystkie metody zawodzą, szukaj luźnego przewodu - powiedział.

Zdążył usunąć awarię w samą porę. Łódź przechylała się jak samochód z przebitą oponą. Ale pompa żęzy pracowała heroicznie, wyprzedzała przecieki i po kilku minutach „Spooter” wrócił niemal całkowicie do poziomu. Płynęli dalej.

Austin przekonał się, że kiedy „Spooter” nie tonął, sprawował się całkiem dobrze. Był przystosowany do miejscowych warunków i pruł wysokim dziobem morskie fale jak kajak gładką wodę jeziora. Wiatr dał w rufę, silnik rzadko przerywał i płynęli przez zatokę w dobrym tempie.

Austin zerknął na ekran radaru. Byli na wytyczonym kursie. Spojrzał zmrużonymi oczami przez mokrą przednią szybę, ale zobaczył tylko ciemność. Przekazał Zawali ster i wyszedł na pokład. Zimne, wilgotne powietrze uderzyło go w twarz. Bardziej wyczuł, niż dostrzegł ciemną masę ładu wyrastającą z jeszcze ciemniejszego morza. Wrócił do ciepłej sterówki.

- Wyspa powinna być na wprost - powiedział.

Łódź płynęła dalej i wkrótce ład zaczął nabierać kształtów, wyspa rysowała się coraz wyraźniej na tle granatowoczarneho nieba. Austin skręcił lekko na sterburtę i zmienił kurs. Przypuszczał, że od jakiegoś czasu są obserwowani i chciał wywołać wrażenie, że okrążają wyspę.

Manewr mógł nie zmylić elektronicznych oczu i uszu AUV-a, ale jakaś szansa powodzenia istniała. Austin przestudiował wcześniej zdjęcia satelitarne pokazujące pozycję podwodnego pojazdu, prześledził jego trasę i obliczył czas potrzebny do jej przebycia. Dobrze wiedział, że w praktyce wiele zależy od kaprysów ludzi i pogody. AUV wracał regularnie do bazy, żeby naładować akumulatory.

Spojrzał na zegarek. Pojazd podwodny powinien się teraz znajdować po drugiej stronie wyspy. Skręcił w kierunku klifów, mając nadzieję, że blisko brzegu będą poniżej zasięgu radaru, i pomodlił się, żeby jego obliczenia okazały się prawidłowe.

Centrum dowodzenia obsadzone przez ochroniarzy strzegących wyspy przed wścibskimi intruzami mieściło się w przysadzistym żużłobetonowym budynku z płaskim dachem, który stał nad wyjściem z małej zatoki. Połowę jego powierzchni zajmowały elektroniczne urządzenia monitorujące, druga połowa służyła za koszary dla dwunastu ludzi.

Oddział był podzielony na czteroosobowe drużyny, które pełniły służbę na trzy zmiany. W ciągu dnia trzej ochroniarze patrolowali morze łodzią, czwarty siedział w centrum dowodzenia.

Noc wyglądała inaczej. Po zmroku żegluga wśród ostrych podwodnych skał wokół wyspy była niebezpieczna, więc łódź patrolowa stała w porcie, czekała w pogotowiu na wypadek,

gdyby AUV lub radar wykrył intruzów. Nocni dyżurni na zmianę ładowali akumulatory pojazdu podwodnego na stanowisku obsługowym na pomoście.

Operator radaru, niemiecki najemnik o imieniu Max, zobaczył na ekranie obcą łódź, kiedy była jeszcze daleko od wyspy. Obserwował, jak zmienia kurs i zbliża się do niej. Wiedział z doświadczenia, że łodzie rybackie rzadko wypływają w nocy, odprężył się jednak, gdy punkt na radarze minął wyspę. Zapalił papierosa i przez kilka minut przeglądał zniszczony magazyn erotyczny, potem znów spojrzał na ekran. Był pusty. Max zaklął, rozgniółł papierosa w popielniczkę i pochylił się do przodu, niemal dotykając nosem wyświetlacza. Postukał nawet w szybę kostkami palców, jakby to mogło pomóc.

Ani śladu celu. Łódź najwyraźniej wpłynęła w martwe pole radaru u podnóża klifów, w czasie gdy studiował szczegóły kobiecej anatomii. To było irytujące, ale jeszcze nie stanowiło katastrofy. Był przecież AUV. Max odwrócił się do innego ekranu, który monitorował pojazd podwodny. Podczas pokonywania swojej trasy AUV wysyłał sygnały do rozmieszczonych wokół wyspy pływających transponderów, które przekazywały impulsy do centrum dowodzenia. Dzięki temu można było w każdej chwili określić pozycję pojazdu.

AUV miał niewiele ponad trzy i pół metra długości. Płaski i szeroki, wyglądał jak skrzyżowanie płaszczki z rekinem, z jego kadłuba wyrastała wysoka płetwa grzbietowa. Jeden z ochroniarzy powiedział kiedyś, że groźny profil pojazdu przypomina mu jego byłą teściową, która miała na imię Gertruda, i tak ochrzczono AUV-a. „Gertruda” pływała kilkadziesiąt centymetrów pod powierzchnią, jej sonar badał morze w promieniu trzydziestu metrów, kamery telewizyjne transmitowały obraz spod wody.

AUV przyjmował również polecenia, co było bezcenną zaletą, gdyż pełnił dwie funkcje: obserwacyjną i bojową. Miał na pokładzie cztery miniaturowe torpedy o sile wybuchu zdolnej zatopić niszczyciel.

Max rozkazał „Gertrudzie”, by wróciła z maksymalną szybkością do rejonu, gdzie ostatnio widział łódź. Potem wcisnął przycisk interkomu.

- Przykro mi, chłopaki, że muszę wam przerwać grę - powiedział do mikrofonu. - Mamy łódź wewnątrz strefy bezpieczeństwa.

Trzej mężczyźni stanowiący załogę łodzi patrolowej grali w koszarach w pokera, gdy głośnik na ścianie podał wiadomość o intruzie. Dwaj z nich służyli kiedyś w Legii Cudzoziemskiej, trzeci był najemnikiem z RPA.

Afrykaner z niechęcią rzucił karty na stół i podszedł do interkomu.

- Gdzie jest cel?

- Wpłynął do strefy bezpieczeństwa na północy, potem zniknął w martwym polu radaru. Wysłałem „Gertrudę”, żeby tam powęszyła.

- Jasna cholera - zaklął najemnik. - Mam dziś niefart.

Trzej ochroniarze włożyli kurtki i buty wojskowe i chwycili karabiny szturmowe FAMAS. Chwilę później dobiegli do krańca nabrzeża spowitego we mgle i skoczyli do dziesięciometrowego pontonu o sztywnym kadłubie. Zaryczały dwa diesle, załoga rzuciła cumy na pokład i wkrótce łódź napędzana, systemem odrzutu wody pędziła z szybkością niemal czterdziestu węzłów.

Po kilku minutach ochroniarz w centrum dowodzenia zameldował, że cel znów pojawił się na radarze u wyjścia z zatoki. Skierował tam łódź patrolową i teraz obserwował uważnie dwa punkty na ekranie.

Dwaj ochroniarze stali z bronią w ręku, gotowi rozwalić wszystko, co się rusza, sternik tymczasem podprowadzał ponton do starej łodzi rybackiej i oświetlił szperaczem odrapany kadłub. Afrykaner opuścił broń i wybuchnął śmiechem. Koledzy także zaczęli się śmiać.

- To „Spooter” - zawołał Afrykaner. - Przerwaliśmy pokera dla tej łajby?

- Nie narzekaj. Moczyłeś dupę. Znów ryknęli śmiechem.

- Lepiej wejdźcie na tę starą balię - powiedział sternik.

Trzej ochroniarze byli dobrze wyszkolonymi żołnierzami i choć rozbawieni, wciąż zachowywali czujność. Ponton podpłynął do burty łodzi i dwaj mężczyźni weszli na pokład z bronią gotową do strzału. Trzeci ich ubezpieczał. Sprawdzili sterówkę, potem otworzyli właz i zajrzeli na dół.

- Pusto - zawołał najemnik do kolegi w pontonie. Oparł się o nadburcie i zapalił papierosa.

- Na twoim miejscu nie sterczałbym tu zbyt długo - odezwał się jego towarzysz.

- Nie jesteś moim szefem - odparł tamten.

Były legionista wyszczerzył zęby w uśmiechu i wrócił do pontonu.

- Jak chcesz. Tylko nie zamocz sobie nóg.

Afrykaner spojrzął na swoje buty. Z włazu do przedziału silnikowego wypływała woda i szybko zalewała pokład. Łódź tonęła. Krzyknął, na co jego koledzy odpowiedzieli śmiechem. Sternik odpłynął kawałek, jakby chciał go zostawić, ale zawrócił, kiedy usłyszał potok głośnych przekleństw.

Najemnik przeskoczył na ponton i wszyscy trzej przyglądali się, jak woda docierała stopniowo do nadburci łodzi rybackiej. Wkrótce był widoczny tylko maszt, po kilku minutach i on zniknął, na powierzchni pozostały jedynie pęcherze powietrza.

- Dobra, mieliście ubaw, skurwiele - powiedział Afrykaner. - Wracamy. Czas otworzyć następną flaszkę.

Sternik połączył się przez radio z centrum dowodzenia i złożył meldunek.

- To bez sensu - odrzekł operator radaru. - Ta łódź płynęła w linii prostej, kiedy ją namierzyłem.

- Piłeś coś?

- Pewnie, że piłem.

Patrol lądowy świętował, otrzymawszy od strażników wiadomości z kompleksu, że zbliża się koniec operacji na wyspie.

- To wszystko jasne. - Ale...

- Wokół tej choleryjnej wyspy są silne prądy. Mogły znieść łódź z kursu.

- Chyba tak - zgodził się Max.

- Nie mamy tu nic do roboty, stary. Zatonęła. Wracamy.

- Uważajcie na „Gertrudę” - ostrzegł głos z centrum dowodzenia. - Jest w waszym rejonie.

Kilka sekund później wielka płetwa przecięła wodę w pobliżu pontonu. Mężczyźni w łodzi patrolowej byli przyzwyczajeni do widoku „Gertrudy”, ale zawsze czuli się niepewnie, kiedy przepływała obok. Obawiali się jej uzbrojenia i nadmiernej, ich zdaniem, samodzielności. Zatrzymała się piętnaście metrów od pontonu. Porównywała profil dźwiękowy łodzi patrolowej z informacjami w swojej bazie danych.

- Upewnij się, czy nie jest uzbrojona. Śmiech.

- Każę to sprawdzić rybom.

- Dobra. Spadajmy stąd, do cholery.

Zaryczały diesle, ponton zatoczył szeroki łuk i skierował się ku portowi.

Płetwa przez kilka minut poruszała się tam i z powrotem po równoległych liniach prostych według wzorca poszukiwawczego, który przypominał koszenie trawnika. Sonar wykrył łódź rybacką leżącą teraz na dnie i przetransmitował obraz. Operator radaru patrzył przez dłuższą chwilę na ekran, potem wysłał „Gertrudzie” polecenie kontynuowania normalnego patrolu.

Kiedy AUV się oddalił, z kabiny zatopionej łodzi wyłoniły się dwie postacie. Wykonując nogami silne, rytmiczne ruchy, popłynęły szybko w kierunku wyspy.

33

Po przebiciu się mercedesem Stregi przez bramę kompleksu Trout trzymał pedał gazu wciśnięty do podłogi. Kiedy pędzili przez przełęcz, MacLean, który siedział na fotelu pasażera - Gamay zajęła miejsce między nimi - spojrzął na prędkościomierz.

- Doktorze Trout, zwolnij! - powiedział spokojnie, ale stanowczo. - Zbliżamy się do ostrego zakrętu.

Gamay położyła rękę na ramieniu męża.

Paul zerknął na prędkościomierz. Wskazywał prawie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Trout kilka razy nacisnął hamulec i włączył reflektory w samą porę, by zobaczyć, że zakręt jest więcej niż ostry - droga skręcała pod kątem prostym. Z prawej strony ziała przepaść nieoddzielona żadną barierą ochronną.

Opony straciły przyczepność, koła przemknęły tuż przy krawędzi urwiska, ale mercedes utrzymał się na drodze, która biegła teraz prosto w dół. Trout wypuścił powietrze z płuc i powoli rozluźnił palce zaciśnięte kurczowo na kierownicy.

- Dzięki za ostrzeżenie, Mac.

MacLean uśmiechnął się lekko.

- Nie chciałem, żeby nas zatrzymali za przekroczenie dozwolonej szybkości. Trout zerknął przez ramię na płataninę rąk i nóg na tylnym siedzeniu.

- Nikogo nie brakuje? - zapytał.

- Nie wydestaniemy się stąd, dopóki nie podważysz nas łomem - odrzekła Sandy.

Trout roześmiał się serdecznie. Chociaż mógł sprawiać wrażenie spokojnego, był spięty jak rzadko kiedy. Opanowany sposób bycia MacLeana ostudził jego emocje. Przyływ adrenaliny ułatwił co prawda ucieczkę z kompleksu, ale jeśli mieli przeżyć, musiał działać rozsądnie i na chłodno.

Droga opadła stopniowo do poziomu morza i skończyła się na skrzyżowaniu z dwiema innymi drogami. Trout zatrzymał samochód i wskazał palcem w lewo stronę.

- Przywieźli nas stamtąd? MacLean skinął potwierdzająco głową.

- Ta droga prowadzi wzdłuż zatoki do schronu okrętu podwodnego. Są tam kwatery załogi i ochrony. Jeśli skręcimy w prawo, dojedziemy do portu, gdzie znajdują się centrum dowodzenia i łódź patrolowa.

- Odrobiłeś pracę domową - powiedział Trout.

- Nie ty jeden chcesz się wynieść z tej cholernej wyspy.

- Wybór wydaje się dość oczywisty. Łódź patrolowa może być naszym biletem do wolności.

- Właśnie - zgodziła się Gamay. - Poza tym, jeśli mamy poruszyć gniazdo szerszeni, to im mniejsze będzie, tym lepiej.

Trout skinął głową i skręcił w prawo. Droga prawie przez kilometr biegła wzdłuż plaży nad zatoką. Zobaczył w oddali światła i zjechał na bok. Wyjaśnił współtowarzyszom, dokąd się wybiera, i zaproponował, żeby wysiedli i rozprostowali kości, ale ostrzegł, by nie oddalali się od samochodu. Potem ruszył przed siebie. Wiała chłodna bryza, powietrze mocno pachniało morzem. Trout cieszył się, że jest już poza kompleksem, nie miał jednak żadnych złudzeń. Wolność mogła się okazać tak krótkotrwała, jak żywot fal rozbijających się o brzeg morza.

W betonowym budynku płonęło światła. Zastony w oknach były opuszczone. Trout ominął szerokim łukiem centrum dowodzenia i szedł dalej, aż dotarł do drewnianego pomostu nad wodą. Nie dostrzegł nigdzie łodzi patrolowej. Nawet wiosłowej. Poczul nagły skurcz w żołądku. Wrócił do mercedesa i usiadł za kierownicą.

- Łódź patrolowa jest na morzu - oznajmił. - Moglibyśmy czekać i liczyć na to, że wkrótce przyplynie, ale po wschodzie słońca będziemy bez szans. Proponuję zbadać schron okrętu podwodnego.

- Tam na pewno się nas nie spodziewają - poparła go Gamay.

- Nie jesteśmy oddziałem sił specjalnych - zauważył MacLean.

- Alamo broniło tylko stu niewyszkolonych ludzi.

- Znam historię Ameryki, Paul. Zostali zmasakrowani. I nie mów mi o Szkotach z Culloden. Tam było to samo.

- Rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych posunięć - uśmiechnął się Trout.

- To prawda, ale nie bardzo wiem, jakie posunięcia masz na myśli.

- Spróbuję wejść na pokład okrętu podwodnego i znaleźć radio. Jeśli się nie uda, wymyślę coś innego.

- Nie wątpię - odrzekł MacLean, przyglądając się Troutowi takim wzrokiem, jakby miał przed sobą interesujący okaz laboratoryjny. - Jak na geologa morskiego jesteś bardzo zaradnym facetem.

- Staram się - odparł Trout i przekreślił kluczyk w stacyjce.

Dojechał wzdłuż zatoki do opuszczonego kościoła i cmentarza. Zaparkował za zrujnowaną budowlą i polecił wszystkim, by poczekać w samochodzie. Ale tym razem Gamay uparła się, że z nim pójdzie. Doszli zwirową drogą do wąskiego zakola zatoki.

Teren wokół koszar oświetlały mocne reflektory. Troutowie podkradli się do budynku na odległość około trzydziestu metrów i zaczęli badać wzrokiem otoczenie. Barak stał przy krawędzi urwiska. Od ściany od strony zatoki odchodziła platforma obserwacyjna na podporach. Od dołu platformy prowadziła w dół długa drabina.

- Sprawdźmy, dokąd można zejść po tej drabinie - zaproponował Paul.

- Chyba nie musimy się niczego obawiać - powiedziała Gamay. - Bawią się na całego.

Podobnie jak strażnicy w kompleksie, ochroniarze strzegący okrętu podwodnego musieli się dowiedzieć, że ich służba tutaj dobiega końca, bo w budynku trwała hałaśliwa popijawa. Najwyraźniej jeszcze nie wiedzieli jaki los spotkał ich kolegów w ośrodku naukowym.

Gamay i Paul przemknęli pod platformę. Drabina opadała w przepaść. Zeszli po szczeblach przy skalnej ścianie na wąski metalowy pomost biegnący kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią wody. Potem pomaszerowali wzdłuż rzędu umieszczonych tuż ponad ziemią lamp do schronu okrętu podwodnego.

Wielki okręt, który ich porwał, stał w doku. Na pokładzie paliło się kilka świateł, więc łatwo znaleźli trap, wspięli się na kadłub i dotarli do wjazdu. Trout podniósł pokrywę i zajrzał do środka. Wnętrze okrętu oświetlały przyćmione lampy.

Zeszli po drabince i ruszyli przed siebie cicho jak duchy. Trout szedł pierwszy, zatrzymywał się przed każdym skrzemem i wyglądał za róg, ale nie spotkali nikogo. W sterowni panował półmrok, świeciły tylko panele przyrządów.

Mała kabina radiowa mieściła się poza sterownią. Gamay stanęła na straży, Paul usiadł przy konsoli. Podniósł słuchawkę radiotelefonu, wybrał numer centrali NUMA i wstrzymał oddech, niepewny co może teraz nastąpić.

- Narodowa Agencja Badań... i Podwodnych - odezwał się przyjazny kobiecy głos.

Odbiór zakłócały zapewne ściany i sufit schronu.

- Z Rudim Gunnem proszę. Niech pani mu powie, że dzwoni Paul Trout

- Mo... ent.

Troutowi wydawało się że ten moment trwał cały dzień. W wyobraźni widział hol siedziby NUMA z globusem na środku. Potem usłyszał głos wicedyrektora agencji. Wyobraził sobie, jak obdarzony przez naturę drobną posturą Gunn, siedząc w wielkim gabinecie, wykorzystuje swój genialny umysł do rozwiązania skomplikowanego problemu logistycznego

- Trout?! Gdzie ty... na litość boską? Szukamy... na całym świecie. Wszystko w porządku?

- Tak, Rudi. Gamay jest obok mnie. Muszę się streszczać. „Alvin” został porwany. Jesteśmy na jakiejś wyspie. Chyba na wodach szkockich albo skandynawskich. Jest z nami jeszcze siedmiu uwięzionych naukowców Pracowaliśmy przy pewnym zwariowanym eksperymencie. Uciekliśmy, ale w każdej chwili mogą nas złapać.

- Słabo cię ...szę, ale rozumiem. Możesz się nie ...łączać?

- Musimy wracać do pozostałych.

- Zostaw włączony radiotelefon. Spróbujemy was znaleźć... sygnału

Odpowiedź Trouta przerwał ostrzegawczy szept Gamay, że ktoś idzie Słychać było beztrudnie pogwizdywanie. Trout ostrożnie odłożył słuchawkę na miejsce i wyłączył radiotelefon. Potem oboje opadli na czworaki i spróbowali z kiepskim skutkiem wcisnąć się pod konsolę. Pogwizdywanie zbliżało się Ktoś przystanął i zajrzał do kabiny przez szybę w drzwiach. Najwyraźniej nie zauważył niczego podejrzanego, bo poszedł dalej i pogwizdywanie ucichło.

Troutowie wygramolili się z kryjówki. Paul jeszcze raz zadzwonił do Gunna i powiedział mu, że zostawia włączony radiotelefon. Potem wyrzwał na korytarz. Było pusto, więc ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przyszli. Tym razem poruszali się jeszcze ostrożniej i nasłuchiwali pogwizdywania. Dotarli do wjazdu, wydostali się na pokład, przebiegli truchtem po trapie i wspięli się po drabinie do drogi dojazdowej.

Minęli kościół i szli przez cmentarz, gdy nagle rozbłysło jasne światło. W oślepiającym blasku wyrosło zza grobów kilka postaci, pojawiły się znieczeka jak niespokojne duchy. Silne ręce chwyciły Troutów i ochroniarze zawlekli ich do kościoła. Przed ołtarzem stał facet o wyglądzie twardziela Jego szeroki uśmiech nie pasował do pistoletu maszynowego, który trzymał na wysokości pasa. Lufa wymierzona była w brzuch Trouta.

- Cześć, koleś - odezwał się mężczyzna i zerknął szybko na Gamay. - To koniec podróży dla was i waszych kolegów.

Na suchym drzewie blisko brzegu morza siedziała sowa. Jej czuły słuch złowił odgłos myszy przemykającej między kępami trawy. Ptak już miał opaść na nieszczęsne stworzenie, gdy dostrzegł okrągłymi żółtymi oczami ruch na plaży. Coś dużego i lśniącego wyłoniło się z fal i wygramoliło na mokry piasek. Sowa rozpostarła skrzydła i poszybowała cicho w głąb łądu. Mysz czmychnęła w trawę, nieświadoma tego, że przed chwilą wstrzymano jej egzekucję.

Z morza wynurzyła się druga postać o czarnej skórze, wypełzła z wody jak prymitywne stworzenie z mułu. Austin i Zavala podnieśli maski na czoła, otworzyli suwaki wodoszczelnych toreb i wyjęli pistolety Sig-Sauer kaliber 9 milimetrów, które pechowa drużyna SEAL zostawiła na pokładzie statku badawczego. Upewniwszy się, że są sami na plaży, zdjęli butle akwalungów i skafandry płetwonurków.

Gdy ponton patrolowy zbliżył się do „Spoopera”, zsunęli się za burtę, a nieco wcześniej otworzyli zawory odpływowe i posłali łódź rybacką na dno. Obserwowali z wnętrza sterówki, jak AUV sprawdza zatopionego „Spoopera”. Gdy pojazd podwodny oddalił się, popłynęli w kierunku łądu. Prądy zniosły ich trochę z kursu, ale Austin był pewien, że wyszli na brzeg niedaleko miejsca, w którym mieli wylądować.

Zerknął na zegarek - do świtu pozostało sześć godzin. Dał znak Zavali. Po pięciominutowej wędrówce piaszczystą plażą weszli na twardy żwir. Austin wyjął z torby minikomputer i popatrzył na zdjęcie satelitarne wyspy.

- Tą drogą dojdziemy do kompleksu. Prowadzi przez coś, co wygląda jak trzykilometrowa przełęcz.

Bez słowa ruszyli dalej pogrążoną w mroku drogą.

Mężczyzna, który wycelował broń w Trouta, miał twarz podobną do pyszczka jaszczurki - widać w niej było same zęby, bez warg.

- Czekaliśmy na was - powiedział z australijskim akcentem.

- Skąd wiedzieliście, gdzie jesteśmy? - zapytał Trout. Mężczyzna roześmiał się.

- Więc nie wiedzieliście, że na całej wyspie zainstalowane są kamery obserwacyjne? Gdyby chłopcy tyle nie wypili, zobaczylibyśmy was wcześniej.

- Przykro mi, że przerwaliśmy wam imprezę.

- Wasi kumple nie byli zbyt rozmowni. Skąd macie wóz Stregi?

- Pułkownik z niego nie korzystał, więc pomyśleliśmy, że się przejeździemy.

Mężczyzna zamachnął się bronią i uderzył Trouta kolbą w spłot słoneczny. Paul miał wrażenie, że przestało mu bić serce. Zgiął się wpół, chwycił za brzuch i opadł na kolana. Kiedy minęły mdłości, stanął chwiejnie na nogach.

Mężczyzna złapał go za kombinezon i przyciągnął do siebie. Cuchnął whisky.

- Nie podobają mi się twoje odpowiedzi, cwaniaczku. - Odepchnął Trouta i wycelował broń w Gamay. - Skąd macie samochód?

- Strega nie żyje - wysapał Trout. Oczy mężczyzny zwężyły się.

- Nie żyje? A na co umarł?

Trout wiedział, że nawet jeśli powie prawdę, tamten mu nie uwierzy.

- Lepiej wam pokażę.

Ochroniarz zawahał się.

- Co ty kombinujesz? - zapytał i uniósł broń.

- Nic. Przecież i tak nie możemy wam niczym zagrozić.

Ta uwaga pochlebiała próżności mężczyzny, na co właśnie Trout liczył.

- Zgadza się, koleś.

Ochroniarze zaprowadzili Troutów za kościół do zaparkowanego tam mercedesa. Sandy, MacLean i inni naukowcy stali stłoczeni przy samochodzie, pilnowani przez dwóch uzbrojonych ludzi. Obok kabrioletu stał pikap z długą skrzynią ładunkową. Więźniom, w tym i Gamay, kazano wejść na tył małej ciężarówki. Część ochroniarzy zabrała się z nimi, dwaj usadowili się na tylnym siedzeniu mercedesa. Australijczyk polecił Troutowi, by usiadł za kierownicą. Sam zajął miejsce obok niego i kazał mu jechać z powrotem do kompleksu.

- Tylko bez żadnych numerów - ostrzegł.

- Dlaczego po prostu nie zostawicie nas tutaj? - zapytał Trout. - Eksperyment jest zakończony.

- Dobra, dobra. My się stąd wyniesiemy, a następnego dnia jakiś palant zobaczy z daleka, jak machacie podkoszulkami na plaży. Nic z tego. Jedź i nie gadaj.

Trout ruszył. Kiedy dojechali na miejsce, Australijczyk kazał mu stanąć. Wyciągnął kluczyki ze stacyjki i poszedł się rozejrzeć. Inni ochroniarze zeskoczyli ze skrzyni pikapu i wpatrywali się w ciemność, trzymając broń gotową do strzału.

Australijczyk obejrzał staranowaną bramę i zrujnowaną wartownię. Wokół panowała dziwna cisza. Nie krzyczały nocne ptaki, nie bzyczały owady. Po rzezi, której Trout był świadkiem, nie pozostał żaden ślad. Paul przypomniał sobie pożerane szczury i pomyślał, że woli nie wiedzieć, co się stało z ciałami.

Australijczyk wrócił do mercedesa.

- Co tu jest grane, do cholery?

- Wiesz, nad czym pracowaliśmy w laboratorium?

- Jasne. Nad bronią biologiczną. Z tego towaru, który dostarczał z dna morskiego okręt podwodny. Nie wpuszczali nas do kompleksu. Mówili, że moglibyśmy coś złapać.

Trout roześmiał się.

- Czego rzysz? - zapytał Australijczyk groźnie.
- Okłamywali was - odrzekł Trout. - Badaliśmy enzymy.
- O czym ty gadasz?
- Słyszałeś kiedyś o kamieniu filozoficznym?

Australijczyk dziabnął Trouta w żebra lufą pistoletu maszynowego.

- To jest moja filozofia - powiedział. Paul skrzywił się, ale zachował spokój.
- Chodziło o tajemną formułę, która miała zamieniać różne materiały w złoto.
- Nie ma czegoś takiego.
- Myślisz, że ludzie, którzy cię zatrudnili, zadawali sobie tyle trudu na darmo?

Mężczyzna milczał przez chwilę.

- Okay, koleś. Pokaż nam to złoto.

- Zawiozą cię do magazynu, gdzie je trzymają. Może wtedy przemyślisz moją sugestię, żebyście nas tu zostawili.

Australijczyk uśmiechnął się.

- Dobra - powiedział innym tonem niż poprzednio.

Trout wiedział, że los wszystkich naukowców byłby przesądzony nawet wówczas, gdyby potrafili wyprodukować całe złoto w Fort Knox. Tylko z tego powodu zdecydował się wrócić do „zoo”. Podjechał do budynku i zatrzymał mercedesa przed szeroko otwartymi drzwiami frontowymi.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił.

Wysiedli z samochodu. Australijczyk zabrał kluczyki i przywołał swoich ludzi jadących w pikapie. Poleciał jednemu zostać na straży i zastrzelić każdego, kto spróbuje ucieczki. Potem kazał Troutowi, by prowadził.

- Jezu, co to za smród? - zapytał jeden z ochroniarzy.
- To zapach złota - roześmiał się Australijczyk.

Trout ruszył do drzwi jak w transie. Wiedział, że podjął ogromne ryzyko, ale uznał za bardzo prawdopodobne, że uwolnione stworzenia wrócą do budynku, który był ich domem. Gdy wszedł w cuchnącą ciemność, przekonał się, że miał rację, usłyszał odgłosy chrupania kości i zobaczył płonące czerwone oczy. Przesunął dłonią po ścianie i zapalił światło.

Stworzenia siedziały w otwartych klatkach, pożerały szczątki pułkownika Stregi i jego podwładnych. Kiedy rozblęsnęło światło, cofnęły się w głąb swoich cel. Australijczyk wydał okrzyk zaskoczenia i obrzydzenia.

Złapał Trouta i popchnął go pod ścianę.

- Ty i twoi przyjaciele zapłacicie za to. Już po was.

Paul chwycił lufę pistoletu maszynowego i próbował wyrwać broń Australijczykowi, ale przeciwnik miał tę przewagę, że trzymał ją bliżej spustu. Strzelił na oślep i pocisk odłupał kawałek muru kilka centymetrów od szyi Trouta. Kiedy walczyli o pistolet, stworzenia podeszły do drzwi klatek. Widok mundurów ochroniarzy sprowokował je do ataku. Wyskoczyły na zewnątrz z odsłoniętymi zębami i wysuniętymi pazurami.

Ochroniarze oddali kilka strzałów, ale szybko zostali powaleni na podłogę. Dwa stworzenia rzuciły się z tyłu na Australijczyka i przewróciły go. Inne stworzenie ruszyło na Trouta, ale zatrzymało się w połowie drogi i utkwilo w nim badawcze spojrzenie. Trout mógłby przysiąc, że przez moment widział w koszarnej twarzy coś, jakby błysk człowieczeństwa. Kiedy stworzenie spostrzegło, że Trout nie ma na sobie munduru, zaatakowało Australijczyka.

Trout pobiegł do drzwi, wypadł na zewnątrz i zwałił z nóg strażnika pilnującego więźniów. Jedno ze stworzeń, które wypadło za Troutem z budynku, zauważyło leżącego ochroniarza i szybko się z nim rozprawiło.

Trout krzyknął do Gamay, żeby usiadła za kierownicą pikapa, sam wskoczył do mercedesa i sięgnął do stacyjki. Kluczyków nie było. Przypomniał sobie, że zabrał je Australijczyk. Gamay wołała z pikapu, że też nie ma kluczyków. Trout wyskoczył z samochodu, chwycił Gamay za ramię i zawołał do innych zbiegów, by ratowali życie i uciekali tak szybko jak mogą.

W „zoo” nagle zapadła cisza. Domyślił się, że stworzenia z apetytem zjadają ochroniarzy na kolację. Wołał nie być w pobliżu, gdy nadejdzie dla nich pora deseru.

Austin i Zavala znajdowali się w odległości około półtora kilometra od kompleksu, gdy w ciemności przed sobą usłyszeli głośny tupot. Zbiegli ze zwirowej drogi i padli na brzuchy w wysoką trawę.

Kroki zbliżały się. Słysząc było teraz już także szmer rozmów i świszczące oddechy. Część osób z nadbiegającej grupy najwyraźniej nie była w najlepszej kondycji. Potem odezwał się znajomy głos.

- Szybciej, kochani. Później odpoczniemy. Będzie na to mnóstwo czasu. Trout przystanął gwałtownie, gdy z mroku wyłoniły się dwie postacie.

- Jesteś kawał drogi od Zaginionego Miasta - powiedział Austin.

- Kurt i Joe? - upewnił się Trout i odetchnął z ulgą. - A niech mnie diabli. Poczułam się od razu jak w domu.

Gamay uściskała kolegów z NUMA.

- To moi przyjaciele, Mac i Sandy - wyjaśnił Trout. - Resztę przedstawię wam później. Macie łódź.

- Obawiam się, że spaliliśmy za sobą wszystkie mosty - odrzekł Austin. - Na wodzie widzieliśmy wcześniej łódź patrolową. Wiesz, gdzie ją cumują?

- Wiem, gdzie może być. - Trout zaczął nasłuchiwać i zmarszczył brwi. - Wynośmy się stąd.

Austin usłyszał dźwięk przypominający dalekie wycie wiatru.

- Co to jest? - Znów posłuchał. - Stado wilków ściga jelenia?

- Chciałbym, żeby tak było - odparł Trout. - Macie broń?

- Pistolety.

Wycie zbliżało się. Trout odwrócił się i zerknął na drogę za sobą.

- Strzelajcie do wszystkiego, co się rusza. Zwłaszcza jeśli ma czerwone oczy - powiedział. Nie udzielił im żadnych dodatkowych wyjaśnień, ale Austin i Zavala przypomnieli sobie czerwonoookie potwory z kasyety wideo i nie były im one potrzebne.

Trout znowu wziął Gamay za ramię i zawołał do innych, że trzeba iść dalej. Austin i Zavala zamykali pochód.

Szli w milczeniu przez piętnaście minut, przynaglani coraz głośniejszym wyciem, i w końcu zobaczyli światła w oknach koszar załogi łodzi patrolowej. Ścigający byli już tak blisko, że uciekający słyszeli głosy poszczególnych stworzeń.

Hałas najwyraźniej dotarł do wnętrza budynku, bo wypadli dwaj ochroniarze. Uciekinierzy okrążali właśnie koszary w drodze do portu.

Mężczyźni zobaczyli ich twarze w świetle padającym z otwartych drzwi i krzyknęli do nich, żeby się zatrzymali, bo będą strzelać. Jeden z ochroniarzy zawołał do kogoś, kto znajdował się wewnątrz budynku, i po chwili z koszar wybiegli dwaj inni mężczyźni. Jeden był do połowy ubrany, drugi - potężny brodac - najwyraźniej wyrwany ze snu, gdyż był tylko w bieliźnie. Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

- Coś mi się zdaje, że dostaniemy premię od Stregi.

Jego koledzy wybuchnęli śmiechem, ale szybko zamilkli, gdy usłyszeli wycie. Wydawało się, że przerażające dźwięki dobiegające wszystkich stron. Na widok czerwonych oczu

zarzających się w ciemności jak węgle w palenisku ochroniarze stłoczyli się razem i skierowali broń w ich stronę.

Czarnobrody wypuścił serię w mrok. Część pocisków musiała trafić do celu, bo rozległy się wrzaski bólu. Ostrzał sprowokował atak. Stworzenia rzuciły się na ochroniarzy ze wszystkich stron. Naukowcy i ludzie z NUMA skorzystali z zamieszania i uciekli. Trout poprowadził grupę do portu, gdzie znaleźli przycumowaną łódź patrolową.

Austin wskoczył do pontonu i uruchomił silniki. Potem wrócił na brzeg, żeby pomóc innym wejść na pokład. MacLean wprowadzał naukowców do łodzi. Nagle rozległy się strzały i trafiony runął na pomost.

Strzelał brodacz, który biegł w stronę pontonu. To, że nie miał na sobie munduru, uratowało go przed atakiem czerwonoookich stworzeń. Austin nacisnął spust, ale chybił. Ochroniarz nie spodziewał się, że ktoś z uciekinierów odpowie ogniem, ale szybko otrząsnął się z zaskoczenia, przyklęknął na jedno kolano i uniósł broń.

Austina ogłuszył huk. Gamay strzeliła nad jego ramieniem. Była doskonałym strzelcem, ale w pośpiechu nie zdążyła dokładnie wycelować. Pocisk trafił brodacza w lewe ramię. Ochroniarz wrzasnął z bólu i wściekłości, ale nie wypuścił broni. Austin był oszołomiony i ogłuszony strzałem tuż przy uchu, jednak zasłonił sobą przyjaciół i uniósł pistolet w tym samym momencie co brodacz.

Za plecami ochroniarza rozległo się wycie. Odwrócił się i wycelował, ale zanim zdążył nacisnąć spust, nacierające stworzenia zwały go z nóg. Austin schował pistolet do kabury. Kiedy razem z Zawalą wnosili MacLeana do pontonu, jedno ze stworzeń odłączyło się od reszty i zbliżyło chwiejnie do krańca pomostu. Gamay uniosła pistolet. Trout, który przygotowywał się do rzucenia cum na pokład, chwycił ją za nadgarstek. Rozpoznał stworzenie; widział je już wcześniej w „zoo”.

- Jest ranne - powiedział.

Stworzenie miało pierś ciemną od krwi. Popatrzyło na Trouta, potem zachwiało się na nogach i runęło martwe do łodzi. Austin krzyknął do Trouta, żeby stanął za sterem, a sam zajął się opatrywaniem MacLeana. Kiedy tylko Gamay rzuciła cumy na pokład i wskoczyła do pontonu, Trout pchnął przepustnicę i skierował dziób w ciemność.

Łódź patrolowa oddalała się od wyspy grozy z pełną szybkością. Trout przekazał ster Gamay i podszedł do MacLeana. Śmiertelnie ranny chemik leżał na plecach, inni naukowcy zrobili mu miejsce. Austin ułożył mu głowę na kamizelce ratunkowej i klęczał obok, z uchem tuż przy jego ustach. Na widok Trouta podniósł głowę.

- Chce rozmawiać z tobą.

Trout uklęknął z drugiej strony obok umierającego MacLeana.

- Wydostaliśmy się, Mac - powiedział. - Wkrótce będziesz w szpitalu. Wyjdiesz z tego.

MacLean roześmiał się chrapliwie i z kącika ust pociekła mu krew.

- Nie próbuj nabierać starego Szkota, przyjacielu.

Trout chciał odpowiedzieć, ale MacLean uniósł słabą dłoń.

- Nie. Pozwól mi mówić. - Życie zaczęło gasnąć w jego oczach, ale zmusił się do wysiłku.

- Wzór chemiczny...

- Tak?

MacLean przeniósł spojrzenie na twarz Austina. Chwilę potem umarł.

34

Przyplłynęła „Gertruda”, by się z nimi pożegnać. AUV namierzył dźwięk zbliżającej się łodzi patrolowej, gdy byli około mili morskiej od wyspy. Zawała zobaczył ją pierwszy. Badał ciemność szperaczem w poszukiwaniu skał, kiedy w polu widzenia ukazała się wysoka płetwa. Najpierw sądził, że to wieloryb zabójca, ale po chwili, gdy się zbliżyła, dostrzegł nity na metalowym stateczniku i zorientował się, co ma przed sobą.

Pojazd towarzyszył im przez kilkadziesiąt metrów, potem wrócił na trasę rutynowego patrolu. Nikt w pontonie nie zdawał sobie sprawy, jak blisko była katastrofa. Max, który siedział w centrum dowodzenia, wysłał „Gertrudę” w pościg za uciekinierami i uzbroił jej cztery torpedy. Ustawił włącznik wystrzelenia i miał właśnie wcisnąć przycisk spustu, gdy czerwonoooki demon rozerwał mu gardło.

Płynęli spokojnie jeszcze przez pół godziny, potem Austin postanowił wezwać na pomoc brytyjską straż przybrzeżną. Po kilku minutach trzydziestotrzymetrowy kuter patrolowy „Scapa” odebrał sygnał SOS z łodzi i informacją o jej pozycji. Ruszył na pomoc z szybkością trzydziestu węzłów. John Bruce doświadczony kapitan sądził początkowo, że to jakiś rybak znalazł się w tarapatkach. Kiedy w świetle szperacza „Scapy” zobaczył z pokładu ponton, pomyślał, że w ciągu dwudziestu lat służby patrolowej wokół Orkadów widział już wiele dziwnych rzeczy, ale czegoś takiego jeszcze nigdy.

Pneumatyczna łódź o sztywnym kadłubie z jego lewej burty miała około dziesięciu metrów długości. Większość spośród drżących z zimna pasażerów była ubrana w żółtozielone kombinezony. Kapitan nie słyszał o żadnym więzieniu w tym rejonie, sprawa wydała mu się co najmniej podejrzana. Lata spędzone na morzu nauczyły go ostrożności. Kazał swojej załodze czuwać z bronią gotową do strzału.

Kiedy kuter patrolowy zrównał się z pontonem, Bruce uniósł do ust elektryczny megafon.

- Proszę się zidentyfikować! - zażądał.

Do burty podszedł jakiś mężczyzna i zamachał rękami, żeby zwrócić na siebie uwagę kapitana. Miał szerokie ramiona, opaloną twarz i platynowe, niemal srebrzyste włosy.

- Kurt Austin z Narodowej Agencji Badań Morskich i Podwodnych - zawołał, jego silny głos, nawet niewzmocniony w sztuczny sposób, górował nad hałasem silników łodzi. - Ci ludzie są skrajnie wyczerpani i mają hipotermię. Możecie nam pomóc?

Mimo szczerości bijącej z twarzy Austina kapitan zachował rezerwę. Słyszał o NUMA - amerykańskiej organizacji oceanograficznej - i czasami spotykał na morzu jej jednostki pływające. Ale żałosna grupka stłoczona w małej łodzi nie kojarzyła mu się wcale ze smukłymi turkusowymi statkami badawczymi, które widywał.

Kapitan Bruce był tęgim Szkotem. Miał łysą, piegowaną głowę, jasnoniebieskie oczy i mocno zarysowany podbródek świadczący o jego stanowczym charakterze. Przesunął wzrokiem od dziobu do rufy łodzi. Pasażerowie z pewnością nie udawali zmęczonych i wystraszonych, poznał to po ich twarzach. Kazał opuścić szalupę i zabrać kilku na pokład. Ale polecił swoim ludziom, żeby nie spuszczaali ich z oczu, i przypomniał, że mają mieć broń gotową do strzału.

Szalupa musiała zrobić kilka kursów, przetransportować wszystkich z pontonu na kuter. Gdy Bruce przyjrzał się z bliska wyczerpanym ludziom, stało się dla niego oczywiste, że nie stanowią żadnego zagrożenia. Poddano ich szybko badaniu lekarskiemu, dano im koce i zaprowadzono ich do mesy na gorącą zupę i kawę.

Austin wszedł na pokład kutra ostatni. Towarzyszyła mu atrakcyjna, rudowłosa kobieta i dwaj mężczyźni. Jeden miał ciemną cerę, drugi był tak wysoki, że górował nad szalupą jak maszt.

Austin uściśnął kapitanowi dłoń i przedstawił pozostałych.

- To Gamay Morgan-Trout i Paul Trout, a to Joe Zavała. Wszyscy jesteście z NUMA.
- Nie wiedziałem, że NUMA prowadzi jakąś operację na Orkadach - odrzekł kapitan i uściśnił wszystkim dłonie.
- Właściwie to nie prowadzi - odparł Austin i powiedział swoim towarzyszom, że za kilka minut dołączy do nich w mesie. - Pasażerowie łodzi mają za sobą ciężkie przeżycia. Niektórzy mogli ulec skażeniu. W dodatku zgubiliśmy się we mgle i dlatego wezwaliśmy pomoc. Przepraszam za kłopot.
- To żaden kłopot, chłopie. Taką mamy pracę.
- W każdym razie, dziękuję. Mam jeszcze prośbę. Czy mógłby pan wysłać wiadomość radiową dla Rudiego Gunna do centrali NUMA w Waszyngtonie? Niech pan mu przekaże, że Austin i pozostali są cali i zdrowi i będą z nim w kontakcie.
- Zaraz to załatwię.
- W takim razie mogę iść na zupę - powiedział Austin i uśmiechnął się. - Ruszył do mesy, ale naraz się odwrócił. - A przy okazji, w pontonie leżą dwa ciała - rzucił jak od niechcenia.
- Jak to? Martwe?
- Jak najbardziej. Pomyślałem, że może pańska załoga mogłaby je zabrać na pokład, zanim weźmiecie łódź na hol.
- Tak, oczywiście - odrzekł kapitan Bruce.
- Jeszcze raz dziękuję, kapitanie. - Austin owinął ramiona kocem jak Indianin Nawaho i odszedł.

Kapitan popatrzył za nim z irytacją. Nie był przyzwyczajony do facetów, którzy uzurpują sobie prawo dowodzenia jego okrętem. Potem zachichotał. Po latach spędzonych na morzu, w ciągu których miał do czynienia z bardzo różnymi załogami i sytuacjami, zdobył niezłą wiedzę o ludziach. Wyczuł, że to, co ktoś mógłby uznać w zachowaniu Austina za niefrasobliwość i nadmierną swobodę, było w istocie ogromną pewnością siebie. Rozkazał zabrać ciała do izby chorych i wziąć łódź pneumatyczną na hol.

Wrócił na mostek i wysłał wiadomość do NUMA. Zaledwie skończył składać meldunek dowództwu straży przybrzeżnej, zgłosił się przez interkom lekarz okrętowy. Kapitan słuchał przez chwilę tego, co mówił doktor podekscytowanym tonem, potem zszedł do izby chorych. Na szpitalnych wózkach leżały dwa plastikowe worki z ciałami. Lekarz dał kapitanowi wazelinę zapachową do posmarowania nozdrzy.

- Niech pan się przygotuje - powiedział i otworzył suwak jednego z worków. Bruce widział już zwłoki wyłowione z morza w różnym stanie rozkładu.

Zwierzęcy odór nie zrobił na nim takiego wrażenia jak to, co zobaczył. Jego rumiana twarz zbladła. Był dobrym prezbiterianinem, który nie pije i nie przeklina. Teraz, co mu się już czasami zdarzało, pożałował, że jest taki pobożny.

- Co to jest, na Boga? - wyszeptał ochryplym głosem.
- Zjawa z koszmarne snu - odrzekł lekarz. - Jeszcze nie widziałem czegoś takiego.
- A drugie ciało? - zapytał kapitan.

Lekarz otworzył drugi worek. Leżały w nim zwłoki przystojnego, siwego mężczyzny po pięćdziesiątce lub sześćdziesiątce. Kapitan kazał lekarzowi zamknąć worki.

- Jaka była przyczyna śmierci?
- Zginęli od kul.

Kapitan Bruce podziękował lekarzowi i poszedł do mesy. Uratowani nie wyglądali już na przestraszonych, uśmiechali się swobodnie wzmocnieni dużymi porcjami jedzenia i rumu. Austin siedział przy stole z Paulem i Gamay, słuchając w zamyśleniu opowieści o ich porwaniu i uwięzieniu. Na widok kapitana uśmiechnął się przyjaźnie.

- Cześć, kapitanie. Jak pan widzi, wszyscy doceniają pańską gościnność.
- Miło mi to słyszeć - odrzekł Bruce. - Chciałbym porozmawiać z panem na osobności. Austin popatrzył na jego poważną minę i domyślił się, o co chodzi.

- Oczywiście, proszę bardzo - powiedział.
- Kapitan zaprowadził go do kabiny odpraw w pobliżu mesy i poprosił, żeby usiadł.
- Mam do pana kilka pytań.
- Słucham.
- Chodzi o te ciała. Kto lub co to jest?
- Jeden z tych zabitych to szkocki chemik, Angus MacLean. Gdy chodzi o drugiego, nie jestem pewien. Podobno jest to mutant, rezultat nieudanego eksperymentu naukowego.
- W wyniku jakiego eksperymentu mógł powstać taki potwór?
- Nie znam szczegółów.
- Kapitan z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Kto ich zastrzelił?
- Zginęli podczas ucieczki z wyspy, na której ich więziono. - Austin określił jej pozycję.
- Zakazana wyspa? Patroluję te wody od dwudziestu lat i nigdy na niej nie byłem. Co tam robiliście, na Boga?
- Mój kolega Paul Trout, jego żona i pilotka batyskafu „Alvin” byli tam przetrzymywani wbrew swojej woli. Przyłynęliśmy, żeby ich ratować, i wpadliśmy w tarapaty.
- Kto ich więził?
- Nie wiem. Proponuję, żebyśmy to wszystko wyjaśnili, gdy wrócimy na ląd. Do kabiny wszedł młody marynarz i wręczył kapitanowi dwie złożone kartki.
- Właśnie przyszło, sir.
- Dziękuję - odrzekł Bruce.
- Przeprosił Austina, spojrzął na wiadomości i potem podał mu jedną. Przysłał ją Rudi Gunn: Cieszę się, że wszyscy są cali. Czekam na szczegóły. Rudi.
- Bruce przeczytał drugą wiadomość i uniósł brwi.
- Wygląda na to, że jesteście ważnymi figurami, panie Austin. Dostałem z dowództwa straży przybrzeżnej rozkaz admiralicji, żeby traktować was z kurtuazją i spełniać wszystkie wasze życzenia.
- Czy na brytyjskich okrętach nadal jest grog? - zapytał Austin.
- Nie mam grogu, ale mam w kajucie butelkę doskonałej szkockiej whisky.
- To mi zapewnia wystarczy - odrzekł Austin.

35

Kiedy „Scapa” zawinęła do portu w Kirkwall, głównym mieście Orkadów, na brzegu czekały: autobus, karawan oraz ze dwie dziesiątki postaci w białych skafandrach i kapturach ochronnych.

Austin stanął przy relingu obok kapitana Bruce'a i przyjrzał się dziwnemu komitetowi powitalnemu.

- To ekipa odkażająca czy ostatni krzyk mody w Wielkiej Brytanii?

- Wygląda na to, że moja załoga nieprędko zejdzie na ląd - odparł kapitan. - Okręt i wszyscy moi ludzie zostaną poddani kwarantannie na wypadek, gdyby pańska grupa zostawiła nam coś brzydkiego.

- Przepraszam za te wszystkie kłopoty, kapitanie.

- Nie ma o czym mówić - odrzekł Bruce. - Wasz pobyt na pokładzie z całą pewnością przerwał monotonią rutynowego patrolowania. I, jak już powiedziałem, taką mamy pracę.

Austin uściśnął mu dłoń i razem z innymi uciekinierami z wyspy zszedł po trapie. Na brzegu wszystkich uratowanych poproszono o włożenie przezroczystych foliowych skafandrów i czepków oraz masek chirurgicznych. Zaprowadzono ich do autobusu, zwłoki załadowano do karawanu. Pasażerów poproszono, żeby nie podnosili zasłon w oknach pojazdu. Po pięciu minutach jazdy wysiedli z autobusu przed dużym ceglany budynek wyglądem przypominającym magazyn.

W środku stał wielki namiot w kształcie kopuły, który służył za pomieszczenie odkażające. Personel miał na sobie białe skafandry ochronne. Uciekinierów z wyspy poproszono o wejście pod prysznic, ich ubrania zapakowano do foliowych worków i zabrano do analizy. Po wzięciu prysznicy dostali bawełniane stroje szpitalne, w których wyglądali jak pacjenci oddziału psychiatrycznego, i zostali dokładnie obejrzeni przez liczne grono lekarzy ubranych w dziwne okrycia z plastikowej folii. Lekarze orzekli, że mogą z powrotem dołączyć do rasy ludzkiej. Oględziny były poniżające, ale wszystkich traktowano bardzo uprzejmie.

Po badaniu Austinowi i jego kolegom z NUMA zwrócono świeżo uprane i starannie złożone ubrania. Potem zaprowadzono ich do małej, prawie pustej sali, gdzie jedynymi meblami było kilka krzeseł oraz stół. Na widok wchodzących zza stołu wstał mężczyzna w prążkowanym garniturze, przedstawił się jako Anthony Mayhew z brytyjskiego wywiadu wojskowego MI5, i poprosił, żeby usiedli. Miał arystokratyczne rysy, wąskie wargi i charakterystyczny akcent osób z wyższych sfer.

- Oksford? - zapytał Austin.

- Cambridge - odrzekł z uśmiechem Mayhew. Ucinał końcówki zdań, jakby ostatnie słowa były zbędne. - Trudno dostrzec różnicę. Przepraszam za ten cyrk z konowalami i laborantami w skafandrach kosmicznych. Mam nadzieję, że to wszystko nie było zbyt uciążliwe.

- Wcale - zapewnił Austin. - Prysznic bardzo nam się przydał.

- Ale proszę powiedzieć ludziom w pralni, żeby trochę mniej krochmalili kołnierzyki - dodał Zavala.

Mayhew zachichotał.

- Przekażę to. MI5 dobrze zna możliwości Zespołu Specjalnego NUMA. Ale kiedy nasze szycy dowiedziały się od kapitana Bruce'a o zwłokach, tajnych eksperymentach i mutantach, po prostu spanikowały. To są sumienni urzędnicy państwowi i chcieli mieć pewność, że nie skazicie Wysp Brytyjskich.

- Chyba aż tak nie cuchniemy? - Austin skrzywił się.

Mayhew popatrzył na niego wyraźnie skonsternowany, potem wybuchnął śmiechem.

- Amerykański humor. Spędziłem kilka lat w Stanach. Służbowo. Moi szefowie mniej obawiali się odoru niż zabójczego wirusa.

- Nie zamierzałeś zarazić naszych angielskich kuzynów - odparł Austin. - Proszę uspokoić swoich przełożonych, że to nie ma nic wspólnego z bronią biologiczną.

- To też przekażę - obiecał Mayhew i przyjrzał się kolejno swoim gościom. - Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu chodzi?

- Paul i Gamay najlepiej znają szczegóły życia na wyspie. Joe i ja byliśmy tam tylko kilka godzin - powiedział Austin.

Trout uśmiechnął się cierpko.

- Zacznę od tego, że ta wyspa to niezupełnie kurort Club Medu.

Potem opowiedział o wszystkim co przeżyli i widzieli od chwili, gdy przerwano nurkowanie „Alvina” w Zaginionym Mieście, do momentu ucieczki z wyspy.

Austin spodziewał się niedowierzającego parsknięcia, kiedy Paul opisał pracę nad „kamieniem filozoficznym”, ale Mayhew zachował się zupełnie nie po brytyjsku i podekscytowany klepnął dłonią w kolano.

- Pasuje jak ulał! Wiedziałem, że coś się kryje za zgonami naukowców.

- Obawiam się, że nie nadażamy za panem - odezwał się Austin.

- Przepraszam. Kilka miesięcy temu mój wydział dostał polecenie zbadania serii dziwnych zgonów pewnej liczby naukowców. Pierwszy zmarł pięćdziesięcioletni ekspert komputerowy. Poszedł do szopy z narzędziami w swoim ogrodzie, owinął sobie wokół piersi gołe przewody elektryczne, wepchnął do ust chusteczkę do nosa i włożył końce drutów do gniazdka. Nie miał żadnego powodu, żeby popełnić samobójstwo.

- Bardzo pomysłowe - skrzywił się Austin.

- To był dopiero początek. Inny naukowiec wracał do domu z przyjęcia w Londynie i zjechał z mostu. Policja podała, że poziom alkoholu w jego krwi znacznie przekraczał dopuszczalny. Ale świadkowie obecni na przyjęciu zeznali, że nic nie pił. Rodzina oświadczyła, że nie brał do ust nic mocniejszego od porto, bo zaraz wymiotował. W dodatku ktoś założył łysy opony na koła jego nienagannie utrzymanego rovera.

- Zaczyna mnie pan zaciekawiać - powiedział Austin.

- Będą jeszcze lepsze historie. Trzydziestopięcioletni naukowiec uderzył w ceglany mur samochodem pełnym butli gazowych. Władze uznały, że to było samobójstwo. Innego faceta znaleziono pod mostem. Według policji znów samobójstwo. Nadużywanie alkoholu i depresja. Rodzina powiedziała, że całe życie był abstynentem, co wynikało z jego przekonań religijnych, i nie miał żadnej depresji. Następny przypadek. Facet po dwudziestce przywiązuje jeden koniec nylonowej linki do drzewa, drugi do szyi. Wsiada do samochodu i odjeżdża pełnym gazem. Zgilotynowany.

- Ile takich dziwnych zgonów zbadaliście?

- Około dwudziestu tuzinów. Sami naukowcy. Austin gwizdnął cicho.

- Jaki to ma związek z zakazaną wyspą?

- Wtedy nie widzieliśmy jeszcze żadnego. Paru naukowców było Amerykanami, więc ambasada Stanów Zjednoczonych poprosiła nas, żebyśmy się tym zajęli. Niektórzy parlamentarzyści żądali śledztwa na szeroką skalę. Dostałem polecenie, żeby powęszyć. Przydzielono mi bardzo szczupłą grupę dochodzeniową, żeby nie robić z tego wielkiej sprawy. Składałem raporty bezpośrednio do gabinetu premiera.

- Wygląda na to, że góra chciała uniknąć szumu - powiedział Austin.

- Też miałem takie wrażenie - przyznał Mayhew. - Porozmawialiśmy z krewnymi zmarłych i dowiedzieliśmy się, że wszyscy pracowali kiedyś dla tej samej firmy badawczej.

- Dla byłych pracodawców MacLeana? - zapytał Trout.

- Zgadza się. Nie mogliśmy znaleźć MacLeana i przypuszczaliśmy, że nie żyje albo może ma coś wspólnego ze śmiercią swoich kolegów. A teraz odnalazł się tutaj, niestety martwy, co wskazuje na związek owej wyspy z tamtą firmą we Francji.

Trout pochylił się na krzesło do przodu.

- Jakie badania tam prowadzono?

- Prawdopodobnie nad ludzkim układem odpornościowym. Firma najwyraźniej należała do większej, międzynarodowej korporacji. Ale właściciele dobrze się ukryli za fikcyjnymi spółkami i zamorskimi kontami bankowymi. Wciąż staramy się ich wytropić.

Austin skinął głową.

- A jeśli wam się uda, oskarżycie ich o zamordowanie tamtych naukowców.

- O to co najmniej - odparł Mayhew. - Z relacji doktora Trouta wynika, że są odpowiedzialni za stworzenie tamtych mutantów i skazanie ich na śmierć za życia.

- Podsumujmy to, co wiemy - zaproponował Austin. - Ta firma badawcza zatrudnia naukowców do pracy przy pewnym projekcie. Mają wynaleźć tak zwany kamień filozoficzny, eliksir sporządzony na bazie enzymów z Zaginionego Miasta. Naukowcom najwyraźniej udaje się opracować wzór chemiczny na przedłużenie życia i muszą zginąć. MacLean ucieka, ale zostaje sprowadzony z powrotem, żeby pokierować nowym zespołem badawczym, który ma poprawić błędy we wzorze. Te błędy bowiem powodują powstawanie straszliwych mutantów. Paul i Gamay odkrywają podwodną operację wydobywczą firmy i zostają zmuszeni do pracy w jej laboratorium.

- Wszystko się zgadza co do joty - przytaknął Mayhew. - Mogę zadać panu pytanie? Dlaczego od razu nie przekazał pan tych informacji władzom brytyjskim?

- Odpowiem panu pytaniem na pytanie - odrzekł Austin. - Uwierzyłby mi pan, gdybym zjawił się u pana z opowieścią o czerwonoookich diabłach?

- Na pewno nie - przyznał Mayhew.

- Dzięki za szczerość. Dobrze pan wie, że nawiązanie właściwego kontaktu oficjalnymi kanałami wymagałoby czasu. Obawialiśmy się, że najmniejsza zwłoka w działaniu może okazać się fatalna w skutkach. Paul i Gamay Troutowie to nie tylko nasi koledzy, ale i przyjaciele.

- Rozumiem pana. Jak powiedziałem, dobrze znam możliwości waszego Zespołu Specjalnego i jestem pewien, że poradzilibyście sobie nawet w trudniejszej sytuacji. Musiałem zadać panu to pytanie, bo usłyszę je od moich przełożonych.

- Czy wasz rząd zamierza przeprowadzić dochodzenie na wyspie? - zapytała Gamay.

- Okręt marynarki wojennej jest już w drodze - odparł Mayhew. - Wysadzi na ląd desant Królewskiej Piechoty Morskiej. Marines spróbują znaleźć tamten okręt podwodny, zabezpieczą laboratorium i zneutralizują zarówno ochronę, jak i mutanty.

- Z tego, co widziałem, z ochrony niewiele zostało - powiedział Trout Zapadła cisza.

- Doktorze Trout. - Mayhew przerwał milczenie. - Pan najlepiej poznał te mutanty. Co pan o nich myśli?

- Są dzikimi, niewiarygodnie silnymi ludożercami. Potrafią się porozumiewać i sądząc po ich ataku na wyspę Wygnańców, również planować. - Trout urwał, bo przypomniał sobie swoje spotkanie z mutantami w „zoo”. - Myślę, że nie pozbawiono ich wszystkich najistotniejszych ludzkich cech.

- Fascynujące. Właściwie nie mam już więcej pytań, ale jeśli macie państwo chwilę, chciałbym wam pokazać coś interesującego - powiedział Mayhew, uśmiechając się zagadkowo.

Poprowadził ich przez labirynt korytarzy do chłodnego pomieszczenia przeznaczonego do badań lekarskich. Na metalowym stole oświetlonym reflektorem punktowym leżał jakiś kształt przykryty plastikową folią. Przy stole stał mężczyzna w średnim wieku w białym fartuchu lekarskim.

Na znak Mayhewa odsonił zniekształconą twarz czerwonoookiego stworzenia, które zostało zastrzelone i wpadło do ich łodzi. Z zamkniętymi oczami nie wyglądało tak groźnie jak wcześniej. Nie miało już na twarzy przerażającego grymasu wściekłości i sprawiało wrażenie pogrążonego w spokojnym śnie.

- Ma trochę surowe rysy - powiedział Mayhew - ale wygląda nieźle jak na Francuza.

- Przemawia przez pana niechęć Anglika, czy wie pan rzeczywiście, że to Francuz? - zapytał Austin.

Mayhew uśmiechnął się, sięgnął do kieszeni, wyjął cienką metalową płytkę na łańcuszku i wręczył ją Austinowi.

- Ten dżentelmen miał ją na szyi. Jest trochę zniszczona, ale napis da się odczytać.

Austin uniósł płytkę do światła i zobaczył słowa: Pierre Levant Capitaine, L'Armee de la Republique de France, b. 1885.

- Wygląda na to, że nasz przyjaciel ukradł komuś identyfikator.

- Najpierw też tak myślałem, ale to jego własność.

Austin zrobił zdziwioną minę, ale w twarzy Mayhewa nie dostrzegł niczego, co świadczyłoby, że Brytyjczyk żartuje.

- Musiałyby mieć ponad sto lat - powiedział.

- Mówiąc ściślej, prawie sto dwadzieścia - odrzekł Mayhew.

- To na pewno jakaś pomyłka. Skąd pan wie, że na identyfikatorze jest jego nazwisko? W czasie pierwszej wojny światowej zginęły miliony ludzi.

- Zgadza się, ale mimo całego chaosu w wojskowych archiwach pracowano dość dokładnie. Ciało często identyfikowali koledzy lub oficerowie. Zwłoki były zbierane z pól bitewnych przez specjalne jednostki, a potem poległych wpisywano do rejestrów przy pomocy kapelanów. Sporządzano mapy cmentarzy, informacje o ofiarach pochodziły z kostnic, szpitali, od grabarzy i tak dalej. Te dane zostały wprowadzone do komputera. Dowiedzieliśmy się, że istniał oficer armii francuskiej o nazwisku Pierre Levant. Zaginął na polu walki.

- Wielu ludzi zginęło na polu walki. Mayhew pokręcił głową.

- Ach, ten amerykański sceptycyzm. - Wyjął z kieszeni zegarek z dewizką i wręczył Austinowi. - Miał to przy sobie. Kiedyś był całkiem przystojny.

Austin przyjrzał się inskrypcji na kopercie zegarka: A Pierre, de Claudette, avec amour. Otworzył kopertę. Wewnątrz znajdowało się zdjęcie młodego mężczyzny i młodej kobiety.

Pokazał oba przedmioty kolegom z zespołu NUMA.

- Co o tym myślicie?

Gamay obejrzała identyfikator i zegarek.

- Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczyłam, studiując archeologię morską, było to, jak ważne jest ustalenie pochodzenia obiektu. Na przykład rzymska moneta znaleziona na polu kukurydzy w Connecticut może oznaczać, że upuścił ją jakiś Rzymianin, ale równie prawdopodobne jest to, że zgubił ją kolekcjoner z epoki kolonialnej.

Mayhew westchnął.

- Może doktor Blair zdoła was przekonać.

- Sam nie mogłem w to uwierzyć - powiedział patolog. - Zrobiliśmy sekcję zwłok tego dżentelmena. Ten osobnik ma komórki dwudziestoparolatka, ale szwy czaszkowe wskazują, że... - odchrząknął - dawno przekroczył wiek stu lat.

- To by oznaczało, że prace nad przedłużeniem życia prowadzono dużo wcześniej niż przypuszczaliśmy - odrzekł Austin.

- Nieprawdopodobny, ale słuszny wniosek - powiedział Mayhew. - Podczas pierwszej wojny światowej krążyły pogłoski o próbach stworzenia superżołnierzy, którzy szturmowałiby okopy wroga mimo szalonego ognia obrońców.

- Myśli pan, że to ma związek z tymi współczesnymi badaniami nad przedłużeniem życia?
- Nie wiem - odparł Mayhew i przykrył twarz stworzenia. Zawała zerknął na zdjęcie szczęśliwej pary w kopercie zegarka.
- Biedny hombre. Jakaż to potworna strata. Zmarnowane sto lat.
- Możliwe, że to tylko czubek góry lodowej - powiedział Mayhew. - Kto wie, ile ofiar kosztowało, utrzymanie tego wszystkiego w tajemnicy?
- Nie dziwię się, że nie ujawniali takich błędów jak ten na stole - odrzekła Gamay.
- Chodzi o coś więcej - odparł Mayhew. - Załóżmy, że ten eliksir zostałby udoskonalony. Jaki byłby świat, gdyby niektórzy ludzie mogli żyć dłużej niż inni?
- Zabrakłoby w nim równowagi - podsunęła Gamay.
- Też tak uważam, ale jestem tylko skromnym detektywem. Pozostawiam ten problem socjologom i politykom. Czy zamierzacie zostać dłużej w Wielkiej Brytanii?
- Raczej nie - odpowiedział Austin. - Ale zastanowimy się i damy panu znać.
- Byłbym wdzięczny. - Mayhew wręczył mu swoją wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić bez względu na porę. I zachować to wszystko dla siebie.
- Mój raport zobaczą tylko dwie osoby: Dirk Pitt i Rudi Gunn. Ale Instytut Oceanograficzny Woods Hole na pewno będzie chciał wiedzieć, co się stało z jego batyskafem.
- W porządku. Zawiadomię was, co nasi marines znaleźli na wyspie. Może uda nam się wytropić sprawców tego wszystkiego. Zabójstwa, porwania, zmuszanie do niewolniczej pracy... Perspektywa nieśmiertelności stanowi potężny motyw do popełniania zbrodni i przestępstw. Założę się, że każdy oddałby wszystko, by żyć wiecznie.
- Nie każdy - zaoponował Austin.
- Jak to? Któż by nie chciał skorzystać z takiej szansy?
- Niech pan zapyta tego starego żołnierza na stole - Austin wskazał gestem ręki przykryte zwłoki.

36

Nie chcę psuć radosnego nastroju naszego spotkania – powiedziała Gamay – ale przez to całe gadanie o czerwonoookich potworach i kamieniu filozoficznym zapomnieliśmy o pewnej niezakończonych sprawie, którą musimy się zająć.

Po rozstaniu z Mayhewem poszli do baru hotelowego, żeby przedyskutować dalszą strategię. Sandy, pilotka „Alvina”, pragnęła jak najszybciej wyjechać, więc Mayhew załatwił jej rejs samolotem do Londynu, skąd miała odlecieć do domu. Naukowców wciąż jeszcze przesłuchiavano.

- Fakt. - Zawała uniósł swój kieliszek do światła. - Postanowiłem dokonać degustacji wszystkich najlepszych gatunków tequili na świecie i mam duże zaległości.

- To bardzo szczytny cel, Joe, ale mnie bardziej interesuje uratowanie świata niż zasoby tequili, jakimi dysponuje - odparła Gamay. - Mogę podsumować problem jednym słowem? Wodorost Gorgona.

- Ja o nim nie zapominałem - odrzekł Austin. - Ale chciałem, żebyś się nacieszyła odzyskaną wolnością. Skoro już poruszyłaś ten temat, jaka jest sytuacja?

- Zła - powiedziała Gamay. - Rozmawiałam z doktorem Osbornem. Głon rozprzestrzenia się szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

- Operacja wydobywcza w Zaginionym Mieście została przerwana - zauważył Austin. - Czy to nie powstrzyma rozrostu algi?

- Chciałabym, żeby tak było - westchnęła ciężko Gamay. - Ale zmutowany wodorost ma zdolność replikacji i będzie się rozprzestrzeniał. Najpierw zablokuje porty na naszym wschodnim wybrzeżu, potem w Europie i na Pacyfiku. Dotrze do innych kontynentów.

- Ile mamy czasu?

- Nie wiem - odparła Gamay. - Prądy morskie roznoszą to draństwo po całym Atlantyku.

Austin spróbował wyobrazić sobie ukochany ocean zamieniony w słone mokradło.

- Co za ironia losu - powiedział. - Fauchardowie chcą być nieśmiertelni, ale żeby to osiągnąć, stworzą świat, w którym może nie warto będzie żyć. - Powiódł wzrokiem po twarzach siedzących przy stoliku kolegów. - Czy ktoś ma jakikolwiek pomysł na powstrzymanie tego zielska?

- Kluczem jest enzym z Zaginionego Miasta - odrzekła Gamay. - Gdyby udało nam się poznać jego budowę molekularną, może zdołalibyśmy znaleźć sposób na odwrócenie całego procesu.

- Sińce i skaleczenia na moim ciele przemawiając za tym, że Fauchardowie nie zdradzą łatwo tajemnic rodzinnych - odparł Austin.

- Dlatego Gamay i ja powinniśmy wrócić do Waszyngtonu i zorganizować w NUMA konferencję z doktorem Osbornem - wtrącił się Trout. - Spróbujemy jutro rano złapać samolot.

Austin popatrzył na zmęczone twarze kolegów.

- W porządku. Ale proponuję, żebyśmy się najpierw porządnie wyspali.

Pożegnał się z nimi, życząc im dobrej nocy, po czym w sąsiedztwie hotelowego holu znalazł salę komputerową. Spłodził krótki raport dla Rudiego Gunna i zakończył go obietnicą, że rano zadzwoni do niego. Pisząc tekst, kilka razy przecierał oczy i odczuł wyraźną ulgę, gdy w końcu mógł nacisnąć odpowiedni klawisz i wysłać e-mail za ocean.

Poszedł na górę do swojego pokoju i zauważył, nieodebrane połączenie na komórce. Oddzwonił i okazało się, że był numer Darnaya, który zlokalizował go przez biuro w NUMA.

- Dzięki Bogu, że pana złapałem, monsieur Austin - zaczął antykwariusz. - Miał pan jakieś wiadomości od Skye?

- Ostatnio nie - odrzekł Austin. - Byłem na morzu. Myślałem, że jest u pana.

- Przyjechała do mnie tylko na jeden dzień. Odkryliśmy coś, co wyglądało na wzór chemiczny wyryty na hełmie. Chciała to jak najszybciej pokazać ekspertowi na Sorbonie. Odprowadziłem ją do pociągu. Nie odezwała się w ciągu nocy, więc rano zadzwoniłem na uniwersytet. Powiedzieli, że nie przyszła.

- Może zachorowała.

- Chciałbym, żeby tak było. Dzwoniłem do jej mieszkania, ale nie odbierała telefonu. Rozmawiałem z jej gospodynią. Po wizycie u mnie w Prowansji Skye nie wróciła do domu.

- Niech pan zawiadomi policję - doradził bez wahania Austin.

- Policję?

- Wiem, że unika pan kontaktów z władzami i rozumiem powody - odparł stanowczym tonem Austin - ale musi pan to zrobić dla Skye. Proszę zadzwonić anonimowo z automatu, jeśli nie może pan inaczej, ale musi pan zgłosić jej zaginięcie. Od tego może zależeć jej życie.

- Tak, tak, oczywiście. Zadzwonię do nich. Skye jest dla mnie jak córka. Ostrzegłem ją, żeby była ostrożna, ale wie pan, jacy są młodzi ludzie.

- Jestem teraz w Szkocji, ale jutro wracam do Francji. Zadzwonię do pana z Paryża. - Austin wyłączył się, żeby Damay mógł zawiadomić policję. Patrzył przez chwilę w przestrzeń i próbował znaleźć jakiś powód zniknięcia Skye. Usłyszał sygnał komórki. Dzwonił Lessard, kierownik hydroelektrowni przy lodowcu.

- Monsieur Austin? Dzięki Bogu. Nie mogłem pana złapać - powiedział.

- Przepraszam, byłem poza zasięgiem telefonu - odrzekł Austin. - Jaka jest sytuacja przy lodowcu?

- Lodowiec jak lodowiec, zawsze taki sam - odparł Lessard. - Ale dzieją się tu dziwne rzeczy.

- To znaczy?

- Kilka dni temu na jeziorze pojawił się statek z nurkami. Myślałem, że wróciła ekipa NUMA, żeby dokończyć badania, ale statek miał inny kolor niż wasz.

- Badania zostały zakończone - odpowiedział Austin. - Nic nie wiem o tym, żeby NUMA planowała tam jakąś operację. Coś jeszcze?

- To nie do wiary, ale osuszają tunele pod lodowcem.

- O ile pamiętam, mówił pan, że to niemożliwe.

- Źle mnie pan zrozumiał. Nie udałoby się tego zrobić w tak krótkim czasie, żeby można było uratować tamtych ludzi uwięzionych pod lodowcem. Odwracanie kierunku przepływu i wypompowywanie wody trwało kilka dni, ale tunel obserwatorium jest już prawie suchy.

- To była inicjatywa pańskiej firmy?

- Moi przełożeni dali mi do zrozumienia, że decyzję podjęto na skutek presji kogoś z bardzo wysokiego szczebla w hierarchii. Operację finansuje prywatna fundacja naukowa.

- Jest w to zaangażowany doktor LeBlanc?

- Początkowo tak przypuszczałem. Zostawił tu Fifi, swój samochód, więc myślałem, że wraca. Przyszedł do mnie jeden z facetów, którzy nurkowali w jeziorze, pokazał upoważnienie i jego ludzie zajęli nastawnię elektrowni. To jakieś podejrzone typy, panie Austin. Obserwują każdy mój ruch. Obawiam się o swoje życie. Bardzo ryzykuję, rozmawiając z panem. Powiedzieli mi, żebym się do niczego nie wtrącał.

- Mówił pan o tym swojemu szefowi?

- Tak. Polecił mi współpracować z nimi. Podobno on sam nic nie może zrobić. Nie wiedziałem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić, więc zadzwoniłem do pana.

- Może pan stamtąd wyjechać?

- To byłoby trudne. Odesłali mój personel do domu i zostałem sam. Spróbuję wyłączyć turbinę. Może góra potraktuje mnie poważnie, kiedy zabraknie prądu.

- Niech pan zrobi to, co według pana będzie najlepsze, ale bez żadnego ryzyka.

- Będę ostrożny.

- Jak się nazywał ten facet, który do pana przyszedł?
 - Emil Fauchard. Przypominał mi węża.
 - Niech pan się zachowuje tak, jakby wszystko było w porządku - polecił Austin. - Jutro będę u pana.

- Merci beaucoup, monsieur Austin. Domyślam się, że nie wejdzie pan frontowymi drzwiami, więc jak się dowiem, że już pan jest?

- Dam panu znać.

Rozłączyli się i Austin przemyślał kolejność działań. Potem zadzwonił z hotelowego telefonu do Joego i Troutów, żeby zawiadomić ich o zmianie planów. Kiedy zjawili się w jego pokoju, powiedział im o dwóch rozmowach, które przeprowadził przez komórkę.

- Myślisz, że Skye porwali Fauchardowie? - zapytał Zawała.

- To najbardziej prawdopodobne, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo już wcześniej interesowali się hełmem.

Gamay zastanawiała się przez chwilę.

- Ale jeśli go odzyskali, to po co ją uprowadzili?

- Nie mam pojęcia.

- Już wiem! - oczy Gamay rozbłyły nagle. - Trzymają Skye jako przynętę, żeby zwabić cię w pułapkę.

Austin skinął głową.

- Najpierw chciałem jechać prosto do Chateau Fauchard. Potem pomyślałem, że właśnie na to liczą. Powinienem dopaść Emila, bo tego się nie spodziewają. Może coś zyskam. Poza tym boję się o Lessarda. Jemu grozi największe niebezpieczeństwo. Nie zabiją Skye, dopóki nie nabiorą pewności, że połknąłem haczyk.

- A co my mamy robić? - zapytał Paul.

- Rozpracujcie ochronę zamku. Sprawdźcie, czy można się tam dostać. Ale bądźcie ostrożni. Racine Fauchard jest dużo bardziej niebezpieczna niż jej syn. On jest porywczym socjopata, ona przebiegłą zabójczynią.

- Urocze - odrzekła Gamay. - Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam. Powiedzieli sobie dobranoc i wrócili do swoich pokoi. Austin zadzwonił pod numer na wizytówce Mayhewa, powiedział agentowi wywiadu, że musi jak najszybciej wyjechać ze Szkocji, i poprosił o pomoc. Mayhew odparł, że rano odlatuje służbowym odrzutowcem do Londynu i chętnie zabierze Austina i resztę zespołu NUMA. Na Heathrow będą mogli złapać samolot do Paryża. Austin podziękował i obiecał, że kiedyś się odwdzięczy. Potem poszedł spać. Leżał w łóżku na wznak i odpędzał od siebie wszystkie zbędne myśli, żeby móc się w pełni skoncentrować na czekającym go zadaniu uratowania Skye. Po pewnym czasie usnął niespokojnym snem.

37

Służbowy odrzutowiec wystartował o świcie, ale zamiast skierować się do Londynu, wziął bezpośredni kurs na Paryż. Przed odlotem Austin nakłonił Mayhewa do zmiany trasy. Powiedział, że nie ma czasu wdawać się w szczegóły, ale to sprawa życia lub śmierci.

Mayhew zadał tylko jedno pytanie:

- Czy to ma coś wspólnego z tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj?

- Może mieć wiele wspólnego.

- W takim razie liczę na to, że będzie mnie pan informował na bieżąco o postępach waszego śledztwa.

- Dostanie pan ode mnie taki sam raport, jaki wyślę moim przełożonym w NUMA.

Mayhew uśmiechnął się i uściślił sobie dłonie. Późnym porankiem wylądowali na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Troutowie wyruszyli w drogę do zamku Fauchardów, Austin i Zavalą złapali samolot czarterowy do interesującego alpejskiego miasteczka niedaleko lodowca.

Zavala zadzwonił do Denise, swojej przyjaciółki w parlamencie francuskim. Kiedy już wymusiła na nim obietnicę następnego spotkania, załatwiła szybką pięcioipółmetrową motorówkę, która czekała już na nich, gdy znaleźli się w miasteczku. Płynęli w górę krętej rzeki całe popołudnie i do Lac du Dormuer dotarli dopiero o zmierzchu. Nie chcieli zwracać na siebie uwagi, więc na jeziorze utrzymywali małą szybkość. Woda była gładka jak szkło, na powierzchni unosiły się miniaturowe góry lodowe, w powietrzu wisiała mgiełka. Czterosuwowy silnik zaburtowy pracował ledwo dosłyszalnie, ale w uszach Austina jego odgłos brzmiał jak czyjeś przeraźliwe wołanie w gmachu katedry.

Austin skierował łódź w stronę jednosilnikowego hydroplanu zakotwiczonego tuż przy brzegu. Kiedy motorówka zrównała się z samolotem, Austin wspiął się na pływak i zajrzał do kokpitu. De Havilland Otter zabierał dziewięciu pasażerów. Na trzech fotelach leżały akwalungi, co potwierdzało informację Lessarda o nurkach. Austin wrócił do łodzi i zbadał wzrokiem plażę. W szarym świetle zmroku nie zauważył żadnego ruchu. Popłynął wzdłuż brzegu i ukrył motorówkę za występem skalnym. Potem on i Zavalą rozpoczęli długą wędrówkę pod górę do elektrowni.

Nie mieli wiele bagażu, nieśli tylko wodę pitną, batony regeneracyjne, załadowane pistolety i zapas amunicji. Mimo to posuwali się powoli, zanim doszli do celu, zrobiło się ciemno. Drzwi budynku nie były zaryglowane. W holu Austin obrócił się wolno na pięcie i wsłuchał w odgłos dochodzący z głębi góry. Zmrużył oczy.

- Coś jest nie tak - powiedział Zavali. - Turbina działa.

- To elektrownia - przypomniał mu Zavalą. - Generator chyba powinien pracować.

- Owszem, w normalnych okolicznościach. Ale Lessard powiedział mi przez telefon, że spróbuje wyłączyć turbinę. Gdyby zabrakło prądu, odezwałyby się dzwonki alarmowe w centrali i musieliby kogoś przysłać, żeby zbadał sytuację.

- Może Lessard zmienił zdanie - odrzekł Zavalą.

Austin prawie niedostrzegalnie pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nikt go do tego nie zmusił.

Zajrzeli do biura i kwater mieszkalnych, potem poszli do nastawni. Austin zatrzymał się przed drzwiami. Wewnątrz było cicho, ale szósty zmysł mówił mu, że ktoś tam jest. Wyciągnął pistolet i dał znak Zavalą, żeby zrobił to samo. Weszli do środka i zobaczyli Lessarda. Kierownik elektrowni wyglądał tak, jakby zasnął, ale miał w plecach dziurę po pocisku. Palce jego wyciągniętej prawej ręki zastygły kilka centymetrów od rzędu zakrwawionych wyłączników generatora.

Austin z trudem zapanował nad wzbierającą w nim wściekłością. Poprzysiągł sobie w duchu, że ktoś zapłaci za śmierć dzielnego Francuza, dzięki któremu udało mu się uratować Skye i inne osoby uwięzione pod lodowcem. Dotknął szyi Lessarda. Ciało było zimne. Francuz zginął zapewne tuż po tym jak zadzwonił do niego.

Austin wiedział, że nie mógł ocalić Lessardowi życia, ale nie było to dla niego żadną pociechą. Podeszedł do monitora komputera, na którym widniał diagram systemu podziemnych korytarzy, usiadł przed ekranem i zaczął studiować przepływ wody przez tunele. Lessard wykonał mistrzowską robotę. Oddalił od obserwatorium strumienie spływające z lodowca, kierując je do elektrowni okrężną drogą.

- Tunele są oznaczone kolorami - wyjaśnił Zavala. - Pulsujące niebieskie linie to korytarze, którymi płynie woda. Czerwone to suche tunele. - Wskazał jedną z czerwonych linii. - Tędy wydostaliśmy ludzi spod lodowca.

Zavala pochylił się nad ramieniem Austina i powiódł palcem po krętej trasie prowadzącej z obserwatorium do elektrowni.

- Niezły labirynt - powiedział. - Kilka razy trzeba będzie zrobić nawroty i trochę się nachodzić.

- Potraktuj to jako połączenie wesołego miasteczka z parkiem wodnym - odrzekł Austin. - Powinniśmy wyjść tam, gdzie nasz kumpel Sebastian wysadził w powietrze śluzę. Stamtąd jest już blisko do obserwatorium. A teraz zła wiadomość. Będziemy musieli przejść tunelami piętnaście do dwudziestu pięciu kilometrów.

- To zajmie kilka godzin. A jeśli się zgubimy, jeszcze więcej.

- Niekoniecznie - odparł Austin, przypominając sobie coś, co Lessard powiedział o doktorze LeBlancu.

Zrobił wydruk obrazu na monitorze, po czym spojrzął ze smutkiem na zwłoki Lessarda.

Wyszli z nastawni i po chwili stanęli na platformie obserwacyjnej, skąd Lessard pokazywał Austinowi potęgę wody spływającej z lodowca. Potok, który przypominał rzekę Kolorado, zamienił się w wąski strumień o szerokości kilku metrów i głębokości trzydziestu centymetrów.

Zadowoleni, że tunel jest prawie osuszony, wrócili przez hol do frontowych drzwi budynku, wyszli na zewnątrz i po przejściu kilkuset metrów dotarli do otwartego blaszanego garażu pod skalną ścianą. W środku stały dwa pojazdy - samochód terenowy, który przywiózł Austina na miejsce podczas jego pierwszej wizyty w elektrowni, i przykryty plastikowym pokrowcem ukochany citroen 2CV doktora LeBlanca.

Austin ściągnął płachtą.

- Przedstawiam ci Fifi - powiedział.

- Fifi?

- Należy do jednego z glaciologów. Facet ma słabość do niej.

- Znam ładniejsze kobiety - odrzekł Zavala - ale zawsze mówią, że najważniejsza jest osobowość.

Niewielki, wytrzymały citroen z garbatym tyłem i opadającą maską był jednym z najbardziej wyróżniających się samochodów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. Jego konstruktor powiedział, że chce mieć „cztery koła pod parasolem” i takie zawieszenie, żeby podczas jazdy przez zorańe pole nie stłukło się ani jedno jajko wiezione w koszyku. Fifi przeszła już swoje. Jej tylne błotniki w kształcie półksiężyca były powgniatane, czerwony porysowany lakier zmatowiał i stał się niemal różowy, przypominała jednak żwawą kobietę, pozbawioną urody, ale absolutnie pewną, że poradzi sobie w życiu.

Kluczyk tkwił w stacyjce. Wsiedli i bez problemu uruchomili silnik. Pojechali zwirową drogą wzdłuż podnóża skalnej ściany i zatrzymali się przed wysokimi wrotami. Austin sprawdził na mapie, że są w miejscu oznaczonym jako Porte de Sillon. Nie wiedział, jak

należałoby to dokładnie przetłumaczyć, ale domyślił się, że tędy wjeżdżały i wyjeżdżały wielkie maszyn robocze, które drążyły tunele wewnątrz góry.

Stalowe wrota były ciężkie, ale dobrze wyważone, więc z łatwością je otworzyli. Austin wprowadził Fifi do środka. Warkot jej małego silnika odbijał się głośnie echem od ścian i sklepienia. Tunel biegł prosto w głąb góry, mijał turbinownię i łączył się z głównym systemem korytarzy. Gdyby nie mapa, zgubiliby się w labiryncie rozgałęzień. Zavała pełnił funkcję pilota rajdowego, Austin mocno naciskał gaz i szybko pokonywał ostre zakręty. Po piętnastu minutach Zavała powiedział mu, że na następnym skrzyżowaniu powinien pojechać w lewo.

- Zbliżamy się do obserwatorium - oznajmił.
- Jak daleko jesteście?
- Został nam niecały kilometr.
- Lepiej zostawmy tu Fifi i chodźmy dalej pieszo.

Tak jak w korytarzach, pod sufitem tunelu obserwatorium ciągnął się rząd lamp. Wiele żarówek wypaliło się i nie wymieniono ich na nowe, płonęły więc niektóre, co czyniło ciemność w miejscach między bladymi kręgami światła dość intensywną. Od mokrych ścian wiało chłodem, wilgoć i zimno przenikały przez kurtki, które znaleźli w kwaterach personelu elektrowni.

- Kiedy zaczynałem pracę w NUMA, mówiono mi, że będą podróżował - odezwał się Zavała. - Ale nie uprzedzono, że to mają być podróże na piechotę.

- Potraktuj całą rzecz jako doświadczenie kształtujące charakter - odparł Austin wesołym tonem.

Po kilku następnych minutach takiego kształtowania charakterów spostrzegli przy ścianie drabinę prowadzącą w górę na pomost. Część platformy była obudowana szkłem i plastikiem. Austin przypomniał sobie, że Lessard wspominał mu o kabinach kontrolnych rozmieszczonych w systemie tuneli. Szli dalej. Ledwo skręcili w kolejny korytarz, czuły słuch Austina złowił dźwięk głośniejszy niż kapanie i bulgotanie wody wokół nich.

- Co to jest? - Austin przyłożył dłoń do ucha Zavała nasłuchiwał przez chwilę.
- Brzmi jak lokomotywa - powiedział. Austin pokręcił głową.
- To nie jest pociąg-widmo. Uciekajmy!

Zawałę sparaliżowało. Stał nieruchomo niczym posąg, dopóki okrzyk Austina nie wyrwał go z transu, a wtedy poderwał się do biegu jak sprinter po strzale z pistoletu startowego. Pędził tuż za Austinem, rozchlapywali kałuże, nie zwracając uwagi na to, że rozbryzgiwana woda moczyła im ubrania aż po pas.

Szum narastał i w końcu zmienił się w huk. Austin szybko skręcił pod kątem prostym w inny tunel. Zavała poszedł w jego ślady, ale pośliznął się na mokrym podłożu. Austin zauważył, że Zavała upadł, wrócił po przyjaciela, chwycił go za nadgarstek i podciągnął do góry. Pobiegli przed siebie, chcąc uciec przed niewidocznym zagrożeniem. Ziemia pod ich stopami zdawała się wibrować, hałas stał się ogłuszający.

Austin dostrzegł przy ścianie metalową drabinę prowadzącą w górę na pomost. Chwycił się pierwszego szczebla i podciągnął jak akrobata cyrkowy. Zavała rozbił sobie kolano podczas upadku i nie mógł się wspinać tak zwinnie jak zawsze. Austin opuścił ręce w dół, wciągnął go na pomost, po czym obaj dali nura do kabiny kontrolnej.

Zdążyli w samą porę.

Ledwo zatrzasnęli za sobą wodoszczelne drzwi, przez tunel przewaliła się ogromna niebieska fala. Pomost zniknął pod powierzchnią spienionej wody, która uderzyła w szyby jak wzburzone morze w statek podczas sztormu. Platforma zadrżała i Austin bał się przez moment, że cała konstrukcja runie.

Po przejściu fali woda trochę opadła, ale rwąca rzeka nadal sięgała pomostu. Austin podszedł do panelu kontrolnego i spojrzął na diagram. Zaniepokoił się, że to zasuwa śluzy nie

wytrzymała i woda z topniejącego lodowca wdziera się z pełną siłą do tunelu. Gdyby istotnie tak było, musieliby pozostać w kabinie kontrolnej do śmierci lub do czasu, aż stopniałby cały lodowiec.

Korytarz oznaczono na czerwono, powinien więc być suchy. Austinowi zaświtała nadzieja, bo wynikało z tego, że woda musiała pochodzić z naturalnego zbiornika i powinna wkrótce przestać płynąć.

Ale zbiornik okazał się bardzo duży. Minęło pięć minut, które wlokły się jak pięć lat, zanim wody zaczęło ubywać. Jej poziom szybko opadał i po pewnym czasie mogli już wyjść na pomost bez obawy, że zostaną przez nią zmieni.

Zavala popatrzył na wciąż burzliwy potok.

- O ile pamiętam, mówiłeś, że tu będzie jak w wesołym miasteczku - zawołał, przekrzykując głośny szum.

- Chyba mówiłem też coś o parku wodnym.

Gdy minęło kolejne dziesięć minut, zeszli bezpiecznie po drabince. Austinowi przyszło do głowy, że mogą się otworzyć inne naturalne zbiorniki, ale natychmiast odepchnął od siebie tę myśl i pierwszy ruszył przez labirynt tuneli. Jeden z korytarzy, który powinien być suchy, okazał się zalany. Gdyby przeprawili się przez strumień w bród, przemokliby zupełnie, postanowili więc iść okreżną drogą.

Według mapy znajdowali się już niedaleko korytarza wejściowego do obserwatorium. W końcu dotarli do masywnych stalowych drzwi. Przypominały zasuwę śluz, które widzieli w innych tunelach, ale były rozerwane jak skórka pomarańczy.

Zavala dotknął ostrożnie powyginanej grubej stali.

- To muszą być te drzwi, które wtedy wysadził ten bandzior Fauchardów.

- Jesteśmy tutaj. - Austin wskazał punkt na mapie. - Przejdziemy przez te drzwi i skęcimy w prawo. Obserwatorium znajduje się niecały kilometr stąd. Lepiej bądźmy czujni i nie róbmy hałasu.

- Postaram się nie szczekać zębami, ale to nie będzie łatwe.

Austin i Zavala pozwalali sobie na żarciki, ale obaj doskonale zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa. Starannie sprawdzili broń i weszli do ostatniego tunelu. Austin opisał szeptem Zavalę rozkład pomieszczeń w laboratorium, opowiedział mu o rozmieszczeniu pracowni, schodach prowadzących do korytarza obserwatorium i lodowej grocie, w której znaleziono ciało Jules'a Faucharda.

Gdy zbliżali się do przyczep mieszkalnych, Zavala znów zaczął utykać. Miał kłopoty z rozbitym kolaniem. Powiedział Austinowi, żeby szedł dalej, a on za chwilę go dogoni. Austin chciał sprawdzić przyczepy, ale w oknach było ciemno. Przypuszczał, że Emil i jego ludzie są w laboratorium. Mylił się. Drzwi za jego plecami otworzyły się cicho, jakiś mężczyzna odezwał się do niego po francusku, kazał mu podnieść ręce do góry i odwrócić się powoli.

Austin zobaczył w półmroku zwałistą postać. W słabym świetle błyszczał wycelowany weń pistolet.

- Cześć - powiedział uprzejmym tonem Sebastian. - Pan Emil czeka na ciebie.

38

Troutowie podróżowali prawie cały dzień i przydrożne bistro stało się dla nich oazą na pustyni. Doszli ścieżką do drzwi przebudowanego wiejskiego domu i po chwili siedzieli w jadalni, z której mogli podziwiać ogród pełen kwiatów. Wybór miejsca postoju okazał się szczęśliwy. Jedzenie było doskonałe, a młody, przystojny właściciel lokalu dostarczył im wielu cennych informacji.

Kiedy usłyszał, że Paul i Gamay rozmawiają po angielsku, podszedł do ich stolika i się przedstawił. Miał na imię Bertrand, w skrócie Bert. Przez kilka lat pracował w Nowym Jorku jako szef kuchni, potem wrócił do Europy i otworzył własny interes. Ucieszył się, że ma okazję odświeżyć swój amerykański angielski, a Troutowie cierpliwie i uprzejmie odpowiadali na jego pytania dotyczące Stanów. Interesował go zwłaszcza futbol amerykański i drużyna Jetsów, której kibicował. Zaintrygowała go też Gamay i jej niezwykle imię.

- Cest belle - powiedział. - Cest tres belle.

- Pomysł mojego ojca - wyjaśniła. - Był koneserem win i kolor moich włosów kojarzył mi się z gatunkiem winogron z Beaujolais.

Bert popatrzył z uznaniem na długie włosy Gamay i jej promienny uśmiech.

- Pani ojciec był szczęściarzem, mając taką piękną córkę. A pan, monsieur Trout, jest szczęściarzem, mając taką piękną żonę.

- Dziękuję - odrzekł Paul i objął Gamay jednoznaczny męskim gestem, który mówił: „Możesz patrzeć, ale nie dotykaj”.

Bert zrozumiał to nieme ostrzeżenie, uśmiechnął się i wrócił do roli zawodowego restauratora.

- Przyjechali państwo w poszukiwaniu przyjemnych wrażeń czy w interesach?

- Właściwie jedno i drugie - odparła Gamay.

- Mamy w Waszyngtonie małą sieć sklepów winnych - wyjaśnił Paul. Taką historijkę przygotowali sobie zawczasu z Gamay. Wręczył Bertowi jedną z wizytówek, które pospiesznie wydrukowali w punkcie poligraficznym na lotnisku w Paryżu. - W czasie naszych podróży szukamy małych winnic, które mogłyby zaoferować coś wyjątkowego naszym wybrednym klientom.

Bert klasnął w dłoń.

- Dobrze państwo trafili, monsieur Trout. Wino, które państwu podałem pochodzi z winnicy położonej niedaleko stąd. Mogę państwu przedstawić właściciela.

Gamay pociągnęła mały łyk z kieliszka.

- Mocne czerwone. Wcześnie dojrzewające i bardzo wytrawne. Z wyraźnym posmakiem malin.

- Ma w sobie coś intrygującego, co mi się podoba - dodał Paul. - I lekki posmak pieprzu.

Troutowie woleli piwo i swoją wiedzę o winie czerpali głównie z etykietek na butelkach, Bert jednak z powagą skinął głową.

- Jesteście państwo prawdziwymi znawcami - powiedział z uznaniem.

- Dziękujemy - odrzekła Gamay. - Są tu jeszcze inne winnice?

- Oui, madame Trout. Wiele. - Bert napisał kilka nazwisk na serwetce. Paul schował ją do kieszeni.

- Ktoś nam wspominał o jednej winnicy - powiedziała Gamay. - Jak się nazywa właściciel, kochanie?

- Fauchard? - podsunął Paul.

- Właśnie. - Gamay odwróciła się z powrotem do Bertranda. - Ma pan jego wino?

- Mon Dieu. Chciałbym mieć. To wino najwyższej klasy. Ale produkują je w bardzo ograniczonych ilościach i sprzedają małej, wybranej grupie bogatych ludzi, głównie

Europejczyków i Amerykanów. Nawet gdybym mógł je kupić, byłoby o wiele za drogie dla moich klientów. Butelka kosztuje tysiąc dolarów.

- Naprawdę? - zapytała Gamay. - Chętnie odwiedzilibyśmy winnicę Fauchardów i zobaczyli, jaki gatunek winogron sprzedaje się za taką cenę.

Bert zawahał się i zmarszczył lekko brwi.

- To niedaleko stąd, ale Fauchardowie są... jak by to powiedzieć? Są dziwni.

- W jakim sensie?

- Niezbyt przyjaźnie nastawieni wobec innych ludzi. Nikt ich nie widuje. - Bert rozłożył ręce. - To stara rodzina i krążą o niej różne opowieści.

- Jakie?

- Farmerzy są zabobonni. Mówią, że Fauchardowie to sangsues. Krwiopijcy.

- To znaczy wampiry? - zapytała Gamay, uśmiechając się. Bert uśmiechnął się także.

- Oui. Chyba po prostu mają tyle pieniędzy, że stale się boją, że inni ludzie ich okradną. Różnią się bardzo od innych mieszkańców tych okolic. My tutaj jesteśmy bardzo przyjacielscy. Fauchardowie są nietypowi, ale mam nadzieję, że nie wpłyną na zmianę opinii państwa o nas.

- To niemożliwe po pańskim wspaniałym jedzeniu i tak ujmującej gościnności - zapewniła Gamay z zalotnym uśmiechem.

Bert rozpromienił się i narysował na drugiej serwetce drogę do Fauchardów. Uprzedził Troutów, że zobaczą tam winnicę, ale jeśli zbliżą się bardziej do posiadłości, napotkają tablice ostrzegawcze z zakazem wstępu.

Podziękowali mu, na pożegnanie francuskim zwyczajem uściskali się i ucałowali w policzki, po czym wrócili do samochodu.

Gamay wybuchnęła śmiechem.

- „Intrygujące” wino? Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś.

- Wolę intrygujące niż „wcześnie dojrzewające” - odciął się Paul i parsknął wyniośle.

- Ale musisz przyznać, że miało wyraźny posmak malin.

- I lekki posmak pieprzu też - odparł Paul. - Bert chyba nie zauważył, że tylko udajemy znawców. Był pochłonięty tobą. „Ma pan piękną żonę” - dodał z akcentem dawnego gwiazdora filmowego Charles'a Boyera.

- Uważam, że był czarujący. - Gamay wydeła usta.

- Ja też. I miał absolutną rację, że jestem szczęściarzem.

- To brzmi lepiej - odrzekła Gamay i popatrzyła na mapkę, którą Bert narysował im na serwetce. - Około piętnastu kilometrów stąd droga skręca do zamku Fauchardów.

- Bert przedstawił to tak, jakby mieszkał tam Drakula - zauważył Paul.

- Z tego, co mówił nam Kurt, wynika, że w porównaniu z madame Fauchard Drakula przypomina Matkę Teresę.

Dwadzieścia minut później jechali długą drogą gruntową biegnącą wśród falistych wzgórz i starannie utrzymanych winnic. W przeciwieństwie do innych, które mijali wcześniej, te nie były oznaczone tablicami z nazwiskami właścicieli. Ale kiedy dotarli do lasu, na drzewach pojawiły się zakazy wstępu na teren prywatny w trzech językach: francuskim, angielskim i hiszpańskim.

Droga skończyła się przy bramie w wysokim ogrodzeniu z metalowej siatce pod napięciem, z drutem kolczastym na szczycie. Na bramie wisiała tablica z ostrzeżeniem, że terenu pilnują uzbrojeni strażnicy i psy obronne, sugerując wyraźnie, że intruzom grozi uszkodzenie ciała.

Paul przeczytał napis.

- Wygląda na to, że Bert miał rację. Fauchardowie nie są przyjaźnie nastawieni do ludzi.

- Nie wiem, czy masz rację - odparła Gamay. - Spójrz w lusterko wsteczne, wystali kogoś, żeby nas przywitał.

Paul zobaczył, że za ich wypożyczonym peugeotem stoi czarny mercedes SUV i blokuje drogę za nimi. Wysiedli z niego dwaj uzbrojeni mężczyźni w wojskowych mundurach maskujących. Jeden z nich, niski i krępy, miał ogoloną, jajowatą głowę. Trzymał na smyczy groźnie wyglądającego rottweilera, który rwał się do przodu i rzeził chrapliwie hamowany przez obroź. Drugi mężczyzna był wysoki, miał ciemną cerę i mięsisty nos boksera.

Ten niski podszedł do peugeota od strony kierowcy i odezwał się po francusku. W przeciwieństwie do Gamay Paul nie znał dobrze tego języka, ale zrozumiał, że ma wysiąść z samochodu. Kiedy jajogłowy zapytał, co tutaj robią, Gamay wręczyła mu wizytówkę i pokazała serwetkę z nazwiskami właścicieli winnic, zapisanymi przez Berta.

Mężczyzna rzucił okiem na listę.

- To jest posiadłość rodziny Fauchard. Miejsca, których państwo szukają, są tam. - Wskazał kierunek.

Gamay udała, że wpadła we wściekłość. Wyrzuciła z siebie potok francuskich słów, gestykulując gwałtownie w stronę Paula. Ochroniarze zaczęli się śmiać z jej przemowy pod adresem męża. Jajogłowy zlustrował Gamay od góry do dołu łakomym spojrzeniem. Uśmiechnęła się nieśmiało w odpowiedzi. Ochroniarze wsiedli wraz z psem z powrotem do mercedesa, ten, który zajął miejsce za kierownicą skierował samochód trochę w bok, żeby Paul mógł odjechać. Gamay pomachała im na pożegnanie, a oni odwzajemnili skwapliwie gest.

- Chyba spotkaliśmy przyjaciela Kurta, skina Marcela - powiedział Trout.

- Odpowiada rysopisowi - zgodziła się Gamay.

- Zachowywał się o wiele bardziej przyjaźnie, niż można było oczekiwać - zauważył Trout. - Nawet pies się uśmiechał. Co im powiedziałaś?

- Że jesteś idiotą i że przez ciebie się zgubiliśmy.

- Aha. A co na to łysol?

- Że chętnie pokazałby mi drogę. Chyba flirtował ze mną. Trout spojrzął na żonę z ukosa.

- Już dziś po raz drugi użyłaś swojego kobiecego wdzięku. Najpierw wobec Berta, teraz wobec jajogłowego i jego kundla.

- W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

- Nie jesteśmy na wojnie. Każdy napotkany Francuz rozbiera cię wzrokiem.

- Nie przesadzaj. Zapytałam go, czy możemy pojechać dookoła i przyjrzeć się winnicom. Powiedział, że tak, ale musimy się trzymać z dala od ogrodzenia.

Trout skręcił w najbliższą gruntową drogę i podskakując na wybojach, jechali przez jakiś czas wśród winorośli. W pewnym momencie zatrzymali się i wysiedli z samochodu przy grupie zbieraczy winogron, którzy zrobili sobie przerwę na papierosa. Około dziesięciu ciemnoskórych robotników rozmawiało o czymś z mężczyzną, który wyglądał na ich szefa. Gamay przedstawiła siebie i Paula jako amerykańskich kupców wina. Mężczyzna zmarszczył brwi, kiedy wyjaśniła, że Marcel pozwolił im przejechać przez winnice.

- Ach, ten - powiedział i przedstawił się. Nazywał się Guy Marchand. - To robotnicy sezonowi z Senegal. Jestem ich brygadystą. Ciężko pracują, więc pozwalam im trochę odetchnąć.

Gamay skinęła głową.

- Byliśmy w bistro i rozmawialiśmy z Bertrendem. Podobno produkujecie tu wspaniałe wino.

- Oui. Cest vrai. Chodźmy. Pokażę państwu winorośl.

Dał znak Senegalczykom, żeby wracali do roboty, i poprowadził Troutów wzdłuż rzędu pnączy. Mówił z zapałem o swojej pracy i Troutowie nie musieli udawać znawców, kiwali tylko głowami, kiedy Guy opowiadał o glebie, klimacie i winogronach. Zatrzymał się, zerwał kilka gron i podał je Troutom. Rozgniół owoce, powąchał i spróbował soku koniuszkiem

języka. Zrobili to samo i cmoknęli z uznaniem. Gdy wrócili na drogę, zobaczyli, że robotnicy ładują winogrona na ciężarówkę.

- Gdzie butelkujecie wino? - zainteresował się Paul.

- Tutaj, w posiadłości - odrzekł Guy. - Monsieur Emil chce mieć pewność, że nic nie zginie.

- Kto to jest monsieur Emil? - zapytała Gamay.

- Emil Fauchard to właściciel tych winnic.

- Chcielibyśmy się z nim spotkać - powiedziała Gamay.

- To niemożliwe. Jest odludkiem.

- Więc nigdy go pan nie widuje?

- Owszem - odparł Marchand, przewrócił oczami i wskazał niebo. Troutowie spojrzeli w górę.

- Nie rozumiem - powiedziała Gamay.

- Lata tutaj swoim małym czerwonym samolotem i pilnuje interesu. Guy wyjaśnił, że Emil osobiście opyla winnice. Kiedyś rozpylił pestycydy nad ekipą zbieraczy. Niektórzy robotnicy ciężko zachorowali i musiano ich przewieźć do szpitala. Byli nielegalnymi imigrantami, więc nie złożyli skargi, ale gdy Marchand zagroził odejściem, dostali małe odszkodowania. Powiedziano mu, że po prostu zdarzył się wypadek, lecz sądząc po tonie jego głosu, był przekonany, iż Emil zrobił to celowo. Ale Fauchardowie dobrze mu płacą i nie narzeka.

W czasie gdy Marchand rozmawiał z Troutami, robotnicy skończyli ładować winogrona. Paul przyglądał się, jak ciężarówka odjeżdżała wyboistą drogą. Po kilkuset metrach skręciła w lewo w kierunku bramy w ogrodzeniu pod napięciem. Zauważył, że przy bramie stało dwóch wartowników. Pokazali kierowcy, żeby zwolnił, potem przepuścili ciężarówkę i zamknęli za nią bramę.

Paul dotknął ramienia Gamay.

- Na nas już czas - powiedział.

Podziękowali Marchandowi, wsiedli do samochodu i wrócili na główną drogę wyjazdową z winnic.

- Interesująca rozmowa - powiedziała Gamay. - Emil jest zdaje się tak uroczy, jak mówił Kurt. - Trout tylko chrząknął. Gamay przywykła już do tego, że Paul bywa czasami małomówny; odziedziczył tę cechę po swoich przodkach z Nowej Anglii. Teraz jednak wyczuła, że coś jest nie tak. - Co się stało?

- Po tej opowieści o „wypadku” podczas opylania winnic ciągle myślę o tym, co Emil i jego rodzina mają na sumieniu. Są odpowiedzialni za śmierć MacLeana, jego kolegów naukowców i tego Anglika, Cavendisha. Kto wie, ilu jeszcze ludzi zabili przez całe lata? Gamay skinęła głową.

- Nie mogę zapomnieć tamtych biednych mutantów. Były martwe za życia.

- Mam wielką chęć dać komuś w pysk. - Paul uderzył z całej siły dłonią w kierownicę.

Gamay zaskoczył ten niespodziewany wybuch. Uniosła brwi.

- Zanim damy komuś w gębę, będziemy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby zmylić ochronę i przedostać się przez to ogrodzenie.

- To może się nam udać prędzej, niż myślisz - odrzekł z uśmiechem Paul i zaczął przedstawiać Gamay swój plan.

39

Sebastian brutalnie przeszukał Austina, zabrał mu broń i popchnął go w kierunku schodów. Weszli po nich do korytarza w kształcie litery Y i wspięli się po drewnianej drabinie do lodowej jaskini. Z jej wnętrza dobiegł głośny syk i biały obłok pary przesłonił wejście. Para była gorąca, Austin przymknął oczy, a kiedy je otworzył, zobaczył majaczącą we mgle czyjąś sylwetkę.

Sebastian krzyknął coś do niej. Z kłębow pary, niczym magik wchodzący na scenę, wyłonił się Emil Fauchard. Na widok Austina jego bladą twarz wykrzywił grymas wściekłości, widać było, że z trudem panuje nad sobą. Po chwili uśmiechnął się ponuro i teraz sprawiał jeszcze gorsze wrażenie. Zamknął zawór przy wylocie węża, który przytrzymał - mgła rozplynęła się.

- Cześć, Austin - odezwał się tonem ostrym jak nóż. - Sebastian i ja mieliśmy nadzieję, że się jeszcze z tobą spotkamy po tym, jak wyszedłeś z przyjęcia bez pożegnania. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się ciebie tutaj. Myślałem, że pojedziesz do zamku ratować swoją damę.

- Brakowało mi ciebie, tej twojej uroczej zmijowatej osobowości - odrzekł chłodno Austin. - I nie miałem jeszcze dotąd okazji podziękować ci za to, że pożyczyłeś mi swój samolot. Dlaczego zabiłeś Lessarda?

- Kogo?

- Kierownika elektrowni.

- Kiedy osuszył tunele, przestał być potrzebny. Pozwoliłem mu żyć do ostatniej chwili, mieć do końca nadzieję, że uda mu się zatrzymać turbinę i sprowadzić pomoc. - Fauchard roześmiał się na to wspomnienie.

Austin uśmiechnął się, jakby aprobował jego poczucie humoru. Miał szaloną ochotę skrócić Emilowi kark, musiał jednak zmobilizować całą wewnętrzną dyscyplinę, by powstrzymać niebezpieczny odruch. Grał obecnie na zwłokę, wiedząc, że teraz jeszcze nie może się zemścić.

- Widziałem na jeziorze twój hydroplan - powiedział. - Trochę za zimno na nurkowanie.

- Doceniam twoją troskę. Morane-saulnier był dokładnie tam, gdzie mówiłeś. Austin rozejrzał się dookoła.

- Zadałeś sobie mnóstwo trudu, żeby zatopić to miejsce. Po co je znowu osuszyłeś?

Emil przestał się uśmiechać i zmarszczył brwi.

- Początkowo chcieliśmy, żeby ciało Jules'a pozostało ukryte przed wścibskimi oczami świata.

- A czemu zmieniliście zdanie?

- Moja matka postanowiła wydobyć zwłoki Jules'a.

- Nie wiedziałem, że rodzina Fauchardów żywi tak wielki sentyment do krewnych.

- Nie wiesz o nas jeszcze wielu rzeczy.

- Cieszę się, że zdążyłem na uroczystość ekshumacji. Jak się miewa nieboszczyk?

- Sam zobacz - odrzekł Emil i odsunął się na bok.

Część lodowej ściany została roztopiona i odłupana. Jules Fauchard spoczywał w błękitnej grocie na podwyższonej platformie, jakby złożono go w ofierze bóstwu lodowca. Leżał skulony w pozycji embrionalnej. Wciąż miał na sobie ciężki skórzany płaszcz lotniczy i uprząż spadochronu pozbawionego czaszy. Był w rękawicach i czarnych wysokich butach, które lśniły jak świeżo wypolerowane. Mimo, że od jego śmierci upłynęło prawie sto lat, zwłoki uwiecznione w lodzie zachowały się w bardzo dobrym stanie. Skóra na twarzy i rękach pozostała gładka i ciemna, podkręcone do góry wąsy pokrywał szron.

Orli nos i mocna szczęka odpowiadały rysom mężczyzny na portrecie w rodzinnej galerii Fauchardów. Austina szczególnie zainteresował otwór po pocisku w skórzanej pilotce obszytej futrem.

- To miłe, że wasza sentymentalna rodzina podarowała Jules'owi pożegnalny prezent - powiedział.

- O czym ty mówisz?

- O kuli w jego głowie. - Austin wskazał dziurę w czapce. Emil uśmiechnął się drwiąco.

- Jules, kiedy go zestrzelono, leciał na spotkanie z emisariuszem papieskim. Miał przy sobie dokumenty, mogące stanowić dowód na to, że nasza rodzina jest współodpowiedzialna za wybuch pierwszej wojny światowej. Chciał też zaoferować światu odkrycie naukowe, które byłoby dobrodziejstwem dla całej ludzkości. Miał nadzieję zapobiec wojnie.

- To chwalebne i niezwykle jak na Faucharda - zauważył Austin.

- Jules był idiotą. No i widać, dokąd go zaprowadził jego altruizm.

- Co się stało z dokumentami, które miał przy sobie?

- Zniszczyła je woda.

- Więc to wszystko było wielką stratą czasu.

- Wcale nie. Ty tu jesteś. Kiedy się z tobą rozprawię, będziesz żałował, że nie skończyłeś skutu kajdankami w katakumbach zamku. - Emil wskazał nierówną krawędź otworu jaskini. - Widzisz? Lód już się formuje z powrotem. Za kilka godzin ten grobowiec znów będzie szczelnie zamknięty. Ale tym razem ty także znajdziesz się w środku. Dotrzymasz towarzystwa Jules'owi.

Gdzie jest Zaval, co cholery? - myślał Austin gorączkowo.

- Mówiłeś, że twoja matka chce wydobyć jego ciało.

- Ale mnie jego ciało w ogóle nie obchodzi. Moja matka nie będzie rządziła wiecznie. To ja zapewnię Fauchardom największe sukcesy. Dostyc tego, Austin. Znudziły mi się twoje żalosne wysiłki, żeby odwlec to, co cię czeka. Ukradłeś mój samolot i omal go nie zniszczyłeś. Narobiłeś mi masę kłopotów. Włóż tam i stawaj obok Jules'a.

Austin nie ruszył się z miejsca.

- Twoja rodzina miała i ma gdzieś oskarżenie o współudział w rozpoczęciu wojny. Było publiczną tajemnicą, że tak jak inni handlarze bronią chcecie, żeby padły strzały. Chodziło o coś ważniejszego. Jules znał formułę wiecznej młodości.

- Co o tym wiesz? - Cięń niepokoju przemknął przez twarz Emila.

- Wiem, że Fauchardowie zniszczą każdego, kto stanie im na drodze do osiągnięcia celu, którym jest nieśmiertelność. - Austin zerknął na zamrożone zwłoki Jules'a. - Gdy w grę wchodziło źródło wiecznej młodości, nawet życie członka rodziny przestało się liczyć.

Emil przyjrzał się uważnie Austinowi.

- Jesteś inteligentnym facetem, Austin. Chyba przyznasz, że tajemnica wiecznego życia jest warta zabójstwa?

- Owszem - powiedział Austin ze złowrogim uśmiechem - jeśli to ty miałbyś zginąć.

- Tracisz dobre maniery - zachichotał Emil. - Pomyśl o otwierających się nieograniczonych możliwościach. Światem mogłaby rządzić elitarna grupa nieśmiertelnych ludzi dysponujących doświadczeniem i wiedzą stuleci. Dla zwykłych śmiertelników bylibyśmy bogami.

Austin spojrział szybko na wiernego sługę Emila.

- A co z Sebastianem? Dołączy do twojej elitarnej grupy czy pozostanie zwykłym śmiertelnikiem?

Pytanie zaskoczyło Emila.

- Oczywiście, że dołączy - odparł po chwili. - Jego lojalność zapewni mu miejsce w moim panteonie. Przyłączysz się do mnie, stary przyjacielu?

Osilek otworzył usta, ale się nie odezwał. Wyczuł wahanie w głosie Emila i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Austin wykorzystał ten moment niepewności.

- Nie licz na to, że będziesz żył wiecznie, Sebastianie. Matka Emila chce cię wyeliminować.

- On kłamie - warknął Emil.

- Po co miałbym kłamać? Twój szef, Sebastianie, zamierza mnie zabić bez względu na to, co powiem. Madame Fauchard oznajmiła mi na balu maskowym, że kazała Emilowi pozbyć się ciebie. Obaj wiemy, że Emil jest zawsze posłuszny matce.

Na twarzy Sebastiana odmalowało się zważenie. Emil zorientował się, że traci kontrolę nad sytuacją.

- Przestrzel mu ręce i nogi - rozkazał. - Tylko uważaj, żebyś go nie zabił. Chcę, żeby błagał o śmierć.

Sebastian nadal stał nieruchomo.

- Jeszcze nie - odparł. - Chcę usłyszeć więcej.

Emil zaklął wściekle, wyrwał mu pistolet i wycelował w kolano Austina.

- Tu dojdiesz wkrótce do wniosku, że za długo żyjesz.

Austin zyskał trochę czasu, starając się nastawić Sebastiana wrogo do Emila, ale zrozumiał, że intryga się nie udała. Więzy, które istniały między panem i sługą, były zbyt silne, żeby mogło je zniweczyć kilka wątpliwości. Przygotował się na potworny ból. Ale zamiast strzału, usłyszał głośny syk w korytarzu poza lodową jaskinią. Chwilę później do środka buchnęła para.

Emil odruchowo odwrócił głowę w kierunku źródła hałasu. Austin rzucił się naprzód schylony w postawie bokserkiej i wałnął go prawą pięścią w splot słoneczny. Fauchard gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, kolana ugięły się pod nim, pistolet wypadł z ręki.

Widząc, że jego pan został zaatakowany Sebastian spróbował złapać Austina za szyję. Austin nie wykonał uniku, lecz natarł na niego, wyprostował ramię i uderzył go otwartą dłonią w podbródek. Sebastian zatoczył się, Austin odepchnął go barkiem na bok i wpadł sprintem w gęstą chmurę pary.

- Tutaj, Kurt! - Usłyszał krzyk Zawali.

Jego przyjaciel stał w korytarzu i trzymając ucięty wąż, z którego tryskała gorąca woda, polewał ściany, dzięki czemu tworzyły się kłęby pary. Rzucił wąż, chwycił Austina za ramię i przeprowadził go przez białą mgłę. Za sobą usłyszeli wściekłe okrzyki Emila.

Huknęły strzały. Austin i Zawała zbiegali już po schodach i pociski przeszły nad nimi. Z przyczepy mieszkalnej wyskoczyli pozostali ludzie Faucharda, spostrzegli uciekinierów i ruszyli w pościg. W tunelu Zawała odwrócił się i dwukrotnie nacisnął spust. Wciąż utykał, ale biegł dalej. Dotarli do śluzy, którą niegdyś Sebastian wysadził w powietrze. Zdażyli dać nura w głąb otworu sekundę wcześniej, nim nadleciał grad pocisków.

Austin zaczął szukać po kieszeniach mapy systemu tuneli. Nie znalazł jej. Przypomniał sobie, że zostawił ją w Citroenie. Musieli jakoś wrócić do Fifi. Odtworzył w pamięci schemat labiryntu korytarzy. Przepływem wody można było sterować tak jak przebiegiem prądu elektrycznego przez obwody sieci.

Skierowali się w stronę Citroena, ale zatrzymał ich dźwięk głosów dobiegających z tunelu przed nimi. Skręcili w inny korytarz i udało im się wrócić okrężną drogą do wybranej trasy. Ale stracili cenne minuty i Fauchard zdążył zorganizować pościg. Austin nie był zaskoczony, gdy usłyszał, jak za nim Emil nawołuje swoich ludzi.

Ostrożność nie pozwalała Austinowi i Zawalowi uciekać zbyt szybko, ale teraz przyspieszyli. Skręcili w prawo i lewo, polegając głównie na instynkcie Austina i jego wewnętrznym kompasie. Mimo wycucia kierunku Austin stracił w końcu orientację. Głos Emila słychać było coraz bliżej. Gdy Austin zaczął się poważnie obawiać, że nie uda się im uciec, dotarli do skrzyżowania dwóch tuneli. Austin wpatrzył się w mrok.

- Wygląda znajomo - powiedział Zavala.
- Jesteśmy niedaleko kabiny kontrolnej - odrzekł Austin.

Skreśli w prawo, w tunel, który powinien ich doprowadzić do Fifi, ale po kilku krokach przystanąli. Zbliżyły się do nich męskie głosy. Wrócili biegiem do skrzyżowania i wybrali drogę na wprost, lecz zatrzymała ich zamknięta śluza. Znow zawrócili. Z korytarza na lewo dochodził daleki odgłos ciężkich kroków.

- Otoczyli nas - mruknął Zavala.

W głowie Austina zrodził się nagle desperacki plan. Skreślił w lewo. Zavala zatrzymał się.

- Zaczekaj, Kurt. Tam też są bandziory Faucharda.
- Zaufaj mi - odparł Austin. - Tylko szybko. Nie mamy chwili do stracenia.

Zavala wzruszył ramionami i popędził sprintem za Austinem w głąb mrocznego tunelu. Kiedy w biegu rozchlapywali kałuże, mamrotał pod nosem po hiszpańsku. Odkąd wstąpił do Zespołu Specjalnego NUMA, wiele razy pracował z Austinem w terenie. Miał do niego pełne zaufanie, ale czasami Austin zachowywał się całkowicie irracjonalnie - tak jak teraz - i wystawiał to zaufanie na ciężką próbę.

Zavala wyobraził sobie, jak zderzają się z bandziorami Faucharda niczym nieudolni gliniarze w niemych komediach filmowych. Dotarli jednak bez przeszkód do kabiny kontrolnej i wspięli się po drabince na pomost. Ludzie Emila wyłonili się z mroku i na widok uciekinierów z głośnymi okrzykami triumfu przypuścili szturm na platformę.

Pociski odbijały się z brzękiem od metalowego pomostu, ściany tunelu potęgowały odgłos rykoszetów. Austin wskoczył do kabiny kontrolnej, pociągnął za sobą Zavale i zatrzasnął drzwi. Inni ludzie Faucharda usłyszeli strzały, przybiegli pod platformą i przyłączyli się do atakujących. Grad pocisków zasypał kabinę, szyby się rozprysły, długie serie z broni automatycznej mogły wkrótce podziurawić stalowe ściany.

Austin przeczołgał się po podłodze zasypanej odłamkami szkła, uklęknął i trzymając nisko głowę, sięgnął do klawiatury na panelu. Na ekranie pojawił się diagram systemu tuneli. Hałas pocisków uderzających w kabinę był ogłuszający i Austin miał trudności z koncentracją. Wpisał do komputera kilka poleceń i kolory na diagramie zaczęły się zmieniać.

Zavala zaczął się podnosić, licząc na to, że uda mu się oddać jeden lub dwa strzały, ale Austin pociągnął go w dół.

- Odstrzelą ci głowę - zawołał, przekrzykując hałas rykoszetujących pocisków.
- Lepiej głowę niż dupę - odkrzyknął Zavala.
- Zaczekaj - polecił Austin.
- Na co mam czekać?
- Na grawitację.

Odpowiedź Zavali zagłuszyła kolejna seria. Potem ogień nagle ustał i usłyszeli drwiący głos Emila.

- Austin i ten drugi! Podoba wam się widok? Austin położył palec na ustach.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Emil zaczął mówić dalej.

- Nie bądź taki nieśmiały, Austin. Chcę, żebyś usłyszał, jakie plany ma moja matka wobec twojej przyjaciółki. Zamierza zrobić jej operację plastyczną. Kiedy będzie po wszystkim, nie poznasz jej.

Austin miał już dosyć Faucharda. Dał znak Zavali, żeby podał mu swój pistolet, po czym przysunął się bliżej ściany kabiny i położył palec na spuście. Wbrew temu, co radził przyjacielowi, podniósł się tak nagle, jak kukiełka w teatryku marionetek, strzelił i spadł znowu na podłogę. Celował w kierunku, z którego dobiegał głos Emila, ale chybił. Ludzie Faucharda rozbiegli się w poszukiwaniu osłony. Kiedy zobaczyli, że ostrzał ustał, znowu zasypali kabinę gradem pocisków.

- Teraz im pokazałeś - zawołał Zavala przez hałas.
- Emil zaczął mnie wkurzać.

- Trafiłeś go?
 - Niestety nie. Sebastian też nie dostał. Ale facet obok niego oberwał.
 - Szkoda, że tylko on - krzyknął Zavalą, podnosząc głos o kilka decybeli. - Ale to dobra strategia. Może zabraknie im amunicji.

Pociski zaczęły dziurawić podłogę kabiny. Austin wiedział, że musi przerwać szturm i zyskać na czasie.

- Masz białą chusteczkę? - zapytał Zavalę.

- Wybrałeś sobie fajny moment na wycieranie nosa - odparł Zavalą, schylając się przed rykoszetem od ściany. Poznał po minie Austina, że Kurt nie żartuje, i sięgnął do tylnej kieszeni. - Mam moją wielozadaniową apaszką meksykańską. - Wyciągnął czerwoną chustą i wręczył Austinowi.

- Może być - powiedział Austin i przywiązał ją do lufy pistoletu. Wsunął prowizoryczną flagę przez drzwi i pomachał nią.

Ogień znów ustał. W tunelu odbił się echem głośny śmiech Emila.

- Co to za szmata, Austin? Nie jestem bykiem.

- Nie mam białej flagi - odkrzyknął w dół Austin.

- Białej flagi? Nie mów mi, że ty i twój kumpel chcecie się poddać.

Austin zaczął nasłuchiwać. Wydało mu się, że z oddali dobiega szmer przypominający cichy szum przyboju. Ale dzwoniło mu w uszach od huku strzałów i nie był pewien, co słyszy.

- Źle mnie zrozumiałeś, Fauchard.

- Więc po co wywijasz tą śmieszoną ścierką?

- Chcę się pożegnać, zanim nadjedzie pociąg towarowy.

- Odbiło ci, Austin?

Szmer zamienił się w cichy grzmot.

Emil dał rozkaz, żeby otworzyć ogień. Wokół znów zagwizdały pociski. Serie dziurawiły ściany. W ciągu kilku najbliższych minut kabina mogła się stać osłoną nie lepszą niż ser szwajcarski, który już zaczynała przypominać.

Nagle ogień ustał.

Ludzie Faucharda poczuli wibracje. Kiedy przestali strzelać i zapadła cisza, oni też usłyszeli odległy grzmot.

Austin wstał i wyszedł na pomost. Emil wyglądał na zdezorientowanego. Spojrzał w górę, zobaczył Austina i zrozumiał, że przegrał.

- Na razie wygrałeś, Austin - krzyknął i pogroził mu pięścią - ale jeszcze się spotkamy.

Austin wyszczerzył zęby w uśmiechu i wrócił do kabiny. Chwycił się metalowej podpory blatu konsoli i powiedział Zavalą, żeby zrobił to samo.

Emil wykrzyczał ostatnią pogroźkę, potem odwrócił się i rzucił do ucieczki, jego ludzie poszli w ślad za nim. Sebastian pobiegł ciężko za nimi.

Ale było już za późno.

Zanim minęło kilka sekund, uderzyła w nich wielka fala i zmiotła wszystkich niczym gigantyczna szczotka. Wśród piany widać było przez moment głowy i machające ramiona. Na tle ciemnej wody odcinała się blada twarz Sebastiana. Potem wszyscy zniknęli.

Poprzednią powódź w tunelu Austin i Zavalą przeczekali w szczelnej i suchej kabinie, ale tym razem woda wdarła się do środka przez wybite okna i zalała pomieszczenie. Musieli z całej siły trzymać się metalowej podpory, żeby ich nie zmyła.

W momencie kiedy niemal zabrakło im powietrza w płucach, poziom wody zaczął opadać.

Wstali chwiejnie i wyrzeli poza poszarpane ramy okna, z którego nic poza nim nie zostało.

Zavalą patrzył na rwącą rzeką pod ich stopami, jego twarz przybrała zdumiony wyraz.

- Skąd wiedziałeś, że nadchodzi przypływ?
 - Otworzyłem i zamknąłem kilka śluz w innej części systemu tuneli i skierowałem wodę tutaj.

- Mam nadzieję, że Fauchard i jego wszyscy kołesi potonęli. - Zavala uśmiechnął się z satysfakcją.

- Chyba już po nich - przytaknął Austin.

Na szczęście panel obsługowy miał osłonę wodoszczelną, więc nie uległ uszkodzeniu. Austin wystukał na klawiaturze parę nowych poleceń.

Rwąca rzeka zamieniła się w końcu w wąski strumień. Austin i Zavala dygotali z zimna w mokrych ubraniach. Musieli wydostać się z labiryntu tuneli, wysuszyć i ogrzać, zanim dostaną hipotermii. Zeszli po drabince. Tym razem nikt nie próbował ich zatrzymać.

Ruszyli przed siebie, nie wiedząc, dokąd idą, szcękając zębami z zimna. Baterie w ich latarkach zaczęły się wyczerpywać, ale brnęli naprzód, bo nie mieli innego wyjścia. Gdy już niemal stracili nadzieję, że się stąd kiedykolwiek wydostaną, zobaczyli przed sobą znany kształt.

- Fifi! - krzyknął uradowany Zavala.

Citroen, porwany przez falę, stał w poprzek tunelu, cały pokryty mułem. W wielu miejscach z jego karoserii odprysnął lakier - najwyraźniej samochód obijał się o ściany. Austin otworzył drzwi. Mapa pływała w kilkunastocentymetrowej warstwie wody, która zebrała się na podłodze. Kluczyk nadal tkwił w stacyjce. Austin spróbował uruchomić silnik, ale rozrusznik nie zareagował.

Zavala pomajstrował pod maską i polecił Austinowi, by spróbował raz jeszcze. Teraz silnik zaskoczył.

- Luźny przewód akumulatora - powiedział Zavala, wsiadając do samochodu.

Kraźyli tunelami przez pół godziny, zanim zorientowali się, gdzie są. Następne pół godziny zajęło im szukanie wyjścia z labiryntu. Silnik pracował już na oparach benzyny, gdy zobaczyli przed sobą szare światło dnia. Chwilę później wyjechali z wnętrza góry.

- Co dalej? - zapytał Zavala.

Austin nie zastanawiał się nawet przez moment.

- Chateau Fauchard - powiedział.

40

Kiedy Skye była małą dziewczynką, ojciec zabrał ją do katedry Notre Dame, gdzie po raz pierwszy zobaczyła gargulca. Groteskowe oblicze w górze wyglądało jak potwór z jej najbardziej koszmarnych snów. Ojciec uspokoił ją, że gargulce to tylko wyloty rynien, nic więcej. Skye zastanawiała się wówczas, czemu tak utalentowani rzeźbiarze nie stworzyli zamiast nich czegoś pięknego, ale pozbyła się dziecięcych lęków. Teraz, gdy otworzyła oczy, gargulec z jej niespokojnych snów powrócił. Co gorsza, mówił do niej.

- Witamy po powrocie, mademoiselle - powiedziały usta wykrzywione w grymasie okrucieństwa. - Brakowało nam pani.

Twarz należała do Marcela, jajogłowego szefa prywatnej armii Fauchardów.

- Przyjdę po ciebie za piętnaście minut. Nie każ mi czekać - odezwał się ponownie.

Skye poczuła wzbierającą w niej falę mdłości i przymknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła, Marcela nie było.

Rozejrzała się i poznała pokój, w którym przebierała się w kostium kota na bal maskowy u Fauchardów. Przypomniała sobie, że szła do swojego mieszkania, spotkała amerykańską parę zagubioną w Paryżu, poczuła ukłucie w pośladek i straciła przytomność.

Dobry Boże, zostałam porwana, uświadomiła sobie nagle.

Usiadła na łóżku i opuściła nogi na podłogę. Metaliczny smak w ustach był zapewne skutkiem środka chemicznego, który jej wstrzyknięto, żeby ją uspić. Wzięła głęboki oddech i wstała. Pokój zaczął wirować wokół niej. Zataczając się, doszła do łazienki i zwymiotowała do umywalki.

Kiedy spojrzała w lustro, ledwo rozpoznała siebie samą. Była trupio biała, włosy miała w nieładzie. Wypluła usta, ochlapała twarz zimną wodą i poczuła się lepiej. Zaczesała palcami włosy do tyłu i wygładziła pogniecione ubranie, na ile się dało.

Była gotowa, kiedy kilka minut później Marcel bez pukania otworzył drzwi i przywołał ją gestem. Poszli przez długie korytarze wyłożone dywanami. Gdy przechodzili wzdłuż galerii portretów, Skye szukała wzrokiem podobizny Jules'a Faucharda, ale obraz zniknął, pozostało po nim puste miejsce na ścianie. Zatrzymali się przed gabinetem madame Fauchard.

Marcel uśmiechnął się dziwnie do Skye, potem zapukał cicho, otworzył drzwi i wepchnął ją do środka. Przy biurku Racine siedziała tyłem do Skye jakaś jasnowłosa kobieta. Patrzyła w okno. Na dźwięk zamykanych drzwi odwróciła się na obrotowym krześle i spojrzała na Skye.

Kobieta przekroczyła chyba czterdziestkę, miała jasną cerę i szare bystre oczy. Rozchyliła czerwone, niemal lubieżne wargi.

- Witam, mademoiselle. Czekaliśmy na pani powrót. Opuściła nas pani w bardzo spektakularny sposób.

Skye zakreśliło się w głowie. Zastanawiała się, czy to jeszcze efekt działania środka usypiającego.

- Niech pani siada. - Kobieta wskazała krzesło na wprost biurka. Skye wykonała polecenie. Poruszała się jak zombi.

- Coś nie tak? Wygląda pani na zdenerwowaną.

Skye była raczej oszołomiona niż zdenerwowana. Kobieta mówiła głosem Racine Fauchard, który nie miał starczego brzmienia, ale z tym samym twardym akcentem. Skye przychodziły do głowy dziwne myśli. Czy to córka Racine? A może brzuchomówczyni?

W końcu odzyskała mowę.

- Czy to jakaś sztuczka?

- Nie. To, co pani widzi, nie jest żadną iluzją.

- Madame Fauchard? - zapytała Skye niepewnie.

- We własnej osobie, moja droga - odrzekła Racine z nieprzyjemnym uśmiechem. - Tyle że teraz ja jestem młoda, a pani stara.

Skye zachowała swój sceptycyzm.

- Musi mi pani dać nazwisko swojego chirurga plastycznego - powiedziała. W oczach kobiety na moment błysnął gniew. Wstała z krzesła i poruszając się miękko, okrążyła biurko. Pochyliła się nad Skye, wzięła jej dłoń i przyłożyła do swojego policzka.

- Nadal pani uważa, że to robota chirurga?

Ciało było ciepłe i jędrne, kremowa skóra idealnie gładka.

- To niemożliwe - wyszeptała Skye.

Racine Fauchard puściła jej rękę, wyprostowała się i wróciła na swoje miejsce. Złączyła końce długich, szczupłych palców. Skye zauważyła, że nie były już zdeformowane.

- Niech się pani nie obawia - powiedziała Racine. - Nie zwariowała pani. Jestem tą samą osobą, która zaprosiła panią i pana Austina na bal kostiumowy. Mam nadzieję, że pani partner miewa się dobrze.

- Nie wiem - odrzekła ostrożnie Skye. - Dawno go nie widziałam. Jak...

- Jak przeistoczyłam się ze starej baby w młodą piękność? - dokończyła Racine, a jej oczy przybrały na chwilę rozmarzony wyraz. - To bardzo długa historia. Byłaby dużo krótsza, gdyby Jules nie uciekł z hełmem. - Wymówiła jego imię z wyraźną niechęcią. - Moglibyśmy sobie oszczędzić kilkudziesięciu lat badań.

- Nie rozumiem.

- Zna się pani na zbrojach. Co może pani powiedzieć o naszym hełmie?

- Jest bardzo stary. Ma co najmniej pięćset lat. Sporządzono go ze stali wyjątkowo wysokiej jakości. Żelazo mogło pochodzić z meteorytu.

Madame Fauchard uniosła brwi.

- Bardzo dobrze. Hełm rzeczywiście zrobiono z kosmicznego metalu i jego wytrzymałość uratowała w walce życie niejednemu Fauchardowi. W ciągu wieków przetapiano go i ponownie odlewano. Rodzina przekazywała go prawdziwym przywódcom Fauchardów. Zgodnie z prawem należał do mnie, nie do mojego brata Jules'a.

Sens tych słów nie od razu dotarł do Skye.

- Pani brata?

- Zgadza się. Jules był o rok ode mnie młodszy.

Skye próbowała obliczyć lata, ale w jej głowie panował zbyt wielki zamęt.

- To znaczy, że pani...

Racine uśmiechnęła się omdlewająco.

- Nie wypada pytać kobiety o wiek. Ale wybawię panią z kłopotu. Dawno weszłam w drugie stulecie.

- Nie wierzę. - Skye pokręciła głową.

- Pani sceptycyzm sprawia mi przykrość - powiedziała madame Fauchard, ale wyraz jej twarzy przeczył słowom. - Chce pani poznać szczegóły?

Skye zawahała się. Ciekawość naukowca walczyła w niej z obawą.

- Widziałam, co spotkało Cavendisha, który za dużo wiedział o pani sprawach.

- Lord Cavendish był nudziarzem i gadułą. Ale pochlebia pani sobie, moja droga. Kiedy będzie pani w moim wieku, nauczy się pani myśleć perspektywicznie. Nie przyda mi się pani martwa. Żywa przynęta zawsze jest lepsza.

- Przynęta? Na co?

- Nie na co, tylko na kogo. Na Kurta Austina, oczywiście.

41

Parę minut po piątej robotnicy zatrudnieni w winnicach Fauchardów zakończyli pracę rozpoczętą o wschodzie słońca. Kiedy wracali do swoich prymitywnych kwater, po gruntowych drogach prowadzących wśród falistych wzgórz toczyły się ciężarówki wyładowane świeżo zebranymi winogronami, zmierzając ku bramie w metalowym ogrodzeniu pod napięciem. Znudzony wartownik wpuszczał samochody za bramę i kierował ku szopie, gdzie owoce miały być wyładowane, a następnie ugniecione i poddane fermentacji.

Kiedy ostatnia ciężarówka dojechała do celu i zwołniała, by się za chwilę zatrzymać, ze skrzyni ładunkowej zeskoczyły dwie postacie i wbiegły do lasu. Zadowoleni, że nikt ich nie zauważył, Austin i Zavalą otrzepali ubrania z kurzu i próbowali zetrzeć sok winogronowy z twarzy i rąk, ale tylko go rozmazali. Zavalą wypluł wilgotną ziemię.

- Ostatni raz dałem się wmanewrować Troutowi w jeden z jego obłądnych planów. Jak my wyglądamy?

Austin wyciągał spokojnie jedną po drugiej gałązki z włosów.

- Musisz przyznać, że to był genialny pomysł. Któż by wpadł na to, że ktoś przebierze się za kiście winogron?

Plan Trouta był prosty. On i Gamay jeszcze raz pojechali do winnic. Tym razem na tylnym siedzeniu ukryli się Austin z Zavalą. Paul zatrzymał auto i Troutowie wysiedli, żeby przywitać się z Marchandem, brygadzystą zbieraczy winogron, którego poznali w czasie pierwszej wizyty w winnicach Fauchardów. Kiedy z nim gawędzili, przed ich samochodem przystanęła ciężarówka. Austin i Zavalą zaczekali, aż zostanie załadowana, wymknęli się z auta, wdrapali na skrzynię i zagrzebali w winogronach.

Ciemny las przypominał scenię z powieści Tolkiena. Austin wziął ze sobą urządzenie, którego mógłby mu pozazdrościć czarnoksiężnik Gandalf. Miniaturowy odbiornik GPS wskazywał lokalizację zamku z dokładnością do kilku metrów. Na początku wędrówki, idąc przez las, korzystali również z kompasu.

Między drzewami rosły gęste krzewy jeżyn, stopy grzęzły w grubym poszyciu i można by odnieść wrażenie, że Fauchardowie zarazili swoją wrogością florę wokół ich rodowej siedziby. Kiedy zaczęło zachodzić słońce, w lesie zrobiło się ciemno. Austin i Zavalą, brnąc w gęstniejącym mroku, potykali się o korzenie, ostre ciernie czepiały się ich ubrań. W końcu wydostali się z lasu na gruntową drogę, która łączyła się z siecią często uczęszczanych szlaków. Austin wciąż spoglądał na ekran odbiornika GPS. Urządzenie potwierdziło swoją wartość, po jakimś czasie za drzewami pojawiły się światła na wieżach Chateau Fauchard.

Przykucnęli na skraju lasu i przez chwilę obserwowali samotnego strażnika, który patrolował teren wzdłuż fosy. Kiedy skręcił za róg zamkowego muru, Austin włączył stoper w swoim zegarku.

- Mamy fart - odezwał się Zavalą. - Tylko jeden ochroniarz.

- Wcale mi się to nie podoba - odrzekł Austin. - Krótco znam Fauchardów, ale wiem, że zawsze czuwają nad swoim bezpieczeństwem.

Jeszcze dziwniejsze wydało mu się to, że zwodzony most był opuszczony, a krata w bramie podniesiona. Woda w fontannie ozdobionej motywami wojennymi szemrała cicho i melodyjnie. Panujący wokoło spokój wyraźnie kontrastował z tym, co się tutaj działo podczas pierwszej wizyty Austina, kiedy wpadł rolls-royce'em do fosy pod gradem pocisków. Wszystko w mocno podejrzanym sposobie zachęcało do wejścia.

- Myślisz, że to pułapka? - zapytał Zavalą.

- Brakuje tylko dużego kawałka żółtego sera.

- Jaki mamy wybór?
- Ograniczony. Możemy się wycofać albo iść naprzód i starać się stale wyprzedzać o krok naszych przeciwników.
- Mam dosyć winogron - odparł Zavalą. - Jaka jest twoja strategia odwrotu?
- Austin klepnął go w ramię.
- Czeka cię ekscytujące zwiedzanie Chateau Fauchard, a ty już chcesz wracać?
- Wybacz, ale nie jestem tak zblazowany jak ty. Liczyłem na mniej efektowne wyjście niż skok rollsem do fosy.
- Austin wzdrygnął się na to wspomnienie.
- Okay. Plan jest taki. Zaproponujemy im wymianę. Emil za Skye.
- Niezły pomysł - przyznał Zavalą. - Jest tylko jeden mały problem. Spuścisz Emila do kanału.
- Ale madame Fauchard nie wie o tym. A zanim się dowie, będziemy daleko.
- Nie wstyd ci oszukiwać starszą panią? - Zavalą zagryzł wargi i zastanawiał się przez chwilę. - Podoba mi się to, ale co będzie, jeśli ona nie chwyci przynęty? Wezwiemy żandarmów?
- Chciałbym, żeby to było takie proste, przyjacielu. Wyobraź sobie taką scenę. Gliny pukają do drzwi zamku i Fauchardowie mówią: „Szukajcie, ile chcecie”. Byłem w tych katakumbach. W tym labiryncie można ukryć całą armię. Mogłyby minąć tygodnie, zanim znalazłby Skye.
- A czas nie jest naszym sprzymierzeńcem. Austin zamyślił się.
- Godzina ma wartość stu lat - mruknął, patrząc na zegarek.
- To z jakiejś filozoficznej książki z twojej kolekcji? - zapytał Zavalą. Austina zawsze pasjonowała filozofia. Półki w jego domu w przebudowanej przystani wodnej nad Potomakiem były zapchane dziełami wielkich myślicieli.
- Nie - odparł w zadumie. - To słowa, które usłyszałem od doktora MacLeana.
- Ochroniarz na patrolu wyłonił się z drugiej strony zamku i przestali rozmawiać. Austin wyłączył stoper w zegarku. Strażnik obszedł budynek w ciągu szesnastu minut.
- Kiedy zaczął następne okrażenie, Austin dał znak Zawali. Przemknęli przez otwartą przestrzeń, dobiegli wzdłuż fosy do łukowego kamiennego mostu, potem wpadli sprintem przez zwodzony most na dziedziniec. W czarnych ubraniach byli prawie niewidoczni w cieniu zalegającym u podstawy muru.
- W oknach na pierwszym piętrze zamku płonęły światła, ale nikt nie patrolował najbliższego terenu. Austin stał się jeszcze bardziej czujny.
- Przekonał się, że instynkt go nie zawodzi, gdy dotarli do furtki zagrządzającej schody na blanki. Kiedy sprawdzał ją ze Skye, była zaryglowana. Teraz stała otworem, jakby zapraszała do wejścia na mury i spaceru wąskim pomostem do wieży. Austin miał inne plany. Poprowadził Zavalę przez brukowane podwórze na tyły zamku i zeszli po kilku kamiennych stopniach do drewnianych drzwi z żelaznymi okuciami.
- Poruszył klamką. Były zaryglowane. Wyjął z torby małą wiertarkę i piłę ręczną. Przewiercił drewno w paru miejscach i wypiłował okrągły otwór. Sięgnął do środka, uniósł antabę i otworzył drzwi. Z katakumb powiało cuchnącą stęchlizną, która kojarzyła się z oddechem śmierci. Włączyli latarki, weszli do środka i zamknęli za sobą drzwi.
- Zeszli w dół po kilku krótkich kondygnacjach schodów. Austin zatrzymał się na chwilę w lochu, gdzie Emil złożył krwawy hołd Edgarowi Allanowi Poemu. Wahadło wisiało nad drewnianym stołem, ale ciało nieszczęsnego Anglika, lorda Cavendisha, zniknęło.
- Austin zabrnął parokrotnie w ślepe zaułki, ale marynarski zmysł orientacji pozwolił mu znaleźć właściwą drogę. Wkrótce przeszli przez kostnicę i dotarli do zbrojowni. Drzwi nie były zaryglowane. Austin otworzył je jednym pchnięciem i znaleźli się w znajomej mu już

sali. W środku było ciemno, tylko z końca nawy docierał słaby blask, chybotałe żółte światło odbijało się w lśniących zbrojach i broni.

Zawała rozejrzała się.

- Przytulnie tutaj. Lubię połączenie gotyku z heavy metalem. Kto im projektował wnętrza?

- Ten sam facet co markizowi de Sade.

Poszli długą nawą wzdłuż relikwów przeszłości, które dały początek fortunie Fauchardów. Kiedy zbliżyli się z tyłu do konnych rycerzy, światło stało się jaśniejsze. Austin okrążył jeźdźców i zobaczył Skye.

Siedziała na mocnym drewnianym krześle między płonącymi koksownikami twarzą do szarżujących postaci w siodłach. Miała związane ręce i nogi, usta zaklejone taśmą samoprzylepną. U jej boków stały dwie lśniące broje, jakby zamierzały jej bronić przed atakiem ciężkiej kawalerii.

Skye wytrzeszczyła oczy i gwałtownie pokręciła głową. Im bliżej był Austin, tym bardziej się denerwowała. Sięgnął do pochwy po nóż, żeby przeciąć jej więzy, i w tej samej chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zbroja z jego prawej strony zaczęła sunąć ku niemu.

- O, cholera - powiedział z braku lepszego komentarza.

Przy każdym kroku zbroi rozlegał się szcęk. Uniosła miecz i natarła na Austina jak starodawny robot. Austin zaczął się cofać. Zawała zrobił to samo.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał.

- Nie, chyba że zabrałeś ze sobą otwieracz do konserw.

- A nasze pistolety?

- Są za głośne.

Druga zbroja ożyła i poszła w ślady pierwszej. Opancerzone postacie zbliżały się z zaskakującą szybkością. Austin zdał sobie sprawę, że nóż w jego dłoni będzie bezużyteczny jak wykałaczka. Skye szarpała się gwałtownie w więzach.

Austin nie zamierzał dać się pokrajać jak salami. Schylił głowę, rzucił się na pierwszą zbroję i uderzył ją w kolana futbolowym blokiem. Opancerzona postać zachwiała się, wypuściła miecz, po czym zatrzepotała rękami, przechyliła do tyłu, runęła z przeraźliwym hałasem na kamienną podłogę i znieruchomiała.

Druga zbroja zawahała się. Zawała wziął przykład z Austina z równie dobrym skutkiem. Opancerzona postać wylądowała na plecach. Kiedy Austin uwalniał Skye, Zawała pochylił się kolejno nad dwiema leżącymi zbrojami.

- Sztywni - powiedział z dumą. - Im są więksi, tym groźniejszy jest upadek.

- Poczułem się tak, jakbym zatrzymał pojazd bojowy Bradley. Okazuje się, że te wszystkie godziny spędzone na oglądaniu meczów NFL nie były jednak stratą czasu.

- daje się, mówiłeś, że obawiasz się hałasu. Te dwa drobne upadki brzmiały tak, jakby para kościotrupów uprawiała seks na blaszanym dachu.

Austin wzruszył ramionami i delikatnie odkleił taśmę samoprzylepną kneblującą Skye, a następnie pomógł jej wstać z krzesła. Stała na drżących nogach, zarzuciła mu ramiona na szyję i złożyła na jego ustach jeden z najdłuższych i najgorętszych pocałunków, jakie kiedykolwiek zaznał.

- Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę - powiedziała.

Z mroku pobliskiego krużganka dobiegł srebrzysty śmiech. W chybotałym świetle koksowników pojawiła się wysoka smukła postać z twarzą zasłoniętą woalką. Miała na sobie przezroczystą szatę do kostek, w blasku ognia przenikającym przez tkaninę widać było zarysy doskonałej figury.

- Urocze - odezwała się. - Czarujące. Ale czy zawsze musi pan mieć takie dramatyczne wejścia i wyjścia, monsieur Austin?

Zza kobiety wyłonił się Marcel z pistoletem maszynowym w rękach. Z ciemnych kątów wyszło jeszcze sześciu uzbrojonych ludzi. Marcel zabrał broń Austinowi i Zawali.

Austin zerknął na nieruchome zbroje na podłodze.

- Sądząc po tej kupie żelastwa, nie tylko ja mam dramatyczne wejścia.

- Wie pan, że lubię teatr. Był pan na moim balu maskowym. - Bal maskowy...

Zdjęła powoli woalkę i odsłoniła głowę. Na jej ramiona opadły złociste włosy. Powoli, uwodzicielsko pozbywała się przezroczyściej szaty, jakby odpakowywała cenny prezent. Tkanina zsunęła się na podłogę. Kobieta pozostała w obcisłej białej sukni do ziemi. Jej szczupłą talię zdobił złoty pas z trójgłowym orłem. Austin spojrzał w jej zimne oczy i doznał takiego wrażenia, jakby go raził piorun.

Wiedział o tajemniczym działaniu enzymów z Zaginionego Miasta, ale jego umysł nie mógł tego do końca akceptować. Łatwiej było przyjąć do wiadomości, że źle użyty „kamień filozoficzny” może przekształcić ludzi w koszarne potwory, niż wyobrazić sobie, że potrafi stworzyć uderzająco piękną boginię. Spodziewał się, że środek chemiczny przedłuży życie, ale nie przypuszczał, że może cofnąć skutki pięćdziesięciu lat starzenia się.

W końcu odzyskał mowę.

- Widzę, że doktor MacLean odniósł dużo większy sukces niż ktokolwiek mógłby oczekiwać, madame Fauchard - powiedział.

- Niech pan go nie przecenia. Był jak akuszerka odbierająca poród. Formuła życia, która sprawdziła się w moim przypadku, powstała, zanim się urodził.

- Wygląda pani zupełnie inaczej niż kilka dni temu. Jak długo trwała ta transformacja?

- Środek przedłużający życie jest zbyt silny, by od razu można było zażyć całą porcję, trzeba go przyjmować w trzech dawkach. Dwie pierwsze dały taki efekt, jaki pan widzi, w ciągu dwudziestu czterech godzin. Została mi ostatnia.

- Po co jeszcze upiększać lilię?

Porównanie z delikatnym kwiatem sprawiło Racine wyraźną przyjemność.

- Trzecia dawka utrwali efekty dwóch pierwszych. Godzinę po zakończeniu kuracji zacznę moją podróż przez wieczność. Ale dość tej rozmowy o chemii. Może przedstawi mnie pan swojemu przystojnemu przyjacielowi? Nie może oderwać ode mnie oczu.

Zawala nie widział madame Fauchard w jej poprzednim, starszym wcieleniu. Wiedział tylko, że ma przed sobą jedną z najbardziej oszałamiających kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. Mruczał pod nosem po hiszpańsku wyrazy podziwu. Teraz uśmiechnął się lekko. Wycelowana w niego broń nie ostudziła jego zachwyty dla kobiety, która była fizyczną doskonałością.

Austin dokonał prezentacji.

- To mój kolega, Joe Zavala. Joe, przedstawiam ci Racine Fauchard, właścicielkę tej uroczej kupy kamieni.

- Madame Fauchard? - Zawali opadła szczęka.

- Tak, ma pan jakiś problem? - zapytała.

- Nie, nie, ale spodziewałem się kogoś zupełnie innego.

- Monsieur Austin bez wątpienia opisał mnie jako worek kości - odrzekła z błyskiem w oczach.

- Wcale nie - zaprzeczył Zavala, pożerając Racine wzrokiem. - Powiedział, że jest pani inteligentna i czarująca.

Odpowiedź najwyraźniej ją zadowoliła, bo uśmiechnęła się szeroko.

- Widzę, że ludzie z NUMA wyróżniają się nie tylko fachowością, ale również godną uznania rycerskością. Dostrzegłam w panu tę cechę, monsieur Austin, i dlatego wiedziałam, że przybędzie pan na ratunek swojej uroczej bogdanki. - Przyjrzała się ciemnym plamom na jego skórze. - Jeśli chciał pan spróbować naszych winogron, nie musiał pan tarzać się w owocach, dużo prościej było kupić butelkę wina.

- Wasze wino z uwagi na jego cenę jest poza moim zasięgiem - odparł Austin.
- Czy naprawdę sądził pan, że wejdziecie do zamku i nie zostaniecie wykryci? Nasze kamery obserwacyjne dostrzegły was już w momencie, gdy przekraczaliście zwodzony most. Marcel przypuszczał, że wybierzeecie inną drogę, skorzystacie ze schodów na mur zewnętrzny.
- To miło z waszej strony, że zostawiliście otwartą furtkę na blanki.
- Oczywiście był pan za sprytny na to, żeby połknąć przynętę, ale nie spodziewaliśmy się, że trafi pan do nas przez katakumby. Wiedział pan, że zamek jest dobrze strzeżony. Co chciał pan osiągnąć, przychodząc tutaj?
- Miałem nadzieję, że wyjdę stąd z mademoiselle Labelle.
- Cóż, romantyczna wyprawa się nie powiodła.
- Na to wygląda. Ale może otrzymam od pani nagrodę pocieszenia. Podczas naszego pierwszego spotkania obiecała mi pani, że opowie kiedyś o swojej rodzinie. I oto jestem. W zamian chętnie podzielę się z panią tym, co wiem.
- Nigdy nie będzie pan wiedział tyle, ile ja wiem o panu, ale podziwiam pańską zuchwałość. - Urwała na moment, skrzyżowała ramiona i lekko skubnęła się w podbródek. Austin pamiętał, że dawna madame Fauchard miała ten sam odruch. Odwróciła się do Marcela. - Zabierz tamtych dwoje.
- Na twoim miejscu nie robiłbym tego - powiedział Austin do Marcela. Zasłonił sobą Skye. Marcel i jego ludzie ruszyli naprzód, ale madame Fauchard powstrzymała ich gestem ręki.
- Widzę, że pańska rycerskość nie zna granic, monsieur Austin. Proszę się nie obawiać, pańscy przyjaciele będą w pobliżu, w zasięgu pańskiego wzroku. Chcę porozmawiać z panem w cztery oczy.
- Wskazała mu krzesło zwolnione przez Skye i strzeliła palcami. Dwaj ochroniarze wnieśli ciężki średniowieczny fotel tronowy. Usiadła i powiedziała coś po francusku do Marcela. Część jego ludzi odprowadziła więźniów na bok, inni odciągnęli leżące zbroje.
- Zostaliśmy sami - powiedziała. - I żeby nie miał pan złudzeń, moja ochrona zabije pańskich przyjaciół, jeśli zrobi pan coś głupiego.
- Nie zamierzam. To spotkanie jest zbyt fascynujące, żeby za szybko je kończyć. Co oznacza ten strój kapłanki?
- Wie pan, jak lubię kostiumy. Podoba się panu?
- Austin wbrew sobie nie mógł oderwać wzroku od madame Fauchard. Racine wyglądała cudownie, jak doskonale wyrzeźbiona figura woskowa, której każdy szczegół doprowadzono do perfekcji. Z wyjątkiem jednego. Jej bezduszne oczy miały temperaturę zimnej stali używanej kiedyś przez Fauchardów do wyrobu mieczy i zbroi.
- Wygląda pani zachwycająco, ale...
- Ale nie bardzo odpowiada panu towarzystwo ponad stuletniej kobiety.
- Wcale nie. Zestarzała się pani całkiem ładnie. Tylko nie co dzień przebywam w towarzystwie bezlitosnych zabójczyń.
- Uniosła kształtne brwi.
- Flirtuje pan ze mną w dziwny sposób, monsieur Austin.
- Daleki jestem od tego.
- Szkoda. W ciągu ostatnich stu lat miałam wielu kochanków, ale pan jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. - Urwała i przyjrzała się uważnie jego twarzy. - I niebezpiecznym, co dodaje panu wdzięku. Najpierw musi się pan wywiązać ze swojej części umowy. Co pan wie?
- Wiem, że zaangażowaliście doktora MacLeana, by wynalazł eliksir życia, który nazywał „kamieniem filozoficznym”. W czasie, gdy trwały prace nad realizacją tej idei, zabijaliście każdego, kto wszedł wam w drogę, i stworzyliście dzikie mutanty.

- Trafne podsumowanie, ale pańska wiedza jest bardzo powierzchowna.
- Niech ją pani zatem uzupełni.

Zamyśliła się i odbiegła pamięcią w daleką przeszłość.

- Nasza rodzina wywodzi się z cywilizacji minojskiej, która kwitła przed wielką erupcją wulkanu na wyspie Thira. Moi przodkowie byli kapłanami i kapłankami minojskiego kultu bogini węża. Klan węża był potężny, ale silniejsi rywale wyparli nas z wyspy. Kilka tygodni później zniszczyła ją erupcja wulkanu. Osiedliliśmy się na Cyprze i zajęliśmy wyrobem broni. Wąż przeobraził się we Włócznie, a potem w Fauchardów.

- Jak doszłście od włóczni do mutantów?

- To było logiczne następstwo rozwoju naszej firmy zbrojeniowej. Na przełomie XIX i XX wieku Spear Industries założyła laboratorium, żeby spróbować stworzyć superżołnierzy. Znając przebieg amerykańskiej wojny domowej, wiedzieliśmy, że przyszła wojna pozycyjna doprowadzi do sytuacji patowej: najpierw zaatakuje jedna strona, potem druga i front się nie przesunie. Wiedzieliśmy, że każde natarcie załamię się pod ogniem stale udoskonalanej broni maszynowej. Chcieliśmy mieć żołnierzy, którzy atakowaliby okopy przeciwnika bez lęku, jak nieustraszeni wikingowie. W dodatku żołnierze ci byłiby wyjątkowo wytrzymali i szybcy, a ich rany goiłyby się prędko. Wypróbowaliśmy formułę na kilku ochotnikach.

- Takich jak Pierre Levant?

Racine zmarszczyła brwi.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska.

- Kapitan Levant był francuskim oficerem. Stał się jednym z pierwszych mutantów, które stworzyliście podczas waszych eksperymentów.

- A, tak. Coś mi to mówi. Przystojny i odważny młody człowiek, o ile pamiętam.

- Nie poznałaby go pani teraz.

- Zanim mnie pan oskarży, chcę panu wyjaśnić, że wszyscy byli ochotnikami. Żołnierzami, których urzekła perspektywa stania się supermanami.

- Wiedzieli, że wraz z nadludzkimi możliwościami zyskają nową, przerażającą powierzchowność?

- Nikt z nas tego nie wiedział. Ta dziedzina nauki była w powijakach. Ale formuła działała, przynajmniej przez jakiś czas. Żołnierze mieli nadludzką siłę i szybkość, ale potem przeistaczali się w dzikie bestie.

- Które mogły się cieszyć wiecznie ze swoich nowych ciał.

- Przedłużenie życia stanowiło nieprzewidziany „produkt uboczny”. Co więcej, formuła mogła odwrócić proces starzenia się. Udoskonalilibyśmy ją, gdyby nie Jules.

- Okazało się, że ma sumienie?

- Okazało się, że jest durniem! - wybuchnęła. - Uznał nasze odkrycie za dar dla ludzkości. Próbował przekonać mnie i resztę rodziny, że powinniśmy przerwać marsz ku wojnie i ujawnić formułę. Podburzyłam rodzinę przeciwko niemu. Uciekł z kraju swoim samolotem. Zabrał papiery, które sugerowały nasz udział w spisku mającym na celu wywołanie wojny. Przypuszczam, że zamierzał nas szantażować. Ale został przechwycony i zestrzelony.

- Dlaczego wziął ze sobą hełm?

- To był symbol władzy przekazywany przywódcy naszej rodziny w każdym pokoleniu. Swoim postępowaniem pozbawił się prawa do władzy i hełm należał się mnie.

Austin odchylił się na krześle do tyłu i założył ręce za głowę.

- Więc Jules zniknął, a wraz z nim groźba, że wyjdą na jaw wojenne plany rodziny. I nie mógł wam już przeszkodzić w badaniach.

- Zdążył to zrobić. Zniszczył obliczenia i wygrawerował wzór chemiczny na hełmie. To było sprytne. Zbyt sprytne. Musieliśmy zacząć wszystko od początku. Sprawdzić milion możliwych kombinacji. Zostawiliśmy mutanty przy życiu w nadziei, że może pewnego dnia ujawnią nam tajemnice formuły. Prace przerwała wojna, potem wielki kryzys. W czasie

drugiej wojny światowej, gdy byliśmy już bliscy sukcesu, nasze laboratoria zbombardowały alianckie samoloty. To cofnęło badania o dziesiątki lat.

- Co za ironia losu - zachichotał Austin. - Popieraliście wojny, które niweczyły wasze wysiłki.

- Niestety.

- A pani tymczasem zestarzała się.

- Tak - potwierdziła z nieoczekiwanym smutkiem. - Straciłam urodę i stałam się starą babą. Ale się nie poddawałam. Osiągnęliśmy pewien postęp w spowalnianiu procesu starzenia się. Skorzystaliśmy z tego, ja i Emil. Ale śmierć ciągle nas doganiała. Byliśmy już tak blisko. Staraliśmy się stworzyć właściwy enzym, ale udało się to tylko częściowo. Potem jeden z moich naukowców dowiedział się o enzymie z Zaginionego Miasta. Wydawało się, że znaleźliśmy brakujące ogniwo. Kupiłam firmę badającą enzymy i zaangażowałam doktora MacLeana i jego kolegów. Pracowali po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zbudowaliśmy okręt podwodny do zbierania enzymów i laboratorium badawcze.

- Dlaczego kazała pani zabić naukowców?

- Nie my pierwsi pozbyliśmy się zespołu badawczego, by nikt się nie dowiedział, nad czym pracował. Rząd brytyjski wciąż prowadzi śledztwo w sprawie śmierci naukowców, którzy projektowali system obrony rakietowej Gwiezdne Wojny. Stworzyliśmy nową grupę mutantów i naukowcy zagrozili, że to ujawnią, więc ich zlikwidowaliśmy.

- I powstał problem, bo nie skończyli swojej pracy - powiedział Austin. - Pani wybaczy, ale ta operacja nie miała sensu.

- Przyznaję, popełniłam duży błąd, pozwoliłam, żeby Emil się tym zajął. Kiedy znów wzięłam sprawę w swoje ręce, sprowadziłam z powrotem doktora MacLeana, żeby zorganizował nowy zespół badawczy. Udało się im odrobić większość strat.

- To Emil kazał zatopić tunel pod lodowcem?

- To znowu mea culpa. Nie zdradziłam mu prawdziwej wartości hełmu, więc go nie szukał przed zalaniem tunelu.

- Kolejny błąd?

- Na szczęście mademoiselle Labelle zabrała hełm i odzyskałam go. Okazał się brakującym ogniwem i mogliśmy zamknąć laboratorium. Jak pan widzi, popełniamy błędy, ale uczymy się na nich. Pan nie. Raz pan stąd uciekł, a jednak wrócił pan na pewną śmierć.

- Sądzę, że znowu myli się pani.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Czy Emil kontaktował się z panią ostatnio?

- Nie. - Na twarzy Racine po raz pierwszy pojawił się wyraz niepewności. - Gdzie on jest?

- Jeśli pani nas uwolni, chętnie powiem.

- O czym pan mówi?

- W drodze tutaj zahaczyłem o lodowiec. Emil trafił za kratki.

- Hańba - powiedziała, pstrykając palcami. - Szkoda, że go pan nie zabił.

- Blefuje pani. To przecież pani syn.

- Nie musi mi pan przypominać o moich więzach rodzinnych - odparła lodowatym tonem.

- Nie obchodzi mnie los Emila ani jego skretyniałego przyjaciela, Sebastiana. Emil chciał się mnie pozbyć. I tak musiałabym go usunąć. Gdyby go pan zabił, wyświadczyłby mi pan tylko przysługę.

Austin poczuł się tak, jakby dostał parę dwójek, grając w pokera o wysoką stawkę.

- Powiniennem wiedzieć, że samice węży czasem zjadają własne jaja.

- Nie obrazi mnie pan swoimi głupimi porównaniami. Mimo wewnętrznych tarć nasza rodzina na przestrzeni wieków stała się prawdziwą potęgą.

- I w czasie tego procesu przelała morze krwi.

- Co tam krew? To najmniej ceniony towar na świecie.

- Niektórzy ludzie nie zgodziliby się z tym. Racine Fauchard uśmiechnęła się drwiąco.

- Nie ma pan pojęcia, w co się pan wpakował. Myśli pan, że pan nas zna? Większości spraw nie jest pan w stanie zrozumieć. Nasza rodzina istnieje od zarania dziejów. Kiedy pańscy przodkowie dłubali w spróchniałych kłodach w poszukiwaniu pożywienia, moi już wytwarzali krzemienne groty, osadzali je na drzewcach i sprzedawali sąsiadom. Jesteśmy obywatelami świata. Kiedy Grecy walczyli z Persami, dostarczaliśmy broń obu stronom. Rzymskie legiony maszerowały przez Europę, wymachując mieczami naszej produkcji. Teraz nagniemy do naszych potrzeb czas, tak jak kiedyś gięliśmy stal.

- Przeżyje pani następne sto czy nawet tysiąc lat i co potem?

- Nie chodzi o to, ile się żyje, tylko jak. Może przyłączy się pan do mnie? Podziwiam pańską zaradność i odwagę. Chyba nawet znalazłabym miejsce dla pańskich przyjaciół. Niech pan to przemyśli. Nieśmiertelność! Czy w głębi duszy nie tego najbardziej pan pragnie?

- Pani syn zadał mi podobne pytanie. - I?

Austin uśmiechnął się lodowato.

- Moim jedynym pragnieniem jest posłać panią w ślad za nim do piekła.

- Więc zabił go pan! - Pani Fauchard klasnęła w dłonie. - Dobra robota, panie Austin. Tego się spodziewałam. Chyba domyślił się pan, że moja propozycja była żartem? Jeśli czegoś się nauczyłam przez sto lat, to na pewno tego, że mężczyźni, którzy kierują się głosem sumienia, są zawsze niebezpieczni. Więc dobrze, skoro pan i pańscy przyjaciele chcieliście uczestniczyć w moim amatorskim przedstawieniu, proszę bardzo. By okazać wdzięczność za usunięcie mojego syna, nie zabiję was od razu. Pozwolę wam przeżyć początek nowego dnia na ziemi. - Sięgnęła za dekollet sukni, wyjęła bursztynową buteleczkę i uniosła wysoko nad głowę. - Oto eliksir życia.

Austin myślał w tym momencie o czymś innym. O ostatnich słowach MacLeana.

- Pani szalony plan nigdy się nie powiedzie - powiedział cicho. Racine zmiażdżyła go wzrokiem i wydeła pogardliwie wargi.

- A kto mnie powstrzyma? Pan? Śmie pan przeciwstawić swój nędzny intelekt stuletniemu doświadczeniu?

Otworzyła buteleczkę, przyłożyła do ust i wypila zawartość. Z jej twarzy zdawał się emanować blask. Austin przez chwilę patrzył na to zafascynowany. Wiedział, że jest świadkiem cudu, ale szybko otrząsnął się z zauroczenia. Racine zauważyła, że włączył stoper w zegarku.

- Może pan wyrzucić ten „chronometr” - zadrwiła. - W moim świecie czas nie będzie się liczył.

- Wybacz pani, że zignoruję tę sugestię. W moim świecie czas nadal ma wielkie znaczenie.

Skwitowała jego słowa aroganckim ruchem głowy i przywołała Marcela. Pomaszerowali razem z pozostałymi więźniami ku grubym drewnianym drzwiom prowadzącym do podziemi.

Kiedy się otworzyły i Austin wraz z innymi wszedł pod lufami broni do środka, przypomniał sobie ostrzeżenie francuskiego pilota.

„Fauchardowie mają przeszłość”.

Potem spojrzął na zegarek i pomodlił się do bogów, którzy czuwają nad głupcami i poszukiwaczami przygód, co często oznacza to samo. Gdyby dopisało mu szczęście, ta piekielna rodzina mogła już nie mieć przyszłości.

42

Racine zdjęła ze ściany pochodnię i ruszyła przed siebie. Upajając się odzyskaną młodością, zbiegła zgrabnie po schodach. Jej dziewczęcy entuzjazm nie bardzo pasował do ponurego otoczenia - spływającej po ścianach wody, pokrytego lizającymi suficie.

Za Racine szła Skye, za nią Austin i ochroniarz, który śledził każdy jego ruch, dalej Zavala i drugi ochroniarz. Pochód zamykał Marcel. Obserwował wszystkich czujnie, niczym kowboj pilnujący stada bydła. Przeszli przez kostnicę i lochy i zeszli po kilku kondygnacjach schodów do katakumb. Stęchłe powietrze utrudniało oddychanie.

Na dole ciągnął się wąski, około trzydziestometrowy korytarz z półkolistym sklepieniem, który kończył się kamiennymi drzwiami. Dwaj ochroniarze odsunęli je na bok, otworzyły się cicho, jakby rolki były dobrze naoliwione. Kiedy więźniów prowadzono następnym korytarzem, Austin zastanawiał się, przez chwilę, co mogliby zrobić, żeby poprawić swoją sytuację. Uznał, że są bezradni. Przynajmniej teraz. Troutowie zgodnie z jego instrukcjami czekali w pogotowiu na wezwanie.

Chętnie dałby sobie kopniaka. Był zbyt pewny siebie i przeliczył się. Wiedział, że Racine nie zna uczucia litości, o czym świadczył fakt, że kazała zabić swojego brata, ale nigdy by nie przypuszczał, że okaże się tak nieczuła na los własnego syna. Zerknął na Skye. Wyglądało na to, że się nie poddała. W tym momencie była zbyt pochłonięta strzepywaniem pajęczyn z włosów, żeby myśleć o tym, co należałoby uczynić w najbliższej przyszłości. Miał tylko nadzieję, że nie będzie musiała zapłacić za jego błędy.

Korytarz dochodził do następnych kamiennych drzwi. Te również odsunięto na bok. Racine przeszła przez otwór i zamachała pochodnią, aż płomień przygasł. Chybotliwy blask ognia oświetlił poziomy kamienny blok około półmetrowej szerokości, który zdawał się wyrastać z krawędzi przepaści i sięgać w pustą przestrzeń.

- Nazywam to Mostem Westchnień - powiedziała Racine. Jej głos odbił się echem od ścian głębokiej otchłani. - Jest dużo starszy niż tamten w Wenecji. Posłuchajcie. - W dole zawodził wiatr, jego odgłos przypominał chór potępieńców, podmuchy rozwiewały jej długie złociste włosy. - Lepiej się tu nie zatrzymywać.

Z pozorną lekkomyślnością przebiegła na drugą stronę.

Skye zawahała się. Austin wziął ją za rękę i poprowadził noga za nogą po wąskiej kładce w kierunku migoczącej pochodni Racine. Wiatr szarpał ich ubraniami. Kamienny blok miał około dziesięciu metrów długości, ale im wydawało się, że odbyli dziesięciokilometrowy marsz.

Zavala, który był urodzonym sportowcem, a w college'u uprawiał boks, przeszedł nad przepaścią pewnym krokiem linokoczek. Marcel i jego ludzie z pośpiechem przeprawili się na drugą stronę i było widać, że nie podoba im się to miejsce.

Ochroniarze odryglowali grube drewniane drzwi i wszyscy wyszli z katakumb na otwartą przestrzeń. Suche powietrze miało mocny sosnowy zapach. Stali w przejściu szerokim na około czterech metrów. Racine podeszła do niskiego muru biegnącego między dwiema masywnymi czworokątnymi kolumnami i przywołała gestem resztę grupy.

Zatrzymali się na szczycie amfiteatru oświetlonego kręgiem pochodni. Ku arenie opadały trzy kondygnacje z rzędami siedzeń. Wszystkie miejsca były zajęte przez setki milczących widzów.

Austin popatrzył na rozległą przestrzeń.

- Nigdy nie przestanie mnie pani zadziwiać, madame Fauchard.

- Niewielu obcych widziało to sanctum sanctorum rodziny Fauchardów. Ciekawość naukowca przytłumiła na chwilę obawy Skye.

- To dokładna replika Koloseum - powiedziała. - Rozmieszczenie kolumn, arkady... Wszystko jest identyczne, tylko w mniejszej skali.

- Nic dziwnego - odrzekła Racine. - Zbudował to rzymski prokonsul Galii. Tęsknił za domem i brakowało mu rozrywek, które miał w ojczyźnie. Kiedy moi przodkowie szukali miejsca na swoją siedzibę, wybrali właśnie to. Uważali, że jeśli postawią zamek tutaj, gdzie gladiatorzy przelewali krew, przeniknie ich tamten duch walki. Moja rodzina wprowadziła kilka modyfikacji. Zainstalowała, na przykład, pomysłowy system wentylacyjny, ale generalnie biorąc wszystko jest tak, jak było.

Austina zaintrygowali widzowie. Spodziewał się szmeru rozmów, chrząknięć, szelestów, pokasywań. Ale panowała wśród nich kompletna cisza.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - zapytał.

- Przedstawię ich panu - odrzekła Racine.

Zeszli po zniszczonych schodach wewnętrznych. Na dole ochroniarz otworzył żelazną kratę i znaleźli się w krótkim tunelu. Racine wyjaśniła, że to dawne wejście dla gladiatorów. Korytarz dochodził do okrągłej areny wysypanej drobnym białym piaskiem.

Na środku stało rzeźbione marmurowe podium wysokości około półtora metra. Z boku prostokątnej platformy były wyciosane stopnie. Austin przyglądał się nieruchomym twarzom strażników stojących na baczność wokół areny, gdy nagle Skye wciągnęła głośno powietrze. Odkąd weszli na most nad przepaścią, wciąż trzymała go za rękę. Teraz ścisnęła jego dłoń niczym imadło. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w pierwszy rząd widowni. Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem. W świetle pochodni zobaczył wyszczerzone zęby i pomarszczoną żółtą skórę. Zdał sobie sprawę, że widzowie to mumie. Wysuszone ciała zajmowały wszystkie miejsca i patrzyły na arenę martwymi oczami.

- Nie bój się - powiedział spokojnie. - Nic ci nie zrobią. Zawała był zaszokowany.

- To jeden wielki grobowiec - wymamrotał.

- Występowałem już przed bardziej ożywioną widownią - przyznał Austin i odwrócił się do Racine Fauchard. - Joe ma rację. Wasze sanctum sanctorum to mauzoleum.

- Wręcz przeciwnie - odparła Racine. - Stoicie w najświętszym dla Fauchardów miejscu. Z tego podium rzuciłam wyzwanie Jules'owi w roku 1914. Tutaj sprzeciwił się radzie rodzinnej. Gdyby Emil nie zawiódł, umieściłabym ciało mojego brata wśród innych, żeby mógł zobaczyć mój triumf.

Austin spróbował sobie wyobrazić, jak brat Racine w imieniu ludzkości bezskutecznie apeluje do sumień zgromadzonych.

- Jules musiał być bardzo odważny, skoro przeciwstawił się waszej krwiożerczej rodzinie - zauważył.

Racine zignorowała ten komentarz. Najwyraźniej czuła się doskonale w tym przerażającym amfiteatrze śmierci, bo wykonała piruet niczym baletnica i wskazała kilku członków rodziny, którzy kiedyś odrzucili prośby Jules'a.

- Przepraszam, że nie jestem szczególnie wzruszony - powiedział Austin - ale sądząc po ich minach, jeszcze nie wybaczyli pani bratu zdrady.

- Jules nie tylko nas zdradził. Zlekceważył pięć tysięcy lat historii rodziny. Kiedy wróciliśmy z krzyżowcami do Francji, przenieśliśmy tu naszych przodków, żeby byli z nami. Przez lata długie karawany wiozące zmarłych przemierzały tysiące kilometrów z Bliskiego Wschodu, aż w końcu mumie spoczęły tutaj.

- Po co tyle zachodu dla kupy skóry i kości?

- Nasza rodzina zawsze marzyła o nieśmiertelności. Podobnie jak Egipcjanie moi krewni wierzyli, że w zakonserwowanym ciele po śmierci nadal utrzymuje się życie. Mumifikacja stanowiła kiedyś prymitywną formę kriogeniki. Pierwsi balsamiści używali żywicy sosnowej zamiast ciekłego tlenu, jak to się robi teraz. - Racine spojrzała ponad ramieniem Austina. - Widzę, że schodzą się nasi goście. Możemy zaczynać ceremonię.

Arena wypełniała się upiornymi postaciami w białych szatach. Zjawili się dwadzieścia kilka osób, mężczyzn było dokładnie tyle samo co kobiet. Wszyscy mieli siwe włosy i pomarszczone twarze i wydawali się niewiele młodszy od niemych mumii. Przy wejściu całowali madame Fauchard w rękę i ustawiali się kręgiem wokół podium.

- Zna pan już tych ludzi - powiedziała Racine do Austina. - Poznał ich pan na moim przyjęciu. To potomkowie starych rodów z branży zbrojeniowej.

- W kostiumach wyglądali lepiej - zauważył Austin.

- Czas dla nikogo nie jest łaskawy, ale staną się elitą i będą rządzili światem razem ze mną. Marcel będzie dowodził naszą prywatną armią.

Austin wybuchnął śmiechem. Zaskoczone twarze zwróciły się jak na komendę w jego kierunku.

- Więc o to chodzi w tym całym obłędzie? O panowanie nad światem? Racine spojrzała na niego wzrokiem rozwścieczonej Meduzy.

- Uważa pan, że to zabawne?

- Nie pani pierwsza cierpi na manię wielkości i chce zawładnąć światem - odrzekł Austin.

- Hitler i Czyngis-chan próbowali to zrobić na długo przed panią. Przelali tylko morze krwi i nie osiągnęli niczego.

Racine odzyskała już panowanie nad sobą.

- Ale niech pan pomyśli, jaki byłby dzisiaj świat, gdyby byli nieśmiertelni - powiedziała spokojnym tonem.

- Większość ludzi nie chciałaby w nim żyć.

- Myli się pan. Dostojewski miał rację, gdy mówił, że ludzkość zawsze będzie starała się znaleźć kogoś nowego, kogo będzie mogła czcić. Uznają nas za zbawicieli świata, kiedy oceany zamieniają się w cuchnące bagna. Ktoś z NUMA na pewno już wie o podwodnej zarazie, która atakuje morza jak zielony rak.

- Wodorost Gorgona?

- Tak go ochrzcziliście? Ładna nazwa i bardzo odpowiednia.

- Niewiele osób wie o tej pladze. Jak się pani o niej dowiedziała?

- Ty żałosny człowieku! Przecież to ja ją stworzyłam. Sama długowieczność nie dałoby mi władzy, której pragnę. Moi naukowcy odkryli zmutowany wodorost w trakcie swoich badań. Okazało się, że był to produkt uboczny ich pracy. Kiedy mi o tym powiedzieli, od razu zrozumiałam, że nadaje się doskonale do realizacji mojego planu. Zamieniłam Zaginione Miasto w wylegarnię tej zarazy.

Austin nie mógł się oprzeć podziwowi dla wszechstronności jej nickszemnego umysłu. Racine wyprzedzała o krok wszystkich.

- Dlatego chciała pani zlikwidować członków ekspedycji z Woods Hole?

- Oczywiście. Nie mogłam pozwolić, żeby ci durnie zagrozili moim planom.

- Chce pani rządzić światem pogrążonym w chaosie?

- Dokładnie. Kiedy nastąpi całkowity kryzys gospodarczy, zapanuje głód i anarchia, a rządy będą bezsilne, uwolnią świat od tej plagi.

- To znaczy, że potrafi pani zniszczyć ten wodorost?

- Z taką samą łatwością, z jaką mogę zabić pana i pańskich przyjaciół. Zwykli śmiertelnicy będą czcili nieśmiertelnych, którzy zostaną stworzeni tutaj tej nocy. Ci ludzie wrócą do swoich krajów i stopniowo przejmą tam władzę. Będziemy istotami wyższymi i nasza mądrość wyzwoli świat od demokracji, która jest czymś niestałym i wykorzystuje szarych ludzi. Będziemy bogami!

- Nieśmiertelnymi półbogami? Niezbyt przyjemna perspektywa.

- Nie dla pana i pańskich przyjaciół. Ale głowa do góry. Może pozwolę wam żyć w innej postaci. Na przykład zwierzęcej. Potrzeba tylko kilku dni, by zmienić człowieka w dziką

bestię. To niezwykły proces. Byłoby to zabawne patrzeć, jak obserwuje pan transformację swojej damy, i dowiedzieć się, czy potem nadal chciałby ją pan trzymać w ramionach.

- Na pani miejscu nie robiłbym tego - odparł Austin. - Zapas pani cudownego eliksiru może się szybko wyczerpać.

- To niemożliwe. Moje laboratoria dostarczą mi każdą ilość.

- Kontaktowała się pani ostatnio ze swoją wyspą?

- Nie było potrzeby. Moi ludzie, którzy tam są, wiedzą doskonale, co mają robić.

- Już ich tam nie ma. Laboratoria zostały zniszczone. Widziałem to na własne oczy.

- Nie wierzę panu.

Austin uśmiechnął się, ale patrzył na nią twardym wzrokiem.

- Mutanty uciekły i szybko rozprawiły się z pułkownikiem Stregą i jego ludźmi. Zdemolowały laboratoria, ale to bez znaczenia, bo wyspa i pani okręt podwodny są teraz w rękach brytyjskich marines. Pani najlepszy naukowiec, MacLean, nie żyje. Zastrzelił go jeden z pani ludzi.

Racine nawet nie mrugnęła.

- Nieważne. Mam do dyspozycji wystarczające środki, żeby zbudować nowe laboratoria na innych wyspach. MacLean i tak zostałby zlikwidowany wraz z innymi. Mam wzór chemiczny i mogę z niego korzystać. To ja wygrałam, a pan i pańscy przyjaciele przegraliście.

Austin zerknął na zegarek i odzyskał pewność siebie.

- Szkoda, że nigdy nie zobaczy pani swojej utopii.

- Wydaje się pan bardzo przejęty tym, że czas upływa - zauważyła Racine. - Zatrzymujemy pana? Ma pan może jakieś ważne spotkanie?

Austin spojrzał jej w oczy. Żarzyły się teraz na czerwono.

- To pani ma spotkanie.

- Ja? - Racine była wyraźnie zaskoczona. - Z kim?

- Nie z kim, tylko z czym. Z tym, czego się pani najbardziej boi. Rysy Racine stwardniały.

- Nie boję się niczego i nikogo - powiedziała, odwróciła się i podeszła do podium.

Z kręgu gości wystąpiła naprzód siwowłosa para. Kobieta niosła tacę z bursztynowymi buteleczkami. Były podobne do tamtej, której zawartość Racine wypila w zbrojowni. Mężczyzna trzymał w rękach rzeźbioną skrzynkę z ciemnego drewna, ozdobioną trójgłowym orłem z kości słoniowej.

Skye ścisnęła mocniej dłoń Austina.

- To oni porwali mnie w Paryżu - szepnęła. - Co robimy?

- Czekamy - odpowiedział i znów zerknął na zegarek, choć dopiero co sprawdzał czas.

Wszystko działo się zbyt szybko. Austin zaczął układać desperacki plan. Spojrzał znacząco na Zawalę, żeby go zaalarmować. Joe lekko skinął głową na znak, że zrozumiał. Następne minuty miały być decydujące.

Racine sięgnęła do skrzynki i wyjęła hełm. Przy cichym aplauzie gości wspięła się po stopniach na podium. Uniosła wysoko hełm, włożyła na głowę i rozejrzała się wokoło z triumfalnym uśmiechem.

- Mielście długą podróż do tego sanctum sanctorum. Cieszę się, że wszystkim udało się przejść przez Most Westchnień.

Z grupy dobiegł stłumiony śmiech.

- Nieważne. Wracając stąd, będziecie mieli tyle siły, że zdołacie przeskoczyć nad przepaścią. Wkrótce zostaniemy bogami czczonymi przez zwykłych śmiertelników niezdolnych ogarnąć umysłem naszej potęgi i mądrości. Byłam niedawno taka jak wy. Już wkrótce wy staniecie się tacy jak ja.

Poplecznicy Racine chłonęli głodnym wzrokiem jej urodę.

- Ostatnią dawkę cudownego środka zażyłam zaledwie godzinę temu Teraz wasza kolej, moi czcigodni przyjaciele, którzy zrobiliście dla mnie tak wiele. Za chwilę wypijecie eliksir życia, prawdziwy „kamień filozoficzny” którego tak wielu szukało daremnie przez wieki.

Kobieta z tacą okrążyła podium. Niecierpliwe ręce sięgały po buteleczki

Austin czekał na moment, gdy Marcel i jego ludzie wystąpią naprzód Liczył na to, że na krótko zapomną o więźniach, oszołomieni perspektywą nowej cudownej epoki. Prawie niezauważalnie przysunął się do najbliższego ochroniarza. Strażnik już był zafascynowanym spektaklem rozgrywającym się wokół podium i opuścił broń.

Marcelowi i jego ludziom podano buteleczki.

Austin zamierzał rzucić się na ochroniarza, powalić go na ziemię i w ten sposób umożliwić ucieczkę Zawali i Skye. Wiedział, że w ten sposób poświęca się dla przyjaciół, ale przecież to przez niego wpadli w tarapaty. Znów dał Zawali znak wzrokiem i sprężył się do skoku, lecz się wstrzymał kiedy przez tłum przebiegł nagle szmer.

Popiecznicy Racine przyłożyli buteleczki do ust, ale wpatrywali się w postać na podium.

Racine uniosła rękę do szczupłej szyi, jakby coś uwięzło jej w gardle była wyraźnie zaskoczona. Dotknęła palcami policzka. Gładka skóra zdawała się usychać. W ciągu kilku sekund pożółkła i pomarszczyła się jak pod działaniem kwasu.

- Co się dzieje? - zaniepokoiła się Racine. Przesunęła dłonią po włosach Może to tak padało światło, ale długie złociste loki zmieniły kolor na platynowy. Pociągnęła delikatnie jeden splot. Kosmyk pozostał jej w palcach Popatrzyła nań z przerażeniem.

Zmarszczki na jej twarzy rozprzestrzeniły się niczym pęknięcia na schnącym błocie.

- Powiedzcie mi, co się dzieje? - zawołała płaczącym głosem.

- Ona znów się starzeje - zauważył ktoś szeptem, który zabrzmiał jak krzyk.

Racine spojrzała na mówiącego. Jej oczy traciły czerwonawy blask i zapadały się w głąb czaszki. Ramiona chudły, hełm ciążył jej na wiotkiej szyi. Zaczęła się garbić i kurczyć jak krewetka. Piękna twarz była zniszczona, na białej skórze pojawiły się starcze plamy. Wyglądała jak ofiara przyspieszonego procesu starzenia się. W końcu zdała sobie sprawę, co się z nią dzieje.

- Nie - spróbowała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się skrzek. - Nie - jęknęła.

Straciła władzę w nogach, osunęła się na kolana i upadła twarzą w dół. Przeczółgała się kilkadziesiąt centymetrów i wyciągnęła kościstą rękę w stronę Austina.

Austin wyczuł grozę chwili, ale Racine była odpowiedzialna za śmierć i cierpienie wielu ludzi. Patrzył na nią bez współczucia. Jej spotkanie ze śmiercią było mocno spóźnione.

- Przyjemnej podróży do wieczności - mruknął.

- Skąd wiedziałeś? - wychrypiła.

- MacLean powiedział mi tuż przed śmiercią. Zaprogramował ten eliksir tak, żeby po jakimś czasie przyspieszał starzenie się, zamiast je opóźniać. Proces uruchamia trzecia dawka. Sto lat życia mija w godzinę.

- MacLean - wycodziła. Wzdrygnęła się i znieruchomiła.

W ciszy, która nagle zapadła, popiecznicy Racine opuścili buteleczki, jakby zawierały truciznę, i rzucili je na piasek.

Krzyk którejś z kobiet spowodował pospieszny masowy odwrót do tunelu. Spanikowany tłum odepchnął na bok Marcela i jego ludzi.

Austin dopadł najbliższego ochroniarza, obrócił go i powalił prawym sierpowym. Zawała chwycił Skye za rękę i cała trójka z Austinem na czele zaczęła się przedzierać przez grupę starców.

Gdy Marcel zobaczył, że więźniowie uciekają, oszalał wręcz. Otworzył z biodra ogień do tłumy. Pociski ścinały z nóg niedoszłych bogów w białych szatach niczym niewidzialna kosa. Ale Austin i jego przyjaciele zdążyli już schronić się w tunelu.

Kiedy Skye i Zavala biegli do schodów, Austin zamknął kratę, zaryglował ją i popędził za nimi. Seria trafiła w żelazne pręty i hałas rykoszetów zagłuszył krzyki konających.

Austin zatrzymał się na pierwszym poziomie i kazał przyjaciołom uciekać. Skreślił w korytarz prowadzący na widownię. Tak jak się obawiał, Marcel i jego ludzie nie tracili czasu na wyważanie kraty i wybrali krótszą drogę. Pokonali mur, który oddzielał pierwszy rząd miejsc w amfiteatrze od areny.

Austin wycofał się i wspinał na następny poziom. Zavala i Skye czekali na niego. Krzyknął do nich, żeby ruszali dalej, potem wbiegł na korytarz i wyłonił się na drugiej kondygnacji widowni. Marcel i jego ludzie byli w połowie drogi przez pierwszą kondygnację. Wdrapywali się szybko coraz wyżej, odpychając na bok mumie, które rozpadały się w pył.

Marcel zerknął w górę, zobaczył Austina i kazał swoim ludziom strzelać. Austin skoczył do tyłu, pociski podziurawiły ścianę w miejscu, gdzie przed chwilą stał. Marcel mógł dogonić uciekinierów za kilka minut, Austin musiał go zatrzymać.

Wyszedł odważnie z kryjówki. Zanim Marcel i jego ludzie zdążyli użyć broni, wyrwał z uchwytu płonąca pochodnię, zamachnął się i rzucił ją wysokim łukiem. Wylądowała, wzniecając snop iskier między mumiami.

Ludzkie szczątki zabalsamowane żywicą natychmiast stanęły w ogniu. W powietrze wystrzeliły płomienie i zasuszone ciała eksplodowały jak chińskie fajerwerki. Na widok pożaru w amfiteatrze ludzie Marcela rzucili się przez rzędy miejsc do ucieczki. Marcel się nie wycofał. Stał ze wściekłą miną i strzelał, dopóki nie zniknął za ścianą ognia. Jego broń zamilkła.

Pożar ogarnął replikę Koloseum w ciągu kilkadziesiąt sekund. Płonęły wszystkie kondygnacje, nad widownią unosił się gęsty czarny dym. W zamkniętej przestrzeni powstało istne piekło. Austin czuł się tak, jakby otworzył drzwi pieca hutniczego. Schylił głowę i pobiegł ku schodom. Od gryzącego dymu łzawiły mu oczy i kiedy dotarł na szczyt amfiteatru, nic nie widział.

Zavala i Skye czekali z niepokojem w wejściu do tunelu, który prowadził do katakumb. Zagłębili się razem w zadymiony korytarz, szukając po omacku drogi wzdłuż ścian, dopóki nie wyłonili się przy Moście Westchnień nad przepaścią.

Zavala niósł pochodnię, ale była bezużyteczna. Wszystko przesłaniał czarny dym wydobywający się z tunelu. W końcu płomień zgasł. Austin na czworakach zbadał ciemność. Wyczuł pod palcami twardą, gładką powierzchnię. Powiedział Skye i Zawali, żeby szli za nim. Trzymając się krawędzi kamiennego bloku, posuwał się centymetr za centymetrem po wąskim moście.

Z dołu wiał gorący wiatr przesycony duszącym dymem. Wokół wirowały iskry. Ataki kaszlu utrudniały im ruchy, ale przedostali się na drugą stronę.

Droga powrotna przez katakumby była koszmarem. Dym wypełniający labirynt korytarzy utrudniał znalezienie właściwego kierunku. Ale zdjęli ze ścian jeszcze kilka pochodni i dotarli niebezpieczną trasą do kostnicy. Austin nigdy by nie przypuszczał, że ucieszy się na jej widok. Nie miał jednak pewności, czy trafi stąd do wyjścia na dziedziniec. Wybrał korytarz prowadzący do zbrojowni.

Miał nadzieję, że w wielkiej sali będzie jeszcze świeże powietrze. Ale w środku unosiła się szara mgiełka dymu. Szkodliwe opary przedostawały się tutaj przez kilkanaście zakratowanych otworów grzewczych. Austin pamiętał, co Racine powiedziała o wentylacji podziemnego amfiteatru, i domyślił się, że obieg powietrza jest połączony z głównym systemem.

Widoczność była jeszcze stosunkowo dobra. Pobiegli wzdłuż nawy i wypadli przez podwójne drzwi na korytarz. Przeszli ostrożnie przez cały zamek i znaleźli się w galerii portretów. Pod sufitem kłębił się dym, temperatura przypominała Saharę.

Gęstniejący dym zaniepokoił Austina. Wydawało się, że bucha z niego żar. Przynaglił przyjaciół. Dotarli do drzwi frontowych. Nie były zaryglowane. Wybiegli na dziedziniec i zaczęli łączywie wciągać powietrze do płuc spragnionych tlenu.

Przez otwarte drzwi do zamku napłynęło gwałtownie świeże powietrze. Nowa porcja tlenu spowodowała zapalenie się gorącego dymu w galerii portretów. Rozległ się głośny szum i ściany stanęły w płomieniach. Olejne obrazy z podobiznami pokoleń Fauchardów podsycaly pożar.

Na zadymionym dziedzińcu pojawili się uciekający ochroniarze Racine. Wszyscy byli zbyt zajęci ratowaniem własnej skóry, by zwracać uwagę na Austina i jego przyjaciół, którzy biegli przez zwodzony most. Za drugim, kamiennym mostem zatrzymali się przy groteskowej fontannie i zanurzyli głowy w chłodnej wodzie, żeby przemyć piekące oczy i przepłukać podrażnione gardła.

Podczas ich kilkuminutowego postoju pożar przybrał na sile. Kiedy pobiegli dalej podjazdem prowadzącym do drogi przez las, usłyszeli grzmot przypominający trzęsienie ziemi. Obejrżeli się i zobaczyli, że zamek widoczny ponad murami obronnymi znika w kłębach szaroczarowego dymu, który szybko przesłonił wieże.

Hałas powtórzył się, tym razem był głośniejszy. Potem rozległ się stłumiony huk. Pod niebo wystrzeliły płomienie. Dym nad zamkiem rozwiął się na moment i Austin zdążył dostrzec, że wież już nie ma.

Budowla zawaliła się. Na jej miejscu wyrosła wielka, tłusta chmura w kształcie grzyba. Rozżarzone szczątki zaczęły opadać na ziemię. Chmura o barwie żużlu uniosła się do góry, wijąc się jak żywe stworzenie.

- Dobry Boże! - powiedziała Skye. - Co to było?

- Zagłada domu Usherów - odrzekł oszołomiony Austin. Skye wytarła oczy brzegiem bluzki.

- Nie rozumiem.

- To tytuł noweli Poe'go. Usherowie byli do cna zepsuci, podobnie jak Fauchardowie. Dom jednych i drugich runął pod ciężarem ich czynów.

Skye spojrzała w stronę miejsca, gdzie jeszcze niedawno stał zamek.

- Chyba wolę Rousseau - powiedziała.

Austin otoczył ją ramieniem i wszyscy troje ruszyli w drogę powrotną do cywilizacji. Kiedy już wyłonili się z tunelu drzew, po kilku minutach usłyszeli warkot silnika. Chwilę później pojawił się helikopter. Byli zbyt zmęczeni, żeby biec na spotkanie, i tylko patrzyli tępym wzrokiem, jak śmigłowiec ląduje przed nimi. Z kokpitu wysiadł Paul Trout.

- Może podwieźć? - zapytał. Austin skinął głową.

- Prysznic też by się przydał - powiedział. - I łyk tequili - dodał Zawała.

- I długa gorąca kąpiel - dorzuciła Skye.

- Wszystko w swoim czasie - odrzekł Trout i poprowadził ich do helikoptera. Za sterami siedziała Gamay. Powitała ich szerokim uśmiechem.

Zapięli pasy i po chwili śmigłowiec uniosł się ponad drzewa. Zatoczył krąg nad dymiącą dziurą w ziemi, która pozostała po zamku Fauchardów, i odleciał.

Nikt spośród osób znajdujących się na jego pokładzie nie obejrzał się za siebie.

43

Pomiędzy zatokami Chesapeake i Maine na atlantyckim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych ciągnął się długi sznur statków i okrętów. Kilka dni wcześniej jednostki pływające NUMA i marynarki wojennej sformowały linię obrony sto mil morskich na wschód od szelfu kontynentalnego w nadziei, że powstrzymają inwazję daleko od lądu. Ale zostały zepchnięte przez nieustępliwego cichego przeciwnika na granicę szelfu.

Turkusowy helikopter NUMA był w powietrzu od świtu i utrzymywał kurs nad długą armadą. Kiedy znalazł się na wschód od przylądka Hatteras, siedzący za sterami Zavala wyrzwał przez szybę kokpitu.

- To wygląda jak Morze Sargassowe na hormonach - powiedział. Austin opuścił lornetkę i uśmiechnął się blado.

- W porównaniu z tym bagnem Morze Sargassowe to różany ogród. Ocean dzielił się wyraźnie na dwie części. Na zachód od sznura statków i okrętów woda miała normalny, granatowy kolor, tu i tam pojawiały się białe grzywy fal. Na wschód od linii obrony rozciągało się morze o niezdrowej, żółtozielonej barwie. Jak okiem sięgnąć, splątane gałązki wodorostu Gorgona tworzyły na powierzchni zbitą masę.

Austin i Zavala obserwowali z helikoptera, jak jednostki pływające próbowały w różny sposób zatrzymać dryfujące niestrudzenie algi. Okręty wojenne oddawały salwy z wielkich dział. Strumienie wody wytryskiwały w górę, ale otwory w warstwie glonu wybite przez pociski zasklepiwały się w ciągu kilku minut. Samoloty startujące z lotniskowców atakowały wodorosty bombami i raketami z takim samym skutkiem, jak komary kęszące słońca. Materiały zapalające płonęły z sykiem na powierzchni zbitej masy, której większa część zalegała pod wodą. Środki grzybobójcze rozpylane z powietrza natychmiast znikwały w morzu.

Austin poprosił Joego, żeby zatoczył krąg nad dwoma statkami, które starały się zatrzymać wodorosty za pomocą zapory z rur rozciągniętej między ich burtami. Wysiłek okazał się daremny. Blokada działała tylko przez mniej więcej pięć minut. Wodorosty partę z ogromną siłą przez ruchomą masę rozciągającą się na przestrzeni wielu mil morskich, spiętrzyły się na zaporze i przykrył ją.

- Wystarczy mi tego, co widziałem - powiedział z niesmakiem Austin. - Wracamy na statek.

Racine Fauchard nie żyła. Pozostała z niej tylko pomarszczona skóra i kruche kości zagrzebane pod ruinami dumnego niegdyś zamku. Ale pierwsza część jej planu urzeczywistniła się w sposób zdumiewający. Atlantyk stawał się wielkim bagnem, tak jak to przewidziała.

Austin pocieszał się tym, że Racine i jej krwiożerczy syn, Emil, nie mogą wykorzystać chaosu, który wywołali. Ale to nie rozwiązywało problemu spowodowanej przez nich katastrofy. Austin spotykał już na swojej drodze różnych przeciwników, jaki podobnie jak Fauchardowie uosabiali samo zło, i potrafił sobie z nimi poradzić. Ale to nienaturalne, niesamowite zjawisko przekraczało jego zdolności pojmowania.

Lecieli jeszcze pół godziny. Austin zobaczył w dole kilwatery statków i okrętów. Armada wycofywała się, żeby nie ugrzęznąć w napierającej masie wodorostów.

- Przygotuj się do lądowania, Kurt - uprzedził Zavala.

Helikopter zszedł w dół w kierunku krążownika U.S. Navy i po chwili usiadł na lotnisku pokładowym. Czekał na nich chorąży Pete Muller, którego poznali, kiedy jego okręt ochraniał statki badawcze w rejonie Zaginionego Miasta.

- Jak to wygląda? - zawołał przez hałas rotorów.

- Beznadziejnie - odrzekł Austin z ponurą miną.

Zeszli z Mullerem pod pokład do kabiny odpraw. Około trzydziestu mężczyzn i kobiet siedziało na rozkładanych metalowych krzesłach przed dużym ekranem ściennym. Austin i Zavala cicho zajęli miejsca w ostatnim rzędzie. Kurt znał niektórych naukowców z NUMA, ale większość wojskowych i cywilów z różnych agencji rządowych zajmujących się bezpieczeństwem publicznym stanowiły osoby, które widział po raz pierwszy.

Przed ekranem stał doktor Osborne, fykolog z Woods Hole, który zapoznał Troutów z zagrożeniem spowodowanym przez wodorost Gorgona. W jednej dłoni trzymał pilota, w drugiej wskaźnik laserowy. Na ekranie widniała mapa morska przedstawiająca cyrkulację wody w Atlantyku.

- Inwazja wodorostu zaczyna się tutaj, w Zaginionym Mieście - powiedział. - Prąd kanaryjski niesie glony obok Azorów i na zachód przez Atlantyk do prądu zatokowego. Golfstrom płynie na północ wzdłuż szelfu kontynentalnego. W końcu łączy się z prądem północnoatlantyckim, który wraca do Europy i koło się zamyka. - Zatoczył krąg czerwonym punktem lasera żeby to pokazać. - Są pytania?

- Z jaką szybkością płynie prąd zatokowy? - odezwał się ktoś.

- Do pięciu węzłów. Pokonuje ponad sto mil morskich na dobę.

- Jaki jest obecnie stan zagrożenia? - zapytał Muller.

Osborne wcisnął przycisk na pilocie i mapa cyrkulacji zniknęła, pojawiło się satelitarne zdjęcie północnego Atlantyku. Pokazywało nieregularny żółtawy pas, który przypominał wielki zdeformowany pączek i biegł wokół oceanu wzdłuż wybrzeży kontynentów.

- To zdjęcie ukazuje rejony inwazji wodorostu Gorgona w czasie rzeczywistym - wyjaśnił Osborne. - Teraz zaprezentuję panu naszą symulację komputerową dalszego rozprzestrzeniania się glonu. - Obraz znów się zmienił. Tym razem cały ocean był żółty, tylko na środku widniało kilka granatowych plam.

Przez kabinę odpraw przeszedł szmer.

- Kiedy to może nastąpić? - zapytał Muller.

Osborne odchrząknął, jakby mówienie sprawiało mu trudność.

- Za kilka dni.

Wszyscy głośno wciągnęli powietrze.

Fykolog znów wcisnął przycisk na pilocie. Pojawiło się powiększenie wschodniego wybrzeża Ameryki Północnej.

- To najbardziej zagrożony rejon. Kiedy wodorosty znajdą się na płytszych wodach nad szelfem kontynentalnym, będziemy w poważnych tarapatkach. Najpierw zniszczy rybołówstwo morskie wzdłuż całego wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz w północno-zachodniej Europie. Próbujemy powstrzymać inwazję wodorostu różnymi metodami. Widzę, że jest już pan Austin. Zechciałbyś nam przedstawić aktualną sytuację Kurt?

Nie bardzo mam ochotę, pomyślał Austin, idąc w kierunku ekranu. Popatrzył na blade twarze przed sobą.

- Mój partner Joe Zavala i ja właśnie wróciliśmy z powietrznego rekonesansu wzdłuż linii obrony na granicy szelfu kontynentalnego. - Opisał to, co widzieli. - Wszystkie metody są niestety nieskuteczne - zakończył.

- A co z chemikaliami? - odezwał się rządowy biurokrata.

- Zbyt szybko rozpraszają je woda i wiatr - odparł Austin. - Pod powierzchnię morza dociera tylko niewielka ich ilość. Może niszczy jakąś część masy wodorostu, ale warstwa jest tak gruba, że środki chemiczne nie przenikają przez nią. Mówimy o ogromnej przestrzeni. Nawet gdyby udało się pokryć całą, zatruilibyśmy ocean.

- Nie ma żadnego sposobu na tę plagę? - zapytał Muller.

- Jest - uśmiechnął się blado Austin. - Bomba atomowa. Ale nawet ten sposób byłby nieskuteczny na tysiącach mil kwadratowych oceanu. Zalecałbym ustawienie zapór wokół naszych głównych portów, żeby zyskać na czasie.

Potężnie zbudowany czterogwiazdkowy generał wojsk lądowych nazwiskiem Frank Kyle wstał.

- Po co? Sam pan powiedział, że nie ma obrony przed tym zielskiem.

- Nasi ludzie pracują nad genetycznym rozwiązaniem tego problemu. Generał parsknął, jakby Austin zasugerował, żeby zastąpić karabiny jego żołnierzy kwiatami.

- Genetyka? DNA? Co to da, do cholery? To może potrwać miesiące. Lata.

- Jestem otwarty na propozycje - odrzekł Austin.

- Miło mi to słyszeć. - Generał wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zamierzam przekazać prezydentowi pańską sugestię użycia broni nuklearnej.

W czasach, gdy Austin był w CIA, miał często do czynienia z wojskowymi. Przekonał się, że zwykle podchodzą z rozważą do kwestii użycia siły wobec każdego przeciwnika. Kyle chciał się cofnąć do epoki innego zwolennika broni jądrowej, generała Curtisa LeMaya, ale w atmosferze strachu, która wyraźnie się wytworzyła, jego propozycja mogła zwyciężyć.

- Nie sugerowałem tego - odrzekł cierpliwie Austin. - O ile pan pamięta, powiedziałem, że bomba atomowa zniszczyłaby stosunkowo niewielką część warstwy wodorostu.

- Nie mówię o jednej bombie - odparł generał. - Mamy ich tysiące. Kiedyś zamierzaliśmy ich użyć przeciwko Rosjanom. Zrobimy nalot dywanowy na ocean, a jak zabraknie nam bomb, pożyczymy od Ruskich.

- Ocean zamieni się wówczas w składowisko odpadów nuklearnych - zauważył Austin. - Bombardowanie zniszczy życie w morzu.

- Ten pański wodorost i tak zabije ryby - odparował Kyle. - Jak pan wie, żegluga jest już sparaliżowana i z każdą godziną tracimy miliardy dolarów. To zielsko zagraża naszym miastom. Trzeba je zatrzymać za wszelką cenę. Możemy użyć „czystej” broni jądrowej. Mamy taką.

Zebrani kiwali potakująco głowami. Austin uznał, że nie jest w stanie niczego zmienić. Poprosił Zawalę, żeby został do końca narady strategicznej, i poszedł na mostek. Po kilku minutach połączył się ze sterowni przez okrętowy radiotelefon z Troutami, którzy byli na statku „Sea Searcher” w rejonie Zaginionego Miasta. Austin skontaktował się szybko z jednostką badawczą NUMA i członek załogi znalazł Paula, kierującego z pokładu zdalnie sterowanym pojazdem ROV.

- Pozdrowienia ze świata obłądu doktora Strangelove'a - powitał go Austin.

Trout nie zrozumiał.

- Skąd?

- Zaraz ci wyjaśnię. Jak idzie praca?

- Idzie - odrzekł bez entuzjazmu Paul. - ROV pobrał próbki wodorostu. Gamay i jej zespół przeprowadzają analizy w laboratorium.

- Czego szukają?

- Mają nadzieję znaleźć w strukturze molekularnej Gorgony coś, co mogłoby pomóc w rozwiązaniu problemu. Wymieniamy informacje z naukowcami NUMA w Waszyngtonie i z zespołami badawczymi w innych krajach. A co u ciebie?

- Próbuje wszystkie sztuczki, jakie przychodzą nam do głowy, ale bez rezultatu - westchnął Austin. - Wiatr od lądu opóźnia trochę katastrofę. Ale już niedługo wszystkie porty na wschodnim wybrzeżu zostaną zablokowane. Na Pacyfiku też pojawiają się kolonie Gorgony.

- Ile czasu nam zostało? - zapytał Trout.

Kurt powtórzył mu słowa Osborne'a. Usłyszał, jak Paul głośno wciąga powietrze.

- Macie jakieś problemy z nawigacją w tym zielsku? - zapytał Austin.

- Rejon wokół Zaginionego Miasta jest stosunkowo czysty. Tutaj zaczyna się ta plaga i warstwa wodorostu gęstnieje dopiero kawałek dalej na wschód i na zachód stąd.

- To może być wkrótce jedyne czyste miejsce na oceanie. Lepiej zaplanujcie trasę ucieczki, żebyście tam nie utknęli.

- Już rozmawiałem z kapitanem. Na południe stąd jest jeszcze otwarty farwater, ale musielibyśmy odpłynąć w ciągu dwudziestu czterech godzin, żeby się tamtędy wydostać. O co ci chodziło z tym Strangelovem?

- Jest tu pewien generał nazwiskiem Kyle. Chce nakłonić prezydenta do zrzucenia na wodorost wszystkich naszych bomb jądrowych.

Trouta na chwilę zamurowało.

- Chyba nie mówił tego poważnie.

- Obawiam się, że tak. Światowi przywódcy są pod olbrzymią presją, żąda się od nich, żeby coś zrobili. Cokolwiek. Może wiceprezydentowi Sandeckerowi uda się spławić Kyle'a, ale prezydent będzie musiał zadziałać. Nawet jeśli ten plan to idiotyzm.

- To więcej niż idiotyzm! To czyste szaleństwo. I nic nie da. Rozwałą tę zbitą masę na kawałki, ale każda gałązka wodorostu będzie się replikowała. W ten sposób nie unikniemy katastrofy. - Trout westchnął. - Kiedy można się spodziewać atomowych grzybów nad Atlantykiem?

- Spotkanie jeszcze trwa. Decyzja zapadnie chyba już jutro. Kiedy machina ruszy, wszystko może potoczyć się bardzo szybko. Zwłaszcza jeśli Gorgona dotrze do naszego wybrzeża. - Austin urwał na chwilę. - Myślę o MacLeanie. Nie mówił ci przypadkiem, czy potrafiłby znaleźć sposób na tę plagę, wykorzystując wzór chemiczny Fauchardów?

- Wydawał się tego pewien. Ale niestety nie ma ani jego, ani wzoru. Austin pomyślał o hełmie zagrzebanym pod tonami gruzu.

- Kluczem jest Zaginione Miasto. Cokolwiek powoduje mutację, pochodzi stamtąd. To tam musi być coś, co może rozwiązać problem.

- Zastanówmy się - odrzekł Trout. - MacLean wiedział, że jego środek chemiczny na przedłużenie życia ma istotną wadę: może odwrócić proces starzenia się, ale jego działanie jest nieprzewidywalne, o czym przekonała się boleśnie na własnej skórze Racine Fauchard. Ta substancja również przyspieszyła ten proces.

- To tego zmierzam. Przyroda ciągle traci równowagę.

- Zgadza się. Jest jak recepturka, którą rozciągasz i puszczasz.

- Nie wiem, czy Racine Fauchard byłaby zadowolona z porównania jej do recepturki, ale ten przykład pokazuje, o co mi chodzi. Mutacje zdarzają się stale, nawet wśród ludzi. Przyroda to koryguje, bo inaczej mielibyśmy osobników z dwiema lub trzema głowami, co może wcale nie byłoby takie złe. Gdy chodzi o starzenie się, każdy gatunek ma gen powodujący śmierć, żeby kolejne pokolenia ustępowały miejsca następnym. Wodorost Gorgona był stabilny, dopóki Fauchardowie nie wprowadzili do równania enzymu, który zakłócił równowagę. Ale w końcu wszystko musi wrócić do normy.

- A co z żołnierzami mutantami, którzy żyli tak długo?

- To była sztuczna sytuacja. Gdyby pozostawiono ich własnemu losowi, pewnie pożarliby się nawzajem. Znowu kwestia równowagi.

- Tutaj istotny jest enzym - podsumował Trout. - To decydujący czynnik. Może opóźnić starzenie się lub je przyspieszyć.

- Powiedz Gamay, żeby przyjrzała mu się jeszcze raz.

- Sprawdzę, jak jej idzie - odrzekł Trout.

- Wracam na spotkanie. Spróbuję zniechęcić generała Kyle'a do nalotu dywanowego na Atlantyck, ale nie jestem optymistą.

Trout poczuł zamęt w głowie. Fauchardowie nie żyli, ale nadal szkodzili światu zza grobu. Opuścił mostek i zszedł na dół do laboratorium, gdzie Gamay pracowała razem z czteroosobowym zespołem biologów morskich i naukowcami z pokrewnych dziedzin.

- Rozmawiałem z Kurtem - powiedział Paul. - Nie jest dobrze. - Powtórzył to, co usłyszał od Austina. - Doszłaś do czegoś?

- Zbadałam interakcję między enzymem a rośliną, ale do niczego mnie to nie doprowadziło, więc powróciłam do DNA. Nowe spojrzenie na wcześniejsze badania nigdy nie zaszkodzi.

Gamay podeszła do stołu i wskazała rząd około dwudziestu metalowych pojemników.

- W każdym znajduje się próbka wodorostu Gorgona - wyjaśniła. - Dodałam do wszystkich enzymy pobrane przez ROV z kolumn, żeby zobaczyć, co się stanie. Chciałam sprawdzić, czy będzie jakaś reakcja, jeśli dołożę do wodorostu wielką ilość różnych form enzymów. Potem byłam zajęta innymi badaniami i ostatnio nie zaglądałam do próbek.

- Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem, co się stało - odrzekł Trout. - Fauchardowie zniekształcili budowę molekularną enzymu podczas procesu jego ulepszania, kiedy oddzielili go od mikroorganizmów, które tworzyły tę substancję. Deformacja objęła strukturę genetyczną wodorostu i spowodowała jego mutację.

- Całkiem dobre podsumowanie.

- Zaraz. Przedtem wodorost koegzystował z enzymem w jego naturalnym stanie.

- Zgadza się - przytaknęła Gamay. - Dopiero po zmodyfikowaniu enzymu nastąpiła jego interakcja z najbliższą formą życia, czyli szkaradnym, ale zupełnie normalnym wodorostem, który przeobraził się w potwora. Miałam nadzieję, że przedawkowanie jeszcze bardziej przyspieszy proces starzenia się, tak jak w przypadku Racine Fauchard, ale nie udało się.

- Takie rozumowanie jest logiczne, ale czegoś tu brakuje. - Trout zastanowił się. - A może wpływ na ten proces ma bakteria, a nie enzym?

- Nie pomyślałam o tym. Zajmowałam się związkiem chemicznym; byłam przekonana, że to on jest czynnikiem stabilizującym, a nie mikroorganizmy, które go wytwarzają. Wydobywając enzym z wody, Fauchardowie zabijali bakterie, które mogły być czynnikiem decydującym o równowadze.

Gamay podeszła do lodówki i wyjęła szklany pojemnik z jasnobrązowym płynem.

- To hodowla bakterii pobranych spod kolumn Zaginionego Miasta. Odmierzyła porcję płynu i wlała do pojemnika z wodorostem Gorgona. - I co dalej? - zapytał Trout.

- Trzeba dać bakteriom czas, żeby zrobiły swoje. To nie potrwa długo. Zgłodniałam trochę, może przyniósłbyś mi coś do jedzenia?

- A może pójdziemy do mesy?

Gamay odgarnęła włosy z czoła.

- To najlepsza propozycja, jaką dziś usłyszałam.

Cheeseburgery jeszcze nigdy tak im nie smakowały. Wypoczęci i najedzeni wrócili po godzinie do laboratorium. Trout zerknął do pojemnika z wodorostem i bakteriami. Płatnina gałązek wyglądała tak samo jak przedtem.

- Mogę się temu lepiej przyjrzeć? W tym świetle słabo widać.

- Weź to. - Gamay wskazała długie szczypce. - Możesz obejrzeć próbkę w tamtym zlewie.

Trout wyciągnął z pojemnika zbitą masę wodorostu, zaniósł do zlewu i umieścił w plastikowej waniencie. Gorgona wyglądała niewinnie. Nie była piękną rośliną, ale jej żywotność wzbudzała podziw. Cienkie gałązki splatały się ze sobą i tworzyły nieprzenikniony gąszcz, który czerpał pożywienie z oceanu. Trout poruszył wodorost szczypcami, potem uniósł za jedną z gałązek. Odłamała się i zbita masa wpadła z pląsnięciem do wanienki.

- Przepraszam - powiedział. - Zniszczyłem ci próbkę.

Gamay spojrzęła na niego dziwnie i wyjęła mu szczypce z ręki. Pociągnęła za inną gałązkę i ta też się odłamała. To samo się stało z kilkoma następnymi, wszystkie łatwo pękały. Gamay zaniósła jedną z nich na stół, przekroiła, ułożyła cienkie pasma na szkiełkach laboratoryjnych i umieściła pod mikroskopem.

Po chwili podniosła wzrok znad okularu.

- Wodorost obumiera - oznajmiła.

- Co?! - Trout zajrzał do zlewu. - Wygląda zdrowo. Uśmiechnęła się i pociągnęła jeszcze kilka gałązek.

- Widzisz? Zdrowych nie udałoby mi się odłamać. Są sprężyste jak mocna guma. Te są łamliwe.

Zawołała asystentów i poprosiła ich o przygotowanie innych części próbki do badań mikroskopowych. Kiedy znów podniosła wzrok znad okularu, miała zaczerwienione oczy, ale uśmiechała się szeroko.

- Próbka wodorostu jest w pierwszym stadium martwicy. Innymi słowy Gorgona umiera. Sprawdzimy jeszcze kilka innych próbek, żeby się upewnić.

Znów dodała bakterie do wodorostu i raz jeszcze odczekała godzinę. Następne badania mikroskopowe potwierdziły jej odkrycie, każda próbka poddana działaniu bakterii obumierała.

- Bakterie pozbawiają wodorost czegoś, co jest mu potrzebne do życia - powiedziała Gamay. - Musimy przeprowadzić dalsze badania.

Trout uniósł pojemnik z hodowlą bakterii.

- Jak najlepiej wykorzystać te małe żarłoczne bestie?

- Trzeba wyhodować duże ilości, potem rozpylić na dużej przestrzeni i niech robią swoje.

Trout uśmiechnął się szeroko.

- Sądzisz, że władze brytyjskie pozwolą nam użyć do tej operacji okrętu podwodnego Fauchardów? Jest odpowiednio pojemny i szybki.

- Myślę, że zrobią wszystko, żeby Wyspy Brytyjskie nie zostały odcięte od świata.

Trout pokręcił głową.

- MacLean znów nas uratował. Dał nam nadzieję na pokonanie tej plagi.

- To również zasługa Kurta.

- Miał nosa, że trzeba wrócić do Zaginionego Miasta i myśleć w kategoriach równowagi.

Trout ruszył do drzwi.

- Idziesz przekazać Kurtowi dobrą wiadomość? - zapytała Gamay. Skinął głową.

- I powiedziec mu, że nadszedł czas, żebyśmy godnie pożegnali pewnego szkockiego dżentelmena.

44

Jeziro miało kilka kilometrów długości i dwukrotnie mniejszą szerokość. IW zimnej nieruchomej wodzie odbijało się bezchmurne szkockie niebo, wzdłuż brzegów akwenu ciągnęły się faliste wzgórza porośnięte purpurowym wrzosem.

Drewniana odkryta łódź oddalała się od lądu, jej kilwater przecinał gładką jak szyba powierzchnię wody. Zwolniła do dryfu i zatrzymała się w najgłębszej części jeziora. Na pokładzie było troje pasażerów - Paul i Gamay Troutowie oraz Douglas MacLean. Prochy jego zmarłego kuzyna Angusa spoczywały w ozdobnej bizantyjskiej szkatułce, którą chemik przywiózł kiedyś z podróży.

Douglas MacLean widział Angusa tylko raz, kilka lat temu na weselu kogoś z rodziny. Przypadli sobie do gustu i obiecali wzajemnie, że będą utrzymywali kontakt. Ale jak wiele pomysłów zrodzonych nad szklanką whisky, ten też nie wypalił i nigdy się już nie spotkali. Do teraz. Douglas był jedynym żyjącym krewnym Angusa, jakiego udało się znaleźć Troutom. Co równie ważne, grał na kobzie. Niezbyt dobrze, ale głośno.

Stał teraz na dziobie łodzi na szeroko rozstawionych nogach widocznych pod kiltem. Miał na sobie kompletny strój MacLeanów w szkocką kratę. Na znak Gamay zaczął grać Amazing Grace. Kiedy natarczywe, piskliwe dźwięki odbiły się echem wśród wzgórz, Paul wysypał prochy Angusa do jeziora. Szarobrązowy popiół unosił się przez kilka minut na powierzchni, potem stopniowo zaczął nikać pod wodą.

- Ave atque vale - powiedział cicho Trout. - Witaj i żegnaj.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Paul wypowiadał te słowa pożegnania, Joe Zavała znajdował się wśród żałobników, którzy nieśli prostą drewnianą trumnę ścieżką biegnącą między zniszczonymi nagrobkami na starym przykościelnym cmentarzu niedaleko historycznego miasta Rouen. Wszyscy żałobnicy byli potomkami kapitana Pierre'a Levanta.

Co najmniej dwudziestu członków rodziny Levantów otoczyło otwartą mogiłę obok grobów żony i syna kapitana. W pogrzebie uczestniczyli mężczyźni i kobiety reprezentujący armię francuską. Kiedy wiejski ksiądz rozpoczął modlitwę za zmarłych, wojskowi zasalutowali energicznie i trumnę opuszczono do grobu. Kapitan Levant doczekał się wiecznego odpoczynku, którego tak długo mu odmawiano.

- Ave atque vale - szepnął Zavała.

Wysoko nad winnicami Fauchardów krążył jak głodny jastrząb mały czerwony dwupłatówiec. Austin spojrzął na zegarek, przechylił lekko awiatika i rozsypał w powietrzu prochy Jules'a Faucharda, którego zwłoki wydobyto z lodowca.

Nie obyło się bez dyskusji, czy ciało Jules'a powinno być skremowane, skoro Kościół katolicki sprzeciwia się tej praktyce. Ale ponieważ zmarły nie miał żyjących krewnych, Austin i Skye wzięli sprawę w swoje ręce i postanowili zwrócić go ziemi, która żywiła jego ukochane winogrona.

Tak jak Trout i Zavała, Austin też wypowiedział łacińskie słowa pożegnania.

- To tyle, jeśli chodzi o Jules'a - odezwał się przez interkom do Skye siedzącej w drugim kokpicie. - Okazał się najporządniejszą osobą z całej rodziny. Zasłużył na lepszy los niż zamrożenie w lodowcu.

- Zgadzam się z tym - odrzekła Skye. - Ciekawe, co by się stało, gdyby wylądował w Szwajcarii.

- Nigdy się tego nie dowiemy. Wyobraźmy sobie, że w równoległym nurcie czasu zdołał zapobiec krwawej wojnie.

- Przyjemna myśl - powiedziała Skye, a po chwili zapytała: - Jak daleko możemy dolecieć tym samolotem?

- Do miejsca, gdzie skończy się paliwo.

- A do Aix-en-Provence?
 - Chwileczkę. - Austin postukał w klawisze GPS-u i wyświetliła się trasa z lotniskami po drodze. - To by zajęło kilka godzin i musielibyśmy zrobić postój na tankowanie. Dlaczego pytasz?
 - Charles zaproponował, żebyśmy skorzystali z jego willi. Powiedział nawet, że możemy używać jego nowego bentleya, jeśli obiecamy, że nie wjedziemy nim do basenu.
 - Twardy warunek, ale chyba mogliśmy go przyjąć.
 - W jego willi jest cudownie - powiedziała Skye z rosnącym podnieceniem. - Piękne widoki, spokój i dobrze zaopatrzona piwnica z winami. Mogłabym tam pisać moją pracę naukową. Za jedno jestem wdzięczna Fauchardom, po wysłuchaniu opowieści Racine o dawnych dziejach jej rodziny mogę udowodnić, że moja teoria o udziale Kreteńczyków w prastarej europejskiej wymianie handlowej jest prawdziwa. I podyskutujemy o twojej teorii, że docierali daleko na pomoc, aż do Wysp Owczych. Może nawet do Ameryki Północnej. Co ty na to?
 - Nie mam ubrań na zmianę.
 - A komu będą potrzebne ubrania? - roześmiała się obiecująco Skye. - Przedtem to nam nie przeszkadzało.
 - Ten argument mnie przekonał - zaśmiał się Austin. - Łapiemy wiatr w ogon, spróbuję dolecieć do Prowansji na kolację.
- Zerknął na kompas i skierował dziób samolotu na południe, ku gościnnemu wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Podziękowania

Wyrazy wdzięczności dla Neala Iversona, profesora nadzwyczajnego geologii i meteorologii z Uniwersytetu Stanu Iowa, za wycieczkę po obserwatorium podlodowcowym Svartisen w Norwegii. Książki H. Ridera Haggarda i Bena Bovy 'ego wspaniale przedstawiają implikacje nieśmiertelności. Podziękowania należą się również SEAmagine Hydrospace Corporation za udostępnienie niezwykłego pojazdu podwodnego SEAmobile.